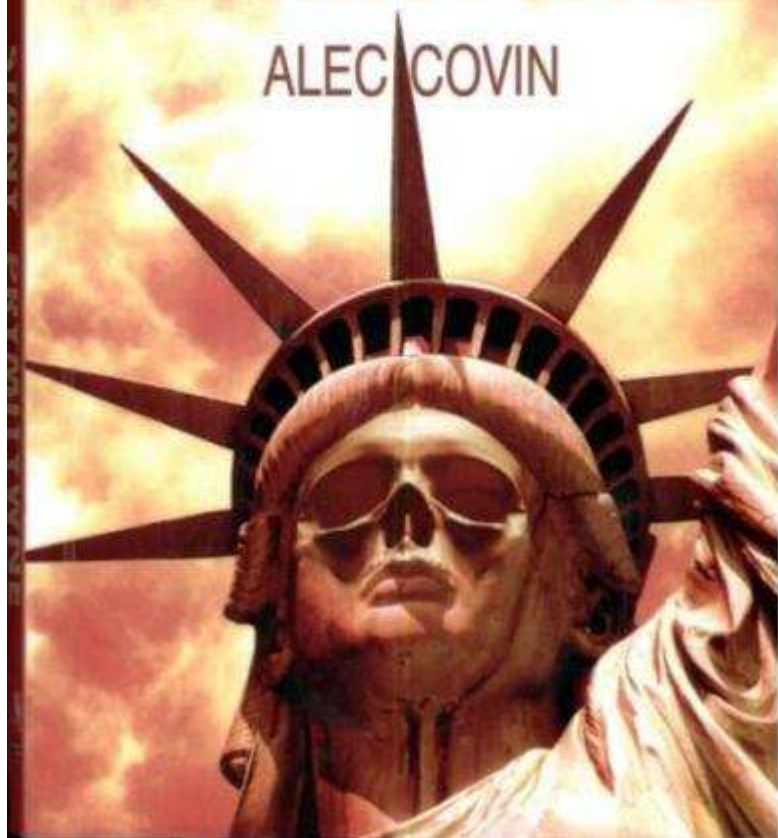


WYŚMIENITY DRESZCZOWIEC INSPIROWANY TWÓRCZOŚCIĄ KINGA I KOONTZA

STANY PRYMITYWNE

ALEC COVIN





ALEC COVIN

Alec Covin to, obok takich pisarzy jak Jean-Christophe Grangé, czołowy francuski przedstawiciel modnego nurtu literackiego, który przebojem zdobył czytelników nie tylko nad Sekwaną. Jest nim połączenie thrillera z elementami grozy i fantastyki – gatunku, którego prekursorami był Edgar Allan Poe, a niedoścignymi współczesnymi mistrzami stał się Stephen King i Dean Koontz. Covin chętnie przyznaje się do fascynacji ich twórczością. Akcje *Wilków Fenrydera*, pierwszej z cyklu powieści o tamym stowarzyszeniu, które za cel postawiło sobie zniszczenie Ameryki, umieścił w egzotycznej scenarii Luizjany. Część druga, *Stary prymitywne*, przenosi czytelnika do Nowego Jorku.

Założone przez Luciusa Fenrydera, zabitego przez Jankesów generała wojsk Konfederatów, tajne bractwo Wilków Fenrydera, przetrwało do czasów współczesnych. Warunkiem uczestniczenia w organizacji, oprócz szlachetnego urodzenia, jest wymordowanie własnej rodziny lub przyjaciół. Członkowie bractwa są obdarzeni ponadludzką mocą, którą zapewnia im czarna relikwiczka noszona na prawej dłoni. Wykorzystują ją, dokonując masowych zbrodni. Jednym z filarów bractwa jest Walter Skoll, tajemniczy milioner i filantrop, założyciel fundacji sztuki współczesnej. W siedzibie fundacji na Manhattanie odbywają się spotkania Wilków. Prywatny detektyw Tim Modine, wzięty malarz Forrest Magnus i jego przyjaciółka Sarah Widar próbują pokrzyżować plany morderców i sekty - demonicznego spisku, który ma podbić cywilizowaną Amerykę i sprowadzić ją do stanu pierwotnego, rządzonego przez okrucieństwo, przemoc i strach. Od globalnej katastrofy dzieł USA zaledwie kilka dni...

ISBN 978-83-7659-078-3



9 788376 590783

STANY PRYMITYWNE

ALEC COVIN

Z francuskiego przełożyła

KRYSTYNA SZEŻYŃSKA-MAĆKOWIAK



Tytuł oryginału: ÉTATS PRIMITIFS

Copyright © Plon 2006 All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2010

Polish translation copyright © Krystyna Szeżyńska-Maćkowiak 2010

Redakcja: Hanna Machlejd-Mościcka

Ilustracja na okładce: Jacek Kopalski

Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz

Skład: Laguna

978-83-7659-078-3

Dystrybucja

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk

Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

t./f. 022-535-0557, 022-721-3011/7007/7009

www.olesiejuk.pl

Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe

www.empik.com

www.merlin.pl

www.gandalf.com.pl

www.ksiazki.wp.pl

www.amazonka.pl

WYDAWNICTWO ALBATROS

ANDRZEJ KURYŁOWICZ

Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa

2010. Wydanie I Druk: B.M. Abedik S.A., Poznań

Dedykuję tę powieść Matce

Przedmowa

I oto moja druga powieść — powieść, która wzbudzała tyle obaw!

Przedtem jednak kilka słów przypomnienia ku przestrodze. Moim zdaniem powieściopisarzem jest ten, kto staje przed społeczeństwem, przysięgając pisać fikcję, całą fikcję i tylko fikcję. Sądzę więc, że nikt nie zechce wysłać mnie do poprawczaka za to, że poza innymi występkami pozwoliłem sobie na (drobne) kłamstewka na temat Nowego Jorku i życia politycznego Ameryki.

Co do samej powieści, to przyjmijmy, że stanowi ona kontynuację *Wilków Fenrydera*. Nie oznacza to jednak, że nowo przybyli muszą przeczytać pierwsze dzieło, zanim sięgną po drugie, bo każda z książek może istnieć osobno — na szczęście dla Czytelnika, ale, muszę przyznać, nie dla wydawcy.

Po wsi przyszła pora na miasto, po rodzinie — na przyjaciół. Oto, co mogę powiedzieć o tych dwóch książkach, które leżą przede mną na biurku, gdy za oknem zapada noc. I może jeszcze to:

Mają one mniej wspólnego z powieścią amerykańską niż powieści o Ameryce postrzeganej jako hiperboliczny obraz zachodniego stylu życia. To, co pojawiło się przed trzema tysiącami lat gdzieś w Grecji, we krwi i w modlitwie, znalazło kontynuację za Oceanem, a to szczególnie we krwi i w modlitwie. Ale (podobnie jak w literaturze) niskimi instynktami powodowany jest ten, kto dostrzega w tym tylko wpływ niskich instynktów.

Empedokles nie umarł. On tylko zmienił pantofle.

PROLOG

*Ponieważ rzeczywistość to więcej niż
rzeczywistość...*

STANLEY HOLDER,
Masakra na Manhattanie

Harlem, 22 września, w pierwszym dniu jesieni

1

Stary czarnoskóry ogrodnik spoglądał na dłonie białego człowieka, którego rękawice były dość wyszukane jak na zwykłego hydraulika. Jednak ogrodnik niejedno już widział — gliniarzy z końskim ogonem, strażników homoseksualistów...

— Czy mam to panu pokazać? — zapytał, kładąc sekator na drabince, bo właśnie przycinał róże w parku.

— Nie fatyguj się, staruszk, sam sobie poradzę.

Ogrodnik nie lubił, kiedy ktoś mówił do niego „staruszk”. Pracodawca przynajmniej okazywał mu szacunek. Zwrócił małe, podpuchnięte oczy na tego stukniętego typka i przypatrywał mu się, kiedy tamten się pochylił, szukając w furgonetce marki Chevrolet potrzebnego sprzętu. Facet był młody, źle ogolony, raczej przystojny. Miał na sobie pomarańczowy kombinezon z nazwą firmy (Matheson & Syn) i jej logo (jasnoniebieski syfon w żółtym kole) na plecach. Gdyby usunąć tłuste plamy, byłby to wymarzony kostium na doroczną paradę Macy's na Broadwayu.

Zatrzasnąwszy drzwiczki, młody hydraulik ogarnął wzrokiem park wokół domu i uśmiechnął się do ogrodnika.

— Wielki ogród, prawda? Zamęczą cię tu robotą.

Ogrodnik skwitował to wzruszeniem ramion.

— Pana kolega jest tu już od dziesięciu minut — powiedział podejrzliwie. — Jak on się nazywa? Clark Lyn czy jakoś tak?

Jak, do cholery, może się nazywać ten mój kolega? — zastanawiał się hydraulik, nie dając po sobie poznać, że jest zakłopotany. Może Lynford, Lynley albo Lynton, czy na przykład Lynwood?

— Tak, Clark — zaczął. Sytuacja stawała się napięta, wręcz alarmowa, więc przyspieszył: — Clark Lynwood, poczciwy starszku.

— Mógłbym oczywiście zatelefonować do waszego szefa, żeby się upewnić, czy jesteście tymi, za których się podajecie — dorzucił ogrodnik, zerkając na niego z ukosa.

— Nie ma sprawy, stary.

— A jaki jest numer do waszego szefa?

Młody człowiek, którego w pewnych kręgach nazywano Szakalem, bez zmruczenia oka podał numer telefonu, gratulując sobie, że przed przyjazdem tu nauczył się go na pamięć.

— Dzwonź. Będziesz miał pewność. Ja poczekam.

Oparł się o samochód, pewny siebie i spokojny. Nad jego głową widniała dewiza firmy Matheson & Syn: „Dla was chcemy być więcej niż hydraulikami”.

— W porządku. Wierzę panu. Ale szybko, bo mój szef niedługo tu będzie. A dwie furgonetki przed domem to trochę za dużo.

— To kwestia półgodziny. Nie zamartwiaj się, stary. Twój szef zobaczy tylko iskry, daję słowo.

Szakał lubował się w takich niejednoznacznych zdaniach, a to przypadło mu do gustu bardziej niż inne.

Dobra. Najpierw załatwimy sprawę kolegi, pomyślał,

okrążając furgonetkę, żeby tym razem otworzyć tylne drzwi. Nalepka „Hydraulika” z telefonem, faksem, a nawet adresem elektronicznym rozdzieliła się na dwie — na lewym skrzydle drzwi pozostały pierwsze litery: „Hydra”. Szakal szperał w wozie w „skrzynce z narzędziami”. Wyjął z niej pistolet z tłumikiem Norinco 67 i wsunął go do kieszeni kombinezonu. Teraz już nie mógł się cofnąć.

Usytuowana na wzniesieniach Harlemu posiadłość z niezwykłym widokiem na dolinę Hudson i Fort Washington Park należała do cenionej Fundacji Waltera Skolla. Budowla w nawiązującym do greckich wzorców renesansowym stylu, z kolumnadą, szpalerem cyprysów i żeliwnymi balustradami. Jako jedna z nielicznych posiadłości w tej okolicy — poza obok rezydencją Morris-Jumel przy Edgecombe Avenue, po drugiej stronie Hamilton Heights — zdołała przetrwać najcięższe okresy historii. Fundacja nabyła ją na długo przed tym, kiedy to Harlem zaczął przyciągać pośredników handlu nieruchomościami i najlepsze sklepy i zanim Bill Clinton przeniósł pod koniec drugiej kadencji swoje biuro na Sto Dwudziestą Piątą Ulicę numer 55. Żadna tablica na wysokim, kutym z żelaza ogrodzeniu parku nie informowała, że posesja należy do Fundacji Waltera Skolla. Zresztą osoby postronne nie miały prawa wstępu na teren dniem i nocą strzeżony przez dwóch wartowników. Właśnie jeden z nich powiedział Szakalowi, aby zwrócił się w sprawie awarii kanalizacyjnej do ogrodnika.

Szakal podszedł do drzwi i czując na sobie ostre spojrzenie starego Murzyna, wytarł nogi o wycieraczkę. W holu sprzątaczką, z pochodzenia Meksykanka, kończyła porządki, używając dużego i hałaśliwego odkurzacza marki Hoover. Odwzajemniła jego uśmiech — specjalnie zarezerwowany dla podrzędnej służby domowej — i ustąpiła mu z drogi.

Z planów domu wiedział, że drzwi do piwnicy znajdują się pod głównymi schodami. Były uchylone, a na dole paliło się światło. Szakal zszedł.

— Cześć, Clark! — rzucił, zeskakując z dwóch ostatnich stopni.

Wspomniany Clark, który pracował nad uszkodzoną kanalizacją, odwrócił głowę. Na jego twarzy malowało się zdziwienie.

— Szef prosił, żebym ci przekazał, że jest mu przykro — powiedział Szakal.

Najwyraźniej szefowi Clarka czy jakoś tam rzadko bywało przykro.

— Miałem na myśli mojego szefa, nie twojego — uściślił Szakal.

— Kim jesteś? — zapytał w końcu hydraulik.

— Och, nie przejmuj się. Po prostu wybiła twoja godzina.

I Szakal strzelił mu prosto w serce.

2

Dzięki podsłuchowi Szakal i jego wspólnik Meyerson wczesnym popołudniem przechwycili zgłoszenie do zakładu hydraulicznego. W ciągu kwadransa dotarli do Mathesona w zachodnim Bronksie i systematycznie, bez cienia nienawiści czy przyjemności, na zawsze zamknęli usta właścicielowi, sekretarce, a także parze zrządzających klientów, którzy znaleźli się na miejscu. Potem Szakal i jego wspólnik przebrali się w kombinezony firmy i jedną z dwóch zaparkowanych przed budynkiem furgonetek pojechali na Manhattan przez most przy Sto Czterdziestej Piątej Zachodniej.

Dopiero na miejscu Szakal zorientował się, że Matheson zdążył już wysłać do klienta swojego hydraulika.

Można by pomyśleć, że los zawział się na tę małą firmę z Bronksu, przemknęło przez głowę młodemu mężczyźnie, gdy włókł za nogi ciało Clarka, żeby ukryć je pod schodami.

Potem wrócił na parter i przez chwilę obserwował hol wejściowy.

Sprzątaczką razem z odkurzaczem przeniosła się na pierwsze piętro; może coś przeczowała. Drzwi wejściowe były szeroko otwarte. Za trawnikiem widać było imponujące krzewy różane i przycinającego je ogrodnika.

Szakal zauważył, że stary Murzyn, który trzymał w ręku sekator, obserwuje go z wysokości drabiny. Popatrz lepiej w inną stronę, poradził mu w duchu.

Wiedział, że gabinet Skolla znajduje się po jego lewej stronie. Ruszył w tym kierunku.

Walter Skoll był prezesem Flow Corporation, międzynarodowego koncernu naftowego z siedzibą w Houston w Teksasie. Był także prezesem fundacji swojego imienia, cenionej w świecie sztuki. Przed trzydziestu laty założył ją, zaczynając w Piątej Alei. Kilka tygodni temu opuścił teksańskie ranczo i zamieszkał w aneksie fundacji na wzgórzach Harlemu. Ale takie informacje mógłby zdobyć pierwszy lepszy. A Szakalowi opowiedział o Walterze Skollu jego szef.

O jego prawdziwej naturze. A także o jego zdolnościach.

Z tych informacji wynikała zasada oczywista i ścisła: nie wolno pozwolić sobie na spotkanie z Walterem Skollem. Nawet za dnia, nawet ze spluwą gotową do strzału.

Wyjaśniało to wiele spraw, przede wszystkim fakt, że ani Skoll, ani jego rezydencja w Harlemie nigdy nie padli ofiarą gangów, które rządziły dzielnicą, dopóki Giuliani nie zaprowadził tam porządku.

Od poniedziałku do piątku, punktualnie o czternastej, prezes

Walter Skoll, dokładny jak szwajcarski zegarek, opuszczał Harlem, żeby samochodem udać się do fundacji na drugim końcu Manhattanu. I właśnie tę chwilą wybrał Szakal, aby odwiedzić aneks.

Wiedział, że podstawą sukcesu jest spora dawka bezczelności, a do tego odrobina szczęścia. Jak to w życiu...

Wszedł do gabinetu Skolla.

— A teraz rozegramy partyjkę we dwóch — szepnął, patrząc na zegarek.

Skoll nie wracał przed szóstą. Czasu było aż nadto, żeby przygotować dla niego małą niespodziankę. Szakal już sobie wyobrażał, jaką minę zrobi po powrocie Skoll.

3

Bob Gales siedział w przylegającej do stróżówki szklanej kabiny i obsługiwał rozsuwaną bramę. Szkło było kuloodporne, a strażnik nigdy nie opuszczał stanowiska przed przyjściem zmiennika. W ciągu trzydziestu lat pracy nigdy nie miał tu żadnych problemów. Jakby pan Skoll był w czepku urodzony. Albo jakby zawarł pakt z miejscowymi czarnuchami, rozmyślał Bob Gales, który nie miał przeciwko czarnym i Portorykańczykom nic poza tym, że nie byli mimo wszystko tacy jak on, i jakkolwiek by na to patrzeć, taka była prawda.

Z powodu upału drzwi kabiny zostały otwarte na ogród. Był koniec września, ale lato najwyraźniej nie zamierzało się jeszcze poddać. Bob Gales pomyślał, że po służbie, przed powrotem do domu, wpadnie na frappuccino o smaku mokki, najlepiej podwójne, do Starbucks na Dolnym Manhattanie.

Rozdzwonił się telefon.

— Ochrona, słucham — powiedział, jak zwykle starając się nadać głosowi bardzo poważne brzmienie.

— Chałupa się pali!

To był Louis McCay, młodszy od niego o dwadzieścia lat kolega. McCay już ponad dziesięć minut temu wyszedł na obchód, a teraz wrzeszczał w telefon jak opętany.

— Co takiego? — zawołał Bob, podrywając się z krzesła na kółkach i czując, jak jeżą mu się włosy na przedramionach.

Błyskawicznie przejrzał ekrany kontrolne, które ustawiono przed jego stanowiskiem w trzech kolumnach po cztery monitory w każdej. Kamery nie pokazywały śladu dymu. Nie migotała żadna czerwona lampka, nie włączył się żaden wykrywacz dymu.

— Gdzie się pali? — zapytał Bob, jak przystało na profesjonalistę, który nadal nie dostrzega problemu. — Mów gdzie!

— W chałupie, przecież mówię! — wył Louis McCay.

— Cholera, jesteś tego pewien?

— Jasne — rzucił McCay, wybuchając śmiechem. — Widzę nawet śliczną brunetkę, która czeka na swojego strażnika. I nie muszę ci mówić, że trzymam wąż przeciwpożarowy w gotowości.

— Przekłęty dureń! Naprawdę nie masz nic do roboty, musisz zgrywać idiotę?!

Louis McCay skwitował to jeszcze głośniejszym śmiechem. Piętnaście lat pracy zawodowej, a rozum pięciolatka. I tak jestem dla niego życzliwy, pomyślał Bob Gales.

Jakieś nieznaczące poruszenie za jego plecami sprawiło, że odwrócił głowę.

W ogrodzie, tuż obok drzwi, stał mężczyzna w pomarańczowym kombinezonie firmy hydraulicznej Matheson & Syn. Strażnik nie słyszał, jak nieznajomy tu szedł. A czego ten

znowu chce? — zastanawiał się poirytowany, dopóki nie dotarło do niego, że nie był to jeden z tych dwóch, których tu wpuścił, i że — do stu diabłów! — ten niby-hydraulik celował do niego z czegoś, co wyglądało na najprawdziwszą spluwę dużego kalibru.

Hydraulik uśmiechnął się, machnął spluwą i kazał mu odłożyć słuchawkę.

Bob Gales posłusznie wykonał polecenie, choć wciąż jeszcze słyszał histeryczny śmiech tego żalosego głupca McCaya. No nie! Naprawdę wpadliśmy w tarapaty, a ty umierasz ze śmiechu! — pomyślał zdruzgotany Gales.

Kiedy się rozłączył, rozległy się trzy ciche świsty. Kule ugodziły go w klatkę piersiową i mógł zapomnieć o ulubionym frappuccino z South Street Seaport.

4

Meyerson, mężczyzna, który oddał strzały, stanął przed monitorami w chwili, gdy Szakal wychodził z piwnicy. Pierwszy ekran po lewej pokazywał, jak idzie do gabinetu Skolla. Trzymali się czasu, stwierdził Meyerson, zerkając na godzinę w dole ekranu.

Potem pochylił się nad konsolą i wyłączył system alarmowy w domu, a także wokół niego. To był drugi po unieszkodliwieniu ochroniarza z posterunku cel jego misji, więc zadowolony Meyerson wyprostował się, aby przejść do realizacji trzeciego zadania.

A teraz chcę dopaść drugiego strażnika z rodzinki Zający, pomyślał. I zaczął szukać na monitorach tego dowcipnisa McCaya.

Jeden ze środkowych ekranów pokazywał z góry sprzątaczkę, która odkurzała w którejś sypialni na pierwszym piętrze. Z tego, co widział, posługiwała się dość masywnym urządzeniem, ale to nie mogło dziwić w takim wielkim domu.

Wewnątrz nie zauważył nikogo innego.

Na jednym z ekranów po prawej zobaczył w końcu wesołego Louisa McCaya, gdy przecinał na skos pole objęte przez kamerę. Trudno się dziwić, że przy takich błaznach w Ameryce kwitnie złodziejstwo. Płacą im za nic. I ten śmiech debila! Meyerson nie musiał go nawet słyszeć, żeby wyczuć, że to śmiech kompletnego wariata.

Z obrazu wynikało, że po obchodzie ochroniarz wracał ścieżką za domem, przy garażach. Wkrótce powinien stanąć oko w oko z Meyersonem.

Z tego, co widzę, kiedy kota nie ma, myszy harcują. Meyerson chciał jak najszybciej pozbyć się tego ochroniarza. Nawet w zmniejszeniu na ekranie wideo bez dźwięku działał mu na nerwy.

Czym się tak naraziłeś Bogu, że kazał ci pracować z takim idiotą? — pytał Meyerson, patrząc na leżące pod jego nogami zwłoki Boba Galesa.

Wsunął rękę za monitory, wyrwał kable i w ten sposób wygasił ekrany.

Odwrócił się i usłyszał Louisa McCaya znacznie wcześniej, niż go zobaczył. Tamten wciąż zanosił się baraním śmiechem.

Meyerson wyjął pistolet z tłumikiem i nie mogąc ustać w miejscu, wyszedł ofierze na spotkanie.

Śmiech ochroniarza ucichł, jak nożem uciął, kilka sekund potem.

Gabinet Waltera Skolla zwracał uwagę elegancją i porządkiem.

Z weneckich okien, które doskonale oświetlały pokój, rozpościerał się widok na park. Na ścianie w głębi gabinetu wisiało dzieło, dla którego Szakal wysłał na tamten świat małą firmę hydrauliczną Mathesona i jego syna pracujących na Bronksie i dla którego wkrótce miał pozbawić życia sprzątaczkę, starego ogrodnika oraz dwóch ochroniarzy, o ile nie pozbył się ich jeszcze Meyerson. Malowidło na płótnie wysokości blisko dwóch metrów, a szerokości niemal metra, przedstawiało brodatego starca trzymającego w lewej ręce coś, co wyglądało jak berło, a prawą tulącego do twarzy buzię pyzatego malca. Dzieciak odrzucił głowę do tyłu i szarpał się, krzycząc, a to nie bez powodu, bo staruch wgrzyzał się zębiskami w śliczny tors tego aniołka. Zatytułowany *Demony* i sygnowany przez Forresta Magnusa obraz był równie fascynujący, jak dwa miliony dolarów, które Walter Skoll poświęcił, aby móc zawiesić go w aneksie fundacji.

Szakal obszedł solidne biurko, bogato zdobione masą perłową, i usiadł w szerokim skórzanym fotelu z wysokim oparciem. Wygodny, choć niezbyt miękki mebel należał do tych, które nie sprzyjają rozleniwieniu siedzącej w nim osoby. Szakal zabawiał się, obracając się w nim raz w jedną, raz w drugą stronę.

Nie zdziwił się, nie widząc na tym biurku żadnego zdjęcia. Ani żony, ani dzieci, ani psa gryzącego piłkę. Walter Skoll nie należał do ludzi z patosem odnoszących się do życia rodzinnego.

Dwa grube pióra Mont Blanc (kultowe Meisterstück 149 ze stalówkami z osiemnastokaratowego złota, których wykonanie

zajmowało dwanaście tygodni pracy) leżały na prawo od skórzanej podkładki. Na blacie nie poniewierał się ani jeden papier.

Szakał szperał przez chwilę w szufladach, ale tam również nie znalazł nic poza notatką sporządzoną na firmowym papierze fundacji. Przeczytał: „Są drogi, którymi się nie przejedzie, armie, których się nie atakuje, twierdze, których się nie szturmuje, tereny, na których nikt nie podejmuje walki”*. Był to cytat ze *Sztuki wojny* Sun Tzu, a dokładniej z rozdziału VIII, poświęconego dziewięciu zmiennym.

Szakałowi rzuciło się w oczy, że Walter Skoll żadnej z nich nie stawiał ponad inne.

W tym momencie ogrodnik zapukał do okna.

— Ejże, co pan tam robi?

Właściwie nie patrząc na niego, Szakał uniósł rękę i strzelił. Szyba rozsypała się na setki odłamków. I nie było już tego drobnego staruszka, który zawracał Szakałowi głowę.

Odkurzacz na piętrze ucichł. Służąca musiała usłyszeć brzęk tłuczonego szkła.

Szakał zastanawiał się teraz, czy będzie celował w serce, czy może w głowę. Nie mógł się zdecydować.

Dwie minuty potem Meksykanka stanęła w otwartych drzwiach, a jej usta rozchyliły się w osłupieniu.

Wybrał głowę.

Lecąc w tył, kobieta uderzyła o ścianę i osunęła się. Upadła z wysoko zadartą sukienką i tym kretyńskim wyrazem osłupienia, który już na zawsze pozostał na jej twarzy.

Szakał stanął nad ciałem.

— I po co tu przyszedłaś, co? — zapytał. — Teraz masz za swoje.

Był na nią prawie zły. Nie zdawał sobie sprawy z quasi-metafizycznego aspektu pytań, które zadawał.

Schował do kieszeni pistolet z tłumikiem i przykucnął, żeby przewrócić ją na brzuch i zdjąć jej fartuch.

Kiedy wstawał, Meksykanka chwyciła go za nogawki.

Do diabła, ta idiotka jeszcze oddycha!

Sięgnął po broń. Oddał dwa strzały, tym razem na dobre kładąc kres służbie Meksykanki u Skolla.

Szakal wrócił do gabinetu. Zdjął ze ściany obraz i starannie owinął go fartuchem. Pora zwijać żagle, pomyślał.

W holu stwierdził, że ktoś zamknął drzwi wejściowe. Musiała to zrobić sprzątaczką. Poczul na karku spojrzenie intruza. Ktoś obserwował go ze schodów, które właśnie minął. Czy to Meyerson? Odwrócił się, trzymając gotowy do strzału pistolet.

Zobaczył Waltera Skolla. Już wrócił i stojąc w połowie schodów, patrzył na Szakala. Jego oczy migotały czerwonym blaskiem niczym wezbrane lawą kraterę.

Szakal zrozumiał, że Skoll wcale nie wychodził z domu. Cekał na nich u siebie, w swojej twierdzy. Cytat z biurka był tego najlepszym dowodem. Został zapisany specjalnie dla Szakala, który teraz zastanawiał się, dlaczego Skoll pozwolił mu wymordować służbę, a dopiero potem się pojawił. Czy kierowało nim okrucieństwo? A może zobojętnienie? Nie, musiał mieć inny powód, który na razie pozostawał zagadką.

Posłuszny instynktowi samozachowawczemu Szakal otworzył ogień. Dobrze wiedział, że nie ma najmniejszych szans. Skoll był jednym z tych facetów, których nie imaly się ogień ani stal, wielokrotnie go o tym uprzedzano. Teraz Szakal miał przekonać się o tym na własnej skórze, oczywiście — drogo za to płacąc.

Kule ugodziły Skolla w tors... i spowodowały, że rozpadł się na kawałki jak szklana butelka na strzelnicy. Ale na schody

nie posypało się szkło, tylko chmara zwinnych jadowitych pajaków, które rozpełzły się po posadzce. Wszystkie rzuciły się na Szakala. O jasna cholera! — pomyślał tylko, zanim wziął nogi za pas.

Pozbył się obrazu, rzucając go za siebie, dopadł do drzwi, otworzył je.

W parku na moment oślepiło go słońce. A potem nagle zniknęło. Czy zasłoniła je chmura? Nie. Walter Skoll stał dwa kroki przed nim, uśmiechając się groźnie. Jak zdołał tak szybko wyjść? Jego prawa ręka była mrowiem pajaków. Wyglądał jak ożywiony obraz Arcimbolda z tarantul, czarnych wdów i innych wdzięcznych pajaków.

— Przeciw drapieźcy potężniejszy drapieźca — powiedział Walter Skoll, zanim go schwytał.

Bo Walter Skoll był także moralistą!

CZEŚĆ PIERWSZA

PRZYGOTOWANIA (I)

DZIEŃ PIERWSZY

Środa 10 grudnia (wieczór)

Sarah Widar pije cappuccino

Musiała przyznać, że prawie nie znała Nowego Jorku, chociaż spędziła tu już cztery tygodnie. Chętnie by trochę pozwiedzała, jak to robią turyści, a jako dobra obywatelka poświęciła by chwilę na zadumę w miejscu, gdzie wznosiły się Twin Towers, wciąż jednak brakowało jej czasu zarówno na rzeczy istotne, jak na drobiazgi. Często obiecywała sobie, że wypełni te obowiązki, gdy tylko życie da jej po temu okazję, a raczej, jeśli okazja, na którą wyczekiwała od czterech tygodni, pozwoli jej przeżyć, gdy wreszcie się nadarzy. Jediną nową przyjemnością odkrytą w tym mieście było delektowanie się zapachem cappuccino, które zwykle wypijała około siódmej wieczorem w Caffè Reggio.

Sarah nie wyróżniała się spośród bywalców kawiarni. Gdybyście zapytali o opinię starsze małżeństwo, które przychodziło tu od dawna i siadało przy stoliku nieopodal drzwi, oboje potwierdziliby moje słowa. Państwo odwróciliby się, żeby zerknąć na interesującą nas osobę, i zobaczyliby nieco na prawo od siebie młodą czarnoskórą kobietę, dość drobną naprawdę ładną, około metra sześćdziesięciu wzrostu, ubraną w czerwony

plaszczyk. A potem zajęliby się swoją kawą, nie zwracając uwagi na sąsiadkę, choć może zauważyliby po jakimś czasie, że już wyszła.

Sarah Widar niedawno wyjechała z rodzinnej Luizjany, a uczyniła to w niesamowitym pośpiechu. Nakłonił ją do tego Tim Modin, z którym się przyjaźniła. Potrzebował pomocy w Nowym Jorku, więc zadzwonił do niej, a ona się zgodziła. Tylko Sarah mogła przyjąć taką propozycję, zwłaszcza że wyszła od Tima Modina. Poczekajcie jednak, aż poznacie Sarah i Tima, a wtedy sami zrozumiecie.

Nasza Sarah porzuciła przedpotopowy brek i kroniki, które prowadziła w cenionej gazecie „Tusitala News”, ukazującej się w nakładzie pięciu tysięcy egzemplarzy. Jak widzicie, nie żyło jej się jak w raj, jadąc jednak do Nowego Jorku Tima Modina, Sarah nie wyruszała w drogę do lepszego świata, o nie!

Tim wybrał pracę prywatnego detektywa. Jego agencja znajdowała się w Brooklynie i miała tylko jednego pracownika — właśnie Tima. Nie było ani sekretarki, ani wspólnika. Modin chwalił sobie taką sytuację, zwłaszcza że finanse nie pozwalały mu na kaprysy. W tej chwili wspólnik tylko by go krępował, a sekretarka zapewne spowodowałaby, że nie byłby już taki twardy. Był o tym przekonany. Zbyt wieloma informacjami musiałby się dzielić, za duże podejmować ryzyko. Jego charakter skłaniał go do swoistej paranoi. Nie charakter, ale okoliczności, sprostowałby Tim, gdyby mógł to przeczytać. I muszę przyznać, że miałby po stokroć rację.

Jak zwykle pojawił się w Caffè Reggio z ponad dziesięciominutowym opóźnieniem.

— Cześć — powiedział, siadając naprzeciwko Sarah.

Nie pocałowali się ani nie podali sobie ręki. Tim nie lubił kontaktu fizycznego, a tym bardziej serdeczności. Jako zwolennik

bardzo swoistej homeopatii, odmierzał zaufanie kropłomierzem, i choć darzył Sarah szczerym uczuciem, nie uważał za słuszne, by jej to okazywać.

Tego wieczoru, jak miał w zwyczaju, nosił na lewym oku czarną aksamitną przepaskę. Sarah bardzo szybko nauczyła się dostrzegać dyskretne sygnały na jego twarzy, kiedy cierpiał. Szczególnie wyrazista była zmarszczka nisko na czole, pojawiająca się, gdy lewe oko (a raczej to, co z niego zostało) sprawiało mu ból. Teraz zmarszczka wyglądała jak rowek w ciemnej ziemi.

Sarah odstawiła filiżankę na spodek, nie spuszczając Tima z oka.

— „Oni” szykują paskudny numer — powiedział bez zbędnych wstępów Tim. — Musimy się na tym skupić, Sarah. Rozumiesz? Nie wolno nam dopuścić, żeby swobodnie działali. Co z Forrestem? Sprawa się posuwa czy nie? Musi wreszcie powiedzieć co, kiedy i jak. A poza tym: kto? Tak, przede wszystkim kto, rozumiesz? I ilu ich będzie. I czy pokaże się tam ich szef. Wyobraź sobie, że „on” tam będzie! Wyobrażasz to sobie, Sarah? Ich szef we własnej osobie!

Tim mówił spokojnym tonem, który kontrastował z gorączkowym rytmem pytań. Sarah znała go od dawna, ale jeszcze nigdy nie widziała, żeby się denerwował. Tim Modin był jak gład. A co do pytań, które cisnęły mu się na usta, działo się tak tylko, kiedy mówił o nich. A zwłaszcza o ich szefie.

— Forrest jest w ogniu pracy — powiedziała. — Fundacja odebrała wczoraj jego obrazy przysłane z Paryża. Serię *Witryny*, tak mi się przynajmniej wydaje.

Dłaczego dodała „tak mi się wydaje”, chociaż była tego Pewna? Żeby nie okazywać Timowi, że przywiązywała wagę do prac Forresta i że ceniła go jako wybitnego artystę. Tima nic nie

obchodziły dzieła Forresta. A Forrest dobrze o tym wiedział i nie czuł się z tego powodu urażony. W końcu Tim nie był ani krytykiem „New Yorkera”, ani kolekcjonerem sztuki. Jednak Forrest nie lekcewał Tim. Sarah była przekonana, że wręcz przeciwnie — Forrest Magnus to prawdziwy przyjaciel.

— Instalacja wystawy odbywa się w dobrym tempie — ciągnęła Sarah. — Forrest powinien mieć trochę wolnego czasu przed wernisażem, w przyszłym tygodniu.

— To dobrze. — Skinął głową Tim. — Ale czy przynajmniej ma dostęp do biura? Przecież w salach wystawowych niczego nie znajdzie. Forrest musi się ruszyć. Tak, powinien koniecznie zajrzeć do biura. Psiakrew! Pomyśl, gdyby ich szef się pojawił. Wiesz, może napiję się kawy. Forrest musi znaleźć odpowiedni moment, żeby wejść do biura. — Skinął ręką na kelnera i wskazując *cappuccino* Sarah, rzucił: — Dla mnie to samo. — Potem zwrócił się znowu do niej: — Gdyby pokazał się ich szef, psia-kość!

Zamilkł. Sarah widziała swoje odbicie w szybie za Timem. Widziała, jak na niego patrzy.

Pomyśleć tylko, że Ameryka była święcie przekonana, że to bin Laden jest jej największym wrogiem i że przede wszystkim jego należy zabić! A tymczasem, chociaż saudyjskiemu terroryście udało się uderzyć w dwie wieże, dla kraju nie był to szach i mat, bo w ramach represji wymierzonych w szaleńca rzucił na szachownicę świata potężne siły. Przeciwnik stracił wiele pionków, dużo figur. Także tych ważnych. Kiedy jednak zaatakują „tamci”, powiedział jej któregoś dnia Tim, to będzie zupełnie co innego. Nie będzie już białych i czarnych pól, nie będzie szachownicy.

Cały kraj przemieni się wówczas w ogromny Ground Zero.

Kelner podał Timowi kawę. Kiedy odszedł, Sarah powiedziała:

— Senat powołał komisję śledczą do sprawy tajnych sekt. Powinniśmy się tym zainteresować, bo może coś odkryją.

— Sarah, mówisz o politykach — z lekką wzgardą rzucił Tim, unosząc dymiącą filiżankę do ust.

— Do cholery, co z tego? Czyżbyśmy nie potrzebowali pomocy?! Jest nas troje przeciwko nim wszystkim, a przecież jeden z nich mógłby zgnieść nas jak robaki!

— Czyżby Sarah Widar obleciał strach?

Tim uśmiechał się do niej zimnym, pełnym politowania uśmiechem. Wiedział, że mówić o strachu Sarah Widar, to jak potrząsać bykowi przed nosem czerwoną szmatą.

— Odpieprz się — odpaliła urażona do żywego.

Odwróciła się, żeby nie patrzeć mu w oczy. W rogu sali młoda matka trzymała w ramionach niemowlę i karmiła je butelką. Boże, jak uroczo wyglądała ta dwójka uśmiechająca się do siebie i czule gaworząca! Wzruszona Sarah zastanawiała się, czy któregoś dnia doczeka się dziecka. Forrest wielokrotnie jej tego życzył. Czy jednak czuła się gotowa? Czy na końcu tunelu czeka ją życie — jeśli nie szczęśliwe, to przynajmniej spokojne? Czy tacy jak ona i Tim Modin mogą liczyć na choć tyle? Znowu patrzyła Timowi w oczy. Po chwili powiedziała:

— Nawiasem mówiąc, tu nie chodzi o strach, ale o jak największą skuteczność.

— Uwierz mi, że nie walczy się z tajną organizacją, przemawiając na placu publicznym.

— Znam reputację senatora Marcha. Facet nie należy do tych, którzy lubią się popisywać, zonglując porcelanowymi talerzami na oczach mediów.

— Powiedziałaś: March? Marvin March?

Sarah skinęła głową. Tim wypił łyk kawy, dając sobie chwilę na zastanowienie, a gdy odstawił filiżankę, rzekł:

— Przyznaję, że zazwyczaj wykonuje on dobrą robotę.

— Chyba żartujesz. Tego faceta na pewno lepiej mieć po swojej stronie niż jako przeciwnika.

— Ale jest już stary, Sarah.

— Znałam pewnego staruszka, który rozłożyłby cię na łopatki, Tim.

— No dobrze, skoro uważasz, że może się nam przydać. W końcu jesteś dziennikarką. Polityka to twoja działka.

I znowu rzucił jej ten uśmiezek, którego tak nie cierpiała. Uśmiezek zabarwiony wzdargą nie wobec Sarah, przyjaciółki Tima, ale całego świata i Sarah, skoro pozwoliła sobie na słabostkę i okazała, że z tym światem coś ją łączy.

Bo Tim był jak nie z tego świata. Tak dalece, że kiedy dwa boeingi rozbiły się w odstępie osiemnastu minut o bliźniacze wieże World Trade Center, nie poczuł, żeby ta tragedia była jego sprawą. W przeciwieństwie do wielu Amerykanów nie oddał krwi dla rannych. Nie wyszedł też na ulicę, żeby oklaskiwać bohaterów strażaków. Tim Modin ani na chwilę nie odezwał się od misji, której się podjął. W jego oczach nic innego nie mogło się liczyć i faktycznie się nie liczyło.

— Poinformuj mnie, jeśli Forrest dowie się czegoś nowego, dobrze?

Wstał, wyciągnął z kieszeni ciepłej kurtki zmięty banknot i rzucił go na stół.

Sarah w zamyśleniu patrzyła, jak wysoka postać Tima przesuwa się pomiędzy stolikami.

Pewnego dnia Forrest półżartem zasugerował, że Tim także jest w niej zakochany. Ale nie, Sarah знаła go wystarczająco

dobrze, żeby wiedzieć, że darzy ją szacunkiem i przyjaźnią, nigdy jednak w jego sercu nie obudzi się gorętsze uczucie i nie ma sensu na to liczyć. Zapewne wiązało się to z tak silnym braterstwem dusz między Sarah a Timem, że przy nim jakikolwiek pociąg fizyczny byłby zwyczajnym bluźnierstwem.

Prawdę mówiąc, nie tylko w obecności Sarah prezentował dość brutalne maniery. Potrafił być odrażający dla każdego, na kogo się natknął, zarówno dla mężczyzn, jak dla kobiet, a jedy-ny wyjątek czynił dla starego wuja Todda, u którego mieszkał na Brooklynie. Chociaż Sarah była pewna, że Tim się w niej nie kocha, to miała pewne wątpliwości, czy nie czuje do niej żalu o to, że związała się z Forrestem. Może uważał tę miłość za błąd, który przyniesie szkodę wspólnie prowadzonym sprawom. Tim, którego mentalność wykluczała wszelkie ustępstwa, uważał, że należy być nieskazitelny, żeby móc przeciwstawić się najmroczniejszym siłom świata. Wyłącznie za cenę wielu osobistych wyrzeczeń można odnieść ostateczne zwycięstwo. Właśnie dlatego Tim zasklepił się w swym cierpieniu i przeistoczył je w paliwo nuklearne, które mogło skazić cały świat. Rycerz fanatycznie wierzący w swojego Graala — oto, kim się stał: rycerzem skłonny do najstraszliwszych ofiar. Do każdej ofiary.

Sarah spojrzała na zegarek. Tu, w Nowym Jorku, było trochę po wpół do ósmej, więc biorąc pod uwagę różnicę czasu — na Zachodnim Wybrzeżu była szesnasta trzydzieści. Wyjęła motorolę i połączyła się z pokojem 84 w klinice psychiatrycznej w kalifornijskim San Diego.

- Dzień dobry, Laureen — powiedziała.
- O, dzień dobry, Sarah — odparła Laureen.
- Coś nowego?

Młode kobiety poznały się w Luizjanie. Tragiczne wydarzenia w Tusitali, które doprowadziły do śmierci wielu osób, a wśród nich męża Laureen, Johnny'ego Baldwina, skłoniły je do opuszczenia stanu w odstępie paru miesięcy. Jedna wyjechała na Zachodnie Wybrzeże, druga na Wschodnie.

— Nie, żadnej poprawy — odparła Laureen Baldwin. — Lekarze mówią, że Scotty cierpi na posttraumatyczną blokadę psychiczną. To taki mechanizm obronny. Sarah, miło, że pani dzwoni. O ile się nie mylę, jest pani w Nowym Jorku?

— Tak, zaproponowano mi tu pracę w gazecie — odparła Sarah, która wolała skłamać, a po chwili dodała: — Pani syn nie zasłużył na to, co go spotkało. Nikt na to nie zasługuje.

— Chce pani z nim pomówić? Ucieszyłby się.

Sarah nagle obleciał strach.

Co mogłaby powiedzieć tej nieszczęsnej sześciolatniej roślince, która patrzyła na makabryczną i niesamowitą śmierć ojca, a potem chyba na bardzo długo, o ile nie na zawsze, utraciła zdolność mowy?

— Tak. Oczywiście — powiedziała, biorąc się w końcu w garść.

Usłyszała, jak Laureen tłumaczy Scotty'emu, że stara przyjaciółka chce mu coś powiedzieć.

— Oddaję mu słuchawkę, Sarah.

Sarah zagryzła wargi.

— Cześć, Scotty. Nazywam się Sarah, jestem przyjaciółką twojej mamy.

Starła się unikać wszelkich pytań, a kiedy nawet jakieś zadawała, to natychmiast sama udzielała na nie odpowiedzi,

głośno wymyślając sobie od idiotek za to, że zadała tak... idiotyczne pytanie.

Opowiedziała mu o swoim nowym życiu w Nowym Jorku, o przyjemnościach, na jakie można liczyć w tym mieście, a także o licznych niedogodnościach. Wspomniała, że zajada się świństwem, które nazywa się bajglami. I że nigdy wcześniej nie chodziła tak dużo piechotą, więc teraz jej biedne nogi błagają o litość, ale za to troska o figurę nie pozwala jej zrezygnować z tego wysiłku. W pewnym sensie upodobniała się do tego Kota z Cheshire z *Alicji w Krainie Czarów*. Potem bardzo dokładnie opisała mu iluminacje z okazji Bożego Narodzenia w Rockefeller Center.

Mówiła do chłopca przez dobrych pięć minut, ku swemu zdziwieniu nie czując skrępowania, czego tak bardzo się bała. Stało się inaczej — była naturalna, swobodna, a poza tym miała wrażenie, że mały Scotty w szpitalnym pokoju na drugim końcu kraju słucha jej z zainteresowaniem.

Kiedy Laureen wzięła od niego słuchawkę, potwierdziła, że jej synek uśmiechał się często podczas tej rozmowy.

I Sarah pomyślała, że może ludzi takich jak ona i Tim czeka na końcu tunelu lepsze życie.

Jodie Stevenson powtarza sobie, że życie jest naprawdę niesprawiedliwe

W rejestracji kliniki geriatrycznej szpitala w Stamford zadyszana Jodie Stevenson nie zrozumiała w pierwszej chwili, co próbuje jej powiedzieć pielęgniarka. W oczach stanęły jej łzy, serce waliło jak szalone.

Po pierwszym dniu pracy w Nowym Jorku pobiegła na Penn

Station, gdzie w ostatniej chwili złapała amtraka o osiemnastej czterdzieści. Regionalny pociąg pokonywał odległość do tego dużego miasta pod Nowym Jorkiem — do Stamford w Connecticut — w ciągu pięćdziesięciu minut, więc Jodie mogła nieco odpocząć. Jednak na dworcu w Stamford musiała znowu gnać na postój taksówek, gdzie, zziębnięta i spocona, stwierdziła ze złością, że spora grupka już tam czeka w kolejce, marznąc w ten zimny grudniowy wieczór. Przez długich piętnaście minut przestępowała z nogi na nogę, a lodowaty wiatr smagał jej twarz. Potem taksówką przebijała się przez ostatnie miejskie korki. A kiedy tylko wysiadła, znowu biegiem przemierzyła parking, żeby dojść do budynku geriatry.

— Po dwudziestej odwiedziny są niedozwolone — oznajmiła gruba pielęgniarka w białym fartuchu, samotnie dyżurująca w rejestracji.

— Proszę posłuchać, pracuję na Manhattanie i musiałam się przebić przez całe nowojorskie przedmieście. Matka na mnie czeka. Błagam panią.

— Bardzo mi przykro, ale chorzy muszą mieć czas na wypoczynek.

Jodie patrzyła na kobietę, zastanawiając się, czy osoba w białym fartuchu mogłaby zrozumieć, co ostatnio przeżyła.

Gruba pielęgniarka oderwała nos od papierów i ze złością stwierdziła, że natrętka jeszcze sobie nie poszła. Stała przed nią — jasnowłosa i bardzo ładna, mimo bladości, która uwydatniała jej piegi. Niedobór żelaza, zdiagnozowała błyskawicznie.

— Wydaje mi się, że wyraziłam się jasno. Żadnych wi...

— Zrobimy drobny wyjątek dla panny Stevenson — powiedział doktor Kyle, pojawiając się nagle za plecami Jodie.

Odwróciła się, żeby mu podziękować.

Mimo wszystkich dyplomów i ukończonych trzydziestu

sześciu lat doktor Kyle wyglądał raczej na wyrosniętego liceali-
stę w przebraniu lekarza. Wyjął niebieskiego bica z górnej kie-
szeni fartucha, żeby podpisać raport. Potem zwrócił się do
Jodie:

— Pani obecność bardzo dobrze wpływa na pani matkę. —
Po chwili, spoglądając na nią, uśmiechnął się i dodał: — Jeżeli
potem znajdzie pani kilka minut, zapraszam do mojego gabinetu.

Jodie raz jeszcze mu podziękowała i ruszyła w stronę windy,
czując na sobie wrogie spojrzenie pielęgniarki. Wystarczyły
trzy minuty, żeby ta kobieta dołączyła do grona wrogów Jodie;
zmęczenie nie pozwalało jej spojrzeć na ten incydent z przy-
mrużeniem oka, bo cały miniony dzień był okropny. Udało jej
się znaleźć pracę i tylko to było pocieszające (zwłaszcza ze
względu na finanse, które kulały od kilku miesięcy), ale pierw-
szy dzień w Fundacji Waltera Skolla nie upłynął spokojnie.
Czuła, że minie sporo czasu — więcej, niż sądziła — zanim zy-
ska uznanie i akceptację współpracowników, tak jak w szpitalu
nie od razu zdołała zjednać sobie pielęgniarkę. Jodie nie znosi-
ła czuć się „tą nową”, przy której wszyscy milkną, gdy wchodzi
do biura, nie cierpiała uśmiechać się słodko do tych zawistnych
albo paskudnie wścibskich twarzy. Przez cały dzień chodziła w
czółenkach, a Bóg jeden wie, jakie są wąskie i niewygodne. Neil
Garson czerpał jakąś przewrotną przyjemność z ganiaania jej po
piętrach. Była jego nową sekretarką. Nie rozumiała, dlaczego
okazuje jej taką wrogość. Czy dlatego, że nie zna się na sztuce
współczesnej?

Wcisnęła przycisk, żeby ściągnąć windę, a wtedy dołączył do
niej sześćdziesięciolatek w szlafroku. Na spodniach jego piżam-
y zauważyła stare plamy moczu. Uśmiechnął się do niej po-
rozumiewawczo.

— Pani też pomieszało się w głowie? — zagadnął.

— Jeszcze nie, ale wszystko przede mną.

— Proszę nie pytać, jak się nazywam. Uciekło mi to ze łba. I nie chce wrócić, diabelskie ziele.

Kabina zatrzymała się przed nimi. Weszli. Spojrzała na niego, żeby zapytać, na które jedzie piętro.

— Wszystko jedno — odpowiedział. — Wszystko jedno. Znajdę sobie pokoik, żeby się zdrzemnąć. A może chce pani trochę ze mną pospać?

Jodie odplaciła mu uśmiechem, a na jej piegowatych policzkach pojawiły się dwa urocze dołeczki.

— Kogo przysła pani odwiedzić?

— Matkę. Nazywa się... Margaret Stevenson. Może ją pan zna? — dodała bez przekonania.

— Mówi pani Margaret Stevenson? — Może, może kiedyś byliśmy małżeństwem, ta Margaret Stevenson i ja. A pani jest może moją córką? Ostatnimi czasy jestem taki roztargniony. Taki roztargniony! Mam nadzieję, że twoja matka i ja byliśmy przynajmniej kochającą się parą. Ale co tu robi ta nieszczęsna staruszka?

— Matka nie jest już w stanie o siebie zadbać, dlatego trafiła tu przed miesiącem.

— Powiedz mi, Melisso, jak nazywa się to miejsce?

— To szpital w Stamford. Wie pan, moja matka jest szanowanym profesorem.

Raczej była szanowanym profesorem, szepnął złośliwy głosik w jej głowie.

Jodie wciąż nie nauczyła się mówić o matce w czasie przeszłym.

Zanim Margaret Stevenson wylądowała w tym szpitalu, wykladała historię na Uniwersytecie Columbia. Uważano ją za

jedną z najlepszych znawczyń wojny secesyjnej, wydała nakładem Doubleday dwie wybitne analizy dzieła politycznego Lincoln, a także obszerną biografię Kirby'ego Smitha. Biografia ta (licząca niemal 1400 stron) miała doskonałe recenzje zarówno w prasie, jak w kręgach uniwersyteckich, zazwyczaj oszczędnych w komplementach. Generał z Południa zyskał dzięki niej sławę medialną, planowano nawet nakręcenie filmu, jednak ten projekt trafił do kosza ze względu na koszty i w ten sposób pozbawiono Bruce'a Willisa okazji pokazania się w szarym mundurze konfederatów.

W wieku pięćdziesięciu dziewięciu lat Margaret Stevenson odkryła, że choroba Alzheimera może dopaść dosłownie każdego. Na przykład wybitną uczoną, która przez niemal całe życie jadła zdrową żywność.

Pewnego przedpołudnia wybrała się do doktora Caldwell, swojego lekarza. Wpadła w przerażenie, kiedy okazało się, że nie jest w stanie poprawnie wykonać testów psychologicznych, którym ją poddał. Tomografia ujawniła nieco później niepokojącą atrofię mózgu w płacie potyliczno-ciemieniowym.

Doktor Caldwell nie ukrywał przed pacjentką, co ją czeka.

Spokojnym głosem wyjaśnił jej, że choroba Alzheimera, dolegliwość neurologiczna, która powoduje stopniowe zwyrodnienie mózgu, jak dotąd jest nieuleczalna (co oznaczało, że w sposób nieunikniony prowadziła do całkowitej demencji) i że można ją uznać za najgorsze świństwo, z jakim mają do czynienia pacjent i lekarz. Jako człowiek z zasadami Caldwell nie zamierzał kłamać, łudząc ją szansą na wyleczenie. Nie istniały żadne skuteczne terapie. Co najwyżej można było zapewnić choremu leczenie paliatywne. Krótko mówiąc, medycyna miała wspierać Margaret na długiej drodze ku Pani Demencji, aby opuścić ją dopiero, gdy dotrze do celu.

W głębi duszy Margaret Stevenson po stokroć wolałaby raka,

ale nie znalazł się w menu. Dlatego wróciła do domu i postanowiła na razie nie mówić o niczym córce. Nadal jadły zdrową żywność, chodziły do muzeów na Manhattanie. Jednak Margaret starannie zapisywała w kalendarzu, co oglądały albo jadły.

Poza tym, co nigdy wcześniej nie przyszłoby jej do głowy, zanotowała także swoje nazwisko, adres i numer telefonu.

Po kilku miesiącach musiała zrezygnować z prowadzenia zajęć ze studentami, chociaż zaniki pamięci nie odbiły się jeszcze na jej sprawności intelektualnej. W tej fazie choroba dawała o sobie znać na bardziej trywialnym poziomie życia codziennego, ale może to właśnie było poważniejszym problemem. Zapominała na przykład o rzeczach tak banalnych, jak miejsce parkingowe czy też numer karty płatniczej. Albo nazwisko dyrektora instytutu.

Właśnie ten ostatni incydent uświadomił Jodie, kiedy się o nim dowiedziała, powagę choroby matki.

Jodie z niepokojem słuchała, jak profesor Margaret Stevenson przesiadła całe popołudnie zamknięta w gabinecie, bo usiłowała odszukać albo przypomnieć sobie nazwisko Sony'ego Legranda, dyrektora instytutu historii, z którym pracowała od przeszło trzydziestu lat. Chociaż pamiętała, że kilka razy spali z sobą po jej rozwodzie z ojcem Jodie, nie mogła sobie przypomnieć, jak się nazywa. Kiedy stwierdziła z przerażeniem, że sama sobie z tym nie poradzi, wysłała na korytarz i zapytała o to jedną ze studentek. Dziewczyna wytrzeszczyła oczy złośliwej idiotki, a kiedy podeszła do grupy koleżanek, o wszystkim im opowiedziała.

Tego dnia Margaret Stevenson zyskała nowe przezwisko — Świruska.

I nie mogła już dłużej uchylać się od rozmowy z córką.

Starszy pan w windzie poprawił pasek szlafroka.

— Mówisz, że jest profesorem? To ci dopiero! Jak mogłem zapomnieć, że byłem kiedyś mężem pani profesor! Och, ta starość... Melisso, nie masz pojęcia, co znaczy starość.

— Tylko się panu tak wydaje — szepnęła, przypominając sobie, że dopiero to zrozumiała, gdy znalazła matkę, oszołomioną i włóczącą się w szlafroku po ulicach w poszukiwaniu własnego domu. Była wtedy trzecia po południu.

W pierwszej chwili Jodie parsknęła śmiechem, co wprawilo w osłupienie sąsiadów, którzy ją wezwali. (Może córka jest tak samo stuknięta jak matka?). Potem, wciąż się śmiejąc, objęła matkę jak dobrą przyjaciółkę, która zrobiła jej świetny kawał. Dopiero później, kiedy już znalazły się w domu, uświadomiła sobie, że tym śmiechem chciała pokryć histerię i strach, że był on infantylnym, głośnym sprzeciwem. I wtedy się rozplakała.

Tak, wiedziała, co znaczy starzeć się — najtrafniejszym słowem była stopniowa degeneracja.

— Tu prawie w każdym pokoju można spotkać alzheimera — powiedział starszy pan w piżamie i szlafroku. — To paskudztwo miesza w głowie. Na szczęście ja tego nie złapałem, prawda, Melisso? Tak mi się wydaje...

Jodie doskonale wiedziała, co czuje się, słysząc słowo „alzheimer”. I wcale nie najbardziej przerażająca była perspektywa przemiany w roślinę, ale konieczność przypatrywania się odchodzeniu tożsamości — własnej i najbliższych. Ta tożsamość niknęła we mgle, świat na oczach chorego zamieniał się w potworny chaos. Więzy i relacje nawiązane w radości lub bólu stawały się ulotne jak wiatr. Chory spoglądał, jak zacierają się zarysy świata, te główne i te drobne, jak na zawsze znikają zapisane na kartach życia słowa. A zostają tylko chaos, piasek i wiatr. Nie ma już żadnych zależności, oparcia, nic, czego można się chwycić, żadnej ochrony. Kryjówki leżą w gruzach, mosty się walą. Chaos, piasek i wiatr...

Winda stanęła, drzwi się rozsunęły, drgając.

Jodie przepuściła staruszką, potem także wysiadła. Kiedy się obejrzał, uśmiechnął się do niej szeroko.

— Dzień dobry pani — powiedział.

Ze łzami w oczach odpowiedziała szeptem na jego przywitanie i jak najszybciej odeszła.

Ruszyła korytarzem prowadzącym do pokoju 121 i głęboko oddychała, próbując się uspokoić. Nie chciała, żeby matka zauważyła, jaka jest rozbita. Musiała jej udowodnić, że jest silna. Jeżeli się załamie, to kto się o nie zatroszczy? Kto stawi czoło degeneracji? Kto powstrzyma napór chaosu, piasku i wiatru?

— Dzień dobry, mamó — powiedziała, wchodząc do pokoju.

Starsza pani z koczką leżała na łóżku. Odwróciła głowę i zmrużyła oczy za okularami w subtelnym, złożonym oprawkach. Jodie poczuła, że serce ściska się jej na myśl, że matka jej nie pozna i że zacznie przeraźliwie krzyczeć. Niedawno dowiedziała się, że donepezyl, który jej podawano, przestał hamować postępy choroby. Wkrótce matka zapomni nawet własne imię, a swoje odbicie w lustrze uzna za niemiłe i obce. Wtedy medycyna pozostawi ją samą, a ona odejdzie daleko, bardzo daleko — przypomniały się jej słowa rzeczowego doktora Caldwell. Ale twarz Margaret Stevenson rozpogodziła się.

— O, Jodie! Koteczku!

Z uśmiechem ulgi na ustach Jodie usiadła na brzegu łóżka matki.

— Jak się dziś czujesz, mamó? — zapytała, otulając dłońmi jej wychudzoną rękę.

Próbowały opowiadać sobie o minionym dniu, ale rozmowa się nie kleiła. Jodie nie chciała martwić matki swoimi problemami, a Margaret zachowała z minionych godzin mgliste,

niepewne wspomnienia. Zresztą wkrótce zasnęła w obecności córki, wciąż ukochanej i bliskiej, ale jak długo jeszcze?

Sytuacja zmieniała się tak szybko, że było to wręcz przerażające. Jodie miała wrażenie, że wpadła w wir, który ją wciąga, gdy wspominała, że dopiero w zeszłym tygodniu porzuciła tak wspaniale idące jej studia na wydziale literatury. Pół roku temu ani matka, ani ona nie uwierzyłyby, że kiedykolwiek przeżyją to, co teraz przeżywały. Sony Legrand, dyrektor instytutu historii — ten, którego nazwiska zapomniała Margaret, choć pamiętała o jego rycerskości — próbował nakłonić Jodie do zmiany decyzji. Uważał ją za bardzo inteligentną i nie wątpił, że pewnego dnia będzie równie wybitną uczoną, jak matka. Ona także chciałaby dokończyć pracę doktorską na temat twórczości Edgara Allana Poego, kto jednak będzie płacić czynsz za dom, kto pokryje zawrotne koszty leczenia, odkąd Margaret przebywała w szpitalu, nie mówiąc już o kosztach nauki?

— Jeżeli będę mógł w jakikolwiek sposób pomóc Margaret i tobie, dzwoni bez wahania — powiedział Sony, smutny i zrezygnowany.

Jednak ani on, ani nikt inny nie mógł im pomóc. Życie spletało im paskudnego figła, i tyle. Jodie najbardziej zasmucało nie to, że dla matki musiała poświęcić pracę naukową, ale to, że matka definitywnie zarzuciła tak głębokie i pasjonujące studia nad amerykańską wojną domową i że zapomniała o gniewnych pomrukach wielkiej historii, by pogrążyć się w mrocznej erze, gdzie jej własne wspomnienia, nawet te banalne i zupełnie świeże, natychmiast pochłaniała nicość.

Jodie siedziała przy matce przez pół godziny, potem wyprosiła ją pielęgniarce. Zeszła na parter do gabinetu doktora Kyle'a. Po raz kolejny, nie dodając nowych szczegółów, lekarz

przedstawił jej stan zdrowia matki z medycznego punktu widzenia. Jodie czuła, że nie jest mu obojętna. Wyjaśniałoby to, dlaczego tak chętnie zapraszał ją na rozmowy do gabinetu i dlaczego zezwolił jej na odwiedziny mimo późnej pory.

Przed wyjściem Jodie zapytała o nazwisko starszka, z którym jechała windą.

— A, ten! To pan Lee — odparł z uśmiechem na ustach Kyle.

— Robert Lee. Jak ten sławny generał z okresu wojny secesyjnej, pamięta pani?

Życie było doprawdy pasmem ironii...

DZIEŃ DRUGI

Czwartek 11 grudnia

Jodie Stevenson poznaje Forresta Magnusa

Po raz szósty tego przedpołudnia Jodie weszła do gabinetu szefa po notatkę prasową, którą omawiał ze swoją asystentką Allison Weiss. Jodie miała wprowadzić w komputerze zmiany i zrobić wydruk tekstu do korekty. I tak ma być aż do śmierci, pomyślała z przerażeniem.

Neil Garson stał oparty dłońmi o biurko i rozmawiał przez telefon z Kennethem Foremanem, jednym z najwierniejszych krytyków wernisaży fundacji. Ustawił w aparacie tryb głośno-mówiący i przeglądał propozycje ilustracji do not prasowych na temat wystawy Magnusa.

Jak przystało na młodą, dobrze wychowaną kobietę Jodie czekała przy drzwiach, ale szef ledwie na nią spojrział.

— Neil, dobrze wiesz, że z założenia nie czytam gazet — mówił krytyk. — Boże uchwaj! Wystarczy, że sam do nich piszę.

Neil Garson przesunął jedną z ilustracji, tak że znalazła się tuż przed jego nosem.

— Przyjdiesz na wernisaż? Myślę, że to będzie udana impreza. Mamy duże formaty, których Forrest jeszcze nigdy nie eksponował.

— A mistrz? — zapytał krytyk. — Chyba przyjdzie? Chciałbym zadać mu kilka pytań.

— Czekamy na odpowiedź jego sekretariatu. Sądzę, że tak. Liczę na ciebie, Kenneth, chciałbym mieć dobrą prasę.

Zakończył rozmowę, więc Jodie podeszła. Bez słowa podał jej tekst pełen skreśleń, gniewnych strzałek, podkreśleń. Aż się od tego roilo.

— Przedtem proszę mi podać kawę, Jodie. I niech się pani trochę pospieszy, jasne?

Neil Garson nie lubił swojej nowej sekretarki i nie wysilał się nawet, żeby to przed nią ukryć. Przynajmniej nie można mu było zarzucić obłudy.

Jodie bez słowa skinęła głową. Położyła brudnopis na swoim biurku, a potem wyszła na korytarz. Przy ekspresie z kawą, obok wind, natknęła się na Rosemary, jedną z asystentek dyrektora generalnej Lisy Whittaker.

— Jak ci się pracuje z Neilem? — zapytała asystentka, pochylając się po kubek, który był już napelniony.

Jodie opisała sytuację w dość ciemnych barwach i wcisnęła przycisk „Kawa”.

Rosemary pokiwała głową.

— Nic dziwnego — powiedziała. — Lisa wybrała ciebie, a nie żonę Neila, która ubiegała się o ten sam etat. Nie wiedziałaś o tym?

Jako osoba odpowiedzialna za kontakty z prasą Neil Garson liczył na większe względy, jednak Lisa Whittaker wybrała Jodie, zdecydowanie bardziej kompetentną od drugiej kandydatki. Jodie była z tego dumna, ale jednocześnie wzbudzało to jej obawy — najbliższe dni pracy u nowego szefa zapowiadały się strasznie.

Wzięła dymiący kubek i wróciła do gabinetu. Neil Garson nie spojrział na nią ani nawet nie mruknął „dziękuję”.

Zrezygnowana usiadła przy komputerze, otworzyła dokument o nazwie „ExpoMagnus” i przystąpiła do nanoszenia poprawek.

Nota prasowa składała się z dwóch odrębnych części. Pierwsza, biograficzna, przypominała, że Forrest Magnus urodził się w roku 1969 w Illinois i że — co w kręgach współczesnych artystów było rzadkością — pierwszą indywidualną wystawę zaprezentował w bostońskim Muzeum Sztuk Pięknych już w wieku dwudziestu ośmiu lat. Z ogromnym entuzjazmem kilka miesięcy później zaproszono go także do wiedeńskiej Kunsthalle i od tej chwili miał już wstęp do wszystkich liczących się galerii, od paryskiego Centrum Georges'a Pompidou po nowojorskie MOMA, które rywalizowały z sobą, by zdobyć do swych zbiorów jego najpopularniejsze dzieła.

Dziś Fundacja Waltera Skolla, słynąca na całym świecie ze wspaniałych kolekcji i mecenatu, postanowiła otworzyć podwoje dla „wielkiego malarza”, prezentując dużą, czasową wystawę jego prac. W informacji dla prasy wymieniono obrazy, których tytuły zapierały dech w piersi. Jodie była skłonna w to wszystko uwierzyć. Wczoraj słyszała przecież, jak Garson opowiadał, że podczas wielkich aukcji sztuki współczesnej w połowie maja u Christie's jeden z obrazów Forresta Magnusa, wyceniony na 250 do 350 tysięcy dolarów, osiągnął cenę ponad półtora miliona dolarów. Garson uznał za słuszne dodać, że sprzedający, pewien kalifornijski przemysłowiec, nabył go dwa lata wcześniej zaledwie za 180 tysięcy. Informacje o częstych wystawach na całym świecie podbijały wartość obrazów Forresta Magnusa, aż wreszcie stanął on w jednym szeregu z Maurizio Cattelanem czy Jeffem Koonsem. Te dwa nazwiska, zapewne sławne i cenione przez koneserów, były Jodie nieznanne. Pocieszała się jednak, że jej ignorancja jest usprawiedliwiona — w końcu studiowała historię literatury, a nie sztukę współczesną.

Druga część noty, złożona z omówień wystawionych dzieł, wzbudziła w niej głębokie poczucie niższości. Mówiło się tam o „postduchampowskim przesunięciu punktu ciężkości” i „bogactwie znaczeń fenomenologicznych”.

Jodie musiała przyznać, że nic z tego nie rozumiała, ograniczyła się więc do przepisania tekstu i nie zastanawiała się już nad jego sensem, zupełnie jakby miała przed sobą chińską przemowę, w dodatku w dialekcie używanym w regionie Hunan w bardzo dawnych czasach.

Kiedy skończyła, przesunęła mysz i kliknęła na „Drukowanie”. Maszyna błyskawicznie wypuła sześć stron. Jodie właśnie zamierzała wstać, kiedy Neil Garson stanął w drzwiach sekretariatu i poprosił, żeby zeszła do sal wystawowych po ostateczną listę prac Forresta Magnusa. Phil Flanagan, komisarz gościnnie opiekujący się ekspozycją w fundacji, powinien gdzieś tam być. Jodie musiała sobie poradzić i go znaleźć.

— Chyba nie muszę prowadzić pani za rękę, prawda? — dorzucił Garson.

Gdy stała już sama w windzie, pomyślała, że jej chwilowa nieobecność ukoji stargane nerwy Neila Garsona.

Wcisnęła guzik parteru, wpatrując się w przycisk na samej górze, jedyny czerwony na czarnej tablicy. Nie wolno go wcisnąć, powtarzała trzy razy Allison Weiss.

Winda zwolniła, zbliżając się do parteru.

Wczoraj asystentka Garsona oprowadziła ją po budynku, przedstawiła innym pracownikom i zapoznała ze strukturą fundacji. Potem, kiedy wracały windą na piąte piętro, Allison, pukając palcem w tabliczkę z brązu z przyciskami pięter, powiedziała:

— Kotku, możesz wjeżdżać i zjeżdżać na dowolne piętra. Pamiętaj tylko, że szóste jest ziemią zakazaną, rozumiesz? Nie

masz tam nic do roboty. Zresztą nikomu nie wolno tam wjeżdżać, jeśli nie chce wylecieć z pracy w ciągu pół godziny.

Jodie pomyślała o komnacie Sinobrodego. Teraz, kiedy sama jechała na dół, to skojarzenie znowu jej się nasunęło.

Salę wystawową zajmowały cały parter z wyjątkiem holu głównego. Właśnie tamtędy przechodziła, kiedy dwaj pracownicy techniczni, stojąc na drabinach, zawieszali ogromny czerwony afisz, na którym białymi literami wypisano:

Wystawa
FORRESTA MAGNUSA
WITRYNY
17 grudnia — 15 lutego

W salach panowało poruszenie jak w ulu, kiedy pszczoły w przerażeniu szykują się do obrony przed bandą szerszeni, a tymi szerszeniami byli krytycy zaproszeni na wernisaż prasowy już za sześć dni. Doświadczeni elektrycy, uzbrojeni w śrubokręty, instalowali ostatnie przewody oświetlenia obrazów. Dalej malarze błyskawicznie pokrywali białą farbą wysokie ścianki działowe. Niektórzy narzekali, inni woleli żartować i śmiać się przy pracy. Chodząc po labiryncie sal, Jodie pytała wiele osób, gdzie może znaleźć Phila Flanagana. Odpowiedzi były sprzeczne albo zbyt ogólne, żeby mogły jej pomóc, więc szła dalej, trochę zagubiona. Po drodze zauważyła, że na niektórych ścianach zawieszono już część obrazów Forresta Magnusa. Po raz pierwszy widziała z tak bliska współczesne malarstwo. Uznała je za interesujące i to ją ucieszyło.

Zgodnie z informacjami zawartymi w nocie, były to płótna o fakturze hiperrealistycznej i imponującym formacie. Malowane olejami, przedstawiały wystawy sklepów — tu plastikowe manekiny prezentowały kostiumy bikini i słomkowe kapelusze, tam półki ugięły się pod ciężarem smakowitych ciast albo

nowiutkich pantofli opatrzonych cenami. Wszystko było czyste i uporządkowane, miało przyciągać oczy, budzić chęć posiadania. Jak w prawdziwym sklepie, pomyślała rozbawiona Jodie. Żałowała jednak, że nigdzie nie ma śladu życia.

Dwie sale dalej znalazła w końcu komisarza wystawy.

Phil Flanagan, mężczyzna dobrze po pięćdziesiątce, był niski i niebezpiecznie zestresowany. Grymas, jakim ją powitał, i pełne politowania spojrzenie, były arcydziełem godnym najlepszego mima.

— Ależ to trzeba uzgodnić z Forrestem — oznajmił wyniośle.

Nie odważyła się zapytać go, gdzie zaszył się „Forrest”, i odeszła. W fundacji najwyraźniej na każdym piętrze można spotkać przynajmniej jednego Neila Garsona, pomyślała.

Wychodząc z sali, zauważyła Rona Flinta, wysokiego wesołego Murzyna, stojącego na uboczu w towarzystwie białego, szatyna w obszernym niebieskim płaszczu. Ron Flint, który miał sylwetkę pływaka, z uśmiechem na ustach wypełniał obowiązki portiera. Spośród wszystkich zatrudnionych w fundacji tylko on był dla Jodie miły w jej pierwszym dniu pracy. Nie zapomniała o tym i ucieszyła się, że teraz może poprosić go o pomoc. Kiedy Flint zauważył idącą w jego stronę Jodie, uśmiechnął się radośnie.

— Jakoś pani wytrzymuje, panno Jodie?

Wiedziała, że ma na myśli Neila Garsona, więc odpowiedziała wymownym uśmiechem.

— Szukam Forresta Magnusa.

— To facet, dla którego jest cały ten cyrk? — zapytał kolega Flinta, ten w niebieskim płaszczu. — Podoba się to pani?

— Owszem, mam wrażenie, że tak. Mówię o obrazach, nie o cyrku. Czy panowie wiedzą, gdzie mogę go znaleźć?

Nieznamy wzruszył ramionami, Ron Flint uczynił to samo, uśmiechając się szeroko.

— Dlaczego powiedziała pani: „mam wrażenie, że tak”? Zwykle coś nam się podoba albo nie — zainteresował się nieznajomy.

— Widziałam niewiele i to mi się nawet podoba. Tylko brakuje mi w tych obrazach życia.

Uśmiech na twarzy mężczyzny stał się promienny.

— Życia? Naprawdę? Chodźmy, coś pani pokażę.

Zaprowadził ją do sali, gdzie rozwieszono prace, które przed chwilą widziała. Ron Flint szedł za nimi, uśmiechając się wesoło.

— Co pani widzi? — zapytał przewodnik, kiedy stanęli przed manekinami w bikini.

Jodie odpowiedziała na pytanie, a Ron Flint dorzucił kilka szczegółów.

— Doskonale. To wszystko? Chyba jeszcze coś. Proszę spojrzeć uważniej.

Jodie podeszła bliżej i zauważyła w lewym górnym rogu coś, na co wcześniej nie zwróciła uwagi. To było jakby odbicie. Tak, to było odbicie twarzy mężczyzny. Wtedy zrozumiała, jak bardzo się myliła. Malarz umieścił obserwatora nie na wystawie, ale przed nią. Między namalowanymi towarami a okiem pojawiła się szklana ściana, ukazana tak perfekcyjnie, że dostrzegano ją dopiero przy uważnym spojrzeniu na dzieło. A zatem płótno przedstawiało nie tylko witrynę, ale także, poprzez odbicie, przechodniów, którzy oglądali wystawy.

— Magnus mówi, że to, co maluje, ma być iluzją nie dla oka, ale dla umysłu. Że ważne jest nie odbicie rzeczy, lecz to, co rzeczy odbijają. Prawda, że ten facet to potworny świr?

Jodie słuchała z podziwem.

Ron Flint, równie zafascynowany, zauważył inne odbicie, poniżej tego pierwszego. Widać było na nim kieszeń

nieprzemakalnego płaszcza mężczyzny oglądającego wystawę.

— Cholera! — zawołał Flint. — Ten gość ma w kieszeni splotkę. Zamierza popełnić zabójstwo. Chyba że chce tylko zgarnąć utarg ze sklepu.

— Brawo, Ron. Ciąg dalszy to twoje rozważania. I dlatego Magnus tak cię lubi.

Jodie nadal przyglądała się scenie. Dostrzegła inne postacie. Mała, kapryśna dziewczynka trzymała w buzi lizaka. Starsza pani spoglądała na wszystko i wszystkich z oburzeniem. Wyłaaniał się cały uliczny światek ze swoimi tabu i ze swoimi słabościami.

Przyjaciel Flinta nie spuszczał z Jodie oka. W pewnej chwili zapytał:

— Jest pani nowa w tym środowisku, prawda?

Poczula, że się rumieni. Dlaczego ją tak wypytuje? Czy nie wystarczyło mu, że udzielił jej lekcji estetyki?

— Nie chciałem pani wprawić w zakłopotanie — odezwał się.

— Ron i ja lubimy nowych. A co do Forresta Magnusa, którego dzieła się pani podobają, w przeciwieństwie do cyrku, jaki się tu urządza z ich powodu...

— Tak? — wtrąciła Jodie, chcąc go zachęcić, by mówił dalej.

— Otóż wedle dobrze poinformowanych źródeł, to ja nim jestem.

Czerwona po uszy zdołała zachować pozorną pewność siebie.

— Odnoszę wrażenie, że inaczej mnie pani sobie wyobrażała.

— Nie. A właściwie tak. Sądziłam, że jest pan starszy — odparła zmieszana.

— Przykro mi, że zrobiłem pani taki paskudny kawał, Jodie. Następnym razem postaram się trochę postarzyć. Daję słowo!

Wyciągnął do niej rękę i mrugając okiem, dodał:

— I błagam, mów do mnie Forrest!

Jego bezpośredniość przełamała zakłopotanie Jodie. Powiedziała mu, dlaczego go szukała.

— Pójdę z panią i pogadam z Neilem. Na razie, Ron! W windzie zapytał:

— Mam wrażenie, że Neil uprzykrza pani życie?

— Jest czarujący — mruknęła bez przekonania.

— To prawda, Neil jest równie czarujący, jak rottweiler!

Uśmiechnęli się do siebie, tym razem patrząc sobie w oczy.

Właśnie dojechali na piąte piętro.

— Pomszczę panią — powiedział.

Chciała poprosić, żeby tego nie robił, ale już otworzyły się drzwi.

— Neil, przejrzyj jeszcze raz tę notę dla prasy! — krzyczał Forrest Magnus, sprężystym krokiem wchodząc do nory rottweilera. — Co ma znaczyć ten słowotok umysłowo opóźnionego pseudofachowca?

Jodie ledwie zdążyła ukryć się za monitorem komputera i stłumiła gwałtowny wybuch śmiechu.

Forrest Magnus odkrywa, że jest wrażliwy

Dopiero dziesięć po dziewiątej wieczorem, po dniu spędzonym w fundacji, gdzie rozwieszano jego obrazy, Forrest wrócił do pięknego apartamentu przy Perry Street 176, w jednej z dwóch niewielkich białych wież nad Hudson River, zaprojektowanych przez architekta Richarda Meiera.

Siedząc w taksówce, uważnie słuchał informacji radiowych o dwudziestej pierwszej. Policja ustaliła nowe szczegóły włamania do aneksu mieszkalnego Fundacji Waltera Skolla na Manhattanie. Dziennikarz przypomniał, że przed trzema miesiącami bandyci zamordowali tam kilka osób. Sprawcy

zbrodni pozostawali dotąd na wolności, jednak szef nowojorskiej policji miał nadzieję, że znajdą się za kratkami przed końcem roku. Już teraz czekała na nich cela w Rikers Islands, zapewniał. Jeśli chodzi o skradziony obraz *Demony*, służby Interpolu miały uniemożliwić jego sprzedaż na całym świecie.

— Nigdy nie dopadną tych gości — rzucił taksówkarz, przekrzykując reklamę. — Od razu widać, że tego napadu dokonali fachowcy. Moim zdaniem obraz leży teraz w jakimś sejfie, racja?

Forrest milczał, myśląc, że dałby wiele, żeby się dowiedzieć, jaki los spotkał jego *Demony*. Kiedy usłyszał we wrześnie o kradzieży płótna, nie przejął się zbyt. Ale teraz, kiedy zbliżała się wystawa, żałował, że nie może zaprezentować obrazu. Wiedział, że w siódmej, ostatniej sali fundacji *Demony* rozbłysłyby pełnią piękna.

Dotarłszy do West Village, Forrest wszedł na czwarte piętro białej wieży o jakże cenionej minimalistycznej elegancji. Tego luksusowego mieszkania użyzył mu jeden z przyjaciół. Poza towarzyską przyjemnością sąsiedztwa Nicole Kidman, lokatorką trzeciego piętra, miał tu dużą, widną powierzchnię, ponieważ Jak zresztą wszyscy, zajmował całe piętro. Z punktu widzenia Forresta istotna była także niewielka odległość od fundacji i znajdującej się zaledwie kilka ulic stąd pracowni w Meatpacking District.

Pogwizdując stary przebój Bowiego, Forrest wsunął klucz i otworzył drzwi. W holu, widząc migoczącą lampkę alarmu, zrozumiał, że coś jest nie tak. Skradając się, doszedł do salonu, a stamtąd, w półmroku, do gabinetu. Tu wysunął jedną z szuflad i przez chwilę w niej szperał. Glock, pistolet, który Sarah kazała mu kupić na wypadek zagrożenia, zniknął.

— A przecież mówiłam, żebyś się miał na baczności —

usłyszał za plecami głos Sarah.

Przyłożyła mu lufę pistoletu do kręgosłupa.

— Przepraszam, moja pani.

Forrest czuł się winny i jak zawsze w takiej sytuacji próbował obrócić wszystko w żart.

— Przestań! — ofuknęła go Sarah. — Oni są...

— Niebezpieczni, wiem.

Ze spuszczoną głową odwrócił się do Sarah, a ona przyłożyła mu pistolet do żeber. Była wściekła.

— Dlaczego w takim razie chodzisz nieuzbrojony?! Jeżeli zwęszą spisek, nie będą ryzykowali, nie załatwią cię w fundacji, ale na zewnątrz, choćby tu. Uwierz mi, nie będą się patyczkowali. — Rzuciła mu pistolet. — Zresztą nawet tak uzbrojony niewiele zdziałasz. Jeżeli nie jesteś przygotowany psychicznie, to już jesteś trupem, Forrest. Ile razy ci to powtarzałam?

— Setki — przyznał. — Ale ta historia jest taka niewiarygodna.

— Wydawało mi się, że już rozwiałam twoje wątpliwości.

Miała rację. Udało jej się to i gdyby mu teraz powiedziała, że John Lennon zmartwychwstał, uwierzyłby jej, Sarah Widar.

— Przepraszam — szepnął, przyciągając ją do siebie i całując.

Poddała się pieścizocie i odpłaciła mu pocałunkiem. Nigdy dotąd nie kochał tak żadnej kobiety. Odsunął się lekko i zapytał:

— Kiedy wróciłaś?

— Około siódmej, może trochę wcześniej — powiedziała.

— Co mówił Tim?

— Potem — szepnęła, ciągnąc go w stronę sypialni. Ściany tego pokoju ozdobił tylko jeden obraz — długi i wąski gwasz, namalowany przez Forresta w mrocznej młodości. Nazwał go *Pornograficznym Escherem* na cześć Mauritsa Cornelisa

Eschera, jednego z najgenialniejszych artystów, jego ulubionego malarza. Holenderski grawer, zmarły we wczesnych latach siedemdziesiątych, był twórcą dzieł, w których zwodnicza symetria łączyła się z oszalałymi metamorfozami, oddziałującymi zarówno na oko, jak i na umysł. Jedno z tych dzieł, bardzo sławne, ukazywało strażników w kominiarkach na szczycie ogromnego gmachu, gdy schodzili i wchodzili po absurdalnych, bo poziomych schodach, skazujących ich na bezsensowny i szatański, niekończący się ruch. Innym, równie znanym dziełem była plansza z kłębiącymi się krokodylami. Narysowane ołówkiem stworzenia wymykały się rogiem kartki, by wrócić na nią z drugiej strony i zatracając „życie”, znowu stać się tylko rysunkiem. Forrest uwielbiał Eschera.

Nigdy jednak nie słyszał, by M.C. Escher stworzył dzieło erotyczne, więc pewnego pięknego ranka postanowił zrobić to za niego. Namalował parę w różnych pozycjach miłosnych, zwracając uwagę na ogólny proces metamorfozy, w którym dokonuje się stopniowa przemiana łona męskiego w żeńskie i odwrotnie, gdy piersi kobiety stopniowo zanikają, w miarę jak męskie nabierają krągłości. Ta wzajemna metamorfoza sprawia, że dokonujący penetracji staje się jej przedmiotem i na odwrót.

— To płótno jest potwornie świńskie — stwierdził Forrest, rozbierając się.

Naga Sarah podeszła do ściany, zdjęła obraz i oparła go o mur, tak by nie było go widać.

— Teraz żadne paskudztwa nie przyjdą ci już do głowy — oznajmiła.

Kochali się, a Sarah, tak jak lubiła, była nad nim.

Złączeni w uścisku zmieniali pozycję, trochę jak na pseudo-Escherze, przyznał w duchu Forrest, zachwycony, że sztuka znajduje swój oddźwięk w jego życiu seksualnym.

Znał ją dość dobrze, żeby wiedzieć, że jej preferencje

erotyczne nie są wyrazem skłonności do dominacji, ale raczej instynktu opiekuńczego, który nie pozwalał jej tracić kontroli nad sytuacją. Forrest domyślał się, że ma to związek z jej dzieciństwem w Luizjanie. Tusitala, powtarzał w duchu, powinna być wymazana z mapy.

Jednocześnie osiągnęli szczyt i urocza buzia Sarah rozjaśniła się w uśmiechu.

Pochyliła się nad nim i pocałowała go w usta, potem przeturlała się, ułożyła tuż obok niego i w milczeniu patrzyła w sufit.

Forrest chciałby, żeby ta chwila zjednoczenia trwała jak najdłużej, ale wiedział, że Sarah nie zdoła się powstrzymać i zaraz zacznie mówić o fundacji. Kiedy usłyszał jej głos, zamknął oczy, zastanawiając się, czy pocałunkiem chciała go tylko przygotować na tę chwilę.

— Tim chce, żebyś pokręcił się po najwyższych piętrach fundacji. Mógłbyś chyba pomylić przyciski w windzie.

Mówiąc o najwyższych, miała na myśli szóste, ostatnie.

— To bardzo ryzykowne — powiedział po chwili Forrest, otwierając oczy. — Wstęp na szóste piętro jest surowo zabroniony. Nawet Neil Garson nie chodzi tam, kiedy zechce, i odniosłem wrażenie, że nie śmiałyby tego zrobić.

— Widziałeś już, żeby ktoś tam wjeżdżał?

Forrest zastanawiał się przez chwilę, a potem pokręcił głową.

— Nawet Lisa Whittaker? — zapytała zaszępiiona Sarah.

— Nawet ona. Jej gabinet znajduje się na piątym piętrze, tuż obok pokoju Garsona.

— Ale przecież oficjalnie jest dyrektorką, tak?

— I ma wszelkie uprawnienia, poza wstępem na szóste piętro. Dlatego Garson nie traktuje jej poważnie. Wie, że to tylko figurka w stylu epoki Ming, ale jednak zaledwie figurka.

— Prawdziwa władza zasiada na górze.

— Co w takim razie jest na górze?

— Garson opowiadał mi, że mają tam ogromną, zajmującą niemal całe piętro salę obrad. Dwa razy w roku Walter Skoll i grono inwestorów wzywają dyrekcję w komplecie, żeby dokonać podsumowania i wyznaczyć nowe zadania. Whittaker i Garson nie mają zbyt wiele do powiedzenia, jednak ich zarobki są doskonałym panaceum na urażoną dumę.

— Kto poza tą dwójką należy do kierownictwa?

— Dyrektor administracyjny i dyrektor techniczny. Garson nie jest dyrektorem, ale dorównuje im władzą. To on ma decydujący głos w sprawach kontaktów z mediami.

— Jakie są relacje między tą czwórką?

— Na piątym piętrze wszystko kręci się wokół Whittaker i Garsona. Lisa czuje się zagrożona przez ambitnego Neila Garsona, a ten uważa ją za niższego urzędnika. Panujące między nimi stosunki są odrażające pod każdym względem. Jeśli chodzi o dwóch pozostałych dyrektorów, to starają się zrećźnie lawirować po wzburzonych wodach.

— Czy oprócz sali konferencyjnej na szóstym piętrze jest coś jeszcze? Może gabinet Waltera Skolla?

— Nie mam pojęcia.

Sarah wstała i poszła do łazienki. Zatrzymała się w drzwiach i rzuciła:

— Cóż! Rusz głową i obejrzyj sobie to piętro. W końcu jesteś geniuszem, prawda?

Splótł ramiona za głową.

— Sarah, czy ty mnie kochasz? To znaczy...

Zamilkł, bo Sarah zniknęła już w łazience.

Kiedy trzymał ją w ramionach, zastanawiał się często, czy w jej oczach jest kimś więcej niż tylko koniem trojańskim, którego można było wprowadzić do Fundacji Waltera Skolla,

będącej obsesją tej dwójki — Sarah i ich wspólnego przyjaciela Tima Modina. Czy kochała go choć trochę za udział w ich poszukiwaniu prawdy? Za wszystko, co zgodził się zrobić dla niej, dla nich? Czy kochała go także za to, kim był — sławnym artystą, kochankiem, przyjacielem?

Może jednak Sarah była ceną za zło, wyrządzone Oscarowi Wattswi.

Oscar Watts był człowiekiem, którego nazwisko Neil Garson wykreślił z noty prasowej. Jego galeria przy Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy Wschodniej doznała tego samego, sowieckiego w stylu podejścia. Nie wspomniano o niej ani razu. Żegnaj, Oscarze, brawa dla Neila za talent prestidigitatora. Ze swojego czarodziejskiego cylindra wyciągnął biografię Forresta, który debiutował w wieku dwudziestu ośmiu lat w bostońskim Muzeum Sztuk Pięknych. Pasteryzowane mleko ekologiczne, krystalicznie czyste. I nieważne, że o skandalu Oscara Wattsa nie wszyscy jeszcze zapomnieli.

Forrest Magnus również miał swoje szóste piętro. Nikogo tam nie wpuszczał, nikt nie wiedział, gdzie naprawdę znajduje się to miejsce. Na tym piętrze gnił trup Oscara Wattsa.

Rano przeczytał w „Village Voice”, że skatalogowano jego nazwisko pośród *schibbolethsów* z Nowego Jorku i że uważano go za „jednego z najpiękniejszych archaniołów nowej Babel”. Jeżeli jednak w jego życiu istniał archanioł, to nie był nim on, ale Oscar. I Forrest o tym wiedział.

*

Wśród nowojorskich właścicieli galerii Oscar Watts miał doskonałą reputację. Jego umiejętność wyszukiwania młodych artystów, w których — jak lubił mówić — „tkwił potencjał”, był niezrównany. Wydawało się, że jest nieomylny, w

rzeczywistości jednak było to bardzo proste: zawsze przedkładać nowe talenty nad nowe tendencje. I to był klucz do sukcesu, jego dewiza marszanda sztuki. O młodych malarzach i rzeźbiarzach, z którymi podpisywał kontrakty, mówiło się, że należą do „stajni Wattsa”. Wystarczyło do niej należeć, żeby mieć pewność, że ceny prac wzrosną z dnia na dzień, ale powiedzenie „wystarczyło” to czysta ironia, bo selekcja, jakiej dokonywał Oscar, była bardzo drastyczna. „Biedni naiwniacy, którzy przekraczacie te progi, porzućcie wszelką nadzieję”, lubiła powtarzać pani Rosenbaum, jego wierna asystentka, kiedy widziała młodych ludzi ściągających do galerii z teczkami pełnymi rzeckomych arcydzieł pod pachą, a głowami pełnymi nierealnych marzeń. Oscar nigdy nie był wobec twórców nikogo okrutny, nawet wobec całkowicie pozbawionych talentu, jednak nigdy też nie odstąpił od swojej elitarniej koncepcji sztuki.

Forrest nie musiał pukać do drzwi galerii, żeby poznać Oscara. Jego przyjaciółka z Akademii Sztuk Pięknych w Chicago, siostrzenica pani Rosenbaum, zawitała pewnego dnia do Nowego Jorku i pokazała właścicielowi galerii płótno, które Forrest jej podarował.

Podekscytowany Oscar Watts wsiadł do pierwszego samolotu do Illinois z twardym postanowieniem, że sprowadzi Forresta do Nowego Jorku albo palnie sobie w łeb. Czekał na takie objawienie od lat, więc w końcu uznał je za późny przejaw romantyzmu i dziwił się, że nareszcie dane mu było przeżyć coś takiego.

Młodzieniec, którego zobaczył, oczarował go w pełnym tego słowa znaczeniu.

Oscar Watts ożenił się, mając dwadzieścia jeden lat, żeby zachować konwenanse. Z tego związku urodziła się córka, Judith. Prawdziwa natura Oscara kazała mu zwrócić się ku młodym mężczyznom, nigdy jednak nie ośmielił się wyznać miłości

Forrestowi, bo doskonale zdawał sobie sprawę, że genialny malarz jest wielbicielem płci przeciwnej.

Oscar bez trudu przekonał młodego Forresta o konieczności wyjazdu z rodzinnego Illinois i zamieszkania w Nowym Jorku. Zabrał go więc z głębokim przekonaniem, że wraca nie z pięknym Michałem Aniołem w bagażach, ale z Michałem Aniołem we własnej osobie, który siedzi obok niego w biznes klasie.

Dał mu mieszkanie, pokazał miasto, przedstawił ludziom. Urządził wystawę jego prac, żeby pokazać całemu światu odkryty talent. Forrest błyskawicznie stał się ulubieńcem intelektualistów i nowojorskich estetów.

Mimo to, chociaż opanował do perfekcji wszystkie techniki malarskie, od szkicu tuszem po aerografię, jego pracom wciąż czegoś brakowało. Jakiś drobiazg odbierał im moc, kompletny drobiazg — tchnienie siły twórczej, szczypta duszy, która z kilku sąsiadujących barwnych plam czyni coś więcej niż barwne plamy.

Po raz kolejny rady Oscara Wattsa okazały się bezcenne.

W pewnej restauracji w Soho, do której wybrali się na kolację, Oscar zwrócił mu uwagę, że jego sztuka nie przemówi do publiczności i nie stanie się niezapomniana, dopóki pod innymi warstwami nie znajdzie się ta jedna, kolor znany tylko jemu pod innymi kolorami, widocznymi dla wszystkich, niewidzialna forma pod tymi pokazanymi. Tej ukrytej warstwy, tej niewykrywalnej formy publiczność nigdy nie ujrzy, mimo to wyczuje ich istnienie i uzna siłę, a także piękno, od którego promieniować będzie życie albo śmierć. To znak — mroczny, zbawienny albo zabójczy. Pieczęć dana od Boga albo od Diabła. Ukryty monogram.

„Dopiero kiedy artysta pokazuje mniej, niż ukrywa, trafia w dziesiątkę, Forreście. Arcydzieła można nabywać za pieniądze, ale w rzeczywistości nikt nigdy ich nie posiada. Z wyjątkiem

artysty, wszyscy jesteśmy tylko pokątnymi handlarzami”. Ta uwaga, a także rada znawcy, oparta na wierze w Tajemnicę Sztuki, stała się podstawą sławy i bogactwa Forresta, a zarazem przerażającej przegranej Oscara.

Los bowiem sprawił, że poszukujący swego ukrytego monogramu Forrest wkrótce spotkał ludzi, których dziś eufemistycznie nazwałby nieodpowiednim towarzystwem. Nie byli ani zboczeńcami czy hulakami, nie było wśród nich prostytutek ani przestępców, ani też złaknionych krwi terrorystów, wojowników dżihadu, ale ludzie znacznie bardziej niebezpieczni. O znacznie gorszych charakterach.

Pod ich wpływem zaczął sięgać po kokainę i dopuszczać się podłych czynów, na których samo wspomnienie czuł odrazę, mdłości i wyrzuty sumienia.

Jednak właśnie wtedy malarstwo Forresta zyskało to coś. Niezwykły blask. Oscar nigdy nie poznał prawdy, ale, jak to powiedział w restauracji w SoHo, gdy grał rolę apostoła Tajemnicy Sztuki, bardzo mocno odczuł obecność ukrytego i cudownego monogramu.

Potem, jak w pijacką noc, wydarzenia nabrały tempa i wkrótce nadeszły śmierć i skandale.

Pewnego ranka pani Rosenbaum, która o dziesiątej otwierała galerię, znalazła Oscara w kałuży krwi. Był tak zmasakrowany, że właściwie nie dało się go rozpoznać. Sporządzony potem raport policyjny stwierdzał, że Oscar Watts został poddany torturom o wyraźnie satanistycznym charakterze. Morderca albo mordercy zadreżczyli go na śmierć, zadając liczne rany o charakterze ofiarnym, następnie wypruli mu trzewia. Z galerii nie skradziono żadnego dzieła, nie zabrano także dwóch tysięcy dolarów z portfela ofiary.

Ale sprawa Oscara Wattsa zaczęła się dopiero później, gdy informacje z zamkniętego kręgu śledczych przedostały się na

zewnątrz i, pośród grzmotu plotek jak burza wdarły do światła sztuki współczesnej.

Początkowo tragedia zdawała się nie dotyczyć ani twórczości, ani osoby Forresta, który, zanim jeszcze obeschły łzy pani Rosenbaum, podpisał kontrakt z konkurencyjną galerią z Piątej Alei. Podczas inauguracyjnego wernisażu do artysty podeszła młoda, chuda kobieta i bez słowa wymierzyła mu siarczysty policzek. Potem bez pośpiechu, z godnością, opuściła galerię, w której zapadła głucha cisza. Jakaś litościwa dusza z lampką szampana w ręce i ciekawością w oczach pospieszyła z wyjaśnieniami. Forrest dowiedział się, że młoda kobieta to Judith, oczywiście — Judith Watts, córka Oscara. Świdrujące oczy, które zwrócił na niego rozmówca, udzielając mu tych informacji, Forrest miał zobaczyć jeszcze u wielu innych, bo było to towarzyską formą skutecznej, chińskiej tortury kropli wody. Jemu jednak zawsze udawało się zachować na twarzy uśmiešek dowodzący, że sobie z tego kpi.

To, że mógłby być bezpośrednio lub pośrednio zamieszany w zabójstwo Oscara, przydało jeszcze blasku jego mrocznej sławie. Otaczała go wyrazista aura skandalu i śmierci, oszalałmiające kobiety, które spotykał. Roznamiętnione lgnęły do niego jak do gwiazdora rocka i wsuwały mu do kieszeni klucze do swoich mieszkań, nierzadko owinięte w majteczki.

Wkrótce damska bielizna nie miała już przed Forrestem żadnych tajemnic.

Odwiedził wiele apartamentów.

I choć powinien, nie zrezygnował ze złego towarzystwa. Wydawało mu się, że jego sztuka od tego zależy, nie liczył się więc z reputacją.

Aż pewnej nocy, cztery miesiące po śmierci Oscara Watta, przyśnił mu się sen.

Ujrzał w nim młodą ciemnoskórą kobietę, której zachwycająca uroda wydawała się czystym marzeniem. Nie wyrzekła ani słowa, a tylko obrzuciła go powłóczystym spojrzeniem. Stali tak, patrząc na siebie i milcząc. I im dłużej na nią patrzył, tym wyraźniej odczuwał, że jej zielone oczy przebijają go jak szpilety. W końcu zrozumiał, że za tym spojrzeniem kryje się inne, że za tymi oczyma są jeszcze inne. Że ma przed sobą mroczny monogram, wpisany w tę piękność, i że to monogram Oscara Watta.

Obudził się i zapłakał. Nie zrobił tego po śmierci mentora, bo nowi przyjaciele i kokaina, od której uzależnił się tak samo jak od nich, zdławili w nim poczucie winy.

Po tym śnie postanowił położyć kres szaleństwu.

Uciekł do Bostonu, żeby dopilnować przygotowań do wystawy swych prac w Muzeum Sztuk Pięknych. Potem wyjechał do Europy, pozostawiając w Ameryce mroczne towarzystwo i biały proszek.

Minął rok, a potem znowu wróciły sny.

Zawsze była w nich ta sama młoda, ciemnoskóra kobieta o tajemniczej urodzie. Nie odzywała się, tylko patrzyła na niego zuchwale zielonymi oczyma z niezmienną, dręczącą natarczywością. On także nie próbował z nią rozmawiać i z pokorą znośił te męki.

Pewnego popołudnia zatelefonowano do niego z Nowego Jorku. Ceniona Fundacja Waltera Skolla pragnęła zorganizować wielką wystawę jego prac.

Nazajutrz przyjął tę propozycję i wrócił do Nowego Jorku lotem American Airlines. Wprowadził się do wolnego mieszkania przyjaciela w West Village. Kilkakrotnie odwiedził fundację i odbył wiele rozmów z dyrektorką Lisa Whittaker.

Od powrotu do Nowego Jorku młoda ciemnoskóra kobieta nie nawiedzała go już we śnie. Forrest czekał.

Oczekiwanie trwało nieco ponad miesiąc.

Poznał ją natychmiast, kiedy Tim Modin, z którym przyjaźnił się w dzieciństwie w Chicago, przedstawił mu ją w libańskiej restauracji na Brooklynie. Nie spuszczał jej z oka, bojąc się, że nagle zniknie na zawsze. Pod koniec spotkania oświadczył, że kocha ją już od dawna. Wtedy zwróciła na niego duże, zielone jak szmaragdy oczy i milczała jak w snach. To była Sarah. I dowiedział się, że niedawno przyjechała z rodzinnej Tusitali w Luizjanie.

Tego wieczoru zabrał ją do atelier pod pretekstem pokazania jej swoich obrazów. Dziewczyna oddała mu się, nawet nie udając zainteresowania jego twórczością. Za te dwie rzeczy był jej głęboko wdzięczny, bo czuł, że Sarah uwalnia go od niego samego, od jego złych duchów.

Później dowiedział się, że także dla niej spotkanie w brooklyńskiej restauracji nie było przypadkowe. Właściwie sama poprosiła Modina, żeby ich ze sobą poznał, a Tim wykorzystał pierwszą okazję, by wybrać się z nimi na kolację w gronie przyjaciół. Oboje potrzebowali Forresta. Chcieli się nim posłużyć. Sarah powiedziała mu to jeszcze tej nocy. Najdziwniejsze, że całkiem dobrze to przyjął. Może dlatego, że Sarah to było imię jego odkupienia.

Nigdy nie wspomniał jej o Oscarze, nawet w najbardziej intymnych rozmowach. Oscar Watts miał pozostać na jego szóstym piętrze. Na to piętro nikt nie miał wstępu, nawet on unikał zagładania tam. Może któregoś dnia tam wpadnie, żeby odwiedzić Oscara, a wtedy zabierze ze sobą Sarah. Ale nie teraz. Czuł się do tego nieprzygotowany i już sama myśl o tym wprawiała go w przerażenie.

Sarah i Forrest śledzą Waltera Skolla

Ekran budzika elektronicznego wskazywał pięćdziesiąt trzy minuty po północy, kiedy ze snu wyrwał ich telefon komórkowy Sarah. Dzwonił Tim.

— Mam coś nowego. Przyjeżdżajcie zaraz, oboje.

Nawet jej nie przyszło na myśl, żeby odmówić. Podniecenie Tima udzieliło się i jej, więc wyskoczyła z łóżka, żeby się ubrać. Po kwadransie byli już w pobliżu fundacji. Tim wysiadł z samochodu z termosem kawy w ręce i usiadł na tylnym siedzeniu bmw X5 Forresta. Magnus nie krył złego humoru.

— Przyjechaliśmy najszybciej, jak się dało — tłumaczyła się Sarah, która prowadziła.

Mówiła szczerą prawdę, ale Tim Modin uśmiechnął się sceptycznie. Rzucił jej termos.

— To was obudzi, gołąbeczki.

Znajdująca się przy Piątej Alei, niedaleko od Rockefeller Center, Fundacja Waltera Skolla została wybudowana w stylu gmachu zaprojektowanego przez słynnego architekta Franka Lloyda Wrighta dla spółki Larkin z Buffalo w stanie Nowy Jork. Z zewnątrz wyglądała jak ogromny czarny sześcian i miała sześć piętér. Tuż po jej wybudowaniu w roku 1970 bywalecy okolicy nazwali ją kamieniem nagrobnym, ale w końcu przywykli do tej ciemnej, masywnej bryły. Wnętrze, jak wynikało z relacji Forresta, było eleganckie, a duże otwarte przestrzenie doskonale oświetlone.

Od paru tygodni Sarah i Tim na zmianę obserwowali gmach fundacji nocą. W dzień pozostawiali to zadanie Forrestowi, którego obrazy zawieszono w salach na parterze. Zwykle zaczynali około dwudziestej drugiej, a kończyli wczesnym rankiem. Ale dotąd nic to nie dało.

— I co? — zapytał Forrest, tłumiąc ziewnięcie.

Tim wyciągnął z kieszeni kurtki aparat cyfrowy i pokazał im na ekranie kontrolnym zdjęcia wykonane na kilka minut przed telefonem do Sarah.

— On — powiedział, uderzając palcem w ekran nikona — to Walter Skoll, wielce tajemniczy prezes fundacji.

Forrest rzucił okiem na zdjęcie.

Wysoki, barczysty, dobrze po pięćdziesiątce, Walter Skoll był ubrany w trzyczęściowy garnitur i antracytowy płaszcz. Jego pantofle marki Berluti, starannie wypastowane, lśniły w świetle latarni ulicznych.

Według Tima Walter Skoll pojawił się około północy przy strzeżonej przez kamery wideo furtce, a ta otworzyła się natychmiast, chociaż nie odzywał się do domofonu. Potem przeszedł przez dziedziniec i zniknął w na pół oświetlonym holu fundacji.

Sarah zwróciła oczy na Forresta.

— Znasz go?

— Nigdy go nie widziałem — odparł. — Myślisz, że to jeden z nich?

Zaschło mu w gardle.

— Na pewno nie przyszedł, żeby dyskutować o sztuce współczesnej — stwierdził Tim, cicho rechocząc. — Pięć minut potem — dodał — przyszedł kolejny facet, a po nim trzech następnych i jeszcze dwóch.

Zdjęcia pokazywały ich przed budynkiem, wszyscy byli potężnie zbudowani i podobnie ubrani. Tim dorzucił, że żaden nie musiał zgłaszać się przez domofon.

— Brakuje im tylko meloników — szepnęła Forrest, patrząc na fotografie.

Nie mógł się uwolnić od myśli, że ci faceci są podobni do Magritte'a, którego namalował, tyle że w ich sylwetkach było

coś jeszcze, coś groźnego. Wyczuwało się w nich siłę i bogactwo. A także zagrożenie, jakie stanowili.

Sarah zagryzła usta, zanim zadała Timowi pytanie:

— Udało ci się zobaczyć ich prawe ręce?

— Nie, wszyscy trzymali łapy wciśnięte do kieszeni. To rzeczywiście śmierdzi.

— Myślisz, że to wszystko?... — zapytał Forrest.

Nie uznał za słuszne kończyć zdania, zresztą ani Tim, ani Sarah nie zadali sobie trudu, żeby na nie odpowiedzieć.

Przez następnych dwadzieścia minut przed budynkiem nic się nie wydarzyło. Sarah skłonna była uznać, że wszyscy przybyli już na zgromadzenie, gdy brama otworzyła się automatycznie przed ogromną, czarną limuzyną marki Lincoln. Auto miało sześćdziesiąt drzwi. Nieco zwolniło, przejeżdżając przez obsadzony drzewami dziedziniec, i zniknęło na podziemnym parkingu fundacji.

— Kto to może być? — zastanawiała się Sarah. — Ich szef?

Brama już się zamykała. Przed gmachem znowu zapanował spokój.

Sarah zerknęła na zegarek i pomyślała, że udało im się zaobserwować coś ważnego.

Po półtorej godzinie Walter Skoll samotnie opuścił fundację. Tim znów uchwycił go okiem nikonu, gdy prezes szedł przez dziedziniec.

— Co robimy? — zapytał Forrest, który wyprężył się na siedzeniu.

Znalazłszy się na ulicy, Skoll stanął. Wyjął ręce z kieszeni, żeby zapiąć płaszcz, i wtedy Forrest zobaczył ciemną, skórzaną rękawiczkę na jego prawej dłoni. Lewa była goła. Tak, to był jeden z nich!

— Śledzimy go — postanowiła podniecona Sarah.

— A tamci? — zapytał Forrest.

— Tim, zostań tu i obserwuj budynek. My z Forrestem zajmujemy się tym facetem.

— Lubię, kiedy przejmujesz ster, dziecinko — mruknął Tim, otwierając drzwi wozu.

Wysiadł i podszedł do forda taurusa zaparkowanego tuż za bmw.

Skoll przeszedł przez jezdnię pięćdziesiąt metrów dalej, by skrócić na zachód w Czterdziestą Siódmą Ulicę.

Sarah odczekała, aż zniknie za rogami, a potem przekreśliła kluczyk w stacyjce. Samochód włączył się do ruchu, dość płynnego o tej późnej porze, i pojechał Piątą Aleją. Po chwili także skręcił w prawo.

Na Czterdziestej Siódmej Ulicy zobaczyli Skolla, gdy sprężystym krokiem szedł pomiędzy sklepami jubilerskimi, w których opuszczono żaluzje. Na skrzyżowaniu z Szóstą Aleją ponownie skręcił w prawo, ruszając w kierunku Central Parku.

Trzy przecznice dalej przystanął na moment przed gmachem Radio City Music Hall, na którym świeciły duże żółte i czerwone napisy.

— Módlmy się, żeby nie wszedł do parku. — Forrest nie zdołał się powstrzymać od tej uwagi.

Jednak minawszy kolejne przecznice, Walter Skoll wszedł do parku.

— Cholera! Co teraz zrobimy? — zapytał Forrest.

Sarah zastanawiała się raczej, co zrobiłby Tim, gdyby był na ich miejscu. Logika podpowiadała, że nie mogą śledzić go z auta w parku, bo natychmiast by ich zdemaskował.

— Pójdę za nim piechotą — powiedziała, kładąc rękę na kłamce.

Forrest omal się nie udławił.

— Co takiego?

— Objedź park i czekaj na mnie przy Tawernie.

Nie zdążył nic powiedzieć, bo Sarah już wysiadła. Inni kierowcy trąbili na niego, więc przeklinając, musiał odjechać. Potem, kiedy zbliżał się do Columbus Circle, zerknął w lusterko wsteczne i zobaczył, jak Sarah znika w parku. Modlił się, żeby znaleźć ją żywą u wylotu alei łączącej wschodnią i zachodnią część Sześćdziesiątej Piątej Ulicy.

Sarah idzie przez Central Park

Weszła przez tak zwaną Bramę Artystów i minęła trzy odlane z brązu konne posągi. W pierwszej chwili wydawało się jej, że zgubiła Skolla.

Podmuchy mroźnego wiatru, który wieczorem stał się jeszcze ostrzejszy, docierały znad East River. Tęskniąc za ciepłem wygodnego łóżka, Sarah wyrzucała sobie, że wybiegła z domu bez rękawiczek. Skąd jednak mogłaby wiedzieć, że wysiadzie z samochodu i będzie się włóczyć nocą po Central Parku? Na szczęście wełniana kurtka, którą miała tej nocy, była ciemna, wprost idealna dla szpiega, a w dodatku miała kaptur. Kobieta nasunęła go na głowę, wciąż rozglądając się po okolicy. Teraz, gdy wysokie drzewa straciły liście, park wyglądał posępnie i mimo dobrego oświetlenia i ośmiu lat władzy Giulianiego w ratuszu nie należał do miejsc, które bezpiecznie było odwiedzać po zmroku.

Próbowała ogrzać zgrabiące palce i wtedy dostrzegła postać, która przesunęła się kilkaset metrów przed nią. To był Skoll. Tak jak wcześniej szedł wolno i wcale się nie rozglądał. W jego

zachowaniu nic nie wskazywało, by w tym opustoszałym terenie, który przemierzał, czuł się nieswojo. Pewny własnej siły wydawał się całkowicie skupiony na swoich myślach. Wcisnęła ręce do kieszeni i ruszyła w ślad za nim.

Dzieliła ich znaczna odległość, gdy mijali staw, a potem szli równoległą do Central Drive aleją prowadzącą do lodowiska Wollman. Ani na tafli, ani w pobliżu nie było żywego ducha.

Szli pod wiatr. Mróz szczypał policzki Sarah, piekły ją oczy. Podmuchy wiatru przyciskały kaptur kurtki do twarzy, a zaraz potem go odrzucały. Z głową wtuloną w ramiona szła jednak dalej.

Miała wrażenie, że Skoll kieruje się w stronę zoo, gdy nagle skręcił z alejki i przez trawnik poszedł w kierunku skał na szczycie wzgórza nad lodowiskiem. Sarah czekała, aż zniknie za wierzchołkiem, by wejść na górę. Niemal biegła, nie chcąc na zbyt długo tracić go z oczu. Pokryte szronem gazony chrzęściły pod jej skórzanymi botkami.

Zdyszana przystanąła między skałami i zobaczyła, że Skoll kieruje się teraz na północ. Rozejrzała się niepewnie.

W dole, w świetle latarni, lśniło puste o tej porze lodowisko. Za parkiem wznosił się Essex House, rozpoznawalny dzięki neonowi drapacz chmur, a nieco dalej na wschód dawny hotel Plaza.

Ostrożność nakazywała jej natychmiast zawrócić, a wszystkie szare komórki krzyczały, żeby nie czekała ani chwili dłużej.

— Nie należy włóczyć się nocą po Central Parku — szepnęła, jakby chciała przekonać samą siebie. — Tym bardziej kiedy śledzi się kogoś w rodzaju Waltera Skolla!

Ale ciekawość walczyła w niej ze strachem, tworząc mieszanekę, która wykluczała logiczne myślenie. Ucieczka jako

forma działania nie godziła się z jej dziennikarskim instynktem. A dziennikarski instynkt skłaniał ją raczej do kontynuacji tego, co już zaczęła.

Wahała się jeszcze przez moment, potem ruszyła za Walterem Skollem, który minąwszy Sześćdziesiątą Piątą Ulicę Poprzeczną, skręcił w lewo, w stronę zalesionych pagórków Prerii.

Coś wyskoczyło na drogę, tuż przed Sarah. Przestraszyła się, ale to były tylko wiewiórki, które pobiegły bić się za ławkę.

Po kilku minutach, znów idąc na północ, Skoll ruszył przez rozległy, otoczony drzewami trawnik, który wyglądał jak polana. Wiatr jęczał w konarach. Po ciemnym niebie chmury mknęły nad Manhattanem.

Sarah ukryła się za jednym z pni na obrzeżach trawnika i czekała, żeby w odpowiednim momencie pokonać odkrytą przestrzeń. Odwróciła się, ale za nią nikogo nie było.

Kiedy znowu spojrzała na trawnik, Walter Skoll zniknął bez śladu. To było nierealne, przecież straciła go z oczu zaledwie na kilka sekund.

Czyżby nagle przyspieszył kroku i tak szybko znalazł się za szpalerem drzew? A może się po prostu ulotnił?

Rezygnując z osłony krzewów, ruszyła śladem Skolla, czując, że to najgłupsza z możliwych decyzji. Idąc, wciąż się rozglądała. Tereny zalesione były mroczne i zdawało się, że jej grożą.

Wkrótce znalazła się na środku Łąki. W wietrzną noc trudno jej było wyobrazić sobie to miejsce w pogodny, letni dzień, gdy pełno tu kobiet i mężczyzn opalających się na ręcznikach plażowych i biegających po trawie dzieci. To był zupełnie inny świat, inna planeta.

Odkąd Skoll oddalił się od lodowiska, nurtowało ją pytanie, dlaczego idzie właśnie tędy, chociaż początkowo kierował się raczej na wschód?

Odpowiedź, która jej się nasunęła, była szokująco prosta i oczywista: ponieważ czuł się śledzony i chciał to sprawdzić.

Teraz prawdopodobnie miał już pewność, bo szła za nim po odkrytym terenie.

Być może Central Park był terenem łowieckim Skolla i jego wspólników. A jeśli tak, to ściągnął ją tu celowo, żeby spokojnie ją zabić. A ona szła za nim jak owca na rzeź.

Drzewa jęknęły pod silnym porywem wiatru. Sarah poczuła, jak mroźne powietrze przenika przez jej džinsy. Zadrżała.

Za jej plecami trzasnęła gałąź. Wiedząc, że to zły znak, dziewczyna błyskawicznie się odwróciła.

Z lasu wyszło czterech mężczyzn w kominiarkach. Byli uzbrojeni w karabiny maszynowe i granatniki M-79. Zatrzymali się w odległości kilku metrów od niej. Jeden z nich, prawdopodobnie dowódca, powiedział:

— Spokojnie, księżniczko! Spokojnie! Szef kazał nam o panią zadbać. Skoll zauważył panią jakiś czas temu i moim zdaniem lepiej będzie szybko stąd zniknąć.

— Gdzie on się podział? — zapytała wyraźnie sfrustrowana.

— Obserwuje nas. Powtarzam, że musimy jak najszybciej stąd odejść. Przyjaciel na panią czeka. Chodźmy już!

Zdecydowany i spokojny głos mężczyzny dowodził, że potrafi zachować zimną krew, bo mimo całego arsenału, jakim dysponował on i jego ludzie, przez lekkomyślność Sarah wszyscy znaleźli się w sytuacji bezpośredniego zagrożenia życia.

— Psiakrew, powiedzcie mi, kim jesteście?! — rzuciła jeszcze młoda kobieta, po raz ostami dopuszczając do głosu dziennikarkę.

— No cóż, księżniczko — odparł dowódca — założmy, że jesteśmy czterema kołami pani karocy.

DZIEŃ TRZECI

Piątek 12 grudnia

Forrest przejmuje inicjatywę

Nazajutrz Forrest połączył się z telefonem domowym Tima. Był już w fundacji i dzwonił ze swojej komórki. Wydał się spięty, ale to nie mogło dziwić po nocy, jaką mieli za sobą.

— Nie spodziewaj się — powiedział — że pozwolę Sarah na tę ryzykowną grę, w której ma nadstawiać karku za ciebie. Chyba zdajesz sobie sprawę, że zrobiła to, żeby ci zaimponować?

— Zastanawiam się, kto wysłał do parku tych aniołów stróżów.

— Nazywasz ich aniołami? Facetów, którzy biegają po Nowym Jorku, uzbrojeni w granatniki?! — krzyknął Forrest, pamiętając, że nie wolno mu zbyt podnosić głosu. W małej sali, do której wszedł, żeby porozmawiać, elektryk stał na drabinie, regulując oświetlenie nad obrazami.

— Trzeba przyznać, że uratowali jej życie — wtrącił z niezmaconym spokojem Tim.

— Cieszę się, że przynajmniej tyle zrozumiałeś! W podziękowaniu wyślę im skrzynkę szampana. Szkoda tylko, że nie zostawili wizytówki!

Po tym niepowodzeniu postanowili zrezygnować z obserwacji. Było jasne, że ich strategia okazała się mało skuteczna, a bardzo ryzykowna. W dodatku najwyraźniej nie tylko oni obserwowali fundację.

— Musisz znaleźć jakiś sposób, żebyśmy dostali się na szóste piętro — oświadczył Tim.

Forrest odwrócił się i oparł plecami o ścianę. Patrzył na Jodie Stevenson, która właśnie weszła do sali, najprawdopodobniej go szukając.

— Zastanawiałem się nad tym i wyobraź sobie, że chyba znalazłem rozwiązanie. Zaraz zaproszę je do nas na kolację.

— Co robisz? — warknął Tim, zanim Forrest przerwał połączenie.

Spotyka się cały ten światek

Tim rozwrzeszczał się na wieść, że Forrest poprosił Jodie Stevenson, żeby przyłączyła się do ich krucjaty. Zbyt dobrze wiedział, jak niebezpieczni są Skoll i jego wspólnicy, aby można uznać, że utrzymanie przez niego tajemnicy było nie tylko skutkiem manii prześladowczej. Zresztą w obliczu takiego wroga mania prześladowcza wydawała się usprawiedliwiona, a nawet wskazana.

Znany z wycucia i umiaru Tim natychmiast zaproponował Forrestowi rozpoczęcie masowej rekrutacji w całym kraju, także w domach wariatów. Przy odrobinie szczęścia mogli w ten sposób uzyskać wsparcie kilku ogrodników i emerytowanych sekretarek. Jak to możliwe, że wcześniej na to nie wpadł?

Sarah pozwoliła mu się wykrzyzczyć, wiedząc, że w pewnym sensie ma rację. Forrest powinien był to z nimi uzgodnić,

zanim podjął inicjatywę. Ale w gruncie rzeczy potrzebowali większej elastyczności i weryfikacji niektórych założeń doktryny Tima Modina, doskonalszej w zakresie utrzymania tajemnicy niż watykańska. Bo pewien problem nękał ich jak uporczywa migrena — jak dostać się na szóste piętro, otwarte wyłącznie dla ścisłej dyrekcji fundacji, i jak to zrobić, nie wzbudzając podejrzeń? Odpowiedź wydawała się oczywista i być może właśnie to drażniło niezłomnego Tima Modina.

Gdy około szóstej wieczorem pojawił się w apartamencie Forresta, ten starał się być możliwie ugodowy. Jeśli Jodie nie przypadnie do gustu Timowi, nie dopuszczą jej do tajemnicy. Wszystko zostanie po staremu. Sarah skwitowała tę propozycję wzruszeniem ramion. Marnie oceniała szanse tej sekretarki. Tim zacznie się okropnie zachowywać, a jeśli dziewczyna wytrwa do dania głównego — pysznego risorta z monterey Jack i groszkiem — dokona się cud godzien zgłoszenia do stosownych komisji Stolicy Apostolskiej w Rzymie.

Jodie Stevenson, idealna ofiara dla Tima Modina, przyszła jako ostatnia na Peny Street 176. Jednak to nie ona się spóźniła, ale Tim pojawił się przed czasem. Rozsiadł się na kanapie i kiedy Sarah i Forrest kończyli nakrywanie stołu, nie otworzył ust. W roli gbura był po prostu doskonały.

Sarah wystraszyła się, widząc, że Jodie jest równie drobna i niewysoka jak ona. O sobie wiedziała jednak, że nadrabia niedoskonałości fizyczne charakterem i odwagą, a przecież biednej Jodie mogło brakować tych zalet. Dlatego już podając rękę dziewczynie, serdecznie jej współczuła.

Forrest starał się, aby jego gość poczuł się wśród nich swobodnie. Zaczął od prezentacji, prowadząc Jodie do siedzącego na kanapie potwora z piracką przepaską na oku. Potwór nie

raczył nawet wstać, tylko od niechcienia wyciągnął rękę i burknął coś na powitanie. Udało mu się speszzyć Jodie. Wtedy Sarah postanowiła użyć tajnej broni.

— Zapomnieliśmy o winie, Tim, więc jeśli chcesz się napić, skocz szybko po butelkę do sklepu na rogu.

— Nie macie nawet wina! — mruknął ostatecznie zniechęcony Tim.

Forrest spojrzał pytająco na Sarah. Trzy butelki wina czekały w kuchni, otwarte odpowiednio wcześniej jego wprawną ręką. Sarah zmarszczyła brwi, nakazując mu milczenie. Chciała, żeby Tim na chwilę oddalił się od ofiary i żeby ta nie uciekła, zanim podadzą przystawki.

Tim dźwignął się z kanapy, mamrocząc pod nosem. Poszedł po płaszcz i szalik. Zdrowym okiem patrzył na Jodie z natężeniem bliskim wypowiedzenia wojny.

— Proszę zostać. Ja pójdę — powiedziała Jodie Stevenson. — Czuję się zażenowana, że przyszłam z pustymi rękoma.

O nie! — jęknęła w duchu Sarah, przeczuwając bliskość katastrofy. Ta biedna dziewczyna miała zostać sam na sam z rozwścieczonym Timem Modinem!

— Przecież prosiłem, żeby niczego pani nie przynosiła — przypomniał Forrest z czarującym uśmiechem na twarzy.

— Mimo to proszę mi nie odmawiać tej przyjemności.

— W takim razie Dolly i ja pójdziemy razem — oznajmił Tim, zakładając palto i nie spuszczać jej z oka.

Sarah spiorunowała go wzrokiem. Wiedziała, że specjalnie pomylił imię. Tim miał niezawodną pamięć. A takie błędy należały do jego ulubionych technik poniżania ludzi. Sarah miała mu za złe, że okazał się tak okrutny.

Kiedy zostali sami w holu, Jodie zapytała cichym, uprzejmym głosem:

— Zjedziemy windą?

Bez słowa stanął przed szybem i wcisnął guzik.

Za jego plecami Jodie starała się jak najdłużej zapinać płaszcz. Niestety, miał tylko pięć guzików. Chciałaby, żeby były ich setki. Bo co miała zrobić z rękami po zapięciu piątego?

Winda zatrzymała się na ich piętrze pusta. Wsiedli.

Na ulicy zachowywał się, jakby nie istniała. Ani razu na nią nie spojrzął, nie odezwał się ani słowem. Szedł szybko, zmuszając Jodie niemal do biegu. Ludzie usuwali się z drogi olbrzymowi z przepaską na oku. Drepcząca za nim Jodie czuła się jak potrącana kulka i zastanawiała się, dlaczego ten facet i cały świat okazują jej aż taką wrogość.

Do sklepu wszedł pierwszy i nie przytrzymał drzwi. Jako stały klient szybko przemknął między półkami do działu win. Nawet nie pytając, na co miałaby ochotę, wybrał wytrawne chardonnay, nieźle pasujące do risotta, które przygotowali Sarah i Forrest. Potem podszedł do kasy.

Oczywiście pozwolił jej zapłacić.

Po wyjściu znowu ruszył szybkim krokiem sportowca. Jodie starała się go nie zgubić, ale została w tyle.

Czuła się jak jej stara matka: chora, zdezorientowana, zagubiona w bezlitosnym, głupim labiryncie. Na rogu Perry i Hudson Street stanęła. Była wykończona i przemarznięta. Ogarnął ją strach, strach, że się załamie, że wszystko rzuci, nie mogąc poradzić sobie z problemem chorej matki, z kolegami z pracy, z tym facetem, który zostawił ją daleko w tyle. Tylko nie płacz, pomyślała.

Jakiś grubas wpadł na nią i zamiast przeprosić, nazwał dziwką.

Potem sama uderzyła o jakieś drzwi. Łzy stanęły jej w oczach. Drżały jej usta.

Nie płacz. Tylko nie płacz.

Poczuła, że czyjaś dłoń dotyka jej ramienia. Uniosła głowę i zobaczyła w witrynie odbicie Tima.

— Przepraszam — powiedział. — Jestem podłym durniem.

I na przeciętej czarnej opaską twarzy pojawił się uśmiech.

Ten mały światek wreszcie siada do kolacji

Sarah zamierzała zmyć Timowi głowę, gdyby wystraszył Jodie Stevenson. Z jakim zaskoczeniem patrzyła na nich, gdy stanęli w drzwiach, śmiejąc się do rozpuku i obejmując!

Kolacja upłynęła w przemiłej atmosferze.

Forrest i Sarah nigdy nie widzieli Tima w tak dobrym humorze. Był innym człowiekiem — delektował się ich risottem z monterey Jack i zielonym groszkiem, napelniał wszystkim kieliszki, a nawet rozmawiał! Jaki guziczek w tym skomplikowanym mechanizmie wcisnęła Jodie Stevenson, żeby uzyskać taką zmianę nastroju? Sarah nie miała pojęcia.

Po deserze — pysznym cieście migdałowym z cukierni w Greenwich Village — pytając spojrzała na Tima. Chciała już wiedzieć, jaki ma być efekt tego spotkania.

— Jodie jest osobą, której możemy zaufać — oznajmił głośno.

On także doskonale zdawał sobie sprawę, że jej potrzebują, żeby przeniknąć sekrety Fundacji Waltera Skolla. „Skoro nie możesz pozostać w pobliżu jakiegoś miejsca, musisz dostać się do środka”. Kevin, jego brat, często powtarzał mu te słowa. I teraz Tim był zdecydowany sprawdzić, co też dzieje się w czarnym pudełku.

— Dziękuję — powiedziała Jodie, spuszczać oczy i wpatrując się w swoje dłonie.

— Nie dziękuj. To, czego się teraz dowiesz, wcale nie jest miłe.

A ponieważ dziewczyna lekko pobladła, dodał:

— Nie bój się, nie jesteśmy terrorystami. My tylko chcemy, żebyś poznała prawdę o swoich pracodawcach.

Jodie podejrzliwie zerknęła na Forresta. W końcu pracowali razem. Patrząc jej w oczy, rzekł:

— Koniecznie musisz się dowiedzieć, co się kryje za tą fundacją.

— Czy słyszałaś o generale Fenryderze? — zapytała Sarah, nie spodziewając się odpowiedzi twierdzącej z ust dziewczyny.

— O ile dobrze pamiętam, był to generał Konfederacji — zaczęła Jodie, uśmiechając się do Sarah. — Żołnierze nazwali go „dziewiątym generałem Południa”. Odwaga tego człowieka graniczyła z fanatyzmem. Wydaje mi się, że poległ w ostatniej bitwie wojny secesyjnej, gdy wraz ze swoim zdziesiątkowanym regimentem spieszył z odsieczą wojskom Kirby'ego Smitha. To było w okolicach Shreveport w Luizjanie, dwudziestego szóstego maja tysiąc osiemset sześćdziesiątego piątego roku. Zginął w potyczce, a wielu jego ludzi poległo wraz z nim.

Tim i Forrest gwizdnęli z podziwu.

— Skąd to wszystko wiesz? — zapytała Sarah, unosząc brwi.

— Moja matka zajmuje się tą epoką. Właściwie: zajmowała się, zanim zachorowała. Napisała wiele książek i setki artykułów na ten temat. A ja połknęłam bakcyła historii.

— No to teraz my wprowadzimy cię w osłupienie — rzucił Tim. — Generał Fenryder wciąż żyje.

Jodie uśmiechnęła się niemal radośnie.

— Chcecie mnie nabrać, co?

Sarah patrzyła jej prosto w oczy, zachowując pełną powagę.

— Co jeszcze wiesz o Fenryderze? — zapytała. — Chodzi mi o to, co poprzedza jego śmierć w podręcznikach historii.

— Matka opowiadała mi, że był bogatym plantatorem z Karoliny Południowej i że...

I Jodie przypomniała sobie kilka interesujących szczegółów z biografii generała.

Szóstego listopada 1860 roku Lucius Ewel Fenryder należał do „Połykaczy Ognia” z Charlestonu — tych działaczy, którzy pod swymi sztandarami głośno radowali się z wyboru Abrahama Lincolna, wroga niewolnictwa, na prezydenta, ponieważ dostrzegali w rządach republikanina szansę na zdecydowane umocnienie ich dążeń do rozłamu, jako że dla ich stanu pozostanie w Unii było już niemożliwe. Otóż Fenryder stał się jednym z tych, za których sprawą Karolina Południowa stanęła na czele dążących do secesji. To on skłonił gubernatora Pickensa do wszczęcia wojny. Fenryder, który pierwszy ruszył do walki, musiał być też ostatnim, który złoży broń, co stało się dopiero, gdy poległ w bitwie.

U schyłku dramatycznego roku 1860 wieści o niezłomności Fenrydera dotarły do Białego Domu, gdzie radykałowie natchmiast uczynili go celem swych ataków — pisano o nim pamflety, zawierając w nich zarówno odrażającą prawdę, jak i ohydne kłamstwa. Po tej stronie linii Masona — Dixona nigdy nie chciano nawet przyznać, że dla swoich murzyńskich niewolników Fenryder był zawsze oświeconym panem. Natomiast jego dawni niewolnicy nie zapomnieli o tym, gdy stanęli u jego boku, by wraz z nim walczyć na śmierć i życie.

Poza tym Fenryder był człowiekiem, którego nie potrafił zrozumieć nawet pełen dobrej woli polityk. Wykształcony, o wysokiej kulturze, odrzucał przesady i opierał się na własnym doświadczeniu. W latach pięćdziesiątych podróżował po całym kraju, ale to, co zobaczył w Nowym Jorku czy San Francisco,

wzbudziło w nim przerażenie. Zachłanność i brutalność panowały tam jego zdaniem niepodzielnie. Dostrzegł przemoc gangów, widział gorączkę złota i horror w fabrykach. Teraz już wiedział.

Wiedział, że Bóg opuścił to prymitywne piekło, jakby pragnął wspanialszego rozkwitu nowego Edenu, za jaki Fenryder uważał Karolinę Południową.

Powrócił więc do siebie szczęśliwy, ale i zaniepokojony, bo wiedział, że wkrótce nadciągnie zawierucha.

Po wypowiedzeniu wojny służył swojej ojczyźnie jako generał, początkowo pod rozkazami Beauregarda.

W pierwszym okresie walk wojska Federacji ponosiły ciężkie, poniżające porażki mimo miażdżącej przewagi liczebnej. Fenryder nie posiadał się z radości. Wierzył, że dni Lincolna w Białym Domu są już policzone.

Lecz pod Gettysburgiem wiatr historii się odwrócił. Przez dwa ostatnie lata wojny wojska zbuntowanych stanów ponosiły klęskę za klęską, a ludność cywilna, zmęczona tymi ciężkimi czasami, witała nowych panów bez większego oporu. Stare Południe przegrywało, przechodziło do świata wspomnień. Jednak generał Fenryder, zwany „Piekielnym Generałem”, wciąż niezłomnie walczył, okazując odwagę graniczącą z szaleństwem.

Gdy zaczęło mu brakować żołnierzy, stworzył armię z własnych niewolników. Prowadzeni przez swego pana Murzyni znani byli jako batalion „trupiej czaszki”. Aby wywrzeć wrażenie na Waszyngtonie, a także pobudzić słabnącą w Richmond wiarę, żołnierze ci torturowali i mordowali schwytanych wrogów, często młodych rekrutów, którzy błagali o litość, potem ścinali im głowy i wystawiali je na palach na skraju lasów Luizjany, gdzie ukrywał się Fenryder.

Profesor Margaret Stevenson powiedziała kiedyś córce, że przypominało to wielkie czarne msze odprawiane po to, by oddalić niechybną klęskę, i że o tych bestialstwach wiedzano w Waszyngtonie. Na dowód pokazała Jodie karykaturę z tamtych czasów, przedstawiającą Fenrydera z racicami, gdy stał na trupach kobiet i dzieci. Pod rysunkiem widniał napis: „Ostatni bastion cywilizacji!”. Jodie miała wówczas siedemnaście lat i przebiegł ją dreszcz. Teraz, gdy mówiła o tym Timowi, Sarah i Forrestowi, także zadrżała.

Pod koniec wojny, kiedy już tylko garstka jego ludzi śpiewała *Bonnie Blue Flag*, jeden z hymnów Konfederacji, Fenryder spalił podobiznę „tego łajdaka Lee”, dowiedział się bowiem o „zdradzie” w Appomattox. Wkrótce na podobny los zasłużył sobie równie heroiczny generał Johnston.

Bóg mi świadkiem, powtarzał w ewidentnie złej wierze Fenryder, że nie chciałem tej wojny, którą narzucili mi Lincoln i jego „sępy”, lecz Bóg mi także świadkiem, że do ostatniego tchu nie pogodzę się z kapitulacją, która byłaby hańbą dla Południa i jego zaprzęciem tym „współczesnym barbarzyńcom”. Lepiej wszystko zniszczyć, wszystkich wymordować, a potem skonać w morzu krwi, niż z założonymi rękami patrzeć na tragedię równie wielką, jak upadek Adama. „Skoro nie da się ocalić raję, niechaj na jego miejscu powstanie najstraszliwsze z piekieł! Alleluja!”, napisał w jednym z ostatnich listów.

Człowiek zwany „Piekielnym generałem”, ten, na którego patrzono z fascynacją i przerażeniem, do ostatniej chwili, tak jak obiecał, siał śmierć i rozpacz wszędzie, gdzie się pojawił, nabijając na pał każdego pojmanego żołnierza w mundurze Unii, ale i bezlitośnie mordując kobiety i dzieci z Południa, które oskarżał o knowania z wrogiem. Te potworne zbrodnie

wyjaśniają, dlaczego, gdy w końcu poległ, nie tylko matki z Północy odetchnęły z ulgą i dlaczego mówiono, że wojna zniszczyła go na długo przedtem, zanim go zabiła. Tim przerwał Jodie, aby zapytać:

— Czy twoja matka wspominała kiedyś o eksperymentach, które generał przeprowadzał jeszcze przed wojną?

— Przed wojną? — powtórzyła, zastanawiając się. — A, już wiem. Niektórzy z jego przyjaciół opowiadali, że interesował się okultyzmem i magicznymi rytuałami. Mówiło się, że Fenryder przemierzał kraj w latach pięćdziesiątych w poszukiwaniu tajemnej wiedzy. Wiedzy. Tej najwyższej. Ponoć odwiedził nawet siostry Fox w Hydesville!

— To prawda — wtrąciła Sarah. — W jednym z listów nazwał je „zwariowanymi mitomankami”.

— Czy słowo *tarhq-sagogh* coś ci mówi? — zapytał Tim.

— Nie — pokręciła głową po chwili namysłu. — Co to znaczy?

— Sami chcielibyśmy się dowiedzieć. Sarah i ja szperaliśmy w archiwach biblioteki publicznej w Nowym Jorku i natrafiliśmy na list z dziesiątego czerwca tysiąc osiemset sześćdziesiątego piątego roku, na dwa tygodnie przed śmiercią Fenrydera i jego ludzi pod Shreveport. Jego autorem jest Horacy Lebayou, dawny czarny nadzorca plantacji generała, a podczas wojny jego adiutant. Forrest, masz tu chyba jakąś kopię?

Forrest wstał, wyjął z szuflady kartkę, a potem usiadł przy stole i podsunął list Timowi.

— Zrobiliśmy ksero — podjął Tim. — Niestety, brakuje początku listu, a niektóre fragmenty są nieczytelne. A poza tym jest tu to przekłete *tarhq-sagogh*, na samym końcu. Nie wiem, co znaczy.

I zaczął czytać list:

Zabrałem go w bezpieczne miejsce. Twarz miał pokrytą zaschniętą krwią. Te lotry Jankesi strzelili mu prosto w czoło. Nie dali mu najmniejszej szansy...

Około drugiej nad ranem zaczął wracać. Zauważyłem to natychmiast po jego dłoniach. Drżały. Początkowo było to ledwie widoczne, ale z upływem minut wątpliwości się rozwinęły. Powiedziałem: „Stało się! Do diabła, stało się!”. Obmyłem mu twarz i zdjąłem z niego brudny mundur. Dziękowałem Niebu, choć wiedziałem, że nie ono stoi za tym cudem.

Nie zabili go i, zapewniam cię, nigdy nie dostaną naszego Generała. Nie mogą go zabić, już rozumiesz. A przy nim dokonamy zemsty.

Całuję Cię. Teraz jestem tarhq-sagogh.

— I tak to się kończy.

Tim odłożył kartkę.

— Ten list nie jest dowodem, że to wszystko prawda — skomentowała Jodie.

Ale poczuła się dość niezręcznie. Oparta łokciami o stół Sarah podsunęła splecione dłonie pod brodę i dobiła przedmówczynię.

— Bardzo bym chciała móc ci powiedzieć, że masz rację i że ten list napisał szaleniec. Jednak tak się składa, że oboje z Timem mamy inne dowody, nazwijmy je wizualnymi, które pochodzą sprzed niedawna. Przede wszystkim musisz wiedzieć, że Fenryder powrócił z zaświatów, nie wyrzekając się chęci zemsty na Stanach Zjednoczonych. Stworzył tajną organizację, Wilki Fenrydera, i wciąż nią kieruje.

— Tajna organizacja? — Jodie o mało się nie zakrztusiła.

— Bractwo generała Fenrydera — wtrącił Tim — to jedna

z najbardziej hermetycznych i niewątpliwie najgroźniejsza spośród tajnych organizacji. Policja nie wie nic o jej hierarchii, o przywódcach, nie zna rytuałów ani zamierzeń, bo nie ma nawet pojęcia o istnieniu tej struktury. Ignorancja jest tak głęboka, że można by wręcz zastanawiać się, czy Wilki nie są tworem o charakterze mitologicznym, zrodzonym z bolesnych doznań wojny secesyjnej. Byłyby niejako półlegendą mającą wzbudzać strach w czarnych jak Ku-Klux-Klan.

— I to nie są urojenia, uwierz mi — powiedziała Sarah. — Wilki są znacznie bardziej niebezpieczne od najbardziej szalonych sekciarzy.

A potem odezwał się Tim.

Mówił, że jak w każdej tajnej organizacji obowiązuje tu rytuał inicjacji. U Wilków polega ona na dokonaniu rzezi, podczas której nowicjusz poświęca wszystkich najbliższych, jak stało się to na przykład z Charliem McNeice'em, który w roku 1933, podczas balu wydanego z okazji jego dwudziestych urodzin, skazał rodziców na śmierć w straszliwym pożarze. Wilki rozpoznawały się po rękawiczce noszonej na prawej dłoni, zapewniającej im siłę i moc.

— Jaką moc? — zapytała niemal z lękiem Jodie.

— Nadawania realnego kształtu najgłębszemu strachowi ofiary — odparł Tim. — Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale Sarah widziała w Tusitali, co potrafi robić jeden z nich, a ja byłem świadkiem ich działań w Chicago.

Przez chwilę wszyscy milczeli. Nieco zdezorientowana Jodie spoglądała na swoich nowych przyjaciół, którzy spokojnie czekali na jej decyzję.

Postanowiła podejść do problemu na swój sposób.

— Tim, jeśli nawet to wszystko jest prawdą, co ja mam do tego?

— Cóż — westchnął Tim, lekko unosząc się na krześle — wyobraź sobie, że Fenryder jest twoim szefem.

— Ale... — próbowała zaprzeczyć.

— Tak, wiem, zaraz mi powiesz, że prezesem fundacji jest Walter Skoll. Na jedno wychodzi, ponieważ Walter Skoll to jeden z Wilków Fenrydera.

I Sarah powiedziała jej o miesiącach poświęconych na drobiazgowie śledztwo.

Teksańczyk Walter Skoll zbił majątek na ropie naftowej, kierując Flow Corporation, koncernem z siedzibą w Houston. Firma miała przedstawicielstwa w Europie, przede wszystkim w Norwegii, gdzie kontrolowała Managarm — przedsiębiorstwo specjalizujące się w przewozach morskich.

Od powstania w roku 1867 Flow Corporation rozkwitała dzięki szeregowi „szczęśliwych zbiegów okoliczności”, jak na przykład nagły upadek McNeice Oil Company, najpoważniejszej konkurentki z północnej Luizjany.

Prezes Walter Skoll należał do najbogatszych i najbardziej tajemniczych ludzi w Stanach Zjednoczonych. Jego fotografie nigdy nie pojawiały się w prasie. Z pewnością można by go uznać za przeciwieństwo Donalda Trampa. Kierował interesami z teksańskiego rancza-fortecy, do której nie sposób było się dostać, a której prawie nie opuszczał. Wiedzano tylko, że w roku 1970 podjął decyzję, by z własnego majątku wybudować w sercu Manhattanu fundację sztuki swego imienia, gdzie od niedawna Jodie pracowała jako sekretarka.

Kilka tygodni temu wyjechał z rancza i zamieszkał w aneksie fundacji na wzniesieniach Harlemu.

— Mamy podstawy sądzić — kończył Tim — że szóste piętro fundacji jest miejscem spotkań Wilków Fenrydera. Wiemy, że takie zgromadzenie odbyło się nie dawniej niż minionej nocy.

Słyszając to, Jodie przypomniała sobie to, co mówiła jej Allison, asystentka Neila Garsona: „Możesz chodzić, gdzie ci się podoba, kotku, ale szóste piętro jest zakazane, rozumiesz? Nie masz tam nic do roboty. Zresztą nikomu nie wolno tam wjeżdżać, o ile nie chce wylecieć z pracy w ciągu pół godziny”. O Boże, pomyślała Jodie, czy te przestrogi nie uwiarygodniały podejrzeń jej nowych przyjaciół?

— Patrz — powiedział Tim, który podniósł się, żeby wyciągnąć z kieszeni płaszcz kopertę. — Te zdjęcia zrobiłem dziś w nocy. Widać na nich Skolla wyjeżdżającego z fundacji. Zerknij na jego prawą rękę.

Jodie przekonała się, że ta dłoń rzeczywiście jest w rękawiczce, w przeciwieństwie do lewej. Tim dorzucił jeszcze coś.

— Możesz nie wierzyć w istnienie Wilków Fenrydera, nie możesz jednak zaprzeczyć, że Walter Skoll i jego szóste piętro to bardzo dziwna sprawa.

Miał rację. Poza tajemniczym szóstym piętrzem byli jeszcze ludzie spotykający się nocą w fundacji i te czarne skórzane rękawiczki na prawych dłoniach. Tak, to budziło podejrzenia. Rozmyślając nad tym, Jodie przesunęła czubkiem języka po wargach. Zadawała sobie pytanie: „Czy to możliwe, żeby Fenryder za pomocą czarów pokonał prawa czasu, gdy zdeptał już prawa ludzkie?”

Tim i jego przyjaciele byli o tym przekonani. Ale nagle Jodie stwierdziła, że jej rozum przestał odrzucać ich hipotezę.

— Załóżmy, że to wszystko jest możliwe — powiedziała, wierząc się na krześle. — Czego ode mnie oczekujecie?

— Że pomożesz nam odkryć, co jest na tym szóstym piętrze — odparł Forrest.

— Ja... Nie wiem, czy mogę A nawet gdybym mogła, to

chyba nie chcę podejmować takiego ryzyka. Zabroniono mi tam wjeżdżać i poinformowano, że zostanę natychmiast zwolniona, gdybym przypadkiem... Musicie zrozumieć, że ta praca jest mi naprawdę potrzebna.

— Nie szkodzi — powiedziała Sarah, siląc się na uśmiech.

Podenerwowana Jodie spojrzała na zegarek.

— Przykro mi. Na mnie już czas. Za pół godziny odjeżdża ostatni pociąg do Stamford. Muszę zdążyć. — Po chwili dodała jeszcze: — Mam nadzieję, że nie macie do mnie żalu.

— Skądże! — uspokoił ją Tim. — Odwiozę cię do domu.

Wstał, a Forrest natychmiast zaproponował:

— Jeżeli nie masz ochoty jechać do Stamford, wezwę dla Jodie taksówkę i zapłacę za kurs.

Tim pokręcił głową, a Sarah obrzuciła go ironicznym uśmiechem, którego znaczenie było dla niego jasne.

— Sarah, oglądasz za dużo seriali — powiedział. — Czas trochę dorosnąć. Skończ już z *Dallas*.

Sarah miała gotową replikę, ale zachowała ją dla siebie. W gruncie rzeczy cieszyła się z tego, co widziała.

Tim opowiada Jodie, co wydarzyło się w Chicago

Opuścili Brooklyn autostradą 278. Tim miał niebieskiego forda taurusa i sprawiał wrażenie dobrego kierowcy.

Z czarnego nieba padał topiący się śnieg. Monotonny szmer wycieraczek był dla Jodie ukojeniem po tym, co usłyszała od nowych przyjaciół.

Najpierw gawędzili z Timem o różnych sprawach, nie zwracając uwagi na radio i komunikaty o spadku temperatury, którego należało się spodziewać nazajutrz.

Gdy znaleźli się za miastem, Jodie nawiązała do rozmowy o Wilkach Fenrydera. Interesowało ją, co sprawiło, że Tim i jego przyjaciele zaangażowali się w to ryzykowne przedsięwzięcie.

— Wiesz, o czym jestem przekonany? — powiedział, wzruszając ramionami. — Mężczyzna określa się poprzez to, co chce odpokutować, a kobieta — co chce ocalić. Mężczyzna i kobieta są w innej relacji do grzechu. Kobieta stara się go unikać, mężczyzna naprawić. W ten sposób pytam niejako, co pragnie ocalić Sarah. Świat? Nie. Jest zbyt rozległy i absurdalny, nawet dla tak ambitnej dziewczyny jak ona. A zatem co? Może siebie.

Na tę myśl uśmiechnął się.

— Tak, może siebie.

— A ty? — zapytała Jodie. — Z tego, co powiedziałaś, skoro jesteś mężczyzną, musisz mieć jakiś grzech do odpokutowania.

Zerknął na nią z ukosa.

— Chodzi o mojego brata Kevina — powiedział i znowu wbił wzrok w drogę.

— Masz brata? Czy on też mieszka w Nowym Jorku?

— Nie — westchnął Tim. — On... Został w Chicago. Wiesz, kiedy cię zobaczyłem, miałem wrażenie, że stoi przede mną Kevin... Masz piegi i dołeczki takie same jak on. To... niesamowite.

Zamilkł na chwilę, zanim podjął opowieść:

— Jako chłopcy, w Chicago, byliśmy nierozłączni. Był ode mnie starszy zaledwie o półtora roku. Ludzie uważali, że jesteśmy bliźniakami. Dzieliło nas tylko jedno: dar, który pozwalał mi czuć różne rzeczy dzięki dłoniom.

— Jakie rzeczy?

— Fale, wibracje... Odkryłem tę moc, kiedy miałem około trzynastu lat, zupełnie przypadkowo. Przechodziłem z Kevinem

obok pola niejakiego Strauba. Zobaczyliśmy, jak on i Jack, jego syn, chodzą po tym kawałku ziemi, szukając źródła wody, które było gdzieś pod ich stopami. Kopali już w kilku miejscach, ale bez skutku. Straub kłął na czym świat stoi. Nie wiem, co mnie napadło. Zboczyłem z drogi i ruszyłem przez pole. Ta woda jakby mnie przyciągała. Zatrzymałem się dokładnie tam, gdzie wibracje były najsilniejsze, i krzyknąłem do Straubów, żeby tam kopali. Ojciec Straub obiecał, że mi zapłaci, jeżeli mówię prawdę, a skopie tylek, jeśli się z niego nabijam. Byłem taki pewny siebie, że pomogłem im kopać. Nie musieliśmy się długo męczyć, ponieważ wkrótce woda trysnęła dość silnym strumieniem. Wywarłem na Straubie ogromne wrażenie, zapłacił mi zgodnie z obietnicą. Kevin chyba nigdy nie był ze mnie taki dumny jak wtedy.

Na jego oświetlonej odbłaskiem z tablicy twarzy pojawił się melancholijny uśmiech.

— I tak zacząłem zarabiać. Wskazywałem sąsiadom źródła wody, znajdowałem zagubione rzeczy. W końcu to stało się moim zawodem. Różdźkarstwo. Barbarzyńska nazwa zupełnie naturalnej działalności. Kevin wstąpił do policji. To był jego sposób na szukanie źródeł i zaginionych rzeczy. Okazał się w tej pracy doskonały i dość szybko awansował. Często zdarzało się, że prosił mnie o pomoc. Nie chodziło już o szukanie wody pod trawą na łące, ale rzeczy skradzionych, kryjówek pełnych broni, czasami nawet ludzkich szczątków. Cieszyłem się, mogąc pracować z bratem, chociaż za te godziny nikt mi nie płacił, a mój udział w śledztwach musiał pozostawać tajemnicą. To nie miało znaczenia. Nie potrzebowałem ani pieniędzy, ani reklamy. Otworzyłem specjalistyczny sklep, który przynosił spore zyski. Amulety i horoskopy były poszukiwane przez klientów z kręgu yuppie, a książki o radiestezji szły jak woda, zwłaszcza na Zachodnim Wybrzeżu. Toteż moja współpraca z policją była

bezinteresowna, mimo to absolutnie jej nie lekceważyłem, a Kevin był mi wdzięczny, chociaż bezczelnie nazywał mój butik bazarem dla szarlatanów.

— Szło nam dobrze i dobrze się zapowiadało, aż do tego wieczoru we wtorek, ósmego listopada tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku. Potem zaczęło się...

Chciał powiedzieć „piekło”, ale i to byłby eufemizm.

— Znasz trochę Chicago? — zapytał w półmrocznym samochodzie.

— Słabo — odpowiedziała Jodie.

— Wtedy na północy miasta były tereny niezabudowane, a wokół nich opuszczone budynki niegdyś należące do wojska. To było ulubione miejsce spotkań całej chicagowskiej menażerii, tych niegroźnych i tych agresywnych, punków i skinheadów. Informator donosił Kevinowi, że znajduje się tam nielegalny skład broni. Policja przeczesła teren, ale nic nie znalazła. Kevin był pewien, że jego informator mówił prawdę. W tamten wtorek, ósmego listopada, wybieraliśmy się do restauracji, żeby uczcić jego awans. Kevin został inspektorem w wydziale do walki z gangami w Chicago; szaleliśmy z radości. Jednak przedtem Kevin chciał rzucić okiem na opuszczone budynki. „Chodźmy, to nam nie zajmie dużo czasu” — zapewniał. Okazało się, że nam obu zabrało nasze życie. Kiedy dotarliśmy na miejsce, od dobrej godziny było już ciemno i...

Tim i Kevin wkraczają na niebezpieczny obszar

Kiedy dotarli na miejsce, było już ciemno i Tim wyjął waha-dełko, które przez chwilę kołysało się na jego palcach. Kulka obracała się słabo, co nie wskazywało niczego szczególnego,

przynajmniej w uliczce, na której się zatrzymali, przed ogrodzeniem dawnej bazy wojskowej.

— Czysto — powiedział, reagując na spojrzenie Kevina.

— Dobrze, chodźmy do środka.

Tim z niepokojem spojrzał na budynki, których wysokie, ciemne bryły odcinały się na granatowym niebie.

— Kevin, może lepiej zaczekać, aż się rozwidni.

— Nie bój się, stary. — Kevin wyciągnął latarkę, a drugą ręką dotknął kabury pod marynarką. — Mam wszystko, czego trzeba.

I torował drogę, przeciskając się przez dziurę w siatce, przez którą dostawali się na teren jego stali bywalcy.

Szli po pustkowiu oświetlonym wyłącznie przez księżyc i wkrótce dotarli do głównego budynku. Wojsko przed opuszczeniem tego miejsca zabiło drzwi i okna deskami, żeby do czasu przejścia przez nowych właścicieli zabezpieczyć budynki przed intruzami. Trud okazał się daremny. Nieliczne deski, które znajdowały się jeszcze na miejscu, pokryły obsceniczne rysunki. Pozostałe spłonęły w ogniskach narkomanów i okolicznej chuliganerii. Butelki, strzykawki i prezerwatywy wałały się wokół kilku stert popiołu. Jednak, choć noc była dość ciepła, nie zastali żywego ducha.

Bracia zauważyli szparę w dolnej części drzwi i przez nią dostali się do wnętrza. Kevin włączył silną latarkę.

Znaleźli się w ogromnej sali jadalnej, gdzie temperatura była niższa niż na zewnątrz. Długie stoły, niegdyś starannie zestawione po dwa, teraz leżały poprzewracane i w większości zdewastowane. Powietrze przesączało smród moczu i stęchlizny. W świetle latarki przemykały graffiti, tańcząc po ścianach jak ociekająca wilgocią gadzia skóra.

Tim wyjął wahadełko, które tym razem rozkołysało się w przód i w tył.

— Tu coś jest — powiedział, wskazując drzwi w końcu sali.

Przeszli wzdłuż pomieszczenia, rozgniatając butami odłamki gipsu. Za drzwiami zobaczyli korytarz. Panował tam półmrok, bo przez okienko, w którym wybito szyby, dostawało się światło księżyca. Tu także ściany były spękane i przeżarte grzybem, można by pomyśleć, że pokrywa je gadzia łuska.

Zgodnie ze wskazaniem wahadełka potężne wibracje występowały w prawej części korytarza.

Tim szedł pierwszy, bo zafascynowało go to, co czuł. Był już daleko w holu.

Wahadełko wskazywało na znajdujące się dziesięć metrów dalej schody, które prowadziły do piwnicy. Tim widział w blasku księżyca tylko betonowy podest, pozostałe stopnie ginęły w gęstych ciemnościach.

Tim podszedł bliżej, Kevin był tuż za nim.

Ruch obrotowy wahadełka się nasilił. To, co znajdowało się pod ich nogami, miało większą siłę magnetyczną niż Trójkąt Bermudzki.

— Cholera, co tu się dzieje? — szepnęła Kevin, wydychając kłęby białej pary.

— Rzeczywiście, coś tam jest — szepnęła Tim, nie odrywając wzroku od wahadełka. — Coś dziwnego.

Kulka ze świstem przecinała powietrze. Łańcuszek, na którym była zawieszona, odchyłał się o ponad siedemdziesiąt stopni od pierwotnej pozycji wertykalnej.

Wciąż szli w stronę schodów.

Ruch wahadełka ciągle przyspieszał. Teraz wyglądało jak zabójcza proca. Tim chciał tylko jednego — jak najszybciej je rzucić, ale bał się zranić Kevina albo siebie. Próbował więc oddalić się od schodów, źródła tak potężnych fal, ale wahadełko przyspieszało jak oszalałe. Stało się coś nieprawdopodobnego

— zerwał się łańcuszek. Tim nie zdążył się uchylić — kulka przebiła mu lewe oko, strzaskała łuk brwiowy i rozcięła górą wargę.

Tim zwinął się z bólu. Kevin, który stał przy drzwiach, pospieszył mu z pomocą.

— Tim! Na Boga, Tim!

Oko było wybite, mocno krwawiło, ale krew tryskała przede wszystkim z łuku brwiowego.

— Och! Na Boga! — powtórzył bezradnie Kevin.

Oslaniając oko ręką, Tim wyrwał się bratu. Miał wrażenie, że czaszka rozpadła mu się na setki kawałków, jakby ktoś ją zmiażdżył dziadkiem do orzechów. Tam, gdzie powinno być oko, czuł potworny, palący ból, który pulsował w całej głowie. Drugie oko zareagowało, obficie łzawiąc. Kevin położył mu rękę na ramieniu.

— Spadamy stąd.

— Nie — szepnął Tim. — Nie, nie tak szybko. Ty chciałeś tu przyjść, więc teraz nie będziemy uciekali.

W jego głosie pobrzmiwał gniew.

— Masz rację, źle zrobiłem — przyznał Kevin. — Bardzo mi przykro. Ale teraz chodź, zawiozę cię do szpitala.

Tim przytrzymał go za rękaw marynarki.

— Chcę się dowiedzieć, co mnie tak urządziło. Chcę się dowiedzieć, co jest na dole.

Kevin zerknął na drzwi piwnicy, potem zwrócił oczy na Tima.

— Dobrze, ale ty zaczekasz na mnie w samochodzie i zaraz potem pojedziemy do szpitala.

To były ostatnie słowa, jakie zamienili z sobą bracia, a Tim do dziś wyrzucał sobie, że zmusił Kevina do ich wypowiedzenia.

Krzywiąc się z bólu, zgięty wpół, Tim wyszedł z budynku i dotarł do ogrodzenia, a tymczasem Kevin z bronią w ręku zbliżał się do niknących w ciemnościach schodów, by sprawdzić, co kryje się na dole.

Kevin schodzi do piekła

Serce biło mu jak szalone, czuł się, jakby miało wyrwać się z piersi. Nie miał daru brata, ale podskórnie wyczuwał niebezpieczeństwo.

Niezdecydowany skierował snop światła na wysokie schody.

Ponieważ burmistrz Chicago płacił mu za wtykanie nosa w takie miejsca, nauczył się już panować nad strachem i teraz ruszył w dół, wyciągając przed siebie ręce — lewą z latarką, prawą uzbrojoną w czterdziestkępiątkę.

Jeśli na dole czaił się wróg, to na pewno już wiedział o jego obecności, więc wyobraźnia podpowiedziała Kevinowi, że powinien spojrzeć na sytuację okiem tamtego albo tamtych. Widział jego albo ich ukrywających się gdzieś na dole, widział drgające światło latarki, które omiało ciemności. Widział też tego faceta w dżinsach i kurtce, gdy ostrożnie schodził po schodach. Tak, był bardzo ostrożny, a w drugiej ręce trzymał pistolet dużego kalibru.

Latarka i spluwa były jego. Ten facet na schodach to był on. Kevinowi nie dodało otuchy, że ujrzał się w tej sytuacji.

Próbował powściągnąć wodze fantazji, a skupić się na tym, co widział naprawdę, choć było tego niewiele — betonowe schody ginące w ciemnościach. Serce tłukło mu się w piersi. Nie było sensu się wypierać — bał się jak nigdy w życiu. Mimo to wciąż schodził, jak przystało na odpowiedzialnego glinę, a

jego umysł działał jak samolot prowadzony przez automatycznego pilota. Znał procedury i powtarzał je sobie, osłaniając się nimi jak tarczą: strzelać wyłącznie w obronie własnej, trzymać latarkę skierowaną na podejrzanych nie tylko po to, żeby ich dobrze widzieć, ale także, aby przeszkodzić im w działaniu na jego szkodę poprzez ich oślepienie, a wreszcie — odczytać im ich prawa i tak dalej.

Dyscyplina, trzymanie się regulaminu. Uspokajający automatyzm działania.

Wyobraźnia Kevina uciszyła się.

Mniej więcej w połowie schodów sufit zniknął, a pojawiło się piwniczne sklepienie. Teraz Kevin mógł już swobodnie omiatać snopem światła sporą przestrzeń.

Na wprost zobaczył metalowe drzwi, z których odpadały płyty farby zniszczonej przez rdzę. Przez szparę sączyło się żółtawe światło.

Kevin odetchnął i bezszelestnie zszedł ze schodów, zwracając latarkę i lułę pistoletu na drzwi.

Gdy dzieliły go od nich niespełna dwa metry, światło zgasło.

Czy ktoś usłyszał, jak nadchodzi? Czy ci, którzy tam byli, uciekali innym wyjściem? Nie, niemożliwe. Wiedział, że ta druga ewentualność jest wykluczona, bo tak długo oglądał plany budynku, że w końcu zapamiętał każdy zakątek. Z tego pomieszczenia było tylko jedno wyjście i miał je przed sobą.

Usłyszeli go, tak, a teraz na niego czekali.

Czekali w ciemnościach.

Kevin obliznął usta, a potem wrzasnął:

— Policja! Wychodźcie z podniesionymi rękami!

Nie musiał się już ukrywać. A taki krzyk też wzbudzał strach.

Kopniakiem otworzył drzwi, które z hukiem uderzyły o ścianę.

— Wyłazić! Szybko! — powtarzał, ale jak za pierwszym razem nikt nie reagował.

Po chwili wahania, trzymając broń i latarkę, przekroczył krąg ciemności i zobaczył ogromny magazyn, w którym zostało tylko parę półek na ścianach.

Nagle w świetle latarki zobaczył mężczyznę. Człowiek ten stał pośrodku pomieszczenia i nie poruszał się. Patrzył na Kevina i choć latarka świeciła mu prosto w twarz, nie wydawało się, żeby go oślepiała czy choćby mu przeszkadzała. Nie zmrużył oczu, nie skrzywił się, nie wykonał żadnego gestu. Nie, on po prostu wpatrywał się w Kevina. W jego stalowoniebieskich oczach było tyle życia, co w ślepiach rekina.

— Ej, ręce do góry! — krzyknął inspektor.

Jednak mężczyzna nadal stał nieruchomo i obserwował policjanta.

Był to postawny mężczyzna w dobrze skrojonym garniturze i modnym krawacie, miał szczęki padlinożercy i niebieskie, głęboko osadzone oczy, około metra osiemdziesięciu wzrostu i czterdziestu lat. Białe. Znak szczególny — czarna, skórzana rękawiczka na prawej dłoni, gładko zaczesane do tyłu tlenione włosy.

Nie do takiej zwierzyny łownej przywykła chicagowska policja. Kevin był lekko zdezorientowany. Czy facet przyszedł tu kupić narkotyki? A może był pośrednikiem handlu nieruchomościami i zwabiła go działka na sprzedaż?

— Panie Modin, jesteśmy nieuzbrojeni — oświadczył z niezmałym spokojem mężczyzna o złotych włosach.

Cholera! Sąd znał jego nazwisko?

Kevin odniósł niemiłe wrażenie, że facet czyta w jego myślach.

— Czy my się znamy?

— My znamy niemal wszystkich, panie Modin. — A po chwili milczenia dodał: — Co pan tu robi po służbie?

Bardzo zręcznie przypomniał inspektorowi o tym istotnym szczególe. Gdyby sięgnął teraz po broń, odpowiedziałby za to przed sądem, a prokurator oskarżyłby go z najświętszym oburzeniem.

— To ja jestem tu od zadawania pytań, łebku — zareplikował ostro.

Nie pozwolić się zastraszyć, nawet kiedy nie jest się do końca w porządku. To była jedna z podstawowych reguł postępowania policji w trudnej sytuacji i Kevin trzymał się jej, chociaż tym razem powątpiewał w jej skuteczność.

To, co wydarzyło się potem, potwierdziło jego obawy.

— Radziłbym stąd odejść, panie Modin — powiedział lodowatym tonem nieznamy.

Zimny pot zlał Kevina. Czy słuch go nie myli? Czy ten facet mu grozi? Do diabła! I dotąd nie raczył nawet podnieść rąk!

— Łapy do góry, do cholery! — warknął jeszcze raz, wyraźnie podenerwowany.

Umysł alarmował Kevina, że dotąd nie brał pod uwagę pewnego elementu wypowiedzi mężczyzny, który przed nim stał. Otóż z jego ust już kilka razy padło słowo „my”. Czy było tylko wyrazem swoistej manii wielkości, czy realną liczbą mnogą?

Kevin błyskawicznie obrócił latarkę i broń, żeby sprawdzić pomieszczenie. Zobaczył jeszcze jednego mężczyznę i — do pioruna! — trzeciego. Wszyscy byli elegancko ubrani, stali nieruchomo, patrzyli na niego i mieli rękawiczki na prawych dłoniach.

Za nimi pojawił się czwarty osobnik, o innym wyglądzie bardziej „ludzkim”, a zatem, przynajmniej na pozór — mniej

niebezpieczny. Nosił okulary w złotych oprawkach i przyciskał do siebie teczkę, jakby próbował się nią osłonić.

— Proszę nie strzelać! Jestem adwokatem — rzucił przerażony, kiedy snop światła padł na niego.

Wyglądał na wystraszonego, ale być może nie z powodu wtargnięcia Kevina.

Kevin zauważył pewien szczegół — tuż pod zamkiem teczeki znajdowało się coś małego i błyszczącego, najprawdopodobniej oko ukrytej kamery. Obiecał sobie, że później przeszuka teczkę.

— Panie adwokacie, włącz nam tu światło!

W przeciwieństwie do pozostałych, adwokat usłuchał i podszedł do włącznika. Choć w pomieszczeniu było teraz widno, Kevin czuł się tak samo zagrożony jak dotąd.

Trzej mężczyźni ani drgnęli i wciąż patrzyli na niego przerażająco zimnym wzrokiem.

— Co z nim zrobimy? — zapytał stojący po prawej tego o złotych, zaczesanych do tyłu włosach, jakby Kevin stał się przezroczysty, a jego odznaka policyjna i potężna czterdziestkapiątka nic nie znaczyły.

— Zabawmy się trochę — odparł mężczyzna o oczach jak stal i włosach jak słoma.

I wszyscy trzech ruszyli na Kevina.

To, co wtedy ujrzał, było nieprawdopodobne z punktu widzenia logiki i realizmu, a jednak on to widział.

Oczy trzech mężczyzn rozbłysły piekielną czerwiecią, jakby ich źrenice zamieniły się w rozpalony metal, a ich twarze — o Boże! — zaczęły się przeistaczać w coś zupełnie innego. W coś absolutnie nieludzkiego i dzikiego.

Kevin nagle zapomniał, że — gdyby oczywiście uszedł z życiem — prokurator mógłby postawić go przed sądem,

i opróżnił magazynek, strzelając do napastników. Ogarnięty potwornym strachem, zaczął wyć, uciekając ile sił w nogach ku schodom. Był na szóstym stopniu, gdy go schwytali. Poczul przeszywający ból w lewym kolanie i runął na plecy. Kiedy ciągnęli go do pomieszczenia jak jutowy worek, zobaczył, że jego lewa noga została przy schodach, w kałuży krwi.

Metalowe drzwi zatrzasnęły się.

Dla inspektora Modina świat stał się wyłącznie bólem i krzykiem.

Tim podejmuje śledztwo

Policja znalazła zwłoki Kevina późną nocą, kierując się wskazówkami jego brata.

Zabójcy pastwili się nad młodym inspektorem z niesamowitym sadyzmem, jakby ćwiartując go na kawałki, prowadzili z nim makabryczną grę. Podejrzenie padło na miejscowych nar-komanów, uzależnionych od cracka.

Doszło do aresztowań i zatrzymań, jednak nikt nigdy nie został oskarżony o dokonanie zabójstwa inspektora policji.

Śledztwo utknęło w martwym punkcie, ponieważ nie potraktowano z należytą powagą zeznań Tima Modina, który twierdził, że widział czterech mężczyzn opuszczających teren, gdy ranny w oko czekał w samochodzie na brata. Zgodnie z tymi zeznaniami policja wykonała portrety pamięciowe, które w trzech przypadkach nic nie dały i wylądowały w metalowej szufladzie. Czwarty podejrzany, który pod każdym względem odpowiadał rysopisowi i został rozpoznany przez Tima podczas konfrontacji, okazał się adwokatem i nazywał się Fred Charleston. Miał biuro na Manhattanie i doradzał biznesmenom.

Nie udało się jednak udowodnić, że ów Fred Charleston przebywał w Chicago w dniu zabójstwa Kevina Modina. Alibi przedstawione przez adwokata było nie do obalenia — mocne jak sejf w jego biurze i tak trudne do rozmontowania jak kostka Rubika trudna do ułożenia. A Fred Charleston kolekcjonował kostki Rubika, no i nie na darmo był adwokatem. Zwolniono go i zrezygnowano z dalszych poszukiwań.

W przeciwieństwie do policji Tim nie zapomniał tych twarzy ani dość zaskakującego szczegółu — w noc mordu trzej z czterech mężczyzn mieli na prawej dłoni czarną rękawiczkę. Ten drobiazg wydał mu się znacznie ważniejszy niż trzyczęściowe drogie garnitury, a nawet żółte włosy tego, który wyglądał na przywódcę.

— Sprzedałem sklep radiestetyczny w Chicago — powiedział Tim, gdy wraz z Jodie wjeżdżał już do Stamford — i zostałem gliną. Na swój własny sposób.

Zawód prywatnego detektywa w Nowym Jorku nie miał w sobie jego zdaniem nic romantycznego. Trzy czwarte czasu trzeba było poświęcać na banalne śledztwa finansowe zlecone przez przedsiębiorców, którzy słusznie albo bezpodstawnie uważali się za ofiary szpiegostwa przemysłowego. Pozostałe sprawy dotyczyły sporów rodzinnych — niepłaconych alimentów, śledzenia podejrzanych o zdradę, kwestii prawa do opieki nad dziećmi, a czasem nawet psem... Zleceń nie brakowało, a Tim miał okazję poznać wiele osób. Zwyczajnych, a także tych, którzy mieli kartoteki grube jak encyklopedia.

Policja dotarła tropem adwokata do Nowego Jorku i dlatego tu przeniósł się Tim, żeby przeprowadzić własne śledztwo.

Jego wuj Todd, który miał dom, *brownstone*, na Brooklynie, zaproponował mu wspólne mieszkanie. Tak było już od pięciu lat.

— Kto nie zna wuja Todda, nie ma pojęcia, czym jest dobroć — wyznał Tim, wpatrując się w drogę.

Wuj nie tylko go przyjął, ale i wspierał w poszukiwaniach, jak prawdziwy mecenas prywatnego wymiaru sprawiedliwości. Kiedy okazało się, że Fred Charleston jest renomowanym adwokatem sfer biznesowych, Tim i Todd na zmianę obserwowali gabinet Charleston & Parker, licząc, że natrafiana ślad któregoś z mężczyzn widzianych w jego towarzystwie tamtej nocy.

Przez wiele miesięcy ich wysiłki były bezowocne, ale pewnego wieczoru wuj Todd zobaczył, jak do biura wchodzi mężczyzna, który ma na dłoni czarną skórzaną rękawiczkę. Zrobił mu zdjęcie polaroidem, gdy tamten po blisko godzinie opuszczał gabinet.

Tim ustalił, że mężczyzna nazywa się Walter Skoll, że pojawia się nader rzadko i jest bardzo bogaty, a przy Piątej Alei znajduje się jego fundacja sztuki. Skoll nie należał do grona morderców Kevina, ale był do nich piekielnie podobny. Nie zabawił w Nowym Jorku długo — dwa dni po rozmowie z adwokatem wrócił na swoje teksańskie ranczo.

W tym czasie, dokładnie nazajutrz po pojawieniu się Skolla, wuj Todd doznał w drodze do domu ataku. Przez kilka tygodni leżał w szpitalu, a Tim samotnie kontynuował śledztwo, dzieląc czas między chorego wuja i kilka bieżących spraw — kradzież patentu, spór o opiekę nad dziećmi i tak dalej, choć znacznie ograniczył przyjmowanie zleceń.

— Chciałem trochę powęszyć w Teksasie — opowiadał Jodie — ale z powodu choroby wuja Todda wolałem odłożyć to na później.

Wkrótce, mniej więcej siedem lat po śmierci Kevina, do gabinetu Charleston & Parker ktoś się włamał. Ci „szaleńcy” (słowa Freda Charlestona) wpadli na pomysł, żeby unieść ciężką

renesansową tapiserię, na której przedstawiono Akteona pożeranego przez psy, i znaleźli pod nią pancerny sejf. Ponieważ nieszczęścia zwykle chodzą parami, udało im się włamać do sejfu i wyjść, nie powodując włączenia alarmów, na które kancelaria Charleston & Parker wydała miliony.

Po tym włamaniu Fred Charleston postanowił palnąć sobie w łeb.

Rozeszły się pogłoski o znalezieniu wśród tajnych dokumentów czegoś w rodzaju *snuff movie* długości dwóch i pół minuty. Jeden ze *snuff movie* rozgrywał się gdzieś w Chicago...

Tim bardzo szybko zrozumiał, że adwokat potajemnie sfilmował śmierć jego brata, prawdopodobnie chcąc się zabezpieczyć przed tajemniczymi klientami w prawej rękawicze, na wypadek gdyby stało mu się coś złego.

Zwykła „ostrożność” zwróciła się przeciwko adwokatowi, ponieważ po kradzieży filmu stało się dla niego oczywiste, jaki los zgotują mu klienci, kiedy usłyszą o jego „zabawie”.

Tim nigdy nie zdołał ustalić, co stało się z filmem ani kto ukradł go z kancelarii Charleston & Parker, choć docierały do niego głośne plotki o pewnym wpływowym człowieku ze świata przestępczego, który był zamieszany w ten napad, a przynajmniej pośrednio kontaktował się z włamywaczami.

Tim pokazuje swoją twarz

Kiedy Tim zakończył opowieść, byli już w Stamford, przed kamienicą, w której Jodie wynajmowała mieszkanie. Tim zaparkował i wyłączył silnik.

Jak powiedział, jego brat Kevin został w Chicago. Ściśle mówiąc, na cmentarzu Washington Memory Gardens.

— Tego dnia wiele straciłem: brata, oko i złudzenie, że istnieje sprawiedliwość.

Zdjął czarną aksamitną przepaskę i spojrzał na Jodie. W świetle latarni zobaczyła, że gałka oczna wciąż jest w oczodole.

— W szpitalu nie pozwoliłem jej usunąć. Pewnie uważasz, że makabrycznie wyglądam?

— Nie, wcale — szepnęła, uśmiechając się łagodnie. Za to ten młody lekarz, Kyle, ze swoimi beznadziejnie pyzatyimi, czerwonymi policzkami, wydawał się jej ohydny. Tim pochylił się i pocałował ją.

— Chciałbym cię o coś zapytać — powiedział.

— I prosisz mnie o pozwolenie? — rzuciła z przekorą.

— Nie. Chciałbym, żebyś odrzuciła naszą propozycję.

— Nie miałam zamiaru jej przyjmować. Już ci mówiłam, mnie... Mnie naprawdę ta praca w fundacji jest teraz potrzebna. Wiem, że to niezbyt moralne, i bardzo mi przykro.

— Nie powinno ci być przykro, nie ma powodu.

Tim rzeczywiście przyjął tę decyzję z ulgą. Jodie wydawała mu się zbyt krucha i wrażliwa, żeby stawić czoło choćby jednemu z Wilków.

DZIEŃ CZWARTY

Sobota 13 grudnia

Jodie spotyka Waltera Skolla

Ten dzień w fundacji okazał się dla Jodie Stevenson bogaty w wydarzenia.

Do pierwszego doszło, gdy pojawiła się w pracy około ósmej trzydzieści. Wyjaśniła portierowi, że te pół godziny jest jej potrzebne na wykonanie pewnych prac, a Ron Flint, jak zwykle uśmiechnięty, podobnie jak wczoraj i przedwczoraj, nie krył, że współczuje jej takiego szefa i współpracownika, jak ten „głupiec Garson”, i wpuścił ją.

Jodie ruszyła w stronę wind, wcisnęła przycisk i czekała.

Nie zauważyła, kiedy podszedł, i zdała sobie sprawę z jego obecności, dopiero gdy się odwróciła, żeby skinąć Ronowi Flintowi. Drgnęła, jednak on nie zwrócił na nią uwagi. Trzymając ręce w kieszeniach płaszcza, patrzył na pojawiające się nad drzwiami windy cyfry, które wskazywały tempo zjazdu kabiny. Był mężczyzną postawnym, prawie tak wysokim jak Tim, ale dwa razy cięższym. Pod płaszczem, skromnym, ale doskonałej jakości, widać było krawat i trzyczęściowy garnitur. Duża głowa i czarne, głęboko osadzone oczy zdradzały, że jest władczy i wzbudzały respekt.

Serce Jodie zabiło mocniej, bo rozpoznała w nim Waltera Skolla, prezesa fundacji. Wyglądał tak jak na zdjęciach, które pokazał jej Forrest.

Po chwili otworzyły się przed nimi drzwi windy. Jodie wcisnęła się w kąt kabiny, Skoll stanął pośrodku.

— Które piętro? — zapytał, przyglądając się jej.

Odpowiedziała i zobaczyła, że zaprogramował kolejno numery pięć i sześć. Jechał na swoje zakazane piętro.

Wtedy spostrzegła, że na prawej ręce, którą wcisnęła guziki, ma rękawiczkę z pięknej ciemnej skóry, i przypomniała sobie wczorajszą rozmowę z przyjaciółmi. Usiłowała sprawdzić, czy Skoll nosi rękawiczkę także na lewej dłoni, jednak trzymał ją w kieszeni płaszcza.

Między drugim a trzecim piętrem mężczyzna upuścił coś na podłogę, a Jodie pochyliła się i podała mu ten przedmiot. Był to klucz USB, zapis danych informatycznych wielkości palca. Podziękował i nie zwracał już na nią uwagi.

Wysiadła na piątym piętrze, a kiedy winda się za nią zamknęła, odwróciła się i spojrzała na okienko nad drzwiami — wkrótce zabłysła tam cyfra sześć.

Kim mógł być ten wzbudzający niepokój Walter Skoll? Prezesem fundacji lubiącym zabawić się w nowoczesnego Sino-brodego czy może, jak twierdził Tim, wojownikiem opłacanym przez zmartwychwstałego generała Południa? Nie wiedziała, co o tym sądzić, ale na myśl, że znalazła się sam na sam z kimś takim, przebiegł ją dreszcz.

Jednak przy okazji czegoś się dowiedziała — na szóstym piętrze był komputer i ktoś, kto go używał.

Ten pierwszy incydent znalazł epilog dopiero pod koniec dnia. Drugi wydarzył się tuż przed lunchem.

Przedpołudnie upłynęło bardzo szybko. Jodie wciąż przepisywała listy i biegła po piętrach, szukając Garsona, by je podpisywał.

Tuż przed południem, gdy siedziała przy komputerze, do sekretariatu weszła dyrektor generalna Lisa Whittaker. Była to wysoka, rudowłosa kobieta. Tego dnia miała na sobie elegancki beżowy kostiumik.

Jodie oniemiała ze zdumienia, gdy usłyszała, jak Lisa z serdecznym uśmiechem na twarzy mówi:

— Przykro mi, że nie mogłam osobiście wprowadzić pani do fundacji, ale ostatnio miałam natłok pracy. Mam nadzieję, że dobrze tu panią przyjęto?

Drzwi gabinetu Neila Garsona były uchylone, więc wszystko usłyszał i natychmiast zareagował.

— Czy moglibyśmy zamienić kilka słów? — zwrócił się do Lisy Whittaker, wysunąwszy głowę przez drzwi. — Jeśli można, w cztery oczy.

Lisa Whittaker uśmiechnęła się do Jodie, lekko unosząc brwi, jakby chciała powiedzieć „zaraz wracam”, i weszła do gabinetu Garsona, który zamknął za nią drzwi.

Ledwie znaleźli się sam na sam, wybuchnął. Jodie słyszała całą ich rozmowę, zamknięcie drzwi okazało się czystą formalnością.

— Whittaker, zaczyna mi pani grać na nerwach! — wrzeszczał Garson. — Skoro chce pani wojny, będzie ją pani miała. Zrobię wszystko, żeby usunąć panią na najbliższym posiedzeniu rady, ma pani moje słowo. Nie dość, że narzuciła mi pani sekretarkę, której sam nie wybrałem, to jeszcze ma pani czelność przychodzić tu i puszyć się przed moimi drzwiami. Teraz przekonaj się pani, do czego jestem zdolny! Zobaczysz pani!

Lisa Whittaker zmierzyła go od stóp do głów.

— A więc o to chodzi. Dureń z pana, Garson, i nie ja pierwsza

to zauważyłam. Polecenia przysły z góry, decyzja zapadła o wiele wyżej. Jeżeli pan chce, proszę iść pyskować temu, kto ją podjął! I radzę się pospieszyć, on jest teraz u siebie!

Potem Lisa weszła do sekretariatu i znowu uśmiechnęła się do Jodie, nim opuściła pomieszczenie.

Najbliższe godziny były dla Neila Garsona wyjątkowo ciężkie. Popenił dwa błędy, które mogły się okazać fatalne dla jego kariery w fundacji. Wypowiedzenie wojny Lisie Whittaker pod wpływem gniewu było pierwszym z nich. Whittaker należała do przebojowych kobiet, a być może trzymała w rękawie asy, których on raczej nie posiadał. Drugim fatalnym błędem było zarzucenie Lisie Whittaker, że to ona podjęła decyzję o zatrudnieniu Jodie Stevenson.

Senator Marvin March spotyka się z Sarah

— Senator Marvin March przyjmie panią — powiedziała sekretarka, drobna brunetka z koczkiem.

Sarah wstała i poszła za nią długim korytarzem o ścianach w kolorze piaskowym, na których rozwieszono karykatury senatora a to jako mopsa, a to jako molosa. Najwyraźniej March cenił sobie przydomek „Pitbull”, używany zarówno przez przyjaciół, jak przez wrogów, zawsze z podziwem zabarwionym obawą.

Sarah nie była tym zdziwiona. Wiedziała z obszernego materiału, jaki poświęcił mu „Newsweek”, że reputacja człowieka twardego i walecznego była zasłużona, podobnie jak zasłużony był ten wojowniczy przydomek. March Pitbull nigdy nie wypuszczał raz schwytej ofiary, a w ciągu ostatnich trzydziestu lat miał w Ameryce kogo gryźć.

W okresie Watergate adwokat Marvin March, absolwent Harvardu, po raz pierwszy pokazał zęby na scenie życia politycznego. Spośród wszystkich pracowników z komisji pracującej nad usunięciem Nixona ze stanowiska to on okazał się najbardziej zaciekły i dążył do oskarżenia prezydenta nie tylko za aferę „hydraulików”, ale także za wydanie tajnego rozkazu bombardowania Kambodży podczas wojny wietnamskiej.

March z dnia na dzień wyrobił sobie opinię „uczciwego twardziela” i miał ją zachować na zawsze.

W roku 1973 jego sąsiadką z biura komisji była niejaka Hillary Rodham, młoda i błyskotliwa prawniczka po Yale, która nieco później, już jako pani Clinton, została jedną z najpopularniejszych pierwszych dam Stanów Zjednoczonych. Przez wiele dni March i Hillary patrzyli na siebie z ukosa, lecz dość szybko nienawiść wobec Nixona, wynikająca u Marcha z zasad moralnych, a u Hillary z oceny intelektualnej, przemieniła tych dwoje wybitnych prawników w przyjaciół, którzy wzajemnie się cenili i szanowali. Tak było przynajmniej do czasu, gdy małżonek Hillary stał się obiektem zainteresowania komisji w związku z aferą Moniki Levinsky. Zanim do tego doszło, u schyłku lat osiemdziesiątych, Marvin March zrezygnował z kariery adwokata i został senatorem stanu Nowy Jork z ramienia demokratów. Od tego zwycięstwa nigdy nie stracił miejsca w Kongresie ani wiary w zasady moralne i nie zmienił przekonań, choć wypadły mu włosy, a plecy się przygarbiły. To, co wyprowadzało go z równowagi, gdy miał trzydzieści osiem lat, drażniło go nadal po siedemdziesiątce — kłamstwo, korupcja, wszystko, czym gardził i co budziło w nim wciąż tak samo zacieklego Pit-bulla.

Jednym z jego najszerzej znanych posunięć było niewątpliwie

poparcie demokracji, senatora Joego Liebermanna, gdy ten przed kamerami telewizyjnymi oskarżył prezydenta Clintona o niegodne postępowanie i kłamstwo w tak zwanej Monicagate. Nie trzeba dodawać, że tego dnia Marvin March zyskał także szacunek republikanów. „Uczciwy twardziel” czy „Pitbull”, jak nazywano senatora, zawsze trzymał się swoich zasad, choćby kosztem własnej partii, czy chodziło o aferę „hydraulików”, czy splamioną togę. Lecz ci sami republikanie, chcąc podgryzać łydki prezydenta Busha syna, oczywiście natychmiast zapomnieli o wielkim szacunku wobec Marcha.

Sekretarka zapukała do drzwi gabinetu, otworzyła je i odsunęła się, by przepuścić Sarah.

Twoja kolej, dodała sobie otuchy, podchodząc do biurka.

Senator rozmawiał przez telefon. Wyglądał tak samo jak w mediach — niezbyt wysoki, dość szczupły, zupełnie łysy. Gestem ręki zachęcił Sarah, żeby usiadła w jednym ze stojących na wprost niego skórzanych foteli. Tego właśnie nie znosiła — czekać jak kukła, zastanawiając się, czy zechcą cię wysłuchać. Na szczęście senator wkrótce zakończył rozmowę i odłożył słuchawkę.

— Słucham, panno Widar. Zanim jednak przedstawi mi pani przyczyny tej „niecierpiącej zwłoki” rozmowy, jak to pani nazwała, proszę dla naszego obopólnego dobra, żeby od razu przeszła pani do rzeczy. Niestety, nie mam czasu do stracenia. Słucham, proszę mówić.

To był cały March. Bezpośredni, nieco obcesowy. Dlatego postanowiła zrezygnować ze wstępów, zostawiając je na inny dzień, a senator sięgnął po akta leżące na biurku.

— Panie senatorze, jako przewodniczący senackiej komisji do spraw sekt satanistycznych, na pewno słyszał pan o organizacji Fenrydera.

Czekała na jakieś potwierdzenie, jednak na jego pokrytej zmarszczkami twarzy nie drgnął żaden mięsień.

— Mamy poważne powody podejrzewać — podjęła po chwili — że ta tajna organizacja ma jedną ze swoich baz w Nowym Jorku.

— Jacy „my”? — burknął, nie odrywając oczu od dokumentów.

— Ja i moi przyjaciele.

Sięgnął po leżące przed nim pióro i poprawił błąd interpunkcyjny w tekście.

— Panno Widar, coś takiego jak przyjaciele nie istnieje.

— A jednak ci moi są prawdziwi... i można na nich polegać.

— Ale na ich informacjach nie można polegać.

— Na pańskim miejscu nie zakładałabym się o to, panie senatorze.

Senator spojrział na nią sceptycznie i poprawiając kolejny błąd, odparł:

— Po pierwsze, nie lubię zakładów. Po drugie, nie ufam nawet własnym przyjaciółom. I wreszcie: nie mam czasu do stracenia. I mam wrażenie, że te trzy kwestie nas różnią, panno Widar. Przykro mi, że fatygowała się pani na próżno, a raczej tylko po to, żeby dojść do tego wniosku. Z pewnością ktoś na panią czeka, więc nie zatrzymuję. Do widzenia.

Sarah wstała i uderzyła ręką w blat biurka.

— Do tej listy może pan dodać czwartą różnicę, senatorze March. Zawsze sprawdzam informacje. Zawsze. I pan powinien zrobić to samo, ponieważ Fundacja Waltera Skolla wygląda mi na ostoję Wilków w środku Nowego Jorku.

A potem odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę drzwi. Usłyszała za sobą:

— Panno Widar, niech pani usiądzie. Proszę, niech pani usiądzie.

Stary senator podniósł głowę, odrywając się od dokumentów. Znowu wskazał jej fotel, na którym przed chwilą siedziała.

— Bardzo proszę — powtórzył, a gdy siadała, dodał: — To, co pani teraz usłyszy, musi pozostać w tych czterech ścianach. Czy może mi pani to obiecać?

Sarah obiecała.

— Dobrze. Komisja senacka, której mam zaszczyt przewodniczyć, została powołana, by rozpoznać sekty satanistyczne działające w kraju i określić zagrożenie z ich strony. Jak zapewne pani wie, komisja powstała na skutek tajemniczych mordów w Tusitali w Luizjanie. Wiem od asystentki, że była tam pani, gdy rozegrały się te dwa dramaty. Nie będę zatem przypominał pani, co wydarzyło się na pływalni w tym miasteczku i potem w położonej na wzgórzach posiadłości Baldwinów. Prawdopodobnie nie wie pani jednak, że tej samej nocy, po odkryciu zbrodni w posiadłości, w pobliskich lasach znaleziono jeszcze sześć ciał, o czym władze nie poinformowały dziennikarzy. Zginęło dwóch agentów DEA i czterech ludzi niejakiego dziesięć-trzyznaście, czyli Colina Tyrona. Wszystko wskazuje, że agenci federalni próbowali zatrzymać tych osobników i że im się powiodło. Przypuszczano, że potem natknęli się na Wilki Fenrydera.

— Dziesięć-trzyznaście to handlarz narkotyków?

— Rzeczywiście, to jeden z obszarów jego działalności. DEA od pięciu czy sześciu lat usiłuje go dopaść.

— Co robiło czterech jego ludzi w pobliżu posiadłości Baldwinów?

— Mamy podstawy sądzić, że dziesięć-trzyznaście starał się i nadal stara schwytać kogoś z kręgu Fenrydera, żeby dotrzeć do niego samego.

— Czego chce od Fenrydera?

— Z tego, co mi powiedziano, wynika, że to jakaś zemsta.

Sarah przypomniała sobie ludzi, którzy wyprowadzili ją z Central Parku, niewątpliwie ratując jej życie. Ci dziwni aniołowie stróże nie wyglądali na bezbronnych ani niewinnych.

— Panie senatorze, jak pan odkrył, że Wilki Fenrydera stoją za tymi morderstwami?

— Pewien cenny informator przekazał mi kilka miesięcy temu ściśle tajne dokumenty dotyczące działalności Wilków Fenrydera. Jak pani wie, ta organizacja nie jest sektą satanistyczną w ścisłym tego słowa znaczeniu, jednak wolimy traktować ją w ten sposób, żeby prowadzić śledztwo w jej sprawie i w końcu ją unicestwić. W FBI powołano specjalną grupę, która zajmuje się działalnością Wilków, dążąc do wyjaśnienia ich rzekomo nadprzyrodzonych zdolności. Stawką jest bezpieczeństwo kraju.

— Dlaczego więc opinia społeczna nie została o wszystkim poinformowana?

Senator potarł dłonią łysinę.

— Zgodzimy się chyba, że nie każdy uwierzyłby w takie rzeczy, prawda? W ludzi zdolnych zmaterializować przed ofiarą jej najgorszy koszmar...

— Mimo to panu by powierzono.

— Być może. Wolimy jednak poczekać i unieszkodliwić ich wszystkich, a dopiero potem rozpowszechnić wiadomości za pośrednictwem mediów. Za wszelką cenę należy zapobiec panice. Mam nadzieję, że panią uspokoję, dodając, iż trwają przygotowania do aresztowań i powstają już plany operacji. Rozumie pani, że nic więcej nie mogę powiedzieć.

Stary senator oparł się wygodnie, kładąc przedramiona na podłokietnikach.

— A teraz — podjął — kolej na panią, panno Widar. Co pani wie o Wilkach i ich generale? Co dokładnie pani o nich wie?

Sarah uświadomiła sobie, że teraz nie może popełnić błędu. Jeśli stary senator uzna przedstawione przez nią informacje za nieinteresujące, to będzie musiała pożegnać się z nadzieją na poważną współpracę z wymiarem sprawiedliwości. Po chwili namysłu powtórzyła to, co Forrest, Tim i ona powiedzieli przy kolacji Jodie, a co stanowiło podsumowanie ich wiedzy na temat Fenrydera i jego zbirów. Gdy mówiła, senator ani razu nie sięgnął po pióro, a to było raczej złym znakiem.

— To wszystko? — zapytał, kiedy zamilkła.

— Nie mamy wielkich uszu NSA — odparła.

— W tej kwestii jesteśmy zgodni, a to już podstawa do stwierdzenia, że w tej sprawie prywatne śledztwo nie ma sensu. Szczerze doradzam trzymać się od tego z daleka. Nawet sobie pani nie wyobraża, jak wielkie zagrożenie stanowi Fenryder. Pani... „informacje” są zbyt skąpe, by mogły się nam przydać, ale wystarczające, żeby narazić panią i jej przyjaciół na niebezpieczeństwo. Proszę natychmiast wycofać się z gry i pozwolić, by zajęły się nią kompetentne służby.

— Ma pan na myśli pogotowie ratunkowe czy zakład pogrzebowy?

— Jeszcze jedna impertynencka uwaga, a wyproszę panią z tego gabinetu, jasne?

Sarah zastanawiała się, dlaczego jeszcze tego nie zrobił. Prawdę mówiąc, tracił przez nią czas. A może spodziewał się, że powie mu coś, czego nie było w aktach sprawy.

— Zaproponuję pani układ — odezwał się. — Proszę się dobrze zastanowić, zanim podejmie pani decyzję. Poda mi pani nazwiska swoich przyjaciół, a ja poinformuję o waszym istnieniu FBI. Dacie mi słowo honoru, że pozwolicie swobodnie działać federalnym zajmującym się sprawą, a ja w zamian... — władczym gestem powstrzymał Sarah, która chciała coś

wtrącić — ...a ja w zamian nie oskarżę was o utrudnianie śledztwa komisji senackiej.

— Proszę uważnie posłuchać, panie senatorze. Podjęłam pewne środki ostrożności na wypadek, gdyby przydarzyło mi się coś złego, muszę pana uprzedzić, że takie oskarżenie zaliczam do tych „złych” przygód. Z ogromnym żalem informuję, że w podobnej sytuacji dokumentacja trafi do najpoważniejszych redakcji w naszym ukochanym kraju. Tyle osób zginęło już w tajemniczych okolicznościach, że historia Wilków z pewnością na długie tygodnie zepchnie z pierwszych stron gazet proces Saddama. Przykro mi, że muszę panu o tym przypominać, ale jestem dziennikarką, i doskonale wiem, jak pracują moi koledzy.

— Cholera jasna! — krzyknął Marvin March, uderzając pięścią w oparcie fotela. — Za kogo się pani uważa?!

Sarah nawet nie mrugnęła okiem. Wiedziała, że teraz znowu panuje nad sytuacją.

— Świetnie! — mruknęła. — W końcu wolno pani narażać życie własne i przyjaciół. Ja panią tylko ostrzegam.

Chcąc wykorzystać chwilową przewagę, Sarah zapytała wprost:

— Czy Wilki z fundacji są śledzone?

— To zbyteczne.

— Czyli macie kogoś wewnątrz — snuła rozważania.

— Przed panią niczego nie da się ukryć — senator uśmiechnął się ironicznie.

Wiedząc, że i tak nie uzyska odpowiedzi, wołała nie pytać o nazwisko wtyczki.

— Proszę nie robić niczego, co mogłoby zaszkodzić naszemu informatorowi, bo uprzedzam, że zadbam o pani karierę i nikt nie zatrudni pani nawet jako magazynierki.

Taką pogroźkę ze strony Marvina Pitbulla Marcha, należało traktować poważnie.

Jodie poznaje szóste piętro fundacji

Późnym popołudniem Jodie miała wreszcie chwilę wytchnienia. Neil Garson wyszedł z fundacji, by wziąć udział w seminarium „Postmodernistyczna komunikacja a intersubiektywizm”. Po raz pierwszy od chwili podjęcia tej pracy cieszyła się, że takie rzeczy istnieją.

Zostało jej jeszcze pół godziny do wyjścia, gdy rozdzwonił się telefon w gabinecie Garsona. Było to połączenie wewnętrzne. Jodie odebrała.

— Gdzie jest Garson? — zapytał spokojny, władczy głos.

Jodie udzieliła odpowiedzi i zapytała, czy ma coś przekazać szefowi. Wówczas, po chwili milczenia, mężczyzna powiedział:

— Mówię z panną Stevenson, prawda? — Cisza. — Spotkaliśmy się dziś rano. — Znowu cisza. — W windzie.

Jodie poczuła, jak dreszcz przebiega jej po kręgosłupie.

— Chciałbym zapoznać się z notą dla prasy. Czy mogłaby pani przynieść mi wydruk?

— Tak... Za chwileczkę.

Czy mogła odmówić?

Odłożyła słuchawkę i westchnęła, spoglądając na zegarek. Ze też ktoś musiał ją wezwać na zaledwie pół godziny przed końcem pracy!

— Dokąd tak biegniesz, kotku? — zapytała asystentka Garsona. — Właśnie przyniosłam ci trochę pracy.

Kiedy Jodie powiedziała, dokąd się wybiera, Allison uśmiechnęła się z politowaniem.

— Coś ci się pomyliło, kotku. Nikomu nie wolno wjeżdżać na górę, a już na pewno nie personelowi pomocniczemu. — Położyła szczególny nacisk na ostatnie słowa i uśmiechnęła się zjadliwie. — Trzeba mieć przepustkę od zarządu, rozumiesz?

Jodie wykorzystała okazję, żeby utrzyć Allison nosa, i zrelacjonowała jej rozmowę telefoniczną sprzed kilku chwil.

— I Walter Skoll wymienił twoje nazwisko?! Do diabła, wyobrażam sobie minę Garsona, kiedy się o tym dowie!

Już mina Allison Weiss dała Jodie przedsmak tego widowiska.

Zostawiła osłupiałą asystentkę Garsona i wezwała windę, z przerażeniem myśląc o polu minowym, przez które przyjdzie się jej przeprawić, by dotrzeć na kolację przy świecach u samego diabła.

Kiedy drzwi rozsunęły się na zakazanym piętrze, pod biedną dziewczyną ugięły się nogi i musiała wziąć się w garść, żeby przejść przez wysłany dywanem hol.

Przed sobą miała drzwi (jedyne na tym piętrze). Widniała na nich tabliczka z brązu opatrzona napisem: „Sala konferencyjna”.

Jodie zapukała. Nikt nie zareagował. Oczekała chwilę, a potem weszła. Zobaczyła ogromną salę zajmującą niemal całe piętro. Królował w niej stół z bardzo ciemnego, szlachetnego drewna biegnący przez całą długość pomieszczenia. Bogato zdobione krzesła kurulne, a raczej fotele z wysokimi oparciami, ustawiono w odstępach trzech metrów od siebie. Jedyne wyjątek stanowiło krzesło przewodniczącego, u szczytu stołu, na wprost drzwi. Różniło się od pozostałych kształtem. Miało wyższe oparcie zwieńczone dwoma łbami wilków wyrzeźbionymi z kości słoniowej. Przed każdym fotelom ustawiono lampę sławnego Gallé w kształcie trzech grzybów z dmuchanego szkła

barwy masy perłowej. Tylko jedna z nich, pierwsza po prawej stronie przewodniczącego, była włączona. Oświetlała sylwetkę siedzącego przy stole Waltera Skolla.

Jodie zwilżyła usta czubkiem języka i ruszyła w jego stronę, starając się ignorować ściskanie w żołądku.

Idąc wzdłuż stołu, uświadomiła sobie, że niepokojącą atmosferę tego pokoju wzmacniał pewien detal architektoniczny — na piętrze nie było ani jednego okna.

Jak w bunkrze, pomyślała Jodie, bliska ataku klaustrofobii.

Zwróciła oczy na czerwone światło, ku któremu szła. Siedzący przy stole mężczyzna zniknął. Jodie ogarnęła pięknymi, pełnymi niepokoju oczyma półmroczne pomieszczenie, ale nigdzie go nie dostrzegła.

Wciąż podenerwowana, dotarła do szczytu stołu.

Na ciemnozielonej skórzanej podkładce leżał zamknięty supernowoczesny laptop, a tuż obok staromodny zegarek.

Nagle usłyszała:

— Czy przyniosła pani notę?

Jodie mimowolnie drgnęła. Mężczyzna stał tuż za nią, emanowała od niego niezwykła siła, co wyczuła już rano i co wzbudziło jej niepokój.

— Tak — szepnęła, podając mu teczkę.

Wziął ją dłonią w rękawicze i nawet nie zaglądając do środka, rzucił obok komputera. Powiedział:

— Osobliwa sala, prawda? — Rozejrzał się wokół, jakby i on po raz pierwszy znalazł się w tym miejscu. — Frank Herbert, architekt, który zaprojektował ten budynek, nie cierpi Nowego Jorku, panno Stevenson. Dlatego go wybrałem. Ja też nie lubię tego miasta. Nigdy go nie lubiłem. Budzi we mnie odrazę.

Jego głęboko osadzone oczy zwróciły się na Jodie, przenikając ją głęboką czernią źrenic.

— Zataiła pani przed nami prawdę — dodał.

Jodie poczuła przejmujący chłód.

— Słucham? — wyszeptała.

— Nie wspomniała nam pani o chorobie matki.

— Och, nie, ja... — wydukała, z trudem łapiąc oddech.

— Jej choroba bardzo nas martwi. Zapewniam panią o naszej szczerzej sympatii. Bardzo podobała mi się biografia generała Kirby'ego Smitha autorstwa pani matki. Tak, bardzo mi się podobała. Czy istnieją szanse, że stan zdrowia profesor Stevenson ulegnie poprawie?

— Wciąż żywię taką nadzieję, jednak lekarze są dość sceptyczni.

— Rozumiemy.

Usiadł, oparł się łokciami o stół, a palce potężnych dłoni splótł przed brodą.

Wtedy oczy Jodie oderwały się od oczu Waltera Skolla i zatrzymały na jego rękach. Doznała wstrząsu. Lewa dłoń Skolla była bez rękawiczki, prawa — jak mówił Tim i jego przyjaciele — była w czarnej skórzanej.

Jodie zagryzła dolną wargę, żeby ukryć zdenerwowanie.

Mężczyzna wskazał lekkim ruchem palca na zegarek.

— Pani dzień pracy dobiegł końca. Proszę szybko jechać do matki, a gdyby zaszły jakieś zmiany, poinformować nas o tym.

Podziękowała, z ulgą opuszczając tego dziwnego mężczyznę i zbyt dużą, mroczną salę.

Kiedy obejrzała się w połowie drogi do drzwi, zobaczyła, że przyniesiony przez nią tekst wylądował w koszu na śmieci, obok krzesła Waltera Skolla, który wciąż siedział podparty łokciami i nie spuszczał jej z oka. Przyspieszyła kroku, przekonana, że nota prasowa była tylko pretekstem. Telefonując,

Walter Skoll doskonale wiedział, że nie zostanie Garsona, pod którego nieobecność odbierze Jodie. To z nią chciał rozmawiać. Przypomniała jej się poranna sprzeczka Lisy Whittaker z Neilem Garsonem. Teraz była już pewna, że pracę zawdzięcza biografii Kirby'ego Smitha, którą jej matka napisała piętnaście lat temu.

Było też jasne, że Waltera Skolla nie obchodziło, co dzieje się na niższych piętrach, a już na pewno nie interesowały go wystawy sztuki współczesnej, które prezentowano w fundacji. Pracował w bunkrze, trzydzieści metrów nad ziemią, i ignorował Nowy Jork, choć był w jego sercu. Ale co tu robił? I kogo miał na myśli, mówiąc „my”?

Senator Marvin March rozmyśla

Po wyjściu Sarah senator Marvin March długo siedział w zamyśleniu.

Potem wyjął zaproszenia na wystawę Forresta Magnusa z szuflady, do której wrzucił je parę dni temu. Otrzymywał zaproszenia na wszystkie nowojorskie wernisaże, gdzie spędzał czas w towarzystwie burmistrza i gubernatora — który był zresztą jego starym przyjacielem i teściem — Edgarda Prospero, i razem z nimi jadł *petits fours* i pił szampana.

Po tym, czego się dowiedział, był przekonany, że tym razem będzie zdecydowanie inaczej.

Wernisaż zaplanowano na środę siedemnastego grudnia, a więc za niespełna tydzień.

Czy wszystko będzie gotowe na czas? — zastanawiał się z niepokojem. Odpowiedź brzmiała: tak. Tak, ponieważ przygotowania szły w dobrym tempie, i tak, ponieważ trzeba

było zdążyć. Właśnie podczas wernisazu miała się zacząć operacja. To był idealny moment na silne uderzenie, jak go zapewniano. Ściśle współpracował z FBI, które codziennie przekazywało mu najnowsze informacje. Lepiej by było, gdyby przewodniczący komisji sprawował pełną kontrolę nad przebiegiem akcji. Oczywiście, pozostało jeszcze wiele szczegółów do uzgodnienia. Nie wolno było przeoczyć żadnego, choćby na pozór banalnego drobiazgu, i dlatego senator przekonał Sarah, by dzwoniła do niego zawsze, gdy ona i jej przyjaciele (prawdę mówiąc, zaradni) odkryją coś nowego w sprawie Wilków Fenrydera.

Tak, wszystko zaczynało się układać i stary senator po raz kolejny obiecał sobie, że nie wystawi na szwank reputacji, na którą pracował przez długie lata. Nie podda się, dopóki nie rozwikła tej sprawy.

Zerknął na tarczę pięknego, złotego cartiera. Dostał ten zegarek na siedemdziesiąte pierwsze urodziny od Dolores. Do następnego spotkania zostało mu jeszcze pięć minut. Westchnął, zmęczony, i ogarnął spojrzeniem duże biurko, na którym królowało zdjęcie jego młodej żony. Świeżość dwudziestu dziewięciu lat i uroda były najlepszym remedium na ogarniające go zwątpienie i zmęczenie. Niedawno udało mu się przeżyć wszczepienie bajpasów, więc dokładnie uświadomił sobie wartość życia i zalety młodości. I wiedział, że są bezcenne.

Jeszcze nie tak dawno obok fotografii Dolores stała inna — zdjęcie syna z pierwszego małżeństwa. Eliot był o dwa lata starszy od niej, jednak senator nie oczekiwał już, by kiedykolwiek dorósł.

— Paskudny dzieciak — wycedził przez zęby, nie kryjąc po tępienia.

Od lat byli skłóceni.

Eliot nigdy nie starał się zrozumieć ojca, a i tak już trudne relacje zaostrzył, okazując mu nienawiść. Nie przyszedł na ślub, nie przysłał nawet kwiatów ani życzeń. Dolores mu wybaczyła, senator nie. Kielich już dawno był pełen po brzegi. Pownowne małżeństwo tylko uświadomiło mu ten fakt.

Stary senator zadrżał. Co robi teraz ten wyrodny syn? Gdzie obnosi się z goryczą, która tak długo sztucznie podsycana zatraciła wszelką moc?

Eliot przemienił się w jego zacieklego wroga. I w niechętną mu mierność.

Senator nie obawiał się go, był po prostu zmęczony konfliktem. Eliot już tyle razy zarzucał mu, że nie było go, gdy on i jego matka go potrzebowali, że nigdy się nimi nie zajmował, i senator w końcu zrozumiał, że synowi brak dojrzałości, która pozwoliłaby mu znieść własne porażki, i że dlatego używał ojca jako wymówki i usprawiedliwienia.

Obrócił fotel i spojrzał w ciemne niebo.

Zima mu nie służyła, musiał przyznać, masując kark. Chłodne, pochmurne dni przypominały mu o starości i o śmierci, która już na niego dybała.

Ale Pitbull mimo wszystko musiał wytrzymać do wernisazu.

Tim jedzie z Jodie do szpitala

Tim czekał przed biblioteką publiczną przy jednym z kamiennych lwów, które strzegły wejścia. Wiedział, że Jodie będzie tędy przechodziła, i wkrótce ją zobaczył — miała czerwony, wełniany płaszcz i taki sam beret. Szła za grupą urzędników w garniturach i krawatach. Zszedł ze schodów i ruszył jej na spotkanie.

Uśmiechnęła się na jego widok, uroczyste dołączki pojawiły się na piegawatych policzkach. Ucieszyło ją to spotkanie. Zwłaszcza po rozmowie z Walterem Skollem.

— Zaparkowałem dwa kroki stąd — powiedział. — Chyba że wolisz komunikację miejską.

— Nie wracam prosto do domu. Idę jeszcze odwiedzić matkę.

— Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, mogę pójść z tobą.

Czyżby Tim był aniołem, który przybył z nieba, żeby odmienić ten dzień po wszystkim, co wydarzyło się dziś w fundacji? Zastanawiała się nad tym, przyjmując jego propozycję z promiennym uśmiechem na twarzy.

Poszli do samochodu.

W pewnej chwili chwyciła go za ramię i stanęła przed nim.

— Wiesz, że mnie nie pocałowałeś?

— Masz rację. Nie śmiałem. Jesteś taka ładna, Jodie, tak... Wydajesz mi się niemal nierealna.

— Wyobraź sobie, że ja też powątpiewałam w twoją ludzką realność.

Wspięła się na czubki palców i przywarła ustami do jego warg. Namiętnie odpowiedział na pocałunek i przytulił ją.

— Biedny doktor Kyle — westchnęła, kiedy się rozdzielili, żeby wsiąść do samochodu.

Widząc wyraz twarzy Tima, dodała tonem wyjaśnienia:

— To lekarz, który zajmuje się mamą. Podejrzewam, że jest we mnie zadurzony.

— Cholera. Przeze mnie twoją matkę wyrzucą ze szpitala.

I odjechali, śmiejąc się.

W szpitalu w Stamford wspomniany doktor Kyle pomylił się co do łączących ich więzi.

— Jak się domyślam, przyszła pani z bratem — powiedział, podając Timowi rękę.

— Nie, z przyjacielem — odparła.

Uśmiech, jakim obdarzyła Tima, rozwiął resztki złudzeń doktora Kyle'a.

— Zaczekam tu na ciebie — powiedział Tim. — Chyba lepiej, żebyś poszła do matki sama.

Zostawiła więc obu panów razem i sama wjechała na górę.

Zastała matkę siedzącą na łóżku, ze szczotką do włosów na kolanach. Starsza pani próbowała przejrzeć się w małym lusterku. Rozplecione, siwe włosy opadały jej na ramiona. Lusterko patetycznie drżało w jej ręce.

— Nie mogę sobie poradzić — rzekła smutnym głosem na widok córki.

Jodie usiadła obok niej.

— Podaj mi szczotkę, mamó. Ja to zrobię.

I zaczęła delikatnie rozczesywać długie siwe włosy.

Kiedy skończyła, położyła szczotkę na łóżku, objęła matkę i ucałowała ją.

Próbowała rozmawiać z nią o Timie, ale spojrzenie chorej ucieкло gdzieś w dal. Jodie poczuła ukłucie w sercu — z każdym dniem traciła odrobinę schorowanej matki.

Wzięła ją za rękę i siedziały tak na łóżku, wsłuchane w ciszę, zapatrzone w noc za oknem.

Potem, nie wiedząc nawet dlaczego, Jodie zaczęła opowiadać matce o Wilkach Fenrydera. Streściła ich historię i dodała:

— Tim i jego przyjaciele wydają się tak przekonani o ich istnieniu, że znalazłszy się sam na sam ze Skollem, poczułam strach, mamó.

Nie odważyła się przyznać, że teraz ona także w to wierzyła.

I wtedy stało się coś niezwykłego, na co być może podświadomie liczyła, poruszając ten temat. Margaret Stevenson zareagowała jak dawniej, jakby nagle wyrwała się z pustki, w której więziła ją choroba, i zwracając oczy na córkę, powiedziała:

— Generał Fenryder był diabłem, potężnym diabłem, Jodie. Nigdy o nim nie pisałam. Zawsze się tego... bałam. Podczas wojny secesyjnej dopuszczono się wielu potworności. Po obu stronach znalazło się wielu łajdaków. Ale on... Nigdy nie rozumiałam, jak można pisać biografie takich postaci jak Hitler, Stalin czy Pol Pot. Przecież przy tej pracy trzeba choć trochę empatii, prawda?

Margaret Stevenson nie mówiła tak jasno i logicznie, odkąd zachorowała. Wstrząśnięta tym Jodie uśmiechnęła się przez łzy.

— Och, mammo... — szepnęła, zarazem smutna i szczęśliwa, kładąc głowę na ramieniu matki.

Kiedy zeszła na dół, Tim pił kawę, czekając na nią w holu. Doktor Kyle nie został, żeby dotrzymać mu towarzystwa. I trudno było się temu dziwić.

— Pogniewasz się na mnie — powiedziała, obejmując go ramieniem.

— Dlaczego?

— Chyba wam pomogę. Tobie i twoim przyjaciółom.

— Naprawdę tego chcesz?

Pokiwała głową, uśmiechając się blado.

— Zdajesz sobie sprawę, że to może być niebezpieczne?

Bardzo niebezpieczne?

Znowu skinęła głową.

— Mógłbym wiedzieć, co cię skłoniło do zmiany zdania?

Opowiedziała mu najpierw o sprzeczce Neila Garsona z Lisą Whittaker i o tym, jak Lisa ujawniła, że o zatrudnieniu Jodie zdecydował sam Skoll. Powiedziała mu także o wizycie na szóstym piętrze, o tym, co tam widziała, o wzbudzającym lęk Walterze Skollu i jego zainteresowaniu uniwersyteckimi badaniami

profesor Stevenson. I wreszcie zrelacjonowała mu rozmowę z matką, która nieoczekiwanie odzyskała pamięć na wzmiankę o Fenryderze.

— Jestem to winna mamie, rozumiesz? Była wybitnym historykiem, chciałyby poznać prawdę.

Forrest zauważa nowy napis: „SAMO is NOT dead”

Spędziwszy kolejny dzień w fundacji, gdzie wciąż trwały prace przy instalacji wystawy, Forrest Magnus pojechał takśówką do Gagosiana w Chelsea, żeby obejrzeć interesującą go wystawę fotograficzną. Opuścił galerię po trzech kwadransach i żeby się trochę przewietrzyć, postanowił wrócić do domu piechotą. Ruszył więc sprężystym krokiem, wciskając ręce do kieszeni palta, bo ten grudniowy wieczór był mroźny.

Skręcił w Dziesiątą Aleję, a po chwili zatrzymał się na Dwudziestej Drugiej Ulicy, zainteresowany napisem na metalowej żaluzji sklepu. Napis głosił: „SAMO is NOT dead”.

Wymalowane czarnym sprayem graffiti dowodziło, że jego autor zna się na sztuce współczesnej, i właśnie to zaintrygowało Forresta. Nawiązywało do malarza Jean-Michela Basquiata, który początkowo rozwijał swój talent na nowojorskiej scenie Graffiti Art i był znany jako SAMO, a w roku 1979 wybrał prezentacje w galeriach i pożegnał się z ulicą, wypisując na fasadach SoHo sławne słowa: „SAMO is dead”. W napisie z Dwudziestej Drugiej Ulicy, hołdzie dla malarza, zachowano nawet znajdujące się pod literą O kółko z literą C, symbol *copyright*, jak zazwyczaj robił SAMO.

Nie po raz pierwszy Forrest zauważył ten melancholijny napis. Od kilku miesięcy można go było zobaczyć w różnych

punktach Manhattanu, a nie tylko na metalowych żaluzjach galerii w Chelsea. Przed dwoma dniami Forrest widział to samo zdanie na boku hummera, którego właściciel bardzo się zdenerwował.

Ktoś, kto zabawiał się w ten sposób, narażał się na poważne kłopoty z policją, zwłaszcza że na ratuszu wciąż widniały wypisane złotymi literami słowa: „Zero tolerancji”. W pewnym sensie doszło więc do sytuacji napis kontra napis i oba walczyły z sobą o dominację na brutalnej ulicy.

Jednak Forrest dostrzegł w „SAMO is NOT dead” coś więcej niż zwyczajny plagiat i znacznie więcej niż głupi akt wandalizmu. Wielokrotna lektura tego zdania uświadomiła mu smutną prawdę własnych przekonań. Tak, wszyscy wielcy artyści, którzy odeszli, przypominali kota Schrödingera — byli zarazem martwi i żywi. Ofiara przedawkowania, Basquiat alias SAMO, nie uniknął tego paradoksu fizyki kwantowej, który stał się oczywistością. Śmierć była trzecią ręką artysty, jak czuwanie wyrażało się poprzez trzecie oko buddysty.

Nie tylko geniusze osiągnęli ten stan nieśmiertelności. Były także duchy. Zjawy, jak Oscar Watts, którego Forrest próbował zamknąć na zawsze na szóstym piętrze swoich wspomnień.

Tego ranka, kiedy Sarah powiedziała mu o spotkaniu z senatorem Marchem, po prostu zapało mu dech w piersi.

— Znasz go? — zapytała, dostrzegając jego wzburzenie.

— Niezbyt dobrze — mruknął, wzruszając ramionami. Ale potem unikał jej spojrzenia, a znając ją tak, jak zdążył poznać, nie wątpił, że przy najbliższej okazji Sarah powróci do tej rozmowy.

Jednak okłamał ją tylko w pewnym stopniu. Wzburzyło go raczej nazwisko Marcha niż wzmianka o samym senatorze. Nigdy się z nim nie spotkał i wolałby, żeby do tego nie doszło.

Natomiast dobrze znał jego syna, Eliota. Tak, Eliot March, ten bogaty dzieciak, który lekcewał wszystkie zasady, miał głowę pełną pomysłów tak niebezpiecznych, jak okaleczenie własnego ojca...

Czy Sarah zdoła kiedyś odkryć, że był kolegą Eliota Marcha? Nie, to niemożliwe, pomyślał Forrest. Solidne drzwi chroniły szóste piętro wspomnień, na zawsze zamykając zjawy, które tam zapędził.

I byłoby lepiej — lepiej dla Sarah — żeby nie próbowała forsować tych drzwi. Tak byłoby lepiej dla wszystkich, myślał Forrest. Zjawy Oscara Watta i Eliota Marcha nigdy nie powinny uwolnić się z szóstego, zabarykadowanego piętra jego umysłu.

Odwracając oczy od napisu w tę zimną grudniową noc, Forrest ruszył w stronę domu.

Na rogu ulicy zauważył taksówkę i postanowił wsiąść.

Sarah odbiera dziwny telefon od dziwnego przyjaciela

Wbrew wszelkim oczekiwaniom Sarah o nic go nie pytała. Prawdopodobnie zapomniała już o jego porannej reakcji i Forrest poczuł, że kocha ją za to jeszcze bardziej.

Z entuzjazmem opowiadała mu o starym senatorze, ale nazwisko March nie drażniło już tak jego uszu, wiedział bowiem, że Sarah nie odkryła sekretów jego przeszłości.

Wspomniała mu także o handlarzu narkotyków 10-13, o którego istnieniu powiedział jej senator.

— Sądzisz, że to jego ludzie... — chciał powiedzieć „uratowali cię”, ale ugryzł się w język — pomogli ci w Central Parku?

— Jestem tego pewna, tak samo jak jestem pewna, że w najbliższym czasie skontaktuje się z nami.

— Po co miałby to robić? — zapytał Forrest.

— Choćby po to, żeby dać nam nauczkę. Poza tym sądzę, że nie spieszył mi z pomocą bez powodu.

— Czego twoim zdaniem od nas oczekuje?

— Informacji, których nie ma. Tak przypuszczam. Wydaje mi się, że chce dopaść Wilki sam. Myli się tylko co do jednego: to zadanie go przerasta.

— Ty też wierzysz, że jesteś w stanie z nimi walczyć — stwierdził rozważnie Forrest, a Sarah uśmiechnęła się pobłażliwie.

— Kochanie, jestem dziennikarką. Wtykam nos, gdzie się da, ale potem zawiadamiam odpowiednie władze.

— Jak choćby Marcha.

— Tak, bo senator ma wsparcie FBI. Uwierz mi, to zupełnie co innego. On wie, co robi. A my nie bawimy się w samotnych rycerzy sprawiedliwości. Dziesięć-trzydzieści ryzykuje, bo mieszając się w tę sprawę, może wpaść we własne sidła i znaleźć się między dwiema walczącymi stronami.

— Mówisz o federalnych senatora Marcha i Wilkach Fenrydera?

Skinęła głową.

— Jeżeli dopisze mu szczęście, wyląduje w więzieniu, jeżeli będzie miał pecha, na cmentarzu.

— Skoro to morderca, dzień w dzień ryzykuje życie. Chyba o tym zapomniałaś.

— Wyciągnął mnie z opresji. To nie znaczy, że go polubiłam, ale...

Około dziewiątej wieczorem jej komórka się rozdzwoniła. Uzyskała potwierdzenie swoich słów.

— Sheep Meadow w Central Parku nie jest moją ulubioną łąką — usłyszała niezwykle pogodny męski głos. Natychmiast domyśliła się, kto do niej telefonuje.

— Szczerość za szczerość — odparła, starając się nie okazać ciekawości. — Matka zawsze podkreślała, że nie należy rozmawiać z nieznanymi mężczyznami. Dlatego pożegnam pana i rozłą...

— Sarah, powiedzmy, że jestem biednym osłem. I nazwijmy go Onyme. To najpiękniejsze z imion.

— Mam nadzieję, że czytuje pan nie tylko Agathę Christie, panie „osle Onyme”.

— Cóż, w takim razie przyjmijmy, że jestem robakiem w Wielkim Jabłku.

— Chyba bujam w obłokach. Wydawało mi się, że Nowy Jork jest miastem zera tolerancji.

— A co to takiego? Pierwszy raz słyszę!

— O Giulianim też pan nie słyszał?

— Moje interesy przetrwały pajacowanie tego makaroniarza. Sarah, podobno często jeździ pani metrem?

— Pańscy ludzie chyba wolą metro od Central Parku?

— Myli się pani. Przekonałem ich do uroków otwartej przestrzeni. Cierpią katusze, gdy znajdują się zamknięci pod ziemią. Ten hałas, skażenia, ciasnota... Na pewno woleliby, żeby jeździła pani autobusami, ale zaciskają zęby.

— Czy zechciałby pan przekazać im, że nigdy nie chodzę potajemnie na bale i nie potrzebuję rycerzy? A poza tym mocno wiązę sznurowadła szklanych trzewików. Nie ma mowy, żebym zgubiła bucik, uciekając.

— Dziwne, bo dano mi do zrozumienia, że jest zupełnie inaczej. Gdy wybija północ, zawsze boję się, że wskoczy pani do pierwszej lepszej dyni!

— Dlaczego pan to robi? — zapytała już poważnym tonem.

— Obiecałem staremu przyjacielowi, który już nie żyje, że będę nad panią czuwał. Powinna pani słuchać rad mamy, Sarah,

i zachowywać się rozważnie. A czy rozważna dziewczyna włóczy się po parku o drugiej w nocy?

— Czyżby podrywał pan moją matkę?

— Łączą nas wspólne interesy, Sarah. Natura, wojna secesyjna.

Nareszcie, pomyślała. Tajemniczy rozmówca najwyraźniej był doskonale poinformowany i wiedział dużo o generale Fenryderze i jego Wilkach.

— Po której stoi pan stronie? — zapytała, żeby mieć czyste sumienie. — Dobra czy Zła?

— Życie to wstęga Möbiusa. Wydaje nam się, że jesteśmy po tej stronie, a kawałek dalej... psiakość! Uświadamiamy sobie, że to ta przeciwna. Musisz wiedzieć, Sarah, że stron po prostu nie ma.

— W takim razie zostaje dobrze pojęty interes.

— I inteligencja. Wkrótce się spotkamy, Sarah.

— Proszę dać mi trochę czasu, żebym zdołała powściągnąć zbyt żywiołową radość.

— Niech mi pani przypomni, żebym opowiedział historię o szczurze i robotniku w kanale. Spodoba się pani.

Powiedziawszy to, 10-13 rozłączył się.

DZIEŃ PIĄTY

Niedziela 14 grudnia

Forrest pracuje w atelier

Czternastego grudnia, w niedzielne przedpołudnie, Forrest przyszedł do pracowni. Znajdowała się ona w Meatpacking District na ostatnim piętrze magazynu z szarego kamienia. Bardzo wysokie i przestronne pomieszczenie było wychłodzone zimą, a latem można się tu było udusić, jednak Forrest czuł się tu dobrze i nie zamierzał szukać innego lokalu, by przechowywać w nim swoje prace.

Plótna o zróżnicowanym formacie leżały na posadzce, stały pod ścianami po pięć albo sześć. Otaczały drzwi, zajmowały wszystkie ściany, od sufitu po podłogę. O miejsce walczyła z nimi ogromna biblioteka z ciemnego dębu, jak tympan w gotyckim kościele. Wypełniały ją setki książek.

Atelier Forresta było jego samotnią, jego kryjówką. Nie pozwalał tu przychodzić nikomu poza jedną osobą, ale nie była nią Sarah, lecz Shirley Zimmer.

I Shirley Zimmer pojawiła się w tę niedzielę.

— Przyniosłam ci coś do jedzenia — oznajmiła, machając torbką z pączkami.

Ciemnowłosa, pełna uroku czterdziestolatka, była jednym z najbardziej respektowanych krytyków sztuki na Wschodnim Wybrzeżu. Poznała Forresta, gdy zaczynał karierę, za pośrednictwem Oscara Wattsa, z którego galerią był wówczas związany, i odtąd zawsze wspierała go długimi mądrymi recenzjami.

W każdą niedzielę około dziesiątej wpadała do niego na chwilę. Nikt o tym nie wiedział, bo lubili utrzymywać spotkania w tajemnicy, jakby byli kochankami.

Jak zwykle usiedli na podłodze, tuż obok siebie, przed dużym płótnem o wymiarach dwa metry na trzy, nad którym pracował Forrest (dział mrożonek przedstawiony w najdrobniejszych detalach), i zjadając pączki, zaczęli rozmawiać o sztuce.

— Shirley, zakładam się o kolację u Jean-Georges'a, że twoi koledzy po fachu nigdy nie zobaczą w *Witrynach* nic poza postmodernistyczną martwą naturą, która zamiast kwiatów, owadów i czaszek, jak to bywało w malarstwie tradycyjnym, ukazuje towary. Malarstwo tego nurtu, powiedzą, i w pewnym sensie będą mieli rację. Bo to prawda, lubię kody malarstwa gatunkowego. Lubię grać regułami. Ale ilu krytyków dostrzeże coś więcej?

— Masz na myśli odbicia?

Każda z jego *Witryn* była ożywiona niemal niewidocznym światłem i odbiciami, które zdradzały obecność ludzi, obecność powszednią, ale zarazem tajemniczą, jak w przypadku owego mężczyzny z pistoletem obok dziewczynki jedzącej lizaka. Albo jak tu — dwojga staruszków, którzy kradli mrożonki i chowali je pod paltami. Żaden z tych detali nigdy nie umknął wyrobionemu oku Shirley.

Forrest zerknął na nią i pokiwał głową.

— Tak, odbicia w moich *Witrynach* pokazują ludzi, emocje, postawy. Ilu odgadnie, że za martwą naturą kryje się portret, a za portretem ulica i pejzaż?

— Rozumiem. *Witryn* nie można redukować do roli martwej natury, chociaż nią także są. Wiesz co? One wszystkie wydają mi się pułapką dla oka.

— Za jednym gatunkiem może ukrywać się inny, a nawet wiele innych. Zawsze mi się to podobało. Sprawą widza jest, czy podejdzie bliżej i spojrzy uważniej.

— Do tego trzeba inteligentnego spojrzenia. I pewnego wyrobienia. Za dużo wymagasz od naszej rozleniwionej epoki.

— Umieć patrzeć to przede wszystkim uwolnić się od przesądów. Ktoś, kto nie lubi martwej natury, zobaczy w *Witrynach* tylko martwą naturę. W tym sensie masz rację: moje *Witryny* to zasadzka. Bardzo lubię ten buddyjski paradoks: „Odbicie jest tobą, lecz ty nie jesteś odbiciem”.

Na chwilę zamilkli, wciąż jedząc pączki i trawiąc myśli, które rzucili. A potem Shirley przerwała ciszę.

— Wiesz, co mnie uderzyło, kiedy chodziłam po zniszczonej podczas serbskich bombardowań bibliotece w Sarajewie? Żdźbła trawy, która zdążyła już wyrosnąć na gruzach. I wtedy zrozumiałam, że życie to tylko chaos, który udaje się lepiej lub gorzej przetrwać, a sztuka to stylizowane uczucie zrodzone z tego triumfu i jego kruchości.

— To znaczy, że traktujesz moje płótna jak urocze źdźbła trawy na rumowisku.

— Forreście, piękno zawsze żerowało na potwornościach Niemości. Pomyśl o grotach Lascaux, o Goi, o van Gogh. Może dlatego nie ma wielkiej sztuki, która, będąc piękną, nie byłaby zarazem niepokojąca. Ale nigdy nie jest odpychająca.

— Chciałbym móc malować aż do śmierci, żeby zawsze mieć okazję do rozmów z tobą.

— Pamiętasz, co powiedziałeś dziennikarzowi, który pytał, czy naprawdę stajesz się nowym Basquiatem?

Pokręcił głową, a Shirley przypomniała mu jego słowa:

— „Miałbym sypiać z Madonną i pozwalać, żeby Warhol na mnie szczął? O nie, dziękuję, to nie w moim stylu”.

Oboje wybuchnęli śmiechem.

— Racja — powiedział po chwili. — Czasami człowiek robi z siebie straszne durnia!

Ale uśmiech szybko zniknął z jego twarzy, na której zagościł smutek.

— Dziwne, że wspomniałaś Basquiata. Od pewnego czasu na Manhattanie pojawiła się zastanawiające graffiti.

— Takie w stylu Basquiata?

— Owszem. „SAMO is NOT dead”.

— Och. — Shirley pokiwała głową.

— Najbardziej niesamowite jest to, że gotów bym dać głowę, że wiem, kto wypisuje wszędzie to zdanie.

— To jakiś zaprzyjaźniony artysta?

— Właściwie nie.

Zamilkł, nie chcąc dodawać nic więcej.

— Tylko mi nie mów, że to dzieło Eliota?

Shirley była jedną z nielicznych osób, które znały historię znajomości Forresta z synem senatora Marcha z okresu, gdy współpracował z galerią Oscara Wattsa.

— Nie, to nie Eliot — odparł z powagą Forrest. — To nie on. Wiesz, że nie byłby w stanie wymyślić czegoś tak wyrafinowanego. Kiedy się pokłóciliśmy, Eliot był zbyt pochłonięty rolą Edypa, żeby zajmować się czymkolwiek poza atakowaniem ojca.

- W takim razie kto?
- Kiedy studiowałem w Akademii Sztuk Pięknych w Chicago, był tam niesamowity gość. Zdolny, ale nie chciał studiować, wolał zacząć pracę w firmie wzornictwa przemysłowego.
- Dlaczego miałby robić te napisy? Prawdopodobnie został w Chicago w swojej firmie.
- W akademii często widywałem, jak szkicował w notesie.
- Co szkicował?
- Właśnie to zdanie: „SAMO is NOT dead”.
- Och — mruknęła Shirley. — W takim razie jest gdzieś tu, na ulicach Manhattanu.
- Może przyjechał do brata. Znasz Erica Wellinga?
- Tego agenta?
- Forrest skinął głową.
- Ale Welling by mi o tym powiedział — dodał po chwili milczenia.
- Dlaczego? Często widzisz się z tym grubym idiotą?
- Wyobraź sobie, że to on pośredniczył między mną a Fundacją Waltera Skolla.
- Przy zakupie serii *Witryn*?
- Właśnie. *Demonami* także on się zajmował.
- To nie przyniosło szczęścia twojemu obrazowi. Po kilku dniach ukradziono go z fundacji.
- Nie wisiał w fundacji, ale w aneksie na Harlemie. Co do Wellinga, to musisz przyznać, że agent nie ponosi odpowiedzialności za kradzież towaru, który sprzedał. Walter Skoll powinien zadbać, żeby lepiej pilnowano tego budynku.
- Tak czy inaczej, jeżeli młodszy brat grafficiarza jest takim gnojkiem jak starszy, to gratuluję znajomości!
- Wydaje mi się, że bracia Wellingowie wcale nie są do siebie podobni. Michael to typ introwertyka.

— Błogosławione niechaj będą święte tajemnice genetyki! — wykrzyknęła Shirley, wstając.

Forrest także się podniósł i razem podeszli do drzwi.

— Wciąż widzisz się z tym facetem z piracką przepaską na oku? — zapytała.

— Z Timem? Tak, dlaczego pytasz?

— Zawsze miałeś dziwnych znajomych. Ten jest trochę przerażający.

— Tim to mój kolega z dzieciństwa. Kiedy mieszkałem w Chicago, spotykaliśmy się niemal codziennie. Ale nie martw się, Shirley. Tim i Sarah, moi przyjaciele, to najlepsze antidotum na takich jak Eliot March, zapewniam cię. Powiedz, co nowego u ciebie?

Shirley Zimmer uśmiechnęła się promiennie.

— Spotykam się z pewnym wydawcą. Wspaniały facet.

— Ten łajdak miał szczęście, że cię spotkał, Shirley.

— Kiedy go poznasz, zrozumiesz, że to do mnie uśmiechnął się los. Tym razem nie zmarnuję okazji.

— Jak się nazywa ten cud?

— Roy. Roy Shane. Wydaje sporo fantastyki w stylu Stanleya Holdera i podobnych. Wiesz, co jest najwspanialsze w spotkaniu szczęśliwego i inteligentnego mężczyzny? To, sprawia, że i ty jesteś szczęśliwa i inteligentna.

— Rozumiem. I bardzo się cieszę twoim szczęściem. Zasługujesz na miłość. Powiedz, przyjdiesz na wernisaż?

Westchnęła.

— Dobrze wiesz, że nie znoszę tłumu. W dziedzinie sztuki jestem monarchistką. Tylko nikomu o tym nie mów!

Stali przy drzwiach.

— Brakuje mi Oscara — powiedział ni z tego, ni z owego Forrest.

— Mnie też. Był wspaniałym marszandem i cudownym człowiekiem. Wiesz, że miał do ciebie słabość? A kochał cię tym mocniej, że widział w tobie geniusza. I nie wolno ci w siebie zwątpić. To byłaby zbrodnia.

— Popeliłem w życiu wiele głupstw, Shirley, i wciąż się tego wstydzę.

— Ale już z tym skończyłeś. Raz na zawsze, prawda?

Forrest nie odpowiedział, tylko zwrócił oczy na stojące w kącie płótno. Ujęła go pod brodę i pocałowała w policzek.

— Byłoby miło, gdybyś przedstawił mi Sarah, a ja tobie Roya. Co robisz dziś po południu?

— Zamierzam wziąć się do pracy — powiedział, wskazując duże płótno pośrodku atelier.

— A wieczorem? Masz jakieś plany na dzisiejszy wieczór?

— Tak, ale gdybym ci powiedział jakie, nie uwierzyłybyś!

— Znowu jakieś głupstwa?

— Owszem, obawiam się, że tak — odparł, obejmując ją.

Forrest i jego przyjaciele zakradają się do fundacji

Dzień był zimny, ale słoneczny. Termometr tak uporczywie krążył wokół zera, że można by go oskarżyć o molestowanie tej cyfry.

Tej niedzieli tajemniczy 10-13 nie skontaktował się z Sarah i nie opowiedział jej obiecanej poprzedniego wieczoru historyjki o szczurze i kanalarzu. Niezwykły telefon odebrał natomiast Tim. Agent pośredniczący w handlu dziełami sztuki, Eric Wel-ling, człowiek, którego Shirley Zimmer nazwała tego ranka grubym idiotą, chciał się spotkać z detektywem nazajutrz po południu.

— Dostałem pana telefon od naszego wspólnego przyjaciela, Forresta — wyjaśnił agent. — Potrzebuję prywatnego detektywa. Zdolnego i dyskretnego. A zdaniem Forresta pan taki jest. Prawda, że jest pan zdolny i dyskretny?

— Przykro mi — odparł Tim — ale nie przyjmuję w tej chwili nowych zleceń.

Chciał poświęcić się wyłącznie polowaniu na Wilki, ale zmienił zdanie, gdy Eric Welling podał mu powód tej rozmowy.

— Tim... mogę się tak do pana zwracać?

— Oczywiście, Ericu — odpowiedział detektyw.

— Świetnie. — Odchrząknął. — Tim, chciałbym pomówić z panem o *Demonach*.

— O *Demonach*? Mówi pan o obrazie Forresta?...

— O obrazie skradzionym we wrześnie przez uzbrojonych bandytów — dodał Eric Welling z lekkim znużeniem w głosie. — Tak, właśnie o tym dziele chciałbym z panem porozmawiać. Moglibyśmy się spotkać jutro, powiedzmy o... — szelest kartek kalendarza — o czternastej.

— Zapewne w pańskiej agencji.

— Nie, wołałbym inne miejsce. Na przykład Most Brooklyński. Będę czekał na chodniku, przy słupie od strony Manhattanu.

— Dobrze. Jutro o czternastej.

I Tim odłożył słuchawkę.

Telefon w niedzielę i wyznaczenie spotkania już na poniedziałek świadczyły o tym, że według agenta sprawa była pilna, jeśli nie nagląca. A co do „głupstw”, które przewidywał na tę niedzielę Forrest, to zaczęły się one tuż po piątej, gdy Jodie zapukała do oszklonych drzwi Fundacji Waltera Skolla. Po chwili Ron Flint wyszedł, by je otworzyć.

Jodie obdarzyła go najpiękniejszym uśmiechem.

— Tak mi głupio — powiedziała już w progu.

— Pewnie wczoraj coś pani zostawiła? — zapytał czarny strażnik, zamykając drzwi na klucz.

Jodie starała się być przekonywająca. Powiedziała, że zostawiła telefon komórkowy, który leży przy komputerze (i była to święta prawda), i że skoro już przyjechała do Nowego Jorku, żeby nacieszyć oczy bożonarodzeniowymi dekoracjami, pomyślała (coś takiego!), iż w drodze powrotnej wpadnie do fundacji.

Ron Flint kiwał głową, trochę rozbawiony, ale wyrozumiały.

— Problem w tym, Jodie, że nie mogę wpuścić pani na górę. Takie otrzymałem polecenia. Wobec zagrożenia terrorystycznego trzeba zachować ostrożność. Oczywiście, nie twierdzą, że jest pani terrorystką, która przeniknęła do fundacji.

Wciąż uśmiechnięty, podrapał się kluczem po głowie.

— Dobrze. Zrobimy tak: pani poczeka w moim pokoju, a ja pójdę po ten telefon. Jeżeli ma pani ochotę na kawę, jest jeszcze gorąca. Proszę się poczęstować.

Podziękowała i ruszyła w stronę jego pokoju, on tymczasem poszedł do windy. Odblokował drzwi, wsiadł do kabiny i znowu uśmiechnął się dobrotliwie do Jodie.

Kiedy drzwi windy się zamknęły, Jodie pobiegła do galerii, wyciągając z kieszeni małą latarkę. Włączyła ją, zanim weszła do ciągu siedmiu ciemnych sal. Bała się, że detektor ruchu uruchomi alarm. Zgodnie z ich obliczeniami, biedny Ron Flint potrzebował trochę ponad cztery minuty, żeby wjechać na piąte piętro, otworzyć drzwi sekretariatu, znaleźć leżący obok komputera telefon, zamknąć drzwi i wrócić na parter. Nie mogła marnować czasu. Wbiegła do ostatniej sali i omiotła ściany snopem światła, szukając wyjścia awaryjnego. Znajdowało się po lewej stronie, a jak powiedział Forrest, alarm przy tych drzwiach został odłączony. Jodie nacisnęła blokadę i pchnęła

drzwi, które można było otworzyć wyłącznie od wewnątrz. Prowadziły na tyły budynku, gdzie czekało już troje jej przyjaciół.

— Masz tylko czterdzieści sekund — powiedział Tim, patrząc na stoper.

Jodie pobiegła do holu.

Była spocona, ale nie tylko z powodu tej szaleńczej gonitwy w grubym płaszczu. Przede wszystkim ze strachu, potwornego, skręcającego trzewia. To, co zrobiła, mogło ją kosztować pracę, a może znacznie więcej, jeśli jej przyjaciele nie mylili się co do Waltera Skolla.

Przejście sal wystawowych zajęło jej pół minuty, a kiedy dotarła do holu, zobaczyła, że winda zjeżdża i jest już na pierwszym piętrze. Wpadła do pokoju strażnika, naląła do kubka trochę kawy, przymknęła oczy i skupiła się na oddechu.

Strażnik stanął w drzwiach.

— Mam pani komórkę — powiedział, jak zwykle uśmiechnięty. — Na przyszłość radzę uważać. Szefowie bardzo dbają o bezpieczeństwo. Ale przy bin Ladenie i innych to przecież nic dziwnego, prawda?

Ron Flint zerknął do kubka, który trzymała w ręce.

— Cholera, nie padła pani po mojej kawie? Zapomniałem uprzedzić, że jest trochę za mocna.

— Przeciwnie, moim zdaniem jest bardzo dobra — powiedziała z przekonaniem.

I unosząc kubek do ust, zrobiła, co w jej mocy, żeby się nie skrzywić, gdy poczuła gorzki smak napoju. Gdy odzyskała już telefon, wskazała ścianę monitorów.

— Ma pan na oku całą fundację.

— Niestety, nie całą. Tylko parter. Dlatego nie wolno mi nikogo wpuszczać na górę.

Z banalnych na pozór rozmów z Ronem Flintem Forrest wiedział o tym niezwykle istotnym fakcie. Wraz z Timem doszli do wniosku, że w tej sytuacji, kiedy uda się rozwiązać kłopotliwy problem holu, poruszanie się po budynku będzie już dziecinną igraszką.

Jodie wrzuciła pusty kubek do kosza na śmieci.

— Nie będę dłużej przeszkadzała. Jeszcze raz dziękuję, Ron.

— Cała przyjemność po mojej stronie — odparł uśmiechnięty od ucha do ucha.

Przekręcił klucz w zamku i otworzył drzwi.

— Do jutra, Ron — powiedziała, wychodząc na dziedziniec.

Wyszła przez furtkę, okrążyła fundację i zapukała do drzwi, przy których czekali jej przyjaciele.

— Brawo, Jodie — szepnął Tim, gdy była już w środku. — Chodźmy, czekają na nas w pierwszej sali.

Po drodze przyświecali sobie latarką, świadomi, że celowo uszkodzone systemy ochronne nie uruchomią alarmu. Sarah i Forrest podejrzliwie rozglądali się po oświetlonym holu.

Strażnik nie widział ze swego pokoju galerii, nie pokazywały jej także monitory. Ci, którzy projektowali system bezpieczeństwa w budynku, sądzili zapewne, że instalacje alarmowe w salach wystawowych są wystarczające, więc oszczędzali na kamerach i skupili je w holu, gdzie wytropiłyby nawet mysz. Sarah stwierdziła, że system zabezpieczeń odzwierciedla prawdziwą naturę fundacji, która tylko z pozoru jest centrum sztuki, a w istocie rzeczy — kryjówką Wilków. Ochrona dzieł była drugorzędna, najważniejszy stawał się hol, newralgiczny punkt budynku, miejsce, z którego można było dotrzeć windami na piętra — na wszystkie piętra.

Nocą windy blokowano, a na górę można było się dostać wyłącznie schodami usytuowanymi nieco z boku, dokładnie na

wprost pokoju strażnika. Należało więc nie tylko pokonać pole minowe, jakie stanowił hol, ale także przejść tuż obok strażnika.

Jedyną szansą powodzenia była zatem dla czwórki przyjaciół słabość czynnika ludzkiego. A Ron Flint, jak zdołał ustalić Forrest, co dwadzieścia pięć minut opróżniał pęcherz. Za każdym razem spędzał w toalecie trzy do czterech minut.

Dowiedziawszy się o tym, Sarah i Tim zgodnie błogosławili kawę i prostatę Rona. I natychmiast obmyślili plan.

Sarah zerknęła na zegarek — było jedenaście po piątej. O piątej trzydzieści pięć Ron Flint nadal siedział spokojnie w pokoju. Sarah rzuciła Forrestowi podejrzliwe spojrzenie, ale on tylko wzruszył ramionami. Poirytowana, usiadła obok Jodie i Tima, pozostawiając Forrestowi obserwowanie strażnika.

Dopiero po ośmiu długich jak wieczność minutach Forrest skinął na nich. Poderwali się z miejsc. Ron Flint, przywołany do porządku przez pęcherz, szedł przez hol do toalety za szymbem wind.

Forrest triumfalnie spojrział na Sarah. Tym razem to ona skwitowała jego zachowanie wzruszeniem ramion.

— Idziemy — szepnął Tim, usłyszawszy, że drzwi toalety zamknęły się za Flintem.

Pobiegli do klatki schodowej. Na pierwszym piętrze zatrzymali się w ciemnościach, żeby odetchnąć. Nasłuchiwali, mniej obawiając się przyłapania przez Rona Flinta niż tego, co zobaczą na zakazanym piętrze.

Wszyscy włączyli latarki i gęsiego ruszyli po schodach.

Na piątym piętrze światło padło na mur — najwyższa kondygnacja była nie tylko pozbawiona okien, ale także wyjścia ewakuacyjnego. Można tam było dotrzeć tylko windami, a te stały zablokowane na dole...

— Cholera — jęknęli chórem Sarah i Tim.

Obejrzeni ścianę. Przejście nie zostało zamurowane, ono po prostu nigdy nie istniało.

— No to przepadło — mruknął załamany Forrest.

Teraz, gdy okazało się, że na próżno podjęli tak wielkie ryzyko, pozostawało im tylko mieć nadzieję, że uda im się wyjść z fundacji tak, jak tu weszli — niepostrzeżenie.

— Czekajcie — powiedziała Sarah, która nie mogła się pogodzić z myślą, że uciekną, niczego nie znalazłszy. — Przy odrobinie szczęścia możemy przejść szybem windy.

Postanowili sprawdzić, czy to realne, i pchnąwszy drzwi na korytarz, ruszyli w stronę wind.

Próbowali otworzyć jedną z nich, gdy nagle na piętrze zapaliło się światło.

— Proszę, błagam — rozbrzmiał spokojny głos za ich plecami — nie niszczyć nam wind! Ich utrzymanie kosztuje majątek. A poza tym to już będzie zuchwałe włamanie.

Jodie zamknęła oczy, pragnąc natychmiast zapaść się pod ziemię. Potem, jak inni, odwróciła się. Była czerwona jak piwo.

Przed nimi stał Neil Garson. Miał zamglone oczy, pomiętą koszulę, a w ręku trzymał lewarek.

— I niech nikt nie waży się pytać, co robię tu o tej porze. — Dyrektor biura prasowego odchrząknął, a potem dodał, już całkiem poważnie: — Już myślałem, że nigdy nie uda się wam dojść do tych piekielnych schodów. Czekanie zaczynało mnie męczyć, przyjaciele.

— Widział pan, jak tu weszliśmy? — zapytała cicho Jodie.

— Ach, moja słodka Jodie! W gabinecie wielkiej szefowej jest cała masa ekranów kontrolnych. Czy nie wiedziała pani o tym? Cała wasza kawalkada została zarejestrowana na taśmie.

Psiakrew, kiedy Lisa pozna szeroki wachlarz pani zdolności, zrozumie, że moja niechęć była uzasadniona! Co pani o tym sądzi, Jodie?

Gdy szybko ruszył w ich stronę, Tim wysunął się do przodu, osłaniając Jodie.

— Niech pan lepiej weźmie to ode mnie — poradził Garson, wręczając mu lewarek.

Widząc zdumione spojrzenia intruzów, wyjaśnił:

— Ja też mam ochotę zobaczyć, co porabia na górze nasz wielki Manitu, Walter Skoll.

Garson cuchnął whisky i Jodie pomyślała, że przesiedział dzień w gabinecie, popijając od rana.

Tim chwycił lewarek, nie mając odwagi mruknąć „dziękuję”, i wsunął jego końcówkę między skrzydła drzwi windy, które po chwili udało mu się rozsunąć.

Sarah pochyliła się nad szybem i oświetliła go latarką. Na samym dole widać było kabinę.

— Po lewej macie drabinę — powiedział najspokojniej pod słońcem Garson.

— Dobra — rzuciła Sarah. — Proponuję podzielić się zadaniami. Jodie, Forrest i pan — wskazała Garsona, a ten wyprężył się na baczność — zajmiecie się nagraniami. Tim i ja pójdziemy na górę.

— Ejże, jedną chwilkę! — zawołał Garson. — Ja chcę iść na górę!

— Przykro mi, stary, ale wypił pan tyle, że wylądowałby pan raczej na dole, na dachu kabiny. Wszystko panu opowiemy. Moje słowo!

— Chodźmy, panie Garson — powiedziała Jodie, biorąc go pod rękę. — Sarah ma rację. Mógłby pan zrobić sobie krzywdę.

— I tak już po mnie, Jodie — mruknął Garson, którego mina wzbudzała w tym momencie litość.

Mimo wszystko potulnie poszedł za swoją sekretarką. Sarah odczekała chwilę, a potem uśmiechnęła się do Tima.

— Idź pierwszy, stary.

Tim ruszył przodem, trzymając latarkę w zębach. Wspinał się po drabinie jak pirat przy abordażu hiszpańskiego statku.

Tim i Sarah jadą na szóste piętro

Dotarłszy na górę, Tim otworzył lewarkiem drzwi windy. Ustąpiły dość łatwo i mógł już wyjść na korytarz. Po chwili dołączyła do niego Sarah. Skierowali światło latarek na drzwi i zobaczyli lśniącą tabliczkę z napisem „Sala konferencyjna”.

Podeszli równocześnie. Wbrew przypuszczeniom drzwi nie były zamknięte na klucz. Nawet nie zgrzytnęły, kiedy Sarah je uchyliła.

Tim omiół snopem światła salę, zatrzymując wzrok na każdym krześle przy długim stole konferencyjnym. Potem skupił się na komputerze Toshiba, który jak powiedziała Jodie, stał przed fotelem prezesa.

— Obejrzę go sobie — powiedział, wchodząc do sali.

Sarah poszła za nim.

Tim wyjął z plecaka własny komputer i połączył go przewodem USB z laptopem Wilków. Uruchomił oba komputery, a po kilku sekundach potrzebnych na ustalenie parametrów zaczął kopiować dane z twardego dysku Toshiba.

Tymczasem Sarah dokonała szczegółowych oględzin pomieszczenia.

Tuż za fotelem prezesa mur był wzmocniony ścianką wysokości i szerokości dwóch metrów, grubą na prawie metr. Nisze, które powstały po bokach, były puste i Sarah zastanawiała się,

co mogą kryć. Ta pusta przestrzeń dziwnie ją niepokoiła. Oświetlając ścianę nieco dalej na prawo, zobaczyła dyskretnie zamontowane drzwi.

— Tu jest jeszcze jedno pomieszczenie — szepnęła.

Tim podszedł do ściany.

— Przekonajmy się, co też ukrywa tam Sinobrody — powiedział, popychając drzwi i natychmiast kierując za nie światło latarki.

Także to pomieszczenie tonęło w ciemnościach. Nie wchodząc dalej, Tim i Sarah oglądali wewnątrz, oświetlając je latarkami.

— Tego się nie spodziewałem! — szepnął Tim, stojąc w progu.

Także na twarzy Sarah malowało się zdumienie.

Czas sobie przypomnieć, że pozory często mylą

Na piątym piętrze Jodie i Forrest stwierdzili ku swemu zaskoczeniu, że Neil Garson nie poprzestał na picciu whisky, ale także splądrował gabinet Lisy Whittaker.

— Ja i mój lewarek planowaliśmy na jutro rano małe spotkanie z Lisą. Zawsze mi zarzucała brak rozmachu. Myślę, że moja nowa twarz jej zaimponuje. Co ty na to, Jodie?

Garson szedł pomiędzy rozrzuconymi meblami i obrazami, torując drogę Jodie i Forrestowi.

— Ten durny strażnik niczego nie zauważył. Rozumiesz, Forrest? Nic nie widział. Cholera, że też płacimy takim jak on za ochronę firm i sprzętu! Coś wam powiem: Ameryka schodzi na psy.

Zatoczył prawą ręką łuk, wskazując pokój za gabinetem Whittaker.

— Tam jest Big Brother.

Jodie i Forrest zaszereżyli do środka. Ten pokój właściwie nie ucierpiał za sprawą szalejącego Garsona. Chociaż wyrwał ze ścian półki, to oszczędził monitory i magnetowid, które nadal funkcjonowały, pokazując i rejestrując wszystko, co działo się na dole, także w pokoju Rona Flinta, który z zapalem dębał w nosie. Monitor w prawym dolnym rogu pokazywał parking.

Kiedy Jodie usuwała z urządzeń kompromitujące kasety, Forrest skupił uwagę na kartonowych pudłach, w większości pogniecionych, które poniewierały się po podłodze. Były pełne opatrzonych etykietkami kaset.

Oparty o framugę drzwi Garson z satysfakcją obserwował Jodie.

— To, co pani robi, Jodie, wcale mnie nie zaskakuje. Zresztą i tak nigdy pani nie lubiłem.

— Mógłbyś się przymknąć, Neil — rzucił Forrest, kłękając, żeby przeszukać kartony.

Rozłożył przed sobą szereg kaset i wybrał jedną z nich.

— Spójrz, Jodie.

Na etykiecie widniał napis: „Parking, czwartek 11 grudnia”. Wstał.

— Wreszcie dowiemy się, kto jechał limuzyną tego wieczoru, kiedy zebrały się tu Wilki.

Nie chcąc już wspominać, jak ta noc zakończyła się dla Sarah w Central Parku, wsunął kasetę do kieszeni magnetowidu i szybko ją przeglądał. Zegar migał z dużą prędkością. Kiedy wyświetlił godzinę 1.45, Forrest przeszedł na normalny tryb.

Ciemnego parkingu strzegła tylko jedna kamera. Działała na podczerwień, miała stałą pozycję i filmowała obraz z wysoka,

obejmując cały teren i podjazd na końcu parkingu. Tylko windy, które znajdowały się po tej samej stronie co kamera, wymykały się spod ich kontroli.

Miejsca postojowe, opatrzone odblaskowymi numerami, były puste z wyjątkiem jednego, na którym stała mała toyota należąca do strażnika Rona Flinta.

Kiedy zegar na dole ekranu wskazał godzinę 1.56.35, pojawiła się czarna limuzyna. Oświetlając drogę, zjechała po rampie i przesuwała się między betonowymi słupami na wprost kamery. Ponieważ samochód nie miał tablicy rejestracyjnej, wszelka identyfikacja była wykluczona.

Limuzyna podjeżdżała coraz bliżej, aż w końcu... zniknęła z pola widzenia kamery, by zaparkować na jedynym miejscu wymykającym się spod kontroli, kilka kroków od wind.

W dole ekranu pojawił się długi cień mężczyzny, który wysiadł z auta i szedł tuż przy ścianie, niewidoczny dla kamery. Trzy metry dalej cień się zatrzymał, a na ziemi pojawił się trapez żółtego światła. Potem cień i trapez zmalowały i zniknęły. Drzwi kabiny zamknęły się, tajemniczy pasażer wjeżdżał na górę.

Trzeba było doskonałej znajomości gmachu fundacji, żeby wiedzieć o istnieniu tego martwego pola. Forrest rozważał rozmaite hipotezy. Czy to Fenryder? Generał Fenryder, który przybył nocą, by dokonać inspekcji swoich wojsk? A może ktoś inny? Ktoś, kto wolał się nie ujawniać. Wilki przemieszczały się piechotą, nawet Walter Skoll, ale nie ten nieznajomy. Ktoś musiał mu powiedzieć, gdzie znajdują się kamery na parkingu i w holu, a on postanowił przyjechać limuzyną, żeby nikt go tu nie zobaczył. Trzeba przyznać, że chyba mu się udało.

Forrest zdał sobie sprawę, że z kaset nie dowiedzą się niczego o tożsamości nieznajomego, więc wstał rozczarowany.

— Irytujące, prawda, moi drodzy? — rozległ się nagle za ich plecami głos Rona Flinta.

I uzbrojony w pistolet strażnik wepchnął Neila Garsona do pokoiku, żeby zająć jego miejsce w drzwiach.

— Zatrzymaj tę kasetę, Forrest, albo rozwalę was wszystkich.

— To nie tak, jak myślisz, Ron — powiedział Forrest, wyłączając magnetowid.

Odwrócił się do strażnika.

— Pozwól, że ci wszystko wytłumaczę. Mam nadzieję, że nie wezwalesz policji.

— A kto tu mówił o policji, mój drogi? W fundacji sami rozwiązujemy nasze problemy.

Słowa strażnika nie brzmiały jak obietnica ugodowego załatwienia sprawy i Jodie odruchowo przytuliła się do Forresta, a on objął ją ramieniem.

— A! Patrzycie na moje dłonie. Przykro mi, ale nie jestem Wilkiem. Jednak od najmłodszych lat służę bractwu. Mój pan był panem mego ojca, a także dziadka.

— Cóż za wspaniała i piękna historia rodzinna — rzucił z goryczą Forrest.

Nie był w stanie ukryć, jak bardzo rozczarował go Ron. Strażnik parsknął śmiechem.

— Cały Forrest! Zawsze trafiasz w sedno i nigdy nie chcesz serio traktować samego siebie! Będzie mi ciebie brakowało!

— Cholera! Ludzie, o czym wy mówicie? — odezwał się Neil Garson, błyskawicznie trzeźwiejąc.

— Wkrótce się dowiesz, stary — odparł Ron Flint, z którego twarzy nie zniknął uśmiech.

Sarah i Tim na szóstym piętrze (ciąg dalszy)

— Tego się nie spodziewałem! — powtórzył Tim, który, podobnie jak Sarah, stał nieruchomo w progu ukrytego pokoju.

W świetle latarek zobaczyli salon wyłożony dębową boazerią, z kanapami z czerwonej skóry. W stojakach stały sztandary Konfederacji — Luizjany i Karoliny Południowej. Pomiedzy nimi na ścianie rozwieszono ogromną mapę Stanów Zjednoczonych. W drugim końcu salonu, w szklanych gablotach, zebrano imponującą kolekcję myśliwską, głównie wabiki na kaczki — kaczki z malowanego drewna, cedrowego albo korka, z ogonami z moleskinu. Tim wiedział, że te gadzety kosztowały czasem fortunę i że dawniej powszechnie się nimi posługiwano, polując na ptactwo. Obecnie ich ceny na rynku antykwarycznym przekraczały cztery tysiące dolarów.

Podobnie jak w sali konferencyjnej, w salonie nie było okien, toteż Sarah włączyła światło, nie obawiając się, że w ten sposób zdradzi ich nieuprawnioną obecność w tym miejscu. Wyłączyła latarkę i bez słowa weszła do salonu. Tim ruszył w ślad za nią.

Mapa opatrzona była tytułem: *Mroczne Imperium Rzeczywistości*. Nie miała bezpośredniego związku z wojną secesyjną ani z oficjalną działalnością fundacji, a przedstawiała aktywność Wilków Fenrydera na terytorium Stanów Zjednoczonych. Sarah i Tim wiedzieli, że mają przed sobą dokument wielkiej wagi.

Tim wyjął aparat fotograficzny i zrobił tuzin zdjęć, a tymczasem Sarah rozglądała się po salonie.

Prawdę mówiąc, nie był to typowy salon, ale biuro sztabu generalnego z ogromną mapą i sztandarami. Sarah nie wierzyła własnym oczom.

Na niskiej etażerze, między dwiema podpórkami w kształcie wilków, stały stara Biblia i podręcznik Sun Tzu. Zdarzało jej się widywać lepiej skomponowane księgozbiory.

Sięgnęła po dzieło Sun Tzu i przekartkowała je. Zauważyła podkreślony żółtym flamastrem fragment: „Sztuka wojenna zawsze opiera się na podstępnie”.

Odstawiła książkę na miejsce i sięgnęła po Biblię, którą otworzyła w miejscu zaznaczonym zakładką.

— Apokalipsa świętego Jana — powiedziała do Tima.

Nie wiedziała, czy powinna się cieszyć, czy też niepokoić, że Walter Skoll ma w gabinecie tak budujące dzieła.

Nagle usłyszała jakby uderzenie, a potem cichy szmer silnika i kabli. To był generator windy. Uruchomiono ją.

Ktoś jechał na górę.

— Cholera — szepnął Tim.

Wbiegł do sali konferencyjnej i z obawą spojrzął na słupek na środku ekranu. Wskazywał zaawansowanie procesu kopionania.

Do tej pory przegrał zaledwie pięćdziesiąt procent plików.

— Szybciej, przekłete pudło — warknął. Potem spojrzął na Sarah.

— Lepiej wyłącz światło.

Wyciągnęła z kieszeni glocka 18 i podeszła do wyłącznika. Salon pogrążył się w mroku. Nie mogła uwolnić się od wrażenia, że nie są na tym piętrze sami.

Przez szeroko otwarte drzwi na korytarz widać było cyfrę nad windą. Wjechała na drugie, trzecie, potem czwarte piętro. Zatrzymała się na piątym.

Ale to nie przyniosło Sarah i Timowi ulgi, bo właśnie tam zostali Jodie i Forrest.

Spełnia się marzenie Garsona o obejrzeniu szóstego piętra

Kiedy winda wjechała na piąte piętro, Ron Flint wyprowadził ich z gabinetu dyrektorki. Potem kazał im usiąść na korytarzu. Zatrzymał Garsona, mówiąc:

— Ty wsiadasz do windy. Wzywają cię na górę.

— Mnie? — ledwie wydusił Garson.

Flint potwierdził, przytykając mu lufę do skroni. Ten, na pół unosząc drżące ręce, podszedł do kabiny, której drzwi jeszcze się nie otworzyły.

Uznał to za bardzo niepokojące, więc cofnął się o krok.

— Ruszaj! — powiedział Flint, wciąż trzymając go na muszce.

Pod Garsonem ugięły się nogi. Kiedy stanął przy windzie, drzwi rozsunęły się przy dźwięku dzwonka. Kabina była pusta. Pełen niepokoju, wszedł do niej.

— Tylko nie zsikaj się w portki — mruknął do siebie pod nosem.

Kiedy winda się zamknęła, szybko wcisnął parter, ale przyciski nie działały i kabina zamiast w dół ruszyła w górę. W drodze na górę Neil Garson czuł irytujące napięcie w kroczu.

Sarah i Tim na szóstym piętrze (ciąg dalszy)

Winda ruszyła i wkrótce zatrzymała się na szóstym piętrze.

Sarah czuła pulsowanie w skroniach. Zacisnęła rękę na pistolecie. Bała się, nie było sensu przeczyć, ale zamierzała drogo sprzedać skórę, gdyby Wilki chciały się z nią zabawić.

Otworzyły się drzwi, w korytarzu stanął blady jak ściana Neil Garson.

— Garson? — zdziwił się Tim. — Do diabła, co pan tu robi?!

Z trudem wyjaśnił im sytuację.

Sarah błyskawicznie zorientowała się, co nastąpiło. Jej przeczucia były uzasadnione. Nie byli na tym piętrze sami i przysłano do nich Garsona, żeby im to uświadomić.

— Zjedźmy na dół — powiedziała Sarah.

— Okay. — Skinął głową Tim. — Zabiorę tylko komputer. Kopiowanie dobiegało końca. Odłączył kabel i wsadził komputer do plecaka.

Wszyscy troje aż podskoczyli, kiedy drzwi windy zamknęły się, a kabina zjechała pusta.

— Czego boisz się najbardziej, Sarah? — zapytał zatroskany Tim.

Chciał wiedzieć, co się z nimi stanie.

— Powiem ci, kiedy zwierzysz mi się z własnych lęków — odparła Sarah, która nie zamierzała się demaskować, dopóki nie zmuszą jej do tego Wilki.

Tim wskazał brodą Garsona.

— A pan? Czego boi się pan nade wszystko? Szczury, rekiny, pająki?

— Nic z tych rzeczy. Nie, nie sądzę.

— Proszę się dobrze zastanowić, bo wkrótce i tak się tego dowiemy.

— Nigdy się pan nie bał? — nalegała Sarah.

— Ależ tak, oczywiście, że tak.

— Kiedy ostatnio ogarnął pana paniczny strach?

— Nie wiem. Skończcie z tym, do cholery! Dlaczego mnie o to wypytujecie?

Jednak pod wpływem alkoholu i strachu w końcu się przyznał.

— Co miesiąc śni mi się pewien koszmar. Zadowoleni? Macie tę waszą sensację?

— Proszę powiedzieć nam ten sen — powiedział Tim.

— Do diabła, o ile mi wiadomo, nie jesteście psychologami.

— Garson, gadaj w końcu!

— Śni mi się, że jestem w fundacji i że podłoga nagle...

Jodie i Forrest (ciąg dalszy)

Jodie i Forrest siedzieli w korytarzu na piątym piętrze, gdy usłyszeli dobiegające z góry krzyki przyjaciół. Forrest poderwał się z miejsca.

— Tylko spokojnie — ostrzegł Ron Flint, wzmacniając bronią siłę przestrogi. — Przyjdzie kolej i na ciebie. Po niej.

Wyszczерzył w uśmiechu zęby, gotów strzelić. Forrest osunął się pod ścianę.

— Dlaczego to robisz, Flint? Nigdy nie zostaniesz Wilkiem. Przejrzyj się w lustrze, a zobaczysz, że istnieje, delikatnie rzecz ujmując, drobny problem ze skórą. Wilki to dawni biali mordery czarnuchów. Chyba nie zapomniałeś o tym szczególe?

— Celna uwaga, kolego. Ale czarnuchy się zmieniły. I tym razem to ty masz zły kolor, Forreście. Ty i twoi przyjaciele jesteście czarnuchami. — Dotknął ręką daszka czapki, a jego uśmiech nie był już tak promienny, gdy dodał: — Straszną głupotą jest myśleć, że człowiek jest tym, co robi. Jest tylko tym, kim pozwalają mu być inni. Wybierajcie dobrze swoich panów, to moja życzliwa rada, a problemy skóry, tyłka czy kasy znikną jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. — Spojrzał na Jodie i jego uśmiech odzyskał blask.

— No, wstawaj, laleczko, teraz twoja kolej.

Forrest próbował odebrać mu pistolet, ale strażnik odparł atak i brutalnie uderzył go kolanem w twarz. Potem wycelował w Jodie.

— Chcesz, żebym załatwił ją tutaj? — zapytał.

Pokonany Forrest usiadł. Krew zalewała mu oczy.

— Chodź, ślicznotko — powtórzył znowu uśmiechnięty Murzyn. — Wsiadaj do windy.

Jodie usłuchała, drżąc. Taki los spotyka pracowników, którzy łamią regulamin pracy, chichotał okrutny głosik w jej głowie. Szła jakby korytarzem śmierci, na którego końcu, zamiast krzesła elektrycznego czy komory gazowej, czekała koszmarna winda na koszmarnie piętro.

Kiedy podeszła do szybu, dostrzegła coś na skraju pola widzenia. Dwóch mężczyzn w czerni kryło się przy ścianie na lewo od wind, obok ekspresu do kawy. Jeden z nich gestem nakazał jej milczenie. Potem wszystko potoczyło się w zawrotnym tempie. Mężczyźni wybiegli i otworzyli ogień do Flinta.

Murzyn osunął się, nie oddawszy nawet jednego strzału.

Komando podeszło do niego.

— Muszę przyznać mu rację — powiedział jeden z mężczyzn. — Trzeba dobrze wybierać swego pana.

Forrest, który miał nogi jak z waty, zdołał wstać, opierając się o ścianę.

— Jesteście z policji?

Mężczyźni popatrzyli na siebie i wybuchnęli gromkim śmiechem.

— Uchowaj Boże! — odpowiedzieli chórem.

Forrest niepewnie spojrział na ciało Rona Flinta. Nigdzie nie zobaczył śladu krwi.

— Czy on nie żyje? — zapytał.

— Nie, został tylko znokautowany.

Schowali broń do wielkiej torby i wyjęli z innej MP5 Heckler & Koch, który załadowali i uzbroili.

— Jego chcieliśmy wziąć żywcem — wyjaśnili.

Sarah i Tim (ciąg dalszy)

Garson nie został wysłany na szóste piętro tylko po to, żeby dać im do zrozumienia, że wpadli w pułapkę. Chciano także wykorzystać przeciwko nim jego strach.

Ten bezsensowny strach przed przepaścią. Lęk, że runie w otchłań bez dna.

— To typowy koszmar karierowicza — ironizował Tim, żeby ukryć zdenerwowanie.

Być może zresztą sen Garsona był podświadomym wyrazem nicości, jaka zawładnęła jego życiem.

Bez względu na źródło lęków Garsona przepaść, z którą mieli teraz do czynienia, była pozbawiona wszelkich cech metafory. Zakradła się w ich rzeczywistość za sprawą mocy Wilków. I stała się realna, niebezpiecznie, obłąkańczo realna.

Zimna, ciemna otchłań otwierała się na oczach przerażonych przyjaciół pośrodku holu. Czarna dziura wchłaniała wszelką materię, rosła, pożerając podłogę.

To było niemożliwe, a jednak pod nimi nie istniały już piętra, zniknęły fundamenty. Po prostu nie było żadnej materii. Tylko przygotowująca o zawrót głowy, wciąż powiększająca się pustka. Podłoga wyglądała jak kartka papieru, która wypala się od środka. Cuchnące, ciepłe opary buchały z tej ciemni bez dna. Przywarli do ściany i przesuwali się ku windzie. Pierwszy szedł Tim, za nim Sarah, a na końcu Neil Garson.

Tim energicznym ruchem wcisnął guzik przy windzie. Odwracając się do Sarah, zobaczył, że przepaść wciąż się rozrasta

i że z podłogi zostały już tylko pasy wokół ściany, jak biegnąca pod murem ścieżka wartowników albo mnichów w starym klasztorze.

Jeszcze raz wcisnął przycisk, ale winda nie drgnęła. Zrozumiał, że nie mogą na nią czekać. To, co przemieniło się w szlak wiodący po grzbiecie górskim, jeszcze się zwęziło i miało teraz zaledwie dwadzieścia centymetrów szerokości.

— Raczej nie powinniśmy tu zostawać — stwierdziła Sarah.

— Racja — przyznał Tim — zawróćmy.

Ruszyli wąskim pasem podłogi. Jako pierwszy szedł Garson, za nim, w dziwnym szeregu, bez lin, bez haków, Sarah i Tim, prowadzeni nad przepaścią przez pijaka.

— Pospiesz się, Garson! — ponągłał Tim. — Pospiesz się!

— Pokonali kąt prosty i ruszyli wzdłuż ściany sali obrad. Zaledwie dwa metry dzieliły ich od otwartych drzwi, gdy nagle próżnia pochłonęła wąski pas, jaki pozostał z podłogi.

— O nie! — jęknęła Sarah.

— Ruszajcie się, trzeba przeskoczyć na tamtą stronę! — krzyknął Tim, popychając Garsona nad ramieniem Sarah.

— Nie dam rady — jęknął skamieniały ze strachu dyrektor.

— Więc się cofnij i daj nam przejść — powiedział Tim, którego pozorny egoizm w rzeczywistości wynikał z troski o Sarah i z woli ratowania jej życia.

Ale Garson ich nie przepuścił, bo nie był zdolny podjąć jakiegokolwiek decyzji. A ponieważ Tim obawiał się nakłaniać Sarah do obejścia Garsona — pas podłogi był za wąski, żeby mogły się na nim minąć dwie osoby, a reakcji ogarniętego paniką mężczyzny trudno było przewidzieć — zmarnowali ostatnią szansę na ocalenie. Teraz było już za późno, żeby skakać, nawet jeśli miało się więcej odwagi i zręczności niż Neil Garson.

Podłoga przed drzwiami zniknęła, przepaść już ich dosięgała; skrawek podłogi pod ich stopami kurczył się jak wysuszona skóra — teraz jednak nie tylko na szerokość, ale i na długość — pożerany od strony drzwi.

Niepewnym krokiem Tim, Sarah i Garson cofnęli się do załomu muru, a potem ruszyli wzdłuż prostopadłej do niej ściany. Jednak wkrótce nie mieli już dokąd iść. Zamarli. Mogli stać tylko na palcach, całym ciałem przywierając do muru, który był przerażająco gładki i nie dawał oparcia dłoniom.

Nagle pas podłogi przestał się zwężać, otchłań pożerała go teraz wzdłuż i zbliżała się do stóp Garsona.

Przerażony dyrektor próbował zająć miejsce Sarah i kurczowo trzymał ją za rękaw.

— Niech mnie pani przepuści! — wył, zrozpaczony. — Litości, niech mnie pani puści!

— Spokój — nakazał Tim, świadomy ryzyka, na jakie naraziłby ich każdy gwałtowny ruch.

Ale Neil Garson wcale nie zamierzał się uspokoić i Sarah musiała z nim walczyć.

— Spadnę — chlupał. — Nie widzicie, że spadnę?

— Garson! — wrzasnął Tim.

Trzymając się Sarah, Garson mógłby pociągnąć ją za sobą, więc Tim wyciągnął rękę i chwycił go za gardło, naciskając jabłko Adama.

— Nie zmuszaj mnie, żebym cię zabił, Garson. Nie zmuszaj mnie do tego.

Garson na chwilę odzyskał rozsądek. Przestał popychać Sarah, ale przepaść wciąż się zbliżała.

— *Zdrowaś Mario, laskiś pełna...* — zaczął się modlić, przywierając palcami do ściany.

Już po chwili jego lewa stopa na pół zawisała nad pustką. Ostrożnie przesunął ją w prawo.

— ...*módl się za nami grzesznymi.*

Pustka schwytała umykającą stopę i Garson zadrżał całym ciałem. Przerażony, zamknął ścisnął i przytulił wykrzywioną twarz do muru. Trzymając się kurczowo Sarah, stał już tylko na jednej nodze.

Otchłań obgryzała podłogę i Sarah westchnęła, wiedząc, co zaraz zobaczy.

Neil Garson runął w przepaść ze swoich koszmarów.

Spadał bez krzyku, nawet nie próbując chwycić się Sarah. Spadał niemal jak bohater.

Dziewczyna podążyła wzrokiem za jego bezwładnym ciałem. Przebiegł ją dreszcz.

Nadchodziła jej kolej. Pustka zbliżała się do nóg jak rozlany kwas, którego nic nie może już powstrzymać.

Krzywiąc się, przywarła do boku Tima.

— Trzymaj się mnie, Sarah — doradził i spojrzał na nią, chcąc jej dodać otuchy.

Rozłożył ramiona, żeby jak najmocniej przylgnąć do ściany. Sarah wsunęła lewą stopę między jego nogi, trzymając go za rękaw, i także przywarła do muru. Potem przesunęła drugą nogę i właśnie wtedy pustka pochłonęła miejsce, w którym stała. Przytulona do przyjaciela, z głową na jego plecach, Sarah chciała być lekka jak piórko, żeby nie zepchnąć Tima, a on ze wszystkich sił wyprężył pięty i trzymał ręce jak ukrzyżowany.

Nie mieli podstaw do złudzeń — nie mogli już długo przetrwać na tym skrawku podłogi, choć otchłań chyba nasyciła już głód. Gdyby któreś z nich się zachwiało, oboje runęliby w dół.

Gdzieś włączył się jakiś mechanizm. Po kilku sekundach Sarah zrozumiała, że to winda. Wjeżdżała na górę.

Usłyszeli dzwonek sygnalizujący otwarcie drzwi. Winda stanęła na szóstym piętrze, jednak ani Tim, ani Sarah nie mogli na nią spojrzeć, byli bowiem odwrócenii w drugą stronę i nie śmieli nawet drgnąć, żeby nie spaść w czarną dziurę.

Nagle tuż obok nich rozległy się głośne serie strzałów z broni maszynowej.

— Skaczcie, szybko! — krzyknął zdumiewająco bliski głos.

— Jak, do diabła, skoro was nie widzimy! — wrzasnął Tim, czując, że opuszczają go resztki sił.

Czyjaś ręka chwyciła go za ramię.

— Niech dziewczyna trzyma pana z całej siły — polecił głos.

— Wciągnę was do kabiny.

I ręka pociągnęła za sobą Tima.

Przyjaciele ustalają, jaką przyjmą postawę

Dziesięć minut potem Sarah i jej przyjaciele szli do samochodu Tima zaparkowanego na Czterdziestej Czwartej Wschodniej Ulicy. Odrętwiały w tę zimną noc Manhattan nie zwrócił uwagi na cztery przemykające sylwetki.

Tim wyciągnął już na własną rękę kilka przydatnych wniosków z tego, co się wydarzyło.

Ludzie, którzy pospieszyli im z pomocą, niewątpliwie byli wysokiej klasy fachowcami od brudnej roboty, wysłanymi przez mafioza 10-13, tego samego, który ocalił Sarah w Central Parku i obiecał jej spotkanie w cztery oczy, a także opowiastkę o szczurze. W zachowaniu jego ludzi nie było śladu amatorszczyzny, Tim zdawał sobie z tego sprawę. Gdy pomogli jemu

i Sarah wy dostać się z szóstego piętra, poszli z godnym zawodowców spokojem po kompromitujące nagrania. Zabrali ze sobą także strażnika Rona Flinta, co jak zrozumiał Tim, stanowiło główny cel ich wtargnięcia do siedziby fundacji.

Jako była dziennikarka „Tusitala News” Sarah zadała im kilka pytań. Na większość odpowiedzieli tylko uśmiechem. Jeden z nich zdecydował się jednak poinformować ją, że tego wieczoru na szóstym piętrze nie było Wilków.

— Na szczęście dla wszystkich tu obecnych — dorzucił.

— Skoro jednak — zapytała Sarah — nie było tam żadnego Wilka, choć dałabym głowę, że któryś na nas czyhał, to kto zmaterializował na górze koszmar Garsona?

Mężczyzna odparł, że na szóstym piętrze działał rodzaj magicznego alarmu, który nie reagował na obecność Wilków i nie miał na celu odstraszenia intruzów, ale ich ostateczną eliminację. Tylko Wilki i osoby przez nie upoważnione mogły bezpiecznie przebywać na tym piętrze. To, co Sarah i Tim przeżyli w sali konferencyjnej, było zaledwie marną próbką prawdziwej mocy Wilków.

— A strzały? — rzuciła, nie zamierzając się poddawać. — Dlaczego strzelaliście, skoro nie było tam nikogo, kogo chcieliście zabić?

Mężczyzna odpowiedział, że podziurawili ściany kulami kalibru 9 mm, żeby pokazać Walterowi Skollowi, że się go nie boją i są dość silni, by wtargnąć do jego nory.

Czwórka przyjaciół w milczeniu wsiadła do forda Taurusa. Prowadził Tim, obok usiadła Sarah, miejsca z tyłu zajęli Jodie i Forrest. Tim ruszył w kierunku FDR Drive. Wciąż myślał o tym, co się stało, i powtarzał sobie, że od zbyt dawna starał się dokonać czegoś takiego — rzecz jasna, niebezpiecznego — żeby teraz żałować podjętego ryzyka. Jak mawiał jego brat Kevin,

kiedy mieszkali w Chicago: „Jeżeli musisz dokądś iść, na przykład do labiryntu, krąż wokół niego, żeby się upewnić, że naprawdę właśnie tam masz wejść. A potem, stary, wchodź śmiało!”. Rada jego brata nie była dla niego tylko słowami. Dość długo krążyli wokół Fundacji Waltera Skolla. Nie żałował, że wetknął tam nos. Nawet po dzisiejszym niepowodzeniu, nawet kiedy otarł się o śmierć, nie zwątpił w celowość tej próby, bez względu na to, jak była ryzykowna. Ale czy naprawdę ponieśli klęskę? Ledwie uszli z życiem, to prawda, ale udało im się i teraz wiedzieli, że Wilki są tym, za co je mają. A poza tym, i to było dla Tima najważniejsze, dzięki danym skradzionym z dysku, nie wracali z pustymi rękoma.

Nie, prawdę mówiąc, dla niego jedynym czarnym punktem tej nocy był fakt, że uległ strachowi. Nie o swoje życie, nie, ale o Sarah i Jodie, i o Forresta. Tak, bał się o nich.

Kiedy przerażony Garson chwycił się Sarah i mógł pociągnąć ją za sobą w przepaść, Tim bez skrupułów groził temu biedakowi. Nawet teraz, na zimno, nie czuł wyrzutów sumienia wobec zmarłego.

Podobnie zresztą nie litował się nad strażnikiem, w przeciwieństwie do Forresta, który zapytał ludzi 10-13, dokąd go zabierali, i któremu trudno było pogodzić się z myślą, że Ron Flint, chociaż okazał się lajdakiem, musiał iść z tymi facetami, ich wybawcami. Cóż jednak mogli zrobić? Gdyby wezwali policję, wszyscy wylądowaliby w areszcie. Jak wyjaśniliby glinom, co robią w niedzielny wieczór w fundacji? W najlepszym razie Ron Flint posłałby ich za kratki, zeznając przeciwko nim. W najgorszym — puściłby ich wolno, ale tylko po to, żeby wkrótce wydać ich swoim panom, Wilkom.

Ron Flint poszedł więc z tymi ludźmi na pewną i straszliwą śmierć i Tim przyznawał, że umył od tego ręce. Każdy, kto

wchodził w krąg działań Wilków, żeby służyć ich sprawie, jak Ron Flint, albo żeby im szkodzić, jak on, Tim Modin, musiał wiedzieć, na jakie naraża się niebezpieczeństwo. Tej nocy przekonała się o tym trójka jego przyjaciół i każde z nich zareagoowało na własny sposób.

Tim zerknął na siedzącą obok Sarah.

Trzymała się. Oczywiście, że się bała, ale który osilek nie sfajdałby się w takiej sytuacji w portki? A ona nie panikowała tak jak Garson. Przeszła chrzest bojowy, sprostała sytuacji. Gdyby jej losy potoczyły się inaczej, mogłaby zostać wspaniałym reporterem wojennym, Tim święcie w to wierzył. I chociaż teraz wydawała się cicha i zamyślona, gotów był się założyć, że nie myślała ani o Garsonie, ani o Flicie, ani nawet o śmierci, od której była o włos.

Potem Tim spojrzął w lusterko wsteczne.

Po twarzach siedzących z tyłu Forresta i Jodie poznał, że im trudniej uporać się z tym wstrząsem. Z pewnością dlatego, że nie byli przygotowani na to, co przeżyli. Jodie jeszcze się trzęsła. Tej nocy zginął Neil Garson, a jej samej i jej przyjaciołom śmierć zajrzała w oczy. To nie była zabawa. Prawdę mówiąc, to od początku nie była zabawa.

Forrest uchwycił spojrzenie Tima i zapytał dość niepewnym głosem:

— Co teraz?

Odpowiedzi udzieliła mu Sarah.

— Odwieziemy Jodie do domu, a potem pojedziemy do ciebie. Ja i Tim musimy rozszyfrować pewne informacje.

— A... a jutro? — zapytał, opierając czoło o szybę.

Wspaniale oświetlone przed Gwiazdką ulice Nowego Jorku nigdy nie wydawały mu się tak żałosne, jak tej nocy.

— Jodie musi iść do pracy, jakby nic się nie stało, ty,

Forrest, też zajrzesz do fundacji — powiedział Tim, spoglądając na przemian na drogę i na Forresta.

— Jakby nigdy nic? — podjął Forrest. — Tim, do diabła! Tej nocy jeden facet zginął, drugiego porwali goście, którzy pewnie nie są lepsi od niego, a ty chcesz, żebyśmy się zachowywali, jakby nic się nie stało?!

— Właśnie. Wszystko zrozumiałeś. Ale może masz lepszą propozycję? Mów, będziemy głosowali!

Do rozmowy wtrąciła się Sarah, żeby uspokoić ich obu.

— Zastanów się, Forrest. Nikt nie wie, że tej nocy tu byliśmy. Zabraliśmy taśmy wideo, a wszyscy świadkowie zostali...

— Sarah nie dokończyła zdania, tylko spojrzała na Jodie i Forresta. — Co waszym zdaniem pomyśli Walter Skoll, jeżeli artysta i jedna z sekretarek fundacji niby to przypadkiem nie pojawią się po tym włamaniu?

— Pomyśli, że i artysta, i sekretarka, mają coś na sumieniu — zakończył Tim, wzruszając ramionami.

— Wszystko jasne — rzucił Forrest — nie musicie dawać mi tego na piśmie. Boże drogi, kiedy pomyślę, że trzeba będzie wytrzymać do wernisazu!

CZEŚĆ DRUGA

WERNISAŻ

*Chodźcie, chodźcie! Ruszajmy.
Już czas. Odejźmy wśród nocy.*

NIETZSCHE

DZIEŃ SZÓSTY

Poniedziałek 15 grudnia (*Demony*)

Jodie przychodzi do fundacji

Allison Weiss krążyła po gabinecie z kubkiem kawy. Jodie odniosła wrażenie, że jest wzburzona.

— Wiedziałam, że Neil jest porywczy, ale nie przyszłoby mi do głowy, że wyskoczy przez okno. Rozumiesz: popełnił samobójstwo i nie zostawił nawet listu!

Jodie nie musiała udawać smutku. Jej reakcja była szczerą. Siedząc przy komputerze, który właśnie uruchomiła, czuła się niemal winna.

Natomiast powodem zdenerwowania Allison było to, że samobójstwo Garsona graniczyło w jej oczach z brakiem profesjonalizmu. Nie dość, że zrzucił na ich barki ogrom pracy na dwa dni przed wernisazem, to w dodatku nie miał nawet dość taktu, żeby napisać: „Dziękuję, dziewczyny”, albo udzielić jakiegokolwiek wskazówki, jak mają sobie radzić bez niego.

W całym tym zamieszaniu Jodie zauważyła tuż po przyjeździe do fundacji, że w drzwiach stoi nowy strażnik. Ktoś też uznał za słuszne poinformować ją, że Ron Flint zniknął tej nocy, a gabinet dyrektora artystycznej został splądrowany i zdewastowany. Do jej uszu nie doszło jednak ani słowo o tym, co mogło się stać na szóstym piętrze, więc uznała, że w fundacji nikt nawet sobie nie wyobrażał, by znalazł się ktoś tak szalony, żeby wjechać na górę.

W ciągu dnia, niemal tak szybko, jak zastąpiono Rona Flinta w ochronie budynku, powołano Allison Weiss na stanowisko dyrektora biura prasowego. Nawet nie starała się ukrywać radości i Jodie błyskawicznie zrozumiała, że nowa szefowa będzie rządzić twardą ręką, podobnie jak ten „biedny Neil”.

Pojawia się Ron Flint

Około szóstej Cumming i Wilkinson zrobili sobie chwilę zasłużonej przerwy. Byli w wyciszonym garażu Wilkinsona.

— W przyszłym tygodniu jadę na wakacje — powiedział, myjąc ręce nad zlewem.

— Ty leniu! Dokąd się wybierasz?

— Chcemy z żoną zabrać dzieciaki do Connecticut. Rachel ma tam rodzinę, dokładnie starszego brata. Wspominałem ci o nim, Tony, pamiętasz?

— Chwilę... To ten gość, który sprzedaje trzysta lodówek tygodniowo?

— Właśnie, to Tony. Żona go uwielbia, wciąż mi powtarza, że powinienem też poszukać sobie takiej pracy.

— Daj spokój. Ona nic nie kapuje — powiedział Cumming, wyciągając dwie butelki wody Perrier z lodówki. Otworzył je i podał jedną Wilkinsonowi.

— Dzięki. Czasami też sobie myślę, że Tony dobrze się urządził. Gdybyś wiedział, jaki ma dom! A do tego służbę. Nie żebym mu zazdrościł. Lubię Tony'ego. Kiedy się spotykamy, ma nam zawsze mnóstwo do powiedzenia.

— Twój szwagier jest gadułą?

— Jeszcze jakim! Nie jak ta szuja — dodał Wilkinson, wskazując brodą Rona Flinta, który siedział przywiązany do

krzesła — w drugim końcu garażu. Miał zakrwawioną twarz. — Czego teraz spróbujemy?

Cumming klepnął go po policzku.

— Nie przejmuj się, Wil. Szef dał nam czas do szóstej wieczorem. Mamy jeszcze ładnych parę godzin.

Wypił łyk Perder, obserwując Rona Flinta.

— Czy twój szwagier mógłby mi załatwić lodówkę z trzema półkami na puszkę na drzwiach? Oczywiście, za rozsądną cenę.

— Na pewno. Wiesz, Tony wyszuka ci, co zechcesz.

Cumming zerknął na półkę obok lodówki.

— Skoro już mowa o szukaniu, to może mi powiesz, gdzie rzuciłem zapalki?

— Sprawdź w tej czerwonej skrzynce na narzędzia — powiedział Wilkinson, obracając się.

Cumming pochylił się, przyciągając czerwoną skrzynkę. Otworzył ją.

— Strzał w dziesiątkę. Skąd wiedziałeś?

— To proste. Wystarczy się zastanowić, gdzie nie spodziewałbyś się ich znaleźć. Na ogół odpowiedź jest trafna. Tony mówi, że podobnie jest z ludźmi, którym się udaje. Myślisz sobie: tu takich nie ma, i co widzisz? Pojawiają się właśnie tam, gdzie nigdy byś się ich nie spodziewał.

Cumming potarł zapalkę i zbliżył ją do palnika, który plunął błękitnym płomieniem.

— Życie to zaszracona gra strategiczna — mruknął, kiwając głową.

— Tony mówi, że przegrani to zawsze faceci, których się zauważa.

Cumming ustawił palnik na wprost Rona Flinta.

— On nie może nas zauważyć, najwyżej poczuć. Facet nic już nie widzi.

A poczciwy Wilkinson skwitował ten żart śmiechem.

Sarah oddaje się rozmyślaniom

O wpół do jedenastej Sarah wstała od laptopa ustawionego na stole kuchennym i napełniła filiżankę kawą. Forrest zastał ją przy komputerze, gdy obudził się tego ranka, i potem, gdy wychodził do fundacji, dziewczyna nadal zbierała na PC informacje, które udało im się przeanalizować nocą. Powtarzała sobie, że przy odrobinie szczęścia zdobędzie Pulitzera, i była tym bardzo podekscytowana, a Forrest słuchał jej słów, powstrzymując ziewanie i próbując się uśmiechnąć.

Cóż, tej nocy zostało im niewiele czasu na sen.

Kiedy odwieźli Jodie do domu, zabrali się razem z Timem do pracy nad dokumentami zdobytymi na szóstym piętrze fundacji. Tim poszedł około piątej rano do domu, aby trochę się przespać. Sarah i Forrest też się zdrzemnęli. Odpoczynek był krótki, jednak Sarah czuła przypływ sił i zamierzała poświęcić ten dzień na intensywne śledztwo.

W oczach byłej dziennikarki „Tusitala News” to, co zdołali wychwycić z plików wykradzonych z fundacji, samo w sobie było bardzo istotne. Oczywiście, brakowało im czasu i sprzętu, żeby wszystko przeanalizować, miała jednak nadzieję, że dziś zdoła uzyskać znacznie więcej.

Prawdę mówiąc, dokumenty ściągnięte z komputera Skolla bardzo ich zaskoczyły. Po pierwsze, były to same obrazy. Po drugie, do ich otwarcia nie potrzebowali żadnego hasła. Dzięki temu Sarah i jej przyjaciele mogli bez problemu obejrzeć wiele obrazów, także pornograficznych; wszystkie były starannie

ponumerowane i cechowały się brutalnością, czasem wręcz trudną do zniesienia. Byli tam Goya, Bacon, Velickovic i słynna *Czaszka Andy'ego Warhola*, a poza tym zdjęcia ukazujące potworne konstrukcje braci Chapmanów i przerażającą serię *Królewska krew* Erwina Olafa, a wszystko to przeplatane zdjęciami wiedeńczyka Hermanna Nitscha, i inne, jeszcze bardziej wstrząsające, poświęcone chińskim torturom ćwiartowania.

Zgromadzenie tych obrazów w komputerze mówiło wiele o prawdziwej naturze Waltera Skolla, trudno jednak było doszukać się tu cech przestępstwa, które zainteresowałyby wymiar sprawiedliwości. W pewnym sensie ten zbiór wskazywał, na co można sobie pozwolić dzięki sublimacji artystycznej, jednak nie miał nic wspólnego z pedofilią czy też światem *snuff movie*, a już na pewno — z prawdziwą działalnością Wilków. A zatem kolekcja nie była nawet naganna. Po cóż więc Skoll zgromadził to wszystko na twardym dysku PC? Czy zamierzał nabyć oryginały, a może je analizować? Albo wykorzystać te obrazy do celów innych niż estetyczne?

Gdy Tim przeglądał ten zbiór, intuicja podszeptała mu, że Skoll mógł zaszyfrować informacje — nie tylko teksty, ale i inne sceny. Było to wykonalne, a niewykrywalne gołym okiem. Terrorysty z Al-Kaidy wiedzieli o tym i wykorzystywali strony pornograficzne, żeby się ze sobą porozumiewać. Zdaniem Tima problemem było zdobycie oprogramowania zdolnego do odszyfrowania informacji ukrytej w pikselach. Wtedy Sarah przyszedł do głowy senator March, więc zatelefonowała do niego, nie wahając się wyrwać ze snu starego Pitbulla. Dobrze zrobiła. Senator poprosił, aby natychmiast wysłali mu kopię dokumentów e-mailem, i obiecał poinformować o wyniku, kiedy tylko jego przyjaciel, ekspert w dziedzinie kryptografii, opracuje materiał.

Ponieważ Sarah i jej przyjaciółom pozostało tylko czekać na wyniki, przez resztę nocy zajmowali się mapą Stanów Zjednoczonych, którą Tim sfotografował w ukrytym salonie na szóstym piętrze.

Tytuł mapy *Mroczne Imperium Rzeczywistości* mówił sam za siebie i faktycznie barwa tego świata była „supermroczna na czarnym jak smoła tle”. Nie trzeba było mędrca, żeby odgadnąć, że za słowem „rzeczywistość” kryje się generał Fenryder, twórca i Wielki Mistrz Wilków.

Mapa została podzielona czerwonym flamastrem na cztery duże strefy zwane Hordami, a te z kolei na trzy do czterech części (wytyczał je czarny flamaster). W każdym dużym czerwonym obszarze tym samym kolorem wpisano jego nazwę, a także nazwisko przywódcy. Na przykład strefa południowa opatrzona była napisem *Horda Południowa/ Wielki Wilk Walter Skoll*. Także czarnym terytoriom przypisano nazwiska dowódców, tym jednak przysługiwał jedynie tytuł Wilka.

Odkrycie tej mapy okazało się szczególnie cenne. Informowała nie tylko o liczbie Wilków na poszczególnych terytoriach, ale dawała także dość dokładne wyobrażenie o strukturze tajnej organizacji.

Na czele Mrocznego Imperium zasiadał Prawdziwy, czyli Wielki Mistrz Fenryder. Wspierało go kolegium złożone z czterech Wielkich Wilków, z których każdy przewodził Hordzie. Wielkimi Wilkami byli: Walter Skoll, William Hasty, Daniel Surt i Joseph Koil. Sarah, podobnie jak Tim i Forrest, nie знаła trzech z nich. Każda Horda liczyła od trzech do pięciu Wilków (nigdy więcej), odpowiadających za skrawek terytorium Hordy (czarne obszary). Największej z Hord przewodził Wielki Wilk

Walter Skoll. Jej terytorium mieściło się na południu Stanów Zjednoczonych.

Sarah uniosła filiżankę do ust i wypila kilka łyków kawy.

Im dłużej analizowała strukturę organizacji, tym bardziej oczywiste stawało się dla niej, że Walter Skoll jest prawą ręką generała Fenrydera. Był najpotężniejszym z Wielkich Wilków i to on zarządzał pieniędzmi, stojąc na czele Flow Corporation, międzynarodowego koncernu naftowego, który finansował działalność fundacji.

Mapa dostarczyła im także pewnych informacji o pojęciu *tarhq-sagogh*, które tak ich zaintrygowało podczas lektury listu napisanego w roku 1865 przez Horace'a Lebayou, dawnego czarnego nadzorcę, tuż po tym, jak przywrócił do życia generała Fenrydera. Otóż w pobliżu niektórych wielkich miast dopisano drobnymi literami cyfrę, po której zawsze pojawiały się litery „t.-s.”. Na to, że litery „t.-s.” oznaczają *tarhq-sagogh*, jako pierwsza wpadła Sarah. Cyfra wskazywała zapewne liczbę *tarhq-sagogh* w poszczególnych miastach. Na przykład w Nowym Jorku Wilki miały na swoich usługach dwóch *tarhq-sagogh*.

Sarah nadal nie wiedziała, co dokładnie znaczy ten dwuczłonowy termin. Zaczynała się jednak domyślać jego sensu. Wilki, żyjąc najczęściej z dala od społeczności, potrzebowały osób, które mogłyby pośredniczyć między nimi a światem i pełnić funkcję informatorów. *Tarhq-sagogh* można by więc uznać za potępieńców w służbie Wilków. Jeśli zatem strażnik Ron Flint był, jak przypuszczała, jednym z owych *tarhq-sagogh*, to należało się dowiedzieć, kto jest drugim w Nowym Jorku.

Była to jedna z tajemnic mapy.

Sarah rozważała także dwa problemy, które Tim poruszył

tuż przed wyjściem. Dwa szczegóły zwróciły jego uwagę. Po pierwsze, zauważył, że Chicago znajduje się na terytorium kontrolowanym przez Hordę Północną, a obszar ten jest podporządkowany Wielkiemu Wilkowi Williamowi Hasty'emu. Tim doszedł do wniosku, że William Hasty jest żółtówłosym człowiekiem, którego Kevin przyłapał w towarzystwie dwóch Wilków i adwokata Freda Charlestona w budynku A dawnej bazy wojskowej. Był przekonany, że Hasty nie pojawił się w Nowym Jorku w tę noc, kiedy odbyło się zebranie, bo poznałby go po utlenionych włosach. Forrest zwrócił mu jednak uwagę, że tamtej nocy William Hasty mógł jechać w tajemniczej limuzynie. Tim odrzucił tę hipotezę, dlaczego bowiem ten Wielki Wilk miałby przyjechać autem, skoro sam Skoll przyszedł piechotą?

Sarah zastanawiała się nad innym faktem dostrzeżonym przez Tima.

Z mapy wynikało, że Walter Skoll nie jest Wielkim Wilkiem Hordy Wschodniej, ale Południowej. Co zatem robił w Nowym Jorku, choć niemal nigdy nie opuszczał teksańskiego rancza? Tim czuł, że jego obecność w mieście świadczy o przygotowaniach do czegoś bardzo ważnego.

Sarah odstawiła filiżankę.

Mimo że wciąż pozostawało wiele pytań, wiedzieli teraz znacznie więcej o swoim wrogu — Wilkach.

Tim rozmawia z wujem

W tym samym czasie na drugim brzegu East River Tim jadł śniadanie w towarzystwie wuja Todda. Wuj miał na Brooklynie, w eleganckiej dzielnicy Park Slope, jeden z najpiękniejszych domów z *brownstone'u*. Kupił go w latach siedemdziesiątych za pieniądze zarobione we własnej firmie specjalizującej

się w produkcji boi morskich i zatrzymał, gdy osiem lat temu postanowił przejść na emeryturę. Oboje z Melindą przez długie lata marzyli, by na stare lata, po sprzedaniu firmy, przenieść się do Kalifornii, jednak po jej śmierci Todd nie chciał wyjeżdżać z Nowego Jorku, gdzie byli razem tak szczęśliwi.

Starszy pan usiadł na wprost Tima i postawił na stole miseczkę z podobizną Popeye *, prezent podarowany mu wiele lat temu przez małego Kevina.

* Popeye – marynarz o dobrym sercu, ale porywczej naturze, bohater komiksu i postać z amerykańskiego filmu animowanego.

— Opowiadaj, Tim. Kiedy wreszcie przedstawiś mi tę młodą osobę?

— No cóż... A co byś powiedział na dzisiejszy wieczór? Moglibyśmy zjeść razem kolację w domu.

Zmęczone oczy Todda rozbłysły radośnie.

— Tylko czy Jodie lubi homary? — zapytał z niepokojem.

Tim uśmiechnął się, kiwając głową.

Kiedy jako dzieci Tim i jego brat Kevin przyjeżdżali na wakacje, ciotka Melinda witała ich zawsze wystawną kolacją, podczas której na stole królowały homary. Potem wszyscy czworo szli do kina przeważnie na film z gatunku fantastyki, bo Todd je uwielbiał. Rytuał powitalny był niezmienny, więc i dla chłopców, i dla wuja oraz ciotki homar stał się najtrafniejszym synonimem słowa „szczęście”.

Od śmierci Melindy nie jedli homarów.

Tim uniósł filiżankę do ust, nie spuszczać z oczu Todda.

Lubił obserwować starszego pana nie tylko dlatego, że ten przypominał mu radosne dni, jakie przeżyli tu, na Brooklynie, on i jego brat, ale także ze względu na niewypowiedzianą łagodność twarzy Todda, tak doskonale wyrażającą dobroć jego serca. Stale rozczochrane śnieżne włosy, zawsze zaróżowione policzki, pełne melancholii oczy— wszystko to upodabniało go

do starego szkockiego marynarza, który marzy o morskich wyprawach, choć Todd nigdy w życiu nie płynął statkiem ani nawet większą łodzią. Lata pracy nauczyły go jednak, co czyni z człowiekiem morze, i zawsze dążył do zapobieżenia niebezpieczeństwu, konstruując coraz doskonalsze boje. Morze było dla niego wrogiem, którego potęgi i podstępności nie można było pokonać, więc należało jak najlepiej się im przeciwstawić. I temu poświęcił całe swoje życie zawodowe, nie przewidując, że potem jego spokojne życie na Brooklynie zakłóca zgoła inne burze i huragany. Wuj Todd otoczył potężnymi dłońmi filiżankę z gorącą kawą.

— Miałeś niespokojną noc?

Tim miał ochotę odpowiedzieć: „Nie bardzo. Tylko o mały włos nie runąłem w jakąś przeklętą przepaść”, jednak ograniczył się do skinięcia głową. Nie chciał martwić wuja.

Todd potarł świeżo ogoloną brodę.

— Powinniście być ostrożniejsi. Mówię poważnie, Tim. Przez ciebie oberwie mi się od Melindy, kiedy wreszcie znowu się spotkamy.

Ciotka Melinda spoczywała spokojnie na cmentarzu Greenwood. Mąż uwielbiał ją za życia, otaczał czcią, gdy zmarła. Jej przedwczesna śmierć w wieku pięćdziesięciu ośmiu lat, spowodowana gwałtownie rozwijającą się białaczką, pogrążyła go w otchłani i tylko dzięki siostrzeńcom — Timowi i Kevinowi — zdołał utrzymać się na powierzchni. Zresztą także Melinda, której nieodgadniony w swych zamierzeniach Bóg nie obdarzył dziećmi, kochała ich jak własnych synów.

Todd najbardziej żałował właśnie tego, że nie zdołał dać żonie dziecka. Lubił sobie wyobrażać, że nie byłiby złymi rodzicami, bo w dobroci i pokorze ludzi wielkiego serca nigdy nie doceniał w pełni swych zalet. Niestety, wuj Todd był bezpłodny.

Po badaniach lekarze poinformowali go, że jego plemniki nie poruszają się dość sprawnie w śluzie szyjki macicy i nie są w stanie „zawinąć do portu”. To, co innemu wydałoby się ironią losu wobec genialnego wytwórcy boi, w nim rozbudziło chęć kochania wszystkich, których mógł kochać: Melindy, dwóch siostrzeńców, a nawet coraz doskonalszych boi i — mimo Jego okrutnej woli — Boga.

Gdy Todd dowiedział się o śmierci Kevina, zasłabł i trafił do szpitala. Dwa lata wcześniej stracił ukochaną Melinę — nowej żaloby nie mógł wybaczyć Panu Bogu. Zastanawiał się, czy Jego wolą jest wydrzeć z serca nieszczęśnika wszystkie boje? Czy chce, aby zagubił się na mrocznym morzu i zatonął, gdy zabraknie mu sił, by pływać pośród fal rozpacz i goryczy? Niezdolny do odplacenia złem, wybaczył temu porywczemu Bogu i nadal chadzał o siódmej rano modlić się do pobliskiego kościoła.

Natomiast Tim, myśląc o Bogu, zastanawiał się, czy Pan naprawdę potrafi rozpoznawać swoich. Człowiek taki jak wuj Todd zasługiwał na dziesięcioro dzieci i sto lat życia z żoną tak dobrą jak ciotka Melinda. A taki brat jak Kevin także zasługiwał na zupełnie inny los.

Tim nigdy nie rozmawiał z wujem o Bogu. Unikali także zbyt bolesnych tematów, zwłaszcza tego, co wiązało się z Melindą i Kevinem.

Te śmierci, które przyszły jedna po drugiej, odbiły się na zdrowiu starszego pana, musiał więc sprzedać firmę konkurencji. Właśnie w tym trudnym okresie Tim zapytał go, czy mógłby u niego zamieszkać. Wuj Todd wyraził zgodę, wzruszony do łez. Poczul ulgę, że nie będzie już dłużej sam w tym wielkim domu, gdzie na każdym kroku widział Melinę i Kevina.

— Tej nocy udało nam się załatwić najtrudniejsze — powiedział Tim, żeby go uspokoić. — Jeżeli dokumenty, które skopiowaliśmy w fundacji, wystarczą, by dowieść, kim są Wilki Fenrydera, sprawą zajmie się policja.

Jednak w głębi ducha Tim nie był takim optymistą, jakiego udawał.

Pocieszał się myślą, że przynajmniej senator March uzna na podstawie tych dokumentów, że FBI powinno podjąć działanie. Czy jednak zdobyte nielegalnie dowody będzie można przedstawić w sądzie? W dodatku to, co odkrył wraz z przyjaciółmi, nie wzbudzało jego euforii, bo choć bractwo Fenrydera liczyło zaledwie dwadzieścia Wilków, było to dość, by przyprawić o dreszcz każdego, kto wiedział, jakie zagrożenie może stanowić samotny Wilk. Wśród ulubionych maksym Kevina, inspektora policji, znalazła się i taka, która głosiła, że bomb jądrowych nie liczy się na tuziny, jakby to były jajka. Miało to znaczyć, iż zawsze należy brać pod uwagę niszczycielską siłę tego, z czym ma się do czynienia. Dopiero niedawno Tim dokładnie zrozumiał myśl brata.

— A strażnik nie miał żadnej mocy? — zapytał wuj Todd.

— Nie, nie posiadał mocy swych panów, tylko dobrą spluwę i bezwzględny posłuch. — Tim zamilkł, jakby wstydził się dodać: — Nie miał też znaku szczególnego.

— Czyli czarnej skórzanej rękawiczki na prawej dłoni?

— Tak, nie nosił wilczej rękawiczki. I to właśnie najbardziej niepokoi mnie u *tarhq-sagogh*. Sam rozumiesz, wujku, że każdy może okazać się *tarhq-sagogh*.

— Nie wszyscy są czarni?

— Jak Ron Flint?

— Tak, i jak wcześniej Horace Lebayou. Pamiętasz nadzorcę Fenrydera i pierwszego *tarhq-sagogh*?

Pytanie wydawało się istotne.

— Sarah też tak uważa. Ale nie wydaje mi się, żeby to było takie proste.

— Czyli dosłownie każdy mógłby być *tarhq-sagogh*?

— Na pewno w Nowym Jorku jest jeszcze jeden, a Nowy Jork to duże miasto. To może być Murzyn, biały albo żółty. Strażnik albo właściciel galerii sztuki, czy ktokolwiek inny.

— Myślisz o tym Wellingu, który chce się z tobą zobaczyć?

Nad tym też warto się było zastanowić.

Tim powiedział wujowi o Williamie Hastym, Wielkim Wilku władającym Hordą Wschodnią.

— Czy to ten drań, który zabił Kevina? — zapytał wuj Todd, a na jego twarzy widać było cierpienie.

Tim skinął głową.

— Gdzie jest ten William Hasty?

— To właśnie chciałbym wiedzieć.

Zerkamy na Ocean Atlantycki

Od trzech tygodni załoga żyła w strachu. Nie trzeba było doktoratu z psychologii ani studiów na Yale, żeby to zauważyć. Kapitan „Ragnaröka”, pływającego pod norweską banderą tankowca o pojemności pięciu tysięcy ton, wiedział, że to uczucie ogarnęło jego ludzi po tym, jak okręt zaopatrzeniowy podpłynął do nich w środku nocy, gdy mijali Przylądek Dobrej Nadziei, choć na pokładzie mieli wszystko, czego potrzebowali. Dlatego ta wizyta ich zdziwiła, a potem wzbudziła uzasadnione podejrzenia. Przed killkoma dniami tankowiec napełnił zbiorniki na wyspie Das w Zatoce Perskiej i płynął ze stałą prędkością siedemnastu węzłów, by dostarczyć ropę do portu Jersey City, u wybrzeży New Jersey, na wprost Nowego Jorku.

Mający dwudziestosześcioletnie doświadczenie z rejsów na długich trasach Lars Dreyer był inteligentnym kapitanem, a

widząc ten okręt, brał pod uwagę wiele różnych hipotez.

Po pierwsze, przyszli mu na myśl piraci chcący przechwycić ich ładunek. Jednak kapitan wiedział, że Atlantyckie to nie cieśnina Malakka, miejsce wprost idealne do tego rodzaju napaści, odrzucił więc to przypuszczenie. Czyżby terroryści? Szaleńcy bin Ladena? Gdyby tak było, należałoby jak najszybciej polecieć dwudziestu pięciu członkom załogi, by sięgnęli po broń i przeciwstawili się napastnikom, chociaż wydawało się jasne, że długo nie zdołają walczyć z liczniejszym i zdeterminowanym wrogiem. Przygotował się zatem na najgorsze, gdy nagle radio rozwiało jego obawy — na tajemniczym okręcie znajdował się niejaki William Hasty i prosił o zezwolenie na wejście na pokład. Rzecz jasna, prośba ta była czystą grzecznością. Ktoś, kto jest dyrektorem spółki Managarm, specjalizującej się w transporcie morskim norweskiej filii amerykańskiego koncernu naftowego Flow Corporation, mógł wsiąść na środku oceanu na każdy z ośmiu ogromnych tankowców swojej floty. I zrobić to o dowolnej porze dnia albo nocy.

Kapitan Dreyer nieco odetchnął, wciąż jednak czuł niepokój. Jeszcze po upływie trzech tygodni od tamtej nocy, zaledwie dwieście mil od Nowego Jorku, nie mógł pojąć, że na mostku stanął przed nim żółtowołosy William Hasty, człowiek o szczęście padlinożercy. Co, do diabła, taka szycha jak on robiła na pokładzie tankowca, dlaczego dyrektor pojawił się w środku nocy i nikogo nie uprzedził o swoim przybyciu? A może jeszcze w ślad za nim w taki rejs zechce wyruszyć Walter Skoll, prezes koncernu!

Pretekst — bo to był tylko pretekst — jaki William Hasty przedstawił załodze, zamiast uzasadnić tę wizytę, uczynił ją jeszcze bardziej podejrzaną. Hasty chciał się przekonać, jak pracują marynarze. Gadanie! Przez dwadzieścia dni żeglugi

Hasty nie zwracał uwagi na nic i na nikogo z wyjątkiem ładunku, jaki wziął z sobą na okręt tamtej nocy u wybrzeży Afryki Południowej.

Bo William Hasty nie wszedł na „Ragnaròka” bez bagażu. Na pokład wciągnięto kontener. A widząc, jak Hasty pilnuje załadunku, kapitan pomyślał, że dyrektor uciekł z całym złotem Johannesburga. Ale nie. W kontenerze nie było złota. Tylko misa.

Jakaś cholerna misa!

Zobaczył ją już tamtej nocy wkrótce po przybyciu Hasty'ego, który poprosił go, by wraz z nim udał się na mostek przy bomie ładunkowym. Towarzyszyło im dwóch ludzi z lampami. Księżyc stał wysoko na niebie. Długie, strzępiaste chmury zasłaniały go od czasu do czasu, ich cień kładł się na pokładzie. Kiedy znaleźli się przy kontenerze, Hasty polecił go otworzyć. Dwaj mężczyźni weszli na górę po drabinie i otworzyli niewielką klapę. Hasty, a w ślad za nim kapitan, dołączyli do nich.

Pochyliwszy się nad otworem, kapitan w pierwszej chwili pomyślał, że kontener jest pusty, kiedy jednak przyjrzał się uważniej, zauważył żółtawy blask na dnie. Drgnął, gdy Hasty położył mu rękę na ramieniu, aby go odsunąć.

Jeden z ludzi wciągnął drabinę i spuścił ją do kontenera.

„Proszę tu poczekać”, polecił im szef Managarmu, stojąc już jedną nogą na szczeblu. Dreyer i jego ludzie nie kazali sobie tego powtarzać, poczuli raczej ulgę, że mają zostać na zewnątrz.

Lecz zadowolenie kapitana nie trwało długo, bo już po dwóch minutach Hasty poprosił go o zejście do kontenera. Dreyer niepewnie spojrział na swoich marynarzy, ale i oni wyglądali na wystraszonych. Przełknął ślinę i wypełnił polecenie.

Jeszcze po trzech tygodniach zastanawiał się, czy to, co widział tej nocy, a także przez następne, było rzeczywistością, tak

bardzo wydawało mu się nierealne. Jednak gęsia skórka pokrywająca mu ręce na samą myśl o tym dowodziła, że niczego sobie nie uroił.

Kontener był pusty, jeśli nie liczyć dużej misy opartej pionowo o ścianę i wyglądającej jak rama wysokości człowieka. Jej masywne obrzeża z czarnego metalu były rzeźbione jak arcydzieło sztuki barokowej, inkrustowane złotem i srebrem. Zdobienia ukazywały sforę wilków podczas polowania. Jednak nie to było najbardziej wstrząsające. Ta misa nie była pusta. Zawierała płynną substancję, która promieniowała żółtym światłem, dostrzeżonym przez kapitana już z góry, a choć żadna osłona nie zatrzymywała płynu, ten nie rozlewał się na podłogę. A to przeczyło wszelkim prawom fizyki, ustalonym i zweryfikowanym, toteż Dreyera ogarnął prymitywny strach i całym jego ciałem wstrząsnęły dreszcze.

Ten strach spotęgował się, gdy sobie uświadomił, że żółta tafla się porusza.

Pozostawała w ciągłym ruchu, ale nie było to falowanie, lecz pulsowanie o dużej zmienności form i amplitudy, niemające nic wspólnego z kołysaniem tankowca. Raz pojawiały się zmarszczki tworzące efemeryczne kręgi, koncentryczne i rozchodzące się po powierzchni, kiedy indziej drobne wiry, głębsze i płytsze, znikające równie szybko, jak się tworzyły, to znowu fale, które rozbijały się o obrzeże misy.

Przypominało to taflę wody jeziora, kipiącego ukrytym w głębi życiem.

Tak, to się poruszało. Wyglądało jak żywe.

A w dodatku emitowało szkodliwe promieniowanie.

Lars Dreyer zadrzał i jak zawsze, kiedy jego wewnętrzny sonar szalał, pomyślał o żonie Kristen. Kristen uczyniła z feng shui oficjalną religię ich dużego domu w Trondheim. Dobroczynne promieniowanie było elementem tej religii i wiedział,

że Kristen byłaby niezadowolona, gdyby zobaczyła, jak wystawia się na szkodliwe wibracje.

Wspominając tę noc, Dreyer pomyślał także o przymocowanym do podłogi na prawo od misy stoliku, którego w pierwszej chwili nie zauważył.

To Hasty zwrócił jego uwagę na ten mebel.

Nie czekał zbyt długo, by powtórnie zaszokować kapitana.

— Kapitanie Dreyer, chcę, żeby przychodził pan tu co noc, zawsze o tej samej porze i zawsze sam. Będzie pan przynosił tacę z posiłkiem i stawiał ją na tym stoliku. A potem wróci pan na górę i zamknie klapę. Radzę wpatrywać się w rozgwieżdżone niebo, myśląc o Churchillu, którego zapali pan po powrocie do domu. Odczeka pan kwadrans i wróci do kontenera. Nie muszę chyba uprzedzać, że ma pan zachować to w ścisłej tajemnicy. Jeżeli ośmieli się pan komuś o tym wspomnieć, to zapewniam, że osobiście dopilnuję, żeby wszyscy, których pan kocha, Kristen, Björn i Sonja, nie mogli dłużej odplacać panu miłością.

Lars Dreyer zaniemógł, a w sercu poczuł silny ból. Ta rana wciąż się powiększała i jątrzyła pod wpływem potwornego strachu.

Czy się nie przesłyszał, czy z ust szefa naprawdę padły pogroźki? Bo przecież to były pogroźki! Ale, do diabła, skąd ten facet wiedział, że jego żona ma na imię Kristen, a dzieci to Björn i Sonja?

Z CV, które składał przed zatrudnieniem w firmie, podszeptał pracujący gorączkowo mózg.

Ten facet jest twoim pracodawcą. Zanim zrobił ci ten numer, przejrzał papiery. No dobrze. Ale co z cygarem? Z całą pewnością takich informacji nie ma w dokumentach. Poza tym to był swego rodzaju tajemny rytuał. Po powrocie z rejsu do domu w Norwegii miał zwyczaj wypalać cygaro — tylko jedno. I zawsze był to Churchill, jak „zgadł” Hasty. Poza tym Dreyer

nigdy nie palił. Żaden marynarz nie widział go z papierosem w ustach. Skąd więc Hasty mógł wiedzieć o Churchillu?

Facet był równie niesamowity, jak jego misa w kontenerze. I równie groźny.

Z rozkołatanim sercem kapitan myślał o żonie i dwójce dzieci, tam, w Trondheim. Wydawało mu się nawet, że słyszy Kristen, która, podsuwając mu pod nos podręcznik feng shui, mówi:

— Lars, nigdy nie wchodź w drogę złemu promieniowaniu!

Jak przystało na dobrego męża, przyznał żonie rację i odtąd, aby nie wchodzić w drogę złemu promieniowaniu, bardzo skrupulatnie stosował się do wskazówek Williama Hasty'ego. Co noc stawiał tacę na stoliku i co noc czekał kwadrans, by po nią wrócić. Jedzenie zawsze znikало. I co noc kapitan bał się coraz bardziej, że nie wyjdzie z tego żywy.

Mimo lęku umysł Dreyera funkcjonował sprawnie, wręcz bardzo sprawnie. Kapitan już pierwszej nocy zrozumiał, że w misie kryje się coś, co zjada przyniesione dania, coś żywego, wychodzącego nocą. Wiele by dał, żeby ustalić, co to takiego. No cóż, strach był hamulcem ciekawości. Dreyer wołał raczej nic nie wiedzieć, niż odkryć dodatkowy powód do lęku, a w ostrożności posuwał się tak daleko, że kiedy Hasty wyraził życzenie, by jego nazwisko nie figurowało na liście załogi, a czarny kontener na liście przewozowej, zgodził się, myśląc w duchu, że Hasty i jego kontener nie pojawią się także w opowieści, jaką po powrocie z tego rejsu przedstawi dzieciom.

William Hasty stał się dla niego uosobieniem człowieka, którego nie chciałby spotkać nocą na odludziu. Na nieszczęście załogi „Ragnaröka”, Hasty wprosił się na pokład, a co gorsza, był ich szefem. Trudno wyobrazić sobie groźniejszy huragan...

Głos oficera pełniącego wachtę wyrwał Dreyera z zadumy.

— Co jest? — burknął, odwracając się do niego.

— Panie kapitanie, powiedziałem, że wkrótce dotrzemy do celu.

W głosie oficera wyczuwało się ulgę. Któż jednak nie myślał z zadowoleniem o rychłym końcu takiego rejsu? — pytał samego siebie Dreyer.

Z mostka, który znajdował się na wysokości ósmego piętra wieżowca, rozciągał się przyprawiający o zawrót głowy widok na liczący czterysta metrów długości pokład. Kiedy kapitan chciał, aby jego syn i córka wyobrazili to sobie, mówił o wielu połączonych stadionach. Dla dziesięcio- i dwunastolatków było to o wiele bardziej wyraziste. Jeszcze niedawno, kiedy zastanawiał się nad tym podczas porannego joggingu, porównanie wydawało mu się niezwykle trafne, ale odkąd miał na okęcie Hasty'ego, pokład stał się jakby krótszy, a odległość dzieląca go od czarnego kontenera i tego, co się w nim kryło, była jego zdaniem o wiele za mała. On i jego ludzie nie uprawiali joggingu od tamtej fatalnej nocy. Najzwyczajniej pozostawili pokład kontenerowi i jego tajemnicy. I umierali ze strachu.

Kapitan rzucił okiem na zegar w sterówce. Trzy minuty po jedenastej. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze (a Lars Dreyer modlił się o to do wszystkich bogów morza i mocy feng shui), tankowiec dotrze do portu w Jersey City przed północą.

Sarah przyjmuje gości

O wpół do dwunastej Sarah kończyła spisywanie notatek. Pracę przerwał jej dzwonek do drzwi.

Zamknęła dokument w Wordzie i opuściła ekran laptopa. Wstała, wzięła z kuchennego blatu glocka i sprawdzając, czy

jest gotów do strzału, zerknęła przez wizjer na twarz nieproszonego gościa. Zobaczyła senatora Marcha.

Sarah odłożyła glocka do jednej z szufladek i przekreśliła klucz.

— Mogę wejść? — zapytał stary senator, uśmiechając się do niej.

Wyglądał na równie zatroskanego, jak Mojżesz, gdy wyprowadzał swój lud z Egiptu.

Chciała odwiesić jego płaszcz, ale odmówił. Było mu zimno.

— To ze zmęczenia — wyjaśnił.

Podobnie jak oni spał tej nocy bardzo krótko, a przecież nie był już młody.

Weszli do kuchni i Sarah zaproponowała filiżankę kawy. Senator usiadł przy stole i okrył kolana połą płaszcz. Naprawdę wyglądał na zmęczonego.

Sypiąc kawę do filtru, Sarah przekazała mu pokrótce informacje, które udało im się uzyskać dzięki mapie Mrocznego Imperium, a także ich hipotezy dotyczące struktury organizacji Wilków: generał Fenryder na szczycie, cztery Wielkie Wilki podlegające tylko jemu, w tym Walter Skoll oraz niejaki William Hasty, a wreszcie, na dolnym szczeblu, piętnaście podrzędnych Wilków, którym służyli *tarhq-sagogh*, jak Ron Flint, strażnik z fundacji.

Senator z powagą kiwał głową.

Sarah umieściła filtr na dzbanku, który wstawiła do ekspresu, a potem wcisnęła przycisk „on”.

— Wciąż nie wiemy jednak — ciągnęła — jak nazywa się człowiek, który przyjechał limuzyną na wieczorne spotkanie w fundacji. Poza tym mamy jeszcze trzy inne zagadki do rozwiązania. Po pierwsze, kto jest drugim *tarhq-sagogh* w Nowym Jorku? Po drugie, dlaczego Walter Skoll jest tu, a nie na swoim

ranczu? I po trzecie, być może najważniejsze: gdzie przebywa obecnie Prawdziwy, czyli generał Fenryder?

Gdy kawa była już gotowa, Sarah usiadła przy stole naprzeciwko senatora, który zauważył:

— W sumie więc macie więcej pytań niż odpowiedzi.

— W życiu zwykle tak bywa — przyznała z uśmiechem na ustach.

— Tak, niestety — pokiwał głową March.

Sarah złożyła tę reakcję na karb zmęczenia. Nawet nie przyszło jej na myśl, że to, na co cierpi Pitbull, może być znacznie poważniejsze od zmęczenia i wymagać czegoś więcej niż filiżanka dobrej kawy.

— A pan? — zapytała, unosząc dzbanek. — Czy analiza obrazów coś dała?

— Pani przyjaciel Tim miał rację co do tych stron. To rzeczywiście zaszyfrowane wiadomości. Udało nam się odczytać wszystkie oprócz jednej.

Wyjął spod płaszcza tekturową teczkę i rzucił ją na stół. Sarah sięgnęła po nią i szybko otworzyła. Zobaczyła kartki z rozszyfrowanymi informacjami.

— To wygląda na jakieś deliberacje.

— Faktycznie — powiedział senator, unosząc filiżankę do ust. — To sprawozdania z ich sesji.

Zamilkł, by napić się kawy.

— Chciałbym z góry uprzedzić, że nie znajdzie pani w tych dokumentach niczego, co mogłoby unicestwić Wilki albo rozwiązać ich zagadkę. Obawiam się, że nie ma tu ani Kamienia z Rosetty *, ani wyznań.

* Słynna tablica zawierająca ten sam tekst w dwóch językach — greckim i egipskim. Odkryta w 1799 r., pochodzi z 196 r. p.n.e.

Czy dlatego wygląda tak nieswojo? — zastanawiała się Sarah, zerkając kątem oka na senatora. Rozczarował się, nie znalazłszy solidnych dowodów pomimo tylu starań?

— Czego to wszystko dotyczy? — zapytała.

Senator odstawił filiżankę i streścił jej zawartość teczeki.

Zaczynało się od nazwisk czterech przewodniczących zebrania, a także lat, w których każdy z nich wstąpił do bractwa Fenrydera. Jako pierwszy został Wilkiem w roku 1879 Walter Skoll, następnie, w roku 1880, dołączył do nich William Hasty, a w roku 1895 Daniel Suit i wreszcie, w 1908, Joseph Koil. Zgromadzenia nazywano „zebraniem Rady Feniksa”. Odbываły się raz do roku. Pierwsze miało miejsce w maju 1908, kiedy do organizacji wstąpił ostatni z Wielkich Wilków.

Krótki tekst informował, że tych czterech ludzi nosiło tytuł Wielkiego Wilka, ponieważ Prawdziwy wśród Prawdziwych, Wielki Mistrz Wilków, Wódz Hord, osobiście ich wybrał, aby mieć niezrównanych wojowników zdolnych zapanować nad ludzkością po Długiej Nocy. Oznaczało to zarazem, że inne Wilki nie zostały powołane przez samego generała Fenrydera, ale prawdopodobnie przez Wielkie Wilki, które tworzyły Hordy po cztery do sześciu osób.

Najwyraźniej, stwierdził senator, od czasu powołania bractwa nie dążono do istotnego zwiększenia liczby członków. Dobierano ich niezwykle starannie.

Każde sprawozdanie zawierało datę i miejsce spotkania. Zebrania Rady Feniksa do roku 1970 odbywały się w stanie Teksas. Potem, od 1971, w Nowym Jorku, na szóstym piętrze świeżo wybudowanego gmachu Fundacji Waltera Skolla.

Cztery Wielkie Wilki nie były same na zebraniach, którym przewodniczyły. Udział w nich brały także Wilki niższej rangi oraz „goście”, których często nie wymieniano z nazwiska.

Mówiło się o pierwszym gościu zebrania, o drugim, trzecim i tak dalej, jeśli było ich wielu, lub o Gościu, jeżeli zaproszono tylko jedną osobą.

Należało podkreślić, że żaden *tarhq-sagogh* nie został nigdy zaproszony na zebranie Rady Feniksa, a nawet nie wchodził tam jako służący.

Co do tematyki tych spotkań, to omawiano na nich „kierunki” wytyczone bractwu Fenrydera, a w sprawozdaniach wymieniano je w sposób ogólny i abstrakcyjny.

Wśród zaleceń z trzeciego kwietnia 1931 roku znalazło się na przykład takie: „Przygotować najbardziej podatne dusze do naszego przyszłego panowania w tym kraju”. Nie definiowano jednak, co to za „dusze” ani co oznacza „przyszłe panowanie”. Inne, z października kolejnego roku: „Objąć kontrolą najbardziej zaawansowane koła”, podobnie sformułowano, subtelnie łącząc szczerłość wojownika z niedopowiedzeniem. Tak samo było ze wszystkimi innymi.

Przedostatnie zebranie Rady Feniksa poświęcono „dochowaniu tajemnicy”. Raport wspominał o „problemie S.H.”, a kończył się lakonicznym: „Jak najszybciej rozwiązać problem S.H.”. Sarah zadrżała, przeczuwając, że mowa tu o pisarzu Stanleyu Holderze. Wiedziała, jak rozwiązano „problem” w Luizjanie.

Ze zdwojoną uwagą czytała sprawozdanie z ostatniego zgromadzenia. Odbyło się ono jedenastego grudnia, tej nocy, kiedy wraz z przyjaciółmi obserwowała fundację. Wyjątkowo nie wziął w nim udziału Wielki Wilk William Hasty. Świadczyło to o jego zaangażowaniu w sprawę wielkiej wagi, z dala od Nowego Jorku. Tylko w takiej sytuacji mógł opuścić zebranie Rady Feniksa.

Tamtej nocy zaproszono jednego gościa, a Sarah wiedziała już teraz, że to on przyjechał limuzyną.

„Gość zwrócił uwagę Rady na pojawienie się pewnych komplikacji. Gość został pouczony, iż nie powinien ustawać w dążeniu do ostatecznego rozwiązania wspomnianych problemów”.

Sprawozdanie kończyło się słowami: „Nie wprowadzać żadnych zmian do planu. Zrealizować go w ustalonym terminie”.

Mimo unoszącej się nad tymi słowami aury pogroźki Sarah musiała zgodzić się z senatorem, iż nie ma tam niczego, za co można by postawić Wilki przed sądem. Jednak spoglądała na sytuację z większym optymizmem niż senator, uważając, że ze zdobytych materiałów można wyciągnąć sporo cennych informacji. Choćby sprawozdanie z ostatniego zebrania obalało hipotezę o przybyciu generała Fenrydera tajemniczą limuzyną. Nie wiadomo było, gdzie się ukrywa, lecz wniosek, że jedenastego grudnia nie przebywał, albo jeszcze nie przebywał, w Nowym Jorku, był oczywisty. Ponadto wiedzieli już teraz, że nieznamy z limuzyny przyjechał sam i ponieważ nazywano go gościem, nie był Wilkiem, a tym bardziej *tarhq-sagogh*.

Głos senatora wyrwał Sarah z zadumy.

— Mój ekspert kryptolog odkrył jeszcze dwie „wiadomości”. Jedna z nich została ukryta w reprodukcji obrazu Goi, ale to superszyfr.

— Co to oznacza? — zapytała, nie rozumiejąc.

— Informację zaszyfrowano dwukrotnie, używając dwóch różnych szyfrów. Udało nam się złamać pierwszy, z drugim jeszcze się nie uporaliśmy. Proszę spojrzeć na ostatnią kartkę z teczki. To niezrozumiałe.

Rzeczywiście, na kartce, zamiast słów, zobaczyła szereg cyfr bez logicznego związku:

6/1; 5/3; 8/1; 10/3; 2/1; 3/3; 16/1; 26/1; 21/9
9/3; 17/1; 21/1; 27/1; 11/1; 3/4; 4/1; 5/3; 3/3
22/1; 12/1; 8/1; 13/3; 27/4; 25/1
9/5; 27/3; 5/4; 5/1; 27/2; 20/2; 14/1; 13/1
6/7; 13/3; 3/3; 22/1; 13/1; 7/1; 4/1; 24/8; 11/6
17/1; 5/3; 15/4; 27/1; 19/1; 2/1
25/1; 11/1; 6/1; 9/4; 27/2; 6/7; 10/1; 18/1; 26/1
8/1; 13/1; 27/1; 6/1; 24/15

Senator mówił:

— Ta wiadomość różni się od innych także tym, że jej źródłem nie była komórka Skolla. Została wysłana do Waltera Skolla drogą elektroniczną osiemnastego września tego roku. Mam podstawy sądzić, że to rozkaz generała Fenrydera.

— Dlaczego pan tak uważa, panie senatorze?

— Otóż wiadomość wysłano z komputera w Afryce Południowej. Na ten sam adres elektroniczny przekazywane są kolejne sprawozdania Feniksa.

— Wielki Wilk Walter Skoll — myślała głośno Sarah — informuje zatem generała Fenrydera o działalności bractwa.

— To wyjaśniałoby, dlaczego szyfrują korespondencję, używając do tego celu zdjęć i obrazów. W ten sposób ograniczają ryzyko ich przechwycenia przez NSA.

— Czy i ta druga wiadomość jest podwójnie szyfrowana? — zapytała Sarah.

Szukała na kartkach w kartonowej teczce, ale nie znalazła tej informacji.

— Nie ma jej wśród innych — przyznał senator, pocierając dłonią łysą głowę. — Odkryliśmy ją wpisaną w kopię obrazu Warhola, *Czaszka*. Pamięta go pani?

— Tak, ale nie był najgorszy spośród znajdujących się w komputerze Skolla.

— Oznacza to tylko, że nigdy nie wolno wierzyć pozorom — mruknął senator, patrząc na nią posepnym wzrokiem.

— Co chce pan przez to powiedzieć?

— Wiadomość, którą zdołaliśmy odczytać z obrazu Warhola, to nie tekst, ale zdjęcie. Muszę wyznać, że wołałbym go nigdy nie zobaczyć. Z powodu tego zdjęcia przyszedłem tu dzisiaj. Prawdę mówiąc, panno Widar, przyszedłem panią uprzedzić, że wycofuję się z komisji.

Sarah o mało nie zakrztusiła się kawą.

— Co takiego? Ale... Ale dlaczego?

Westchnął przeciągle, muskając palcem brzeg filiżanki.

— Prawdziwą wojnę zawsze poprzedza ta niewidoczna, brudna i wyjątkowo okrutna, w której używa się podłych chwytów i zastrasza. — Cofnął palec z filiżanki i opuścił rękę pod stół. — Dostałem ostrzeżenie. Najwyraźniej Wilki Fenrydera wiedzą, że komisja, której przewodniczę, interesuje się ich poczynaniami. — Spojrzał na Sarah z gorzkim uśmiechem. — Wojna to tylko partyjka polo rozgrywana przez paskudnych smarkaczy i muszę przyznać, że robię się za stary, żeby stać się znowu jednym z tych smarkaczy.

Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął kartkę i podał Sarah. Zobaczyła zrobione teleobiektywem zdjęcie, a na nim grupę kobiet i mężczyzn trzymających się za ręce. Wszyscy byli ubrani w czerwone suknie z kapturami, na których wyszyto znaki kabalistyczne. Twarz jednego z uczestników spotkania ktoś otoczył czarnym kółkiem.

— To mój syn — powiedział senator March, wskazując brodą fotografię. — Po śmierci matki Eliot zrobił masę głupstw. Wiedziałem, że sięgał po narkotyki i zadawał się z szumowinami.

Ale nawet nie przyszło mi na myśl, że ten kretyn zada się z Potrójną Kreską. — Widząc, że Sarah marszczy brwi, senator wyjaśnił: — To jedna z amerykańskich sekt. Bardzo groźna. W porównaniu z nią Mun Aum i użycie sarinu wydaje się zabawą w harcerzyków.

— Co oznacza ta nazwa: Potrójna Kreska?

— Pozwoli pani? — zapytał, wskazując komputer. Otworzył laptopa. Potem obrócił go tak, aby Sarah widziała ekran.

— Proszę spojrzeć — powiedział, unosząc palec wskazujący.

I trzykrotnie uderzył w klawisz „dywiz”. Na ekranie pojawiły się trzy kreski. Cursor migał za nimi, jakby on także czekał na odpowiedź.

— A teraz to samo, ale z użyciem wielkich liter.

I zrobił tak, jak powiedział. Na ekranie zamiast trzech kresek pojawiła się liczba 666.

— Apokaliptyczna liczba Bestii — powiedział, zerkając na Sarah. — Potrójna Kreska to sekta satanistyczna, panno Widar. Jej adepci mają tylko jeden cel: służyć księciu ciemności, aby pewnego dnia dostąpić zaszczytu, stając przed nim. Mogliby pozostać bandą nieszkodliwych wariatów, gdyby w połowie lat dziewięćdziesiątych ich guru, niejaki Jack W. Gardner, nie nakładł im do głów, że należy składać w ofierze ludzi w obliczu czekającej planetę apokalipsy. Do policji wieści o tej sekcie dotarły po odnalezieniu za kościołem w Riverside potwornie zmasakrowanego ciała młodej kobiety. Sekcja wykazała, że zgwałciło ją około dwunastu mężczyzn. Potem wypruli z niej flaki. W latach tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt siedem i tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt osiem dwie kolejne dziewczyny zginęły w identycznych okolicznościach. Później policja ustaliła, że były to ofiary poprzedzające. Pamięta pani zaćmienie

Słońca z jedenastego sierpnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku?

— Okultyści twierdzili, że Nostradamus przepowiedział na ten dzień koniec świata.

— Tak, a Gardner chciał przyspieszyć bieg wydarzeń, wysyłając dziesięciu obłąkańców, by szturmem zdobyli Indian Point Plant, elektrownię jądrową w Nowym Jorku. Operacja skończyła się potworną klęską. Wszyscy członkowie tego komanda zostali schwytani przez pierwsze patrole, na które natrafili. To oni ujawnili podczas przesłuchań obłąkańcze zamierzenia Potrójnej Kreski, a także zeznali, że sekta dopuściła się mordu na trzech odnalezionych na Manhattanie dziewczętach. Wydano nakaz aresztowania Gardnera, jednak do dziś nie udało się go odnaleźć. Sądzymy, że po nieudanej próbie sprowadzenia na kraj nuklearnej apokalipsy uciekł za granicę.

— Czy to zdjęcie z lat dziewięćdziesiątych? — zapytała Sarah.

Senator potarł brodę, wyraźnie zakłopotany.

— Komisja, której przewodniczę, analizowała działalność wielu sekt, a Potrójna Kreska Gardnera jest jedną z nich. Ale moi współpracownicy i ja sądziliśmy, że zaprzestała działalności po wyjeździe guru.

— Jednak tak się nie stało?

— Nie. To zdjęcie zrobił przedwczoraj agent FBI.

— Agent FBI? — powtórzyła z niedowierzaniem.

— Kopię wręczył mi wczoraj rano dyrektor Biura, Paul Galloway. Od niego pierwszego dowiedziałem się o powiązaniach Eliota z Potrójną Kreską. Rzecz jasna, dokument powinien pozostać poufny.

— Czy FBI zatrzymało pańskiego syna?

— Nie. Galloway nie zamierza wydawać w najbliższym czasie takiego rozkazu, a to z oczywistych przyczyn. Członkowie

Potrójnej Kreski, których tu pani widzi, to tylko żałośni ope-
tańcy bez przywódcy, a policja ma ich już na oku. Pozwolimy
się im spotykać, dopóki któryś nie doprowadzi nas do Gardne-
ra. Policja obawia się przede wszystkim, że w kraju mogą pozos-
tawać uśpioni członkowie sekty, ludzie znacznie ostrożniej si i
o wiele bardziej niebezpieczni, i to ich chcemy zidentyfikować
dzięki tym kilku głupcom. Gardner jest nawiedzony, gotów
odtańczyć taniec brzucha, żeby zwrócić na siebie uwagę Szata-
na. Zapewniam panią, że kiedy tylko będzie mógł, znów da o
sobie znać. Zło, panno Widar, jest nienasycone.

— W jaki sposób Walter Skoll zdobył kopię tego zdjęcia?

— To wyjaśni wewnętrzne śledztwo FBI. Galloway, do któ-
rego telefonowałem dziś rano, zapewnił mnie o tym.

— Czy Potrójna Kreska może mieć powiązania z Wilkami
Fenrydera?

— Nic nam o tym nie wiadomo.

— Dlaczego więc Walter Skoll zainteresował się pańskim sy-
nem?

— Nie rozumie pani? Zapewniam, że ma po temu poważne
powody. W ten sposób trzyma mnie za gardło. Jeżeli zrobię się
zbyt kłopotliwy, zobaczę syna na pierwszych stronach gazet.
Krótka mówiąc, mam do wyboru: porzucić pracę w komisji
albo ujrzeć to zdjęcie na ulicach. Wyobraża sobie pani taki
skandal? Przewodniczący komisji senackiej ma jedynaka, który
należy do sekty będącej przedmiotem śledztwa tejże komisji!
Moi przeciwnicy oszaleją z radości. Pozostaje mi tylko jak naj-
szybciej podać się do dymisji.

Sarah oparła się o krzesło i splotła ramiona.

— Wydawało mi się, że nosi pan przydomek Pitbull, senato-
rze March, i że nigdy się pan nie poddaje. Do diabła! Chyba nie
da się pan zastraszyć. Może wiedzą, że jest pan na ich tropie,

ale my również wiemy o nich i ich działalności coraz więcej. Nie mógłby pan porozmawiać z synem?

— Eliot i ja pokłóciliśmy się dawno temu. Nie mogłem parzyć, jak niweczy wszystko, co udało mi się zbudować w życiu. Jeszcze do wczorajszego ranka nie miałem pojęcia, gdzie się podziewa ani co knuje. Widzi pani, stworzyłem mu najlepsze warunki, o jakich może marzyć dziecko bogatych rodziców, ale mój syn swoim postępowaniem tylko psuł mi reputację. Obawiam się, że już wkrótce te łotry, Wilki, spełnią jego najśmielsze marzenia.

Spotkanie starych znajomych

O trzynastej, korzystając z tego, że technicy wyszli na obiad, Forrest obejrzał sale, w których rozwieszano jego obrazy. Jeszcze nigdy nie zostały tak dobrze wyeksponowane, żałował tylko, że stało się to właśnie w Fundacji Waltera Skolla.

W czwartej sali poczuł czyjąś obecność za plecami. Odwrócił się i zbladł.

— Cześć — rzucił młody mężczyzna, który stał w drzwiach.

— Co ty tu robisz? — zapytał napastliwym tonem Forrest.

— Dowiedziałem się, gdzie jesteś, więc pomyślałem, że krótka rozmowa dobrze nam zrobi. Myliłem się? Musimy załatwić kilka spraw.

— Do diabła! Jesteś szurnięty. A gdyby ktoś zobaczył nas razem?

— Wiem, wiem, bracie. To mogłoby zaszkodzić twojej karierze. Obaj tęskniliśmy za Nowym Jorkiem, chyba przyznasz? Ale mów, czy pobyt w Europie pomógł ci się uporać z samym sobą? Udało ci się ulżyć swojemu nieszczęsnemu, zbolałemu sumieniu?

Młody człowiek nieco się zbliżył i mrużąc oczy, zaczął przypatrywać się obrazowi, który wisiał obok.

— Widzę, że wciąż masz wielki talent, Forreście. Zrobiliśmy kawał dobrej roboty. Chyba nie masz nic przeciwko tej liczbie mnogiej? W końcu, braciszku, to my stanowimy integralną częśćkę twego dzieła. Jak się nazywał ten twój marszand? „Warstwa pod innymi warstwami”, „tajny monogram”? A pamiętasz przynajmniej biednego Oscara?

— Zamknij się — mruknął ze złością Forrest. — Kompletnie ci odbiło, jesteś naćpany.

Z bólem serca przypomniał sobie, jak siedział z Oscarem przy kolacji w restauracji w SoHo, gdzie padało słowo „monogram”. Nie było dnia, żeby twarz Oscara nie stanęła mu przed oczyma. Ta uśmiechnięta twarz zniknęła niemal natychmiast, jak zawsze, a zamiast niej pojawiło się udręczone ciało, odnalezione w galerii przy Pięćdziesiątej Siódmej Wschodniej...

— Zamknij się! — powtórzył Forrest, patrząc na młodego mężczyznę. — Do diabła, zamknij się!

Młodzieniec uśmiechnął się do wiszącego przed nim obrazu, a potem głośno pociągnął nosem, odwrócił się do Forresta i wzruszył ramionami.

— Wiesz co, bracie? Kosmos nie wydaje się taki straszny, kiedy masz nozdrza pełne proszku. Możesz uwierzyć na słowo staremu praktykowi!

I znowu się uśmiechając, zwrócił oczy na obraz.

— Nasz drogi wielebny Gardner znowu mnie sprowadził — dodał. — Z tobą na pewno też się kontaktował? — zapytał, zerkając spod oka.

Forrest odwrócił twarz i zatrzymał spojrzenie na dużym płótnie.

— Owszem, kontaktował się ze mną — przyznał niechętnie.

— W Paryżu?

— Tak, w Paryżu.

Forrest zacisnął zęby i spojrzał na niego.

— Jeżeli tu zostaniesz, wszystko zepsujesz.

— Pamiętaj, że musimy działać zgodnie. To rozkaz Gardnera.

Mężczyzna cofnął się o krok, żeby lepiej przyjrzeć się obrazowi, a po chwili znowu popatrzył na Forresta i dodał:

— Rozplakałem się z radości, kiedy się dowiedziałem, że on żyje. Rozumiesz, Forrest? Nigdy go nie zamkną. Nigdy, Gardner jest na to za inteligentny. To geniusz. Tak, to geniusz. Niechaj Władca Much ma go w opiece i obdarzy Chwałą!

Podszedł do Forresta i szepnął mu do ucha:

— Zostaw mi zaproszenie na wernisaż, bracie. To stanie się tego wieczoru albo nigdy.

A potem mężczyzna uniósł otwartą lewą dłoń na wysokość serca.

— No, do cholery, nie mów mi, że i o tym zapomniałeś.

Forrest odpowiedział w końcu na rytualne pożegnanie, dotykając lewą ręką dłoni znajomego i splatając palce z jego palcami. Dwóch stawało się jednym, taki symboliczny wyraz miał ten gest. Wielu adeptów łączyło się w jedności woli — woli Drogi Lewej Ręki.

Forrest nie wykonywał tego gestu od lat.

— Tak jest znacznie lepiej, Forreście. Tak, teraz naprawdę sprawiłeś mi przyjemność. Trzeba ściśle przestrzegać zasad, pamiętasz? Ściśle! A wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

Forrest odwrócił się, nie mogąc dłużej ukrywać odrazy. Czuł do siebie jeszcze silniejszą nienawiść.

Młody człowiek cofał się ku wyjściu z głupim uśmiechem na ustach. Forrest usłyszał jego szept:

— Dodaje mi otuchy, bracie, że nie zapomniałeś, kim jestem.

Nie, Forrest nie zapomniał.

Ten człowiek nazywał się Eliot March. Był jedynym synem senatora Marvin Marcha i członkiem sekty Potrójna Kreska.

A guru Jack W. Gardner wydał mu rozkaz zabicia ojca polityka.

„Wielebny” Jack W. Gardner dyskutuje z Michaellem Wellingiem

W przeciwieństwie do swych wyznawców Jack W. Gardner, który kazał się nazywać „wielebnym”, nie opuścił Nowego Jorku, kiedy FBI uznało za punkt honoru aresztować go za okrutne morderstwa i akty przemocy z roku 1999. Wiedział, że najlepszym sposobem na ucieczkę z Nowego Jorku jest pozostać w mieście, i ograniczył się do zmiany dzielnicy — z Manhattanu przeniósł się do Bronksu. Posługując się nową tożsamością, do tej pory wymykał się z sieci.

W jego apartamencie przy Sto Dwudziestej Trzeciej Zachodniej na Manhattanie FBI znalazło jedną z ostatnich ofiar — młodą dziewczynę, studentkę Uniwersytetu Columbia, której rozpruto brzuch. Przybijając jej jelita do ściany, wielebny napisał: „Szatan mnie chroni”. Policja potraktowała to jako czyn groźnego szaleńca. To był błąd: Szatan naprawdę chronił Gardnera, czego dowodzi fakt, że siedem lat po wyważeniu drzwi i wejściu policji do jego mieszkania, gdzie widniał ów napis, wielebny spokojnie chodził po Nowym Jorku! Oczywiście, nie miał już tak pięknego apartamentu, ale jakie to miało znaczenie, skoro Szatan go chronił?

Przez całe lata robił, co w jego mocy, żeby zwrócić na siebie uwagę Szatana, i oto wreszcie, jak dobry uczeń, otrzymał z rąk uwielbianego Pana dar, o którym zawsze marzył — ujrzeć Jego oblicze, czuć, jak splywa na niego miłość Pana. Czegóż więcej

pragnąć? Oświadczył, że gotów jest złożyć dla Niego w ofierze własne życie, ale Pan rzekł: „Jeszcze nie czas, synu! Zaczekaj!”. Zrozumiał, że jego misja nie dobiegła końca, że ma jeszcze coś do zrobienia, że wiele jeszcze otrzyma. Zrozumiał, że policja nigdy go nie schwyta. Zostawił studentki w spokoju. Trzymał się w cieniu. Czekał. Bo tego życzył sobie Pan: żeby czekał.

Trzewia studentek śniły mu się niemal co noc, ale przysiągł posłuszeństwo Szatanowi, więc żył w abstynencji. Nowy Jork stał się jego klasztorem, Central Park refektarzem tego klasztoru.

Co rano czytał darmową prasę. Nie tracił zainteresowania światem. Czekał na nowy znak, w każdej chwili gotów do najwyższej ofiary, z sercem pełnym wdzięczności.

Aż któregoś dnia odwiedził go pewien mężczyzna. Emisariusz.

Pan życzył sobie, aby Gardner nawiązał kontakt z dwoma dawnymi uczniami, Eliotem Marchem i malarzem Forrestem Magnusem. Pierwszy wciąż był mu wierny, drugi, gdy zyskał sławę, porzucił go, wyparł się jak święty Piotr Syna Bożego.

— Nie wiem, gdzie rozpierchły się moje owieczki — odpowiedział wysłannikowi Pana. — Jestem złym pasterzem.

Był pełen pokory i smutku.

Mężczyzna z uśmiechem sięgnął do kieszeni i wyjął kartkę.

— Teraz już wiesz wszystko, co powinieneś, wielebny.

Na kartce spisano adresy i telefony Eliota i Forresta.

Najpierw zadzwonił do Toronto. Dla Eliota ten telefon po latach był wstrząsem i radością. Dzielny, wierny Eliot! Potem Gardner wysłał kuriera do Forresta. Trzeba było użyć groźby, żeby ściągnąć malarza do Nowego Jorku, w końcu jednak usłuchał i wrócił.

Od blisko roku wielebny mieszkał w ruderze w Morrisami,

jednym z najnędrniejszych zakątków Bronksu, a jego kompanem z pokoju był młodzieniec tak szczupły, że mogłaby mu pozazdrościć niejedna top modelka. Nazywał się Michael Welling. Wylądował w tej dziurze po wielu wędrówkach i równie wielu metamorfozach wewnętrznych.

Wielebny natychmiast otoczył go przyjaznym zainteresowaniem. Domyślał się, że Pan wiąże z Michaelem wielkie plany. Gardner zawsze wyczuwał takie rzeczy. Nie pytajcie jak. O, jakże kręte bywały ścieżki Lewej Ręki!

Czekając na powrót Eliota Marcha, którego wysłał do Forresta, Gardner gawędził z Michaelem Wellingiem przy oponie, która paliła się na podwórzu rudery, wydzielając kłęby czarnego, duszącego dymu. Broniąc się przed zimnem, mężczyźni trzymali dłonie nad płomieniami.

— Wierzy pan w zło jako cel i kres — mówił Michael powolnym, refleksyjnym głosem, jak zawsze, gdy dyskusja dotyczyła poważnych kwestii. — Ale tak nie jest. Moim zdaniem... Moim zdaniem to tylko dźwignia... tak, dźwignia, która sprawi, że to zasrane społeczeństwo przejdzie na dobrą stronę.

Dźwignia starego Marksa wysiadła. Społeczeństwo odzyskało równowagę. Nieco je uniesiono, potem pozwolono opadać... z braku sił. Dlatego potrzebna jest nowa dźwignia, rozumie pan. I... i nowe ramię, nowa wola, aby ją poruszyć. Tym razem z całą pewnością się uda. Ramię musi być silne, wola niezłomna, bez komunistycznych bzdur i nieśmiałego walca socjalistów. A poza tym... Poza tym sądzę, że uda się to wszystko poderwać. Zresztą, gdyby ktoś naprawdę chciał, można by to zakończyć już teraz.

Wielebny Jack W. Gardner gładził brodę. Zapytał z zaciekawieniem:

— Dlaczego właśnie teraz? Po co ta ciągła niecierpliwość?

Wiara, że rewolucję można wszcząć dekretem, jest naiwna — powiedział, strzelając z palców.

— Nie, ale ona tak się rozlewa... Chata Thoreau to... rewolucyjny hormon. Mówi się, że ten człowiek odizolował się od świata, ale nie... to świat milczy przy Thoreau. Banalny fakt, że ja... że istnieję i myślę tak, jak myślę... powoduje uprawdopodobnienie tej perspektywy. Bo jestem żywy, rewolucja jest w zasięgu ręki. Proszę tylko nie dopatrywać się w tym pychy, bo to nie pycha. To tylko wiara.

— Skoro jest w zasięgu ręki, to miewa się raczej kiepsko, ta twoja rewolucja — drwił Gardner, wskazując skinieniem głowy płonąca oponę. — Co do Thoreau, to jeśli mnie pamięć nie myli, jego chata była niezbyt oddalona od domu rodziców... A kiedy skończył pisać *Walden, czyli życie w lesie*, błyskawicznie się z niej wyniósł — dodał, pozwalając sobie na uszczypliwość.

— Racja. Thoreau... Nie udało mu się, ale wskazał nam drogę. Wydaje mi się, że jeśli jednostka, jeden jedyny człowiek, tak, jeden człowiek osiągnie samowystarczalność, kapitalistyczny świat runie jak domek z kart. Totalna wolność tego jedyne go człowieka położy kres niewolnictwu wszystkich. Automatycznie... Automatycznie.

— To dlatego chcesz wyjechać z Nowego Jorku i przenieść się nad twój Walden? Koniec z manifestacjami! Odwracasz się plecami do brutalnych działań przyjaciół.

Michael patrzył na niego bez słowa.

Zastanawiał się, jak mógł dzielić się z Gardnerem rozczarowaniami i planami. Wiedział, że to człowiek bardzo inteligentny, a w związku z tym szczególnie niebezpieczny. FBI ścigało go za morderstwa i akty barbarzyństwa, za jego głowę wyznaczono wysoką nagrodę. Jak mógł wybrać kogoś takiego na powiernika?!

Widząc, że nie uzyska odpowiedzi, Gardner ciągnął:

— Mówisz o dźwigni i o ręce, które będą blisko społeczności, czyli poza nią, ale czy można wyjść ze społeczności? Czy dźwignia naprawdę może znajdować się poza społecznością?

Nie. Ona tkwi wewnątrz. I dlatego nie może i nigdy nie mogła niczego podnieść. Spróbuj podnieść samochód lewarkiem, który w nim utknął. I pamiętaj, że nigdy nie zaznasz spokoju, jeżeli będziesz szukał szczęścia w dobru. Bo szczęście nie tkwi w dobru. Tam nigdy go nie znajdziesz. Człowiek jest złem, Michaelu. Jeżeli chcesz stać się prawdziwym człowiekiem, musisz poznać zło. Musisz mu służyć i wielbić je. Czynić jak najwięcej zła, aby w końcu wyzwolić naszą prawdziwą naturę.

Oto zasada, której należy się trzymać. Zło dla zła, rozumiesz?

To jest droga. Prawdziwa droga, jedyna droga.

Gardner zamilkł i wstał. Strzeliły stawy jego palców. Na wierzchu lewej dłoni miał wytatuowany czarny emblemat Ksafana, na prawej czerwony ślad Haboryma, demona pożarów.

— Dlaczego nie wydasz mnie glinom, Michaelu? Trzysta tysięcy dolarów to nie byle co, nawet dla takiego anarchisty jak ty. Wiesz, że skóra Nazarejczyka nie była warta aż tyle.

— Dobrze pan wie, że nigdy pana nie wydam. Ale... Nie lubię pana, wielobny. I o tym także pan wie.

— Nie wierzysz w diabła, Michaelu, ale on wierzy w twoją przyszłość. Pokłada w tobie wielkie nadzieje. Wkrótce go spotkasz, cholerny szczęściarzu! Diabeł przyjmuje tylko umówionych, a twoje nazwisko figuruje na najbliższych kartkach jego kalendarza.

— Jeśli diabeł stoi po stronie ludzkości, to nie ma powodu się mnie obawiać.

Michael pożałował tych słów, ledwie je wymówił, bo były zbyt podniosłe, a przez to śmieszne.

Wielobny wybuchnął głośnym śmiechem.

— Diabeł to dusza każdej rewolucji, mój chłopcze. To on jest wielkim wyzwolicielem!

A potem pokręcił głową i dodał poważnie:

— Ale widzisz, nie dają mi spokoju twoi przyjaciele anarchiści, bo żeby mówić jak ten Thoreau, trzeba być tym jedynym prawdziwym anarchistą obok dziewięćset dziewięćdziesięciu dziewięciu trybunów. A proporcja jest odwrotna, kiedy mówimy o kapitalistach. Kapitalizm nie marnuje czasu na czczą gadaninę ideologiczną. Pod tym względem jest jedynym bratem Szatana. Bo widzisz, jeden i drugi są potworami skuteczności. A wy, wyzwoliciele, za dużo mówicie, za dużo rozmyślacie. A kiedy bierzecie się do działania, to sprowadza się ono do tłuczenia szyb wystawowych albo bójek z gliniarzami. Nie zrywacie łańcuchów, które was krepują, a tylko potrząsacie nimi jak sprzątaczką, która trzepie stary dywan.

Michael zwrócił oczy na Gardnera. Jak wszyscy zaprzędani złu, „wielebny” był mistrzem sofistyki, ale Michael wiedział, że tym razem ma rację. Słabym punktem anarchizmu była nieustanna gadanina.

Gardner spojrział w jego smutne oczy i uśmiechnął się.

— Diabeł także ma swoich niedowiarków. Na razie należysz do ich grona, Michaelu, jednak wkrótce ujrzysz jego oblicze i będziesz go wielbił, uwierz mi. To świt nowej ery, mój mały.

Michael, który ledwie słuchał jednym uchem, powiedział:

— Czasami...

— Co?

— Nie, nic.

— Nie ufasz mi? — zapytał Gardner, rozkładając ręce. — Nie ufaleś przez cały ten czas?!

— To bez znaczenia — odparł Michael.

— Czy masz do mnie zaufanie?

— Nie, czy panu powiem, czy nie. To zupełnie bez znaczenia.

— W takim razie mów.

Michael spojrział na niego znowu, a potem wzruszył ramionami.

— Czasem... Czasem widzę we śnie zakrwawioną twarz. Ona... jest zalana krwią i błaga mnie, ta twarz... W moim koszmarze wszyscy ludzie wokół mnie mają taką twarz, wszyscy na mnie patrzą, jakby czegoś ode mnie oczekiwali. Czegoś straszego.

— Wszędzie ta sama twarz? Rozumiem. Może to twoja wizja globalizacji. Tego, z czym walczysz ty i twoi przyjaciele. Jak właściwie się nazywają?

— Odszedłem od nich.

— Black Blocks! Nie mogłem sobie przypomnieć!

— Nie są już moimi przyjaciółmi.

— Oczywiście, że są. Wciąż ich lubisz. Wbrew wszystkiemu, wbrew sobie. W przeciwnym razie nie byłbyś taki smutny.

Michael znów zerknął na niego spod oka.

— Być może — powiedział, wzruszając ramionami.

— „Przyjaciel to ten, kto wciąż cię kocha, kiedy cię już nie lubi”. Wiesz, czyje to słowa? Nie, skąd miałbyś wiedzieć? Przecież wy, młodzi, nie czytacie już książek.

Gardner, któremu nic nie umykało, zauważył butle farby w sprayu, które wypychały kieszenie marynarki Michaela.

— Zawsze mi mówiłeś, że twoje graffiti to stale ten sam motyw. Tłumaczyłeś mi któregoś dnia, że w ten sposób dajesz wyraz wolności pod nosem gliniarza Bloomberga. Zaczekaj, niech sobie przypomnę, jak to ująłeś... A! Już wiem. Giuliani i Bloomberg zrobili z Nowego Jorku, oczywiście twoim zdaniem, „aseptyczną chlewnię, w której świnom nie wolno nawet sikać”. A ty, Michael, wyruszyłeś na wojnę ze „Świniopasami”. No dobrze, to już mi powiedziałeś. Wyjaśnij mi teraz jeszcze,

dłaczego „SAMO is NOT dead” pojawia się na każdej twojej ścianie.

Michael wyczuwał w słowach Gardnera ironię.

A jednak to była prawda i uporczywie narażając się na kłopoty z gliniarzami Bloomberga, Michael chciał pokazać, że jest wolny w tym mieście, które utraciło wolność, zamknięte pod kloszem od niemal dwunastu lat, gdy zapanował konserwatyzm w dziedzinie bezpieczeństwa. Jeśli chodzi o przesłanie zawarte w słowach „SAMO is NOT dead”, to było ono adresowane przede wszystkim do jego brata, Erica Wellinga, i wszystkich jego kumpli, nowojorskich marszandów, którzy posłużyli się malarzem Jeanem-Michelem Basquiatem, alias SAMO, czyniąc z niego warholowską ikonę, lekkostrawną i rozchwytywaną na rynku sztuki. Jednak dzięki Michaelowi SAMO przetrwał skandal swojej śmierci i znów krążył nad wielką wyspą-więzieniem, jaką był Manhattan. Wymalowany na hummerze albo metalowej żaluzji sklepu w Chelsea napis „SAMO is NOT dead” nabierał potężnej, mścicielskiej mocy piętna infamii.

Jednak Michael nie zamierzał ujawniać kierujących nim pobudek Gardnerowi. Wolął raczej zmienić temat.

— Dziennikarka z „New York Timesa” umówiła się ze mną na wtorek wieczorem.

Gardner uniósł brwi.

— Żeby porozmawiać o graffiti?

— Nie, nie po to. Ona chce się dowiedzieć, kim jestem, to znaczy... kim naprawdę jestem. Dlaczego postanowiłem wszystko porzucić i żyć jak... Ona po prostu... Powiedziała mi, że ludzi ciekawi, dlaczego... Myślę, że się boją i że chcą się uspokoić, czytając gazetę albo oglądając telewizję. Chcą słów, obrazów. Nie rzeczywistości takiej, jaka jest, ale takiej, jaką chcieliby widzieć. A chcieliby weisnąć ją w ramy formułek. Równań pierwszego stopnia... rzeczy łatwych do zrozumienia.

Ja... Prawdę mówiąc, nie wiem, czy tam pójde. Ale... Z drugiej strony myślę sobie, że mógłbym pokazać im coś innego, zanim... zanim odejdę. Nie wiem. Ona na pewno będzie mówiła o moim bracie. Nie bardzo mam na to ochotę.

— O tym handlarzu dzieł sztuki? — zapytał pro forma Gardner, który znał odpowiedź.

Któregoś dnia Michael wyznał mu, że jego starszy brat także mieszka w Nowym Jorku, ale w eleganckiej dzielnicy. Eric Welling pracował w dużej firmie zajmującej się obrotem dziełami sztuki i uchodził za człowieka wpływowego na rynku artystycznym.

— Chłopcze, ja też mam dziś w Nowym Jorku dwóch braci. Już ci o nich opowiadałem, przynajmniej tak mi się wydaje. Forrest jest renegatem, Eliot to uosobienie łagodności i potulności. Jest trochę podobny do ciebie, a rodzina go zdręcza. Ty masz brata, Erica. On ma ojca. To senator. Szczerze mówiąc, tak między nami, czy może być coś gorszego niż amerykański senator?!

Jim rozmawia z Erikiem Wellingiem

Podmuchy mroźnego wiatru omiatały most Brooklyński. Tim dotarł tu wczesnym popołudniem z Brooklyn Heights i już z daleka zauważył przy wysokim granitowym pylonie od strony Manhattanu mężczyznę w płaszczu Prądy. Obaj przybyli na spotkanie punktualnie.

— Pan Modin? — zapytał Eric Welling, patrząc z zakłopotaniem na czarną przepaskę na oku Tima.

Wymienili uścisk ręki.

— Wypadek — powiedział Tim, tłumacząc się ze swego pirackiego wyglądu.

— Forrest mi o tym nie wspomniał.

— A uważa pan, że powinien? — Tim spojrział na niego z niechęcią.

— Przejdźmy się — zaproponował Welling.

Od wczoraj miał silny katar, który na wietrze stawał się jeszcze bardziej dokuczliwy. Otulił szyję ciepłym wełnianym szalikiem i znów zerknął na przepaskę na twarzy Tima, jakby nie był pewien, czy komuś takiemu można zaufać.

— Myśli pan, że doczekamy się go na święta? — zapytał, wskazując ręką niebo.

— Ale czego?

— No... oczywiście śniegu.

— Wyjaśnijmy to sobie od razu. Mam nadzieję, że nie ściągnął mnie pan tu, by pogadać o pogodzie.

Welling uśmiechnął się nerwowo.

— A jak pan sądzi?

Tim spojrział mu w oczy, nie odwzajemniając uśmiechu.

— Nie, oczywiście, że nie — bąknął w końcu Welling, znów patrząc przed siebie. — Już wszystko wyjaśniam. Moje biuro handlowe ma wśród klientów Fundację Waltera Skolla. Przypuszczam, że Forrest panu o tym powiedział. Jego wystawa doskonale się zapowiada. Nasz przyjaciel ma niezwykły talent. Ceny jego płócien wciąż rosną. Ostatnio u Christie's...

Tim go nie słucha. Welling zauważył to i przeszedł do rzeczy.

— Ale nie o tym mieliśmy mówić. Nie, nie o tym. Dobrze, proszę posłuchać. Pomogłem klientowi w zdobyciu pewnej liczby dzieł sztuki, w tym dwunastu obrazów Forresta, które wkrótce zostaną zaprezentowane szerokiej publiczności. Zapewne pan wie, że grupa uzbrojonych ludzi zrabowała we wrześniu cenne płótno, które mój klient lubił tak bardzo, że trzymał je w rezydencji, a nie w fundacji.

— Nawet gdybym nie był przyjacielem Forresta, musiałbym o tym słyszeć. Media nie zajmowały się wtedy niczym innym.

— Komu pan to mówi, Tim! Ci dziennikarze! Ktoś powinien ich okiełzać. Roją się jak muchy, kiedy tylko wyczują smród gówna w powietrzu!

— O ile mnie pamięć nie myli, tam cuchnęło raczej krwią.

— Nie przeczę, Tim, nie przeczę. Dwóch strażników, dwie osoby zajmujące się konserwacją, ogrodnik i gosposia zginęli w wyniku tego napadu, podobnie jak jeden z przestępców. Ale tę śmierć trudno uznać za nieszczęście, zgodzi się pan? — Zamilkł poprawiając szalik i wciąż idąc. — Policja podała tożsamość zabitego. To niejaki Meyerson, zbir pracujący dla mafiosa z Bronksu, Metysa przybyłego z Azji, znanego jako dziesięć-trzyznaście. Podejrzewam, że już pan słyszał o dziesięć-trzyznaście?

— Wydaje mi się, że policja była na tropie jakiejś sekty.

— Zaraz do tego dojdziemy, Tim. Faktycznie, podobno ten dziesięć-trzyznaście i jego gang zawarli przymierze z małą sektą zwaną Potrójną Kreską. To sataniści, którzy działali bardzo aktywnie przed kilkoma laty, zanim wydano międzynarodowy nakaz aresztowania ich guru, który zniknął bez śladu.

— Co sprawiło, że policja uznała tę sektę za zleceniodawcę kradzieży?

— Otóż mój klient na kilka dni przed rabunkiem miał odebrać pogróżki.

Jako doświadczony psycholog Tim wiedział, że sposób przekazywania informacji jest równie ważny, a może nawet ważniejszy od samej informacji, więc natychmiast zwrócił uwagę na te słowa w relacji rozmówcy: „mój klient miał odebrać...”.

Welling przeszedł wreszcie do właściwego powodu ich spotkania.

— Moja firma potrzebuje fachowca, który potrafiłby wyjaśnić

okoliczności kradzieży dokonanej w rezydencji Waltera Skolla. Chcielibyśmy wiedzieć, w czyje ręce wpadł obraz.

— Czegoś jednak nie rozumiem. Po co sekta satanistyczna miałyby kraść ten obraz?

— To szczególne dzieło, Tim. Jedyne bezsprzecznie fantastyczne dzieło Forresta, obdarzone czarem dwóch milionów dolarów.

— W dodatku nosi tytuł *Demony*. Ciągnie swój do swego. Sądzi pan więc, że Potrójna Kreska kryje się za tym napadem?

— Takie przynajmniej wnioski wynikają z oficjalnego śledztwa.

Genialna metoda przedstawiania faktów, pomyślał Tim. Postanowił nieco dokładniej zbadać teren.

— Czy to możliwe, że kradzież obrazu była jedynie pozorem, za którym kryje się prawdziwy cel włamania? Czy tego dnia jeszcze coś skradziono?

— Nic mi o tym nie wiadomo, ale uważam tę hipotezę za równie uzasadnioną jak inne.

A zatem są jeszcze inne hipotezy. Coraz lepiej...

— Gdzie przebywał Walter Skoll, gdy dokonano włamania?

— Mój klient był w fundacji.

— Przy Piątej Alei, tak? — zapytał Tim, udając niepewność.

— Owszem — odparł Welling.

— I ta wiadomość jest pewna?

— Tak wynika ze słów mojego klienta, pana Skolla.

No cóż, Welling zdecydowanie celował w niedomówieniach. Zakatarzony, wyjął z kieszeni chusteczkę z inicjałami i przystanął, żeby wytrzeć nos.

Tim odwrócił głowę. Wiatr targał mu włosy.

— Czy to możliwe, by policja podchwyciła mylny trop? Welling niemal zatykał nos chusteczką.

— Nie byłbym gotów potwierdzić tego rodzaju...

— Jest tak czy nie? — przerwał Tim, zdecydowany przyprzeć go do muru.

— Owszem, trudno to wykluczyć — rzucił Welling, zaciskając usta i wpychając chusteczkę do kieszeni. — I dlatego jest nam potrzebny ktoś z zewnątrz.

Tim ruszył wolnym krokiem, zamyślony. Welling nerwowo zerknął przez ramię, a potem poszedł za nim. Chciał uwolnić się z potrzasku, swobodnie odetchnąć.

— Ja jednak lubię powtarzać, Tim, że wszystkiego trzeba dowieść, nawet prawdy.

Jak zwykle, gdy uciekał się do tego porzekadła, nie zadał sobie trudu, by zaznaczyć, że nie on był jego autorem. Tim spojrział na niego jedynym okiem.

— Powiem otwarcie: jeżeli mam podjąć się tej sprawy, musi pan oszczędzić mi tej idiotycznej stylistyki, zgoda?

Za kogo on się uważa! — obruszył się pośrednik, jednak zaraz powiedział ugodowym tonem:

— Dobrze, Tim, dobrze. Chcę, żeby poprowadził pan to śledztwo. Nic więcej.

Wciąż dręczył go katar. Wyjął chusteczkę i znowu zamilkł, żeby wyczyścić nos. Po chwili poszli dalej.

— Rzecz jasna, proszę o zachowanie pełnej dyskrecji w tej sprawie. Żadnej niepotrzebnej reklamy, rozumie pan. Proszę również nie kierować rachunków do mojej firmy, ale bezpośrednio do mnie. — Podał mu wizytówkę z prywatnym adresem i telefonami. — Tak będzie... prościej dla nas obu. — Tim był gotów dać głowę, że chciał powiedzieć „ostrożnie”, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie. — Oczekuję, że będzie pan na bieżąco informował mnie o postępach śledztwa, bo wyłącznie ode mnie zależy jego dalszy przebieg, jeśli potwierdzi ono pewne...

hipotezy, które dotąd były pomijane. Chyba nie muszę uprzedzać, że tylko jeśli nie zdołam obalić któregoś z nich, będzie pan miał pełną swobodę działania.

Trudno było o bardziej jednoznaczne warunki.

Welling się zabezpieczał. Ale czego się bał? Kogo i dlaczego? Czyżby poznał prawdziwe oblicze swojego klienta?

Trzymając ręce w kieszeniach, zbliżali się do łuku drugiego pylonu przy końcu stalowej osłony.

Welling przystanął w miejscu chronionym przed wiatrem. Huk samochodów sunących dołem stał się teraz głośniejszy. Zerknął na zegarek i powiedział:

— Niech się pan bierze do pracy, Tim. Muszę już iść na spotkanie z klientem.

Zawrócił w stronę Manhattanu, jakby uspokojony tym, co zobaczył na chodniku — kobieta pchała wózek z dzieckiem, dwoje starszków prowadziło ożywioną rozmowę, chłopak w bluzie Adidasa obserwował płynący pod nim prom kompanii Circle Line. Najzwyklejszy dzień. Welling odetchnął.

Gdy spojrzał w górę, zobaczył powiewającą nad pylonem amerykańską flagę i uśmiechnął się.

— Zbyt łatwo zapominamy, że Manhattan to wyspa. Trzeba ją opuścić, żeby to sobie uświadomić.

Znów zwrócił oczy na Tima i uśmiech zniknął z jego twarzy.

— A skoro mówisz „wyspa”, masz na myśli skarb. Tim, znajdź skarb tej wyspy.

Eric Welling rozmyśla nad tym, co zrobił

Ostatnio musiał prowadzić bardzo ryzykowną grę, a patrząc, jak Tim Modin odchodzi, gratulował sobie, że honorowo wybrnął z sytuacji.

Zdołał podrzucić mu pewne tropy do rozwikłania, zachowując dla siebie najbardziej kompromitujące informacje.

Mniej zależało mu na odkryciu przez prywatnego detektywa prawdy o kradzieży *Demonów* niż po prostu naprowadzeniu na trop obrazu. Gdyby w pewnym momencie Tim Modin okazał się zbyt przenikliwy, zawsze zdoła go powstrzymać czekami, jeśli tylko sam ujdzie z tego z życiem. I na tym polegała jego sztuczka. Coś w stylu diabolicznego szantażysty, który pogrzebał ofiarę, zostawiając jej tylko tyle tlenu, żeby policja zbyt zaciekle go nie ścigała. Jednak Welling nie rozgrywał tej partii z glinami.

Powtarzał sobie, że to było jak sukces kulinarny. Z pewnością, trzeba być dobrym kucharzem, ale też używać produktów dobrej jakości — świeżych, smacznych, sprawdzonych.

Jeśli chodzi o detektywa, to nie wybrał go ze względu na osiągnięcia, ale z powodu Forresta. Wiedział, że gdyby przytrafiło mu się coś złego, to przyjaźń artysty i detektywa zagwarantuje troskę o jego pośmiertne interesy, skłaniając Modina, by zaangażował się w śledztwo jak nikt inny. Zresztą teraz, kiedy się już poznali, Welling musiał przyznać, że chłopak nie wyglądał na takiego, który łatwo się poddaje, i to go cieszyło. Nie ważne, czy mieliby stać się przyjaciółmi, czy przeciwnikami.

Tak, z tym detektywem trafił w dziesiątkę. Tylko co mu strzeliło do głowy, żeby umawiać się na tym cholernym moście, gdzie zawsze wiało? To prawda, że dla nich obu to miejsce było wygodne i że teren wydaje się neutralny, w połowie drogi między jego firmą a agencją detektywistyczną. I jeszcze ze względu na bezpieczeństwo. Z mostu Welling widział, kto nadchodzi. Świetnie. Ale na tym moście diabelnie wiało, a w dodatku mówiło się, że jest pechowy. Dość wspomnieć Roebingów, ojca i syna, którzy go wybudowali. Jeden tam skonał, drugi stracił nogi. Istna tragedia antyczna, zaklęta w przeszłach, pomyślał

Welling. I te rzesze samobójców, którzy ściągali tu, żeby skończyć. Tak, żałował, że wybrał na miejsce spotkania ten straszny Most Brooklyński. Wcale nie był taki wygodny, a co do bezpieczeństwa... Nagle, jakby wbrew sobie, przypomniał sobie, że sparaliżowany Washington Roebling nadzorował pracę przez lornetkę, z pokoju w pobliskim budynku. I natychmiast wyobraził sobie Waltera Skolla w tym samym pokoju, z lornetką. Jak Roebling! Zgadnijcie, kogo obserwował?

— Do diabła! — wycedził przez zęby.

Dlaczego sam siebie straszysz? — wściekał się, patrząc na fasady domów. Czy i bez tego nie masz dość zmartwień?

Jednak jakąś cząstką jestestwa wybaczał sobie, myśląc, że strach jest naturalny w jego sytuacji. W dodatku w sypialni ukrył pewną teczkę z zamkiem szyfrowym.

Obiecał sobie, że przez cały dzień nie będzie o niej myślał, ale naiwnością było wierzyć, że mu się to uda. Nie zapomniał o tej teczce ani na chwilę. Przekłęta teczka... Kiedy „on” po nią przyjdzie? Na co czeka, dlaczego mu jej nie odbiera?

Eric Welling przywykł w swym szlachetnym fachu do najrozmaitszych kombinacji. Był jednym z tych mocno stąpających po ziemi ludzi, którzy uważają, że dobre mydło i drogie perfumy pozwolą pozbyć się każdego brudu i każdego smrodu. I musiał przyznać, że aż do dziś szczęście zawsze mu sprzyjało. Jednak po kradzieży *Demonów*, we wrześnie, los się odmienił. Eric nie był już przekonany o skuteczności mydła i perfum. Na szczęście została jeszcze kokaina. Zazwyczaj dwie solidne porcyjki wystarczały, żeby przegnać z głowy ciężką, metalową teczkę z zamkiem szyfrowym. Ale i to stawało się coraz trudniejsze. Po cóż się okłamywać — ta teczka zatruwała mu życie!

Przestań o niej myśleć! Przestań myśleć o...

Znów stanął mu przed oczyma Walter Skoll, obserwujący go z dawnego pokoju Roebinga. I nabrał pewności, że jeśli Walter Skoll dowie się, że jego pośrednik wynajął prywatnego detektywa, to raz na zawsze skończą się drobne radości życia.

Do diabła! Co to za pomysły, żeby kontaktować się z Modinem! Czy właśnie kupił sobie bilet w jedną stronę na tamten świat, czy może świetną polisę ubezpieczeniową? W tej chwili nie umiał odpowiedzieć na to pytanie.

Czuł, że zaczyna się dusić między tymi przęsłami, musiał jak najszybciej zejść z mostu.

Wyszedł spod granitowego łuku i znów wystawiony na podmuchy wiatru, pokonywał East River w przeciwną stronę, ale tym razem — biegiem.

Sprawa skradzionego obrazu ciągnęła się stanowczo za długo. Miał nadzieję, że wkrótce się zakończy, a on nie przypłaci tego... życiem. (Może byś tak wybił to sobie z głowy...!). Że za dużo na tym nie straci, to właśnie miał na myśli. Tak, liczył, że za dużo na tym NIE STRACI.

W połowie drogi między dwoma pylonami, z głową wtuloną w ramiona z powodu wiatru i Waltera Skolla, którego wyobrażał sobie z lornetką Washingtona Roebinga zwróconą na niego, (skończ z tymi bzdurami!), pomyślał znowu o *Demonach* i początku całej tej historii.

Tak jak przed chwilą powiedział Timowi Modinowi, to on negocjował zakup przez Fundację imienia Waltera Skolla serii dużych formatów zatytułowanej *Witryny*, a także obrazu *Demony*. Było to przed rokiem, Skoll wezwał go, żeby wyrazić chęć zainwestowania pieniędzy fundacji w twórczość Forresta, jednego z najwyżej cenionych artystów młodego pokolenia. Dał Wellingowi wolną rękę, polecając nabyć dziesięć płócien.

Wszystkie obrazy były olejne i w stylu superrealistycznym,

ale *Demony* różniły się od dwunastu *Witryn* tematyką. Inspiracją tego dzieła stało się słynne płótno Rubensa, *Saturn pożerający jedno ze swoich dzieci*, namalowane w roku 1636. Forrest z maniakalną wiernością odtworzył wszystkie szczegóły obrazu: starca uzbrojonego w sierp, stojącego na skałach, krzyżujące dziecko, w które wbijał zęby, a za nimi planetę Saturn i dwa księżyce, które Galileusz miał ujrzeć przez teleskop, a nawet podpis flamandzkiego mistrza w prawym dolnym rogu. Postaci miały identyczną posturę, identyczne były kolory i oświetlenie. Obraz byłby wierną kopią Rubensa, gdyby nie kilka różnic. Po pierwsze, rzecz drobna, ale przez to jakże wymowna: „s” na końcu nazwiska Rubens zostało przekreślone pionową kreską, jak symbol amerykańskiego pieniądza (z tego powodu Shirley Zimmer, która jako jedna z nielicznych dostrzegła ten detal, nadała obrazowi tytuł *Saturn z dolarem*). Przede wszystkim jednak superrealistyczna faktura sprawiała, że widz czuł się, jakby stał przed fotografią, a nie mitologicznym obrazem, a to wzmacniało wyrazistość koszmaru ukazanego przez Rubensa. *Demony* kryły w sobie niesamowitą siłę dramatyzmu, a odkąd je ukradziono zdawały się wieść baśniowy żywot w nierealnym muzeum, gdzieś w Ameryce. Płótno stało się równie znane i otoczone aurą skandalu, jak *Gioconda* Marcela Duchampa czy *Początek świata* Couberta. Wielu co bardziej zadufanych w sobie krytyków, którzy nigdy nie widzieli obrazu, zaczęło nawet dopatrywać się w twarzy brodatego Saturna surowego portretu Fidela Castro jako pożeracza własnego narodu. Pewnego razu, gdy jedli razem obiad w sali art déco w Rainbow Room, Welling przekazał te pogłoski Forrestowi, a Forrest odpowiedział dowcipem, obiecując wypytać o wszystko Rubensa, kiedy tylko się zobaczą. Jednak Welling wyczuł za tą ironią sygnał, że ten brodacz jest do kogoś podobny, nie dowiedział się jednak, o kogo chodzi.

Przed nabyciem obrazu dla Skolla Eric Welling szperał naturalnie w słownikach mitologicznych i doszedł do wniosku, że woryginale mit pozostał niezmienny.

Forrest, podobnie jak Rubens, niczego nowego tu nie dorzucił.

Saturn albo grecki Kronos wzbudził zainteresowanie publiczne, kastrując własnego ojca, który (co rozumiał) przeklął go i zapowiedział, że zginie z ręki potomstwa. Dlatego Saturn na wszelki wypadek zaczął pożerać dzieci, aż wreszcie najmłodszy, przebiegły mały Jupiter, zdołał mu umknąć, a potem kazał długo płacić za zbrodnie, zsyłając dzieciobójcę do Italii. Tam, wygnany z Olimpu, odkupił swe winy, siejąc ziarno, i tak oto zaczęło się nieustające Boże Narodzenie, czyli złoty wiek.

Każdy w miarę wykształcony człowiek wiedział też, że po Rubensie romantyk Goya przedstawił ten motyw w jeszcze bardziej oszałamiającej wizji malarskiej, niebędącej efektem zatrucia jakimś grzybami, ale napoleońskiej rzezi, jaka dokonała się praktycznie pod oknem domu malarza. Emocjonalny ładunek tego dzieła był znacznie silniejszy, jednak Forrest wolał nawiązać do Rubensa. Jak powiedział Wellingowi podczas obiadu w Rainbow Room, lubił Rubensa jako malarza, a także jako człowieka, który potrafił żyć pełnią życia, osiągając szczęście i spełnienie. W jego oczach Rubens był uosobieniem nieprzeklętego, a Forrest takiego właśnie życia pragnął całym swym jestestwem. Welling z kolei doskonale potrafił zrozumieć te pragnienia Forresta, zwłaszcza odkąd pewna metalowa teczka panoszyła się w jego sypialni i głowie.

Obiecałeś, że nie będziesz o tym myślał, jęknął w duchu jak wystraszone dziecko, idąc sprężystym krokiem po Moście Broklyńskim.

Ale nie potrafił się z tym uporać. Ta przeklęta teczka wciąż stała mu przed oczyma bez względu na to, co robił.

Tim spotyka się z Sarah

Po rozmowie z Wellingiem Tim poszedł na Perry Street 176, do mieszkania Forresta.

— I co? — zapytała go już w progu Sarah.

— Chce, żebym wyjaśnił kradzież *Demonów* — powiedział, wchodząc.

W kuchni zobaczył dwie puste filiżanki przy komputerze i zapytał:

— Forrest już wrócił?

— Nie, dlaczego tak sądzisz? — Podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem i zrozumiała. — A, to odwiedził mnie senator March. Najpierw opowiedz mi o spotkaniu z Wellingiem. Co wie o włamaniu?

Usiedli i Tim zrelacjonował jej rozmowę z pośrednikiem o losach *Demonów* Forresta.

— Jestem przekonany, że maczał w tym palce, i to na całego, i próbuje jakoś z tego wybrnąć. Pewnie chce się zabezpieczyć. Dlatego zlecił mi tę sprawę. Facet umiera ze strachu na myśl o tym, że pewnego dnia wyląduje w pudle, ale jeszcze bardziej przeraża go perspektywa, że jego klient Walter Skoll może postanowić się z nim rozprawić.

— Czyli odpada hipoteza, zgodnie z którą byłby drugim *tarhǫ-sagogh* nowojorskich Wilków?

— Tak, ten pomysł możemy odrzucić. Nie trzyma się kupy. Gość się boi, Sarah. W niczym nie przypomina tego fanatyka Rona Flinta. A co powiedział ci staruszek March? Odkrył coś w obrazach ściągniętych z komputera Skolla?

Sarah opowiedziała mu rozmowę z senatorem Marchem i przekazała wiadomość o jego decyzji — March kapitulował.

— Szkoda — mruknął Tim. — Bardzo nam pomógł i myślę,

że mógłby jeszcze wiele dla nas zrobić. Nie myliłaś się co do niego. Sarah wzruszyła ramionami.

— Odtąd będziemy musieli radzić sobie bez niego — szepnęła głosem, w którym wyczuwało się rozczarowanie.

— Nie daje mi spokoju — podjął Tim — cała ta historia z sektą.

— Potrójna Kreska?

— Tak, Potrójna Kreska. Welling powiedział mi, że Potrójna Kreska kryje się za wrześniowym włamaniem, ale chyba sam w to nie wierzy. A ty mi mówisz, że syn senatora należy do tej sekty. I Skoll, niby to przypadkowo, ma w komputerze zdjęcie Eliota Marcha ze spotkania sekty.

— Co z tego wnosisz?

— Że Wilki chcą się schować za plecami nędznej sekty. Myślę, że Wielki Wilk Walter Skoll zainteresował się tymi satanistami nie tylko po to, żeby mieć w garści senatora...

— ...ale także, żeby ukryć wyczyny swoich ludzi — dokończyła w zamyśleniu.

— Właśnie. Ale w jakim celu? To jest zagadka.

Sarah pomachała zaszyfrowaną wiadomością, którą oddał jej senator March.

— Jestem pewna, że tu znajduje się najważniejsza informacja. Musimy nad tym popracować.

— Dobrze, ale — zerknął na zegar — weźmiemy się do tego jutro. Oczywiście, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Sarah wytrzeszczyła oczy ze zdumienia. Po raz pierwszy zdarzyło się, żeby Tim odkładał na później poszukiwanie prawdy. Patrzyła na niego z uśmiechem niedowierzania.

— Wuj Todd zaprosił Jodie do nas na kolację — wyjaśnił, przeczesując włosy palcami.

Uśmiech Sarah stał się niemal radosny.

— Zaczekaj, kotku, jeszcze się nie ciesz — powiedział Tim, wstając. — Przecież to tylko kolacja, może drobne podziękowanie. Pomysł wuja... Zresztą mogłabyś do nas wpaść z Forrestem. Zgoda?

Sarah także wstała.

— Bardzo się cieszę, że dobrze ci z Jodie. To wspaniała dziewczyna. I bardzo ładna.

— Na to nie zdążyłem zwrócić uwagi — rzucił z uśmiechem.

— No co, jedziemy po Forresta?

— Przestań się wygłupiać — skarciła go Sarah — i szybko po nią biegnij.

10-13 osobiście przychodzi zasięgnąć języka

Tuż przed osiemną 10-13 wszedł do wyciszonego garażu, do którego Ron Flint, strażnik, a zarazem *tarhq-sagogh* z fundacji, został przewieziony na przesłuchanie.

— Twardziel z tego gościa — mruknął bliski podziwu Cumming, czyszcząc palnik.

Po porannej sesji, gdy skupiał się głównie na wrażliwych obszarach twarzy, po południu zajął się palcami rąk i nóg, a także członkiem. Woń krwi, moczu i spalenizny wypełniała pomieszczenie.

10-13 brutalnie uniósł zmasakrowaną głowę *tarhq-sagogh* Flinta.

— Zaprzedał się Wilkom duszą i ciałem. Chyba się nie spodziewałeś, że będzie wołał mamusię po pierwszym skaleczeniu?

Wilkinson pokręcił głową.

— Całe szczęście, że nas pan uprzedził. Inaczej pewnie stracilibyśmy już cierpliwość.

Po południu Ron Flint zaczął majaczyć i w końcu dowiedzieli się, gdzie ukrył talizman bractwa. Ludzie 10-13 torturowali go od rana, żeby zdobyć ten drobiazg. Nawet w malignie błagał, żeby nie robili krzywdy jego „Panu”. Potem nie odezwał się już aż do wieczora, kiedy pod wpływem bólu znowu zaczął majaczyć.

— Co wam powiedział? — zapytał 10-13, puszczając głowę Flinta.

— „Port naftowy, Jersey City”, powtarzał to w kółko — odparł Wilkinson.

— Wtedy — dodał Cumming — pomogliśmy sobie palnikiem i zapytaliśmy, co miał na myśli. I poprosiliśmy, żeby rozwinął tę myśl.

— Proszę spojrzeć, nie okaleczyliśmy narządów mowy — pochwalił się Wilkinson, wspominając potworne spustoszenia, jakich dokonał podczas pierwszych ćwiczeń praktycznych w służbie 10-13.

— Do pioruna, gadajcie, co powiedział! — zniecierpliwił się 10-13.

— Powiedział: „Nadchodzi... Nadchodzi...”.

10-13 poszedł umyć ręce w umywalce na końcu garażu.

— Boże drogi! — krzyknął. — Ten łajdak Flint zrobił wam numer Drakuli! Pamiętajcie, jak skończył w książce ten wariat Renfield?

Jego ludzie wbili oczy w ziemię. Przyglądał się im kolejno, wycierając ręce ścierką.

— Czy żaden z was nie czytał Brama Stokera? Co za czasy! Cholera, co to za czasy!

— Co mamy zrobić z tym Flintem? — zapytał Cumming, żeby zmienić temat.

10-13 odwiesił ścierkę i podszedł do Flinta.

— Ej, Flint, słyszysz mnie?

Ron Flint z trudem uniósł głowę, próbując przez zalewającą mu oczy krew zobaczyć, kto do niego mówi.

Udało mu się zerknąć na młodego Azjatę o silnej budowie. Mężczyzna celował do niego z broni dużego kalibru z tłumikiem.

Zanim opadła kurtyna, Ron Flint zebrał resztki sił, żeby się uśmiechnąć.

Jodie i Tim jedzą kolację u wuja Todda

Dziesięć po siódmej Tim czekał na Jodie przed fundacją. Dziewczyna poznała wreszcie „uosobienie dobroci”, czyli wuja Todda, który powitał ją w swoim dużym domu na Brooklynie. W fartuszkach krzątał się po kuchni. Rozpromienił się na widok Jodie.

— Jest pani jeszcze ładniejsza niż w opowieściach Tima — witał ją, wycierając ręce rąbkiem fartucha.

Ucałował ją, jakby od dawna się znali.

— Mam nadzieję, że lubi pani homary? — zapytał, nie odrywając od niej oczu.

Jego bezgraniczna życzliwość miała ogromną moc, więc Jodie natychmiast rozwiła jego obawy.

Uśmiechnęła się szerzej, a dołeczki na jej buzi stały się głębsze.

— O do diaska! — mruknął nagle Todd.

Zbita z tropu tą reakcją starszego pana, Jodie szukała wsparcia w oczach Tima.

— Chyba ci już mówiłem, że Kevin, mój brat, miał twój

uśmiech. I takie same dołeczki. Był pod tym względem podobny do naszej mamy.

Wuj Todd zdążył się już otrząsnąć i teraz wyglądał na zmieszanego.

— Głupiec ze mnie! Wystraszyłem panią, moje biedne dziecko. Zasłużyłem na solidne lanie, Tim. Tak, tak. Przepraszam, Jodie. Jestem już stary. Stary i głupi.

Nie wiedział, jak wybrnąć z tej sytuacji. Jodie pospieszyła mu z pomocą, ujmując go za ręce.

— Nie musi pan przepraszać, panie Modin.

— A tak przy okazji, proszę mówić do mnie wujku Todd. Liwości, nie per pan!

— Zgoda, wujku Todd.

— Siadajcie do stołu, dzieci. Dzisiaj nie macie w kuchni nic do roboty.

Jodie chciała mu jednak pomóc, ale w końcu ustąpiła i poszła z Timem do jadalni, pozwalając, by Todd samodzielnie dokończył swe kulinarne dzieło.

A przygotował wszystko w jak najlepszym stylu.

Stół, którego nie powstydzono by się na angielskim dworze, czekał nakryty w jadalni. Obrus był czerwony ze złotymi zdobieniami, sztucze srebrne, wykrochmalone serwetki, fantazyjnie ułożone i wsunięte do szklanek, a do tego świeczniki i oproszone sztucznym śniegiem gałazki. Nieco dalej przy kominku stał rozłożysty świerk kupiony tego popołudnia i migocący setkami kolorowych lampek. W pokoju pachniało żywicą, a ta woń, przyjazna i swojska, radosna jak śmiech dziecka i nostalgiczna jak wspomnienia, wzruszyła Jodie, która myślała o Gwiazdkach swego dzieciństwa.

Myślała także o swej biednej, osamotnionej w szpitalnym pokoju matce, a Tim, jakby czytał w jej myślach, pocieszał ją,

obietując, że wszyscy razem spędzą Gwiazdkę w tym domu. Przywiozą jej matkę, zaproszą Sarah i Forresta. Tak, wszyscy przyjaciele będą razem.

Wieczór był wspaniały, podobnie jak homary wuja Todda, więc Jodie pomyślała, że w raju na pewno pełno jest takich Toddów — ludzi dobrych i łagodnych, i Timów — odważnych i silnych. Raj to świat cudownego, pełnego bezpieczeństwa, w którym ona i matka nie bałyby się już zmiennych kolei losu i takich paskudztw jak alzheimer czy Wilki Fenrydera.

Tim i wuj Todd byli szczęśliwi, że przynajmniej tego wieczoru nie mówią o Wilkach i *tarhq-sagogh*.

I że jedzą homary jak za starych dobrych czasów, kiedy byli z nimi Kevin i Melinda.

Wuj Todd zarażał tego wieczoru radością. Udowodnił, że jest bardzo rozmowny i błyskotliwy. Tak cudownie opowiadał o swojej pasji — filmie z gatunku fantastyki, że, jak to ujął Tim, mógłby pracować ze Stephenem Kingiem, zwłaszcza gdy dowiecinnie i przenikliwie analizował *Noc żywych trupów* George'a Romero.

— Fantastyka — zakończył — przypomina nieco filozofię paradoksalną, która uczy nas w sumie jednego: bardziej kochać życie. Trochę tak, jak baśnie, Jodie. Skoro jednak mowa o fantastyce — powiedział, spoglądając na zegar ścienny, wskazujący za dziesięć dziewiątą — spóźniecie się na seans.

Tim i Jodie wybierali się na film *Ludzie koty* do jednego z kin na Brooklynie, gdzie trwał przegląd twórczości Jacques'a Turnera.

Namawiali wuja Todda, aby im towarzyszył, jednak na próżno. Zrozumieli, że choć uwielbiał takie filmy, to tym razem z radością zostawiał ich samych, nie chcąc swą obecnością psuć im wieczoru.

Jodie uściskała go i pocałowała w policzek.

— Tim ma szczęście! — powiedziała.

— Nie, Jodie. To ja mam szczęście, że zechciał tu ze mną zamieszkać. Każdego dnia dziękuję Bogu za Jego nieskończoną dobroć. Każdego dnia. Ale idźcie już, dzieci. Spóźnicie się na film.

A film podobał im się co najmniej tak, jak za pierwszym razem, gdy oglądali go w telewizji. Niesamowitą scenę pościgu Simone Simon, przemienionej w panterę, za Jane Randolph uznali za lepszą od słynnej sekwencji z basenem. Gdy na ekranie pojawił się autobus, Jodie podskoczyła i przytuliła się do Tima. Pocałował ją w czoło, obiecując sobie wkrótce gorętszy pocałunek.

Teraz, otuleni paltami, wracali do wuja Todda przez uśpiony Park Slope.

— Tak bym chciała, żeby na Boże Narodzenie spadł śnieg... A ty? — zapytała.

— Zobaczę, co mogę dla pani wyczarować.

— Tylko się ze mnie nie śmieję! Przecież to prawda, Gwiazdka bez śniegu nie jest prawdziwą Gwiazdką!

Wzięła go za rękę i poszli dalej.

— Jeżeli chcesz, możesz u nas przenocować — zaproponował nieśmiało.

Pokiwała głową, uroczo się uśmiechając. Chwycił ją w ramiona, przyciągnął i pocałował, ale tym razem w usta.

— Kocham cię — szepnął.

Ręce Jodie splotły się w słodkim uścisku na jego szyi.

— Ja też cię kocham — powiedziała.

I jak w kiepskim filmie właśnie wtedy rozdzwoniła się jej komórka.

To by! doktor Kyle.
Telefonował z powodu matki Jodie...

Wracamy na pokład „Ragnaröka”

Zegar na mostku wskazał dwudziestą trzecią trzydzieści pięć, gdy „Ragnarök” wpłynął na wody zatoki w okolicach Nowego Jorku. Kapitan odetchnął z ulgą. Za kilka minut zacumuje przy terminalu tankowców w Jersey City i zakończy ponadmiesięczny rejs, z czego trzy ostatnie tygodnie w stresującym towarzystwie tajemniczego kontenera.

Kapitan uważnie spojrzął na nocne niebo nad morzem i pomyślał, że w przeciwieństwie do tego, co zwykle spotyka bohaterów powieści, nic nie zapowiada burzy, która zaanonsowałaby przybycie supertankowca, tak samo zresztą, jak nie było ani burzy, ani sztormu w tę noc, gdy William Hasty wszedł na pokład. Niebo w tę noc z piętnastego na szesnastego grudnia było czyste, temperatura niska, ale typowa dla tej pory roku. I prawdopodobnie właśnie ten całkowity brak znaków ostrzegawczych wydawał się najgorszy. Całe wybrzeże spało kamiennym snem, przyroda ani myślała ostrzegać ludzi hukami i dźwiękami cymbałów. Ktoś napisał, że wielkie idee przybywają zawsze na nóżce gołębia. Teraz kapitan Lars Dreyer miał dziwne uczucie, że „Ragnarök” wpływający do portu w Jersey City ma takie gołębie nóżki. Tyle że nie przynosi ludziom wielkiej idei.

Przed dziesięcioma minutami na pokład wszedł pilot, który miał pomóc w fazie manewrowania. Na jego czapce widniał napis: „Jersey City Harbour”. Zdjął ją, witając Williama Hasty'ego, który stał w pobliżu kontenera. Pilot podszedł do Dreyera.

— Udany rejs, kapitanie? — zapytał.

Lars Dreyer nie zadał sobie trudu, by mu odpowiedzieć albo podać dłoń.

Pilot uśmiechnął się drwiąco i wydał instrukcje dotyczące przybicia do brzegu.

Światła Jersey City były doskonale widoczne, gdy okręt wykonał zwrot na bakburkę. Nareszcie.

Lars Dreyer poczuł, że włos jeży mu się na głowie, i zanim jeszcze się odwrócił, wiedział, że tuż za nim stoi William Hasty.

— Proszę ze mną, kapitanie — powiedział prezes Managarmu.

Dreyer pozostawił pilotowi opiekę nad jednostką i poszedł za Hastym. Dla dodania odwagi myślał o Churchill, którego tym razem obiecał sobie wypalić jeszcze przed powrotem do domu w Norwegii. Zamierzał sięgnąć po cygaro, kiedy tylko uwolni się od Hasty'ego, choćby miał je wypalić w ubikacji portowego kapitanatu.

Czując suchość w gardle i bicie serca, oparł drabinę o kontener. Metaliczny dźwięk odbił się głuchym echem, potem zgasł. Kapitan odsunął się, aby Hasty mógł wejść pierwszy. Gdy byli już na górze, Dreyer wciągnął drabinę i spuścił ją do kontenera. Wykonywał te wszystkie czynności ponad dwadzieścia razy, mimo to wciąż nie mógł uwierzyć, że naprawdę to robi. Krew tętniła mu w skroniach, kiedy chwycił poręcz drabiny, by zejść na dół.

W kontenerze znowu ogarnęło go to przytłaczające uczucie, które towarzyszyło mu już za pierwszym razem, kiedy się tu znalazł. Pomyślał, że nigdy do tego nie przywyknie, choćby nawet przyszło mu spędzić tu całą wieczność. To właśnie musiała być istota piekła — nie móc przywyknąć.

Dotknął nogą podłogi, odwrócił się i zadrzał.

Żółte światło migotało na ścianach kontenera i wokół „misy”. To promieniowanie nasilało się przez całą podróż, pulsowanie na powierzchni stawało się coraz szybsze. Było to abstrakcyjne i męczące jak muzyka z serialu, a przerażające jak spojrzenie śmierci w oczy.

— Ja i mój Pan pragniemy panu, kapitanie, podziękować za życzliwą współpracę. Rejs minął bez problemów, a ja modłę się za pana i jego rodzinę, aby pański pobyt w Stanach Zjednoczonych także upłynął w atmosferze spokoju.

Nie po raz pierwszy William Hasty rzucał potworne groźby z wrodzoną swobodą i uprzejmością dżentelmena, który prowadzi pogawędkę przy herbacie. I choć Dreyer był wzburzony, nie zaskakiwało go już zachowanie Hasty'ego. Nigdy dotąd jednak Hasty nie wspomniał o „swoim Panu”. Dlatego Lars Dreyer z duszą na ramieniu powtórzył, jakby pytając:

— Pan?

— Tak, kapitanie. Mój Pan, a wkrótce także Pan całego narodu.

Na twarzy Hasty'ego, po której tańczyły żółte błyski, pojawił się przyprawiający o dreszcz uśmiech. Uniósł prawą rękę w czarnej skórzanej rękawiczce i wskazał „misę”.

— To sarkofag, kapitanie Dreyer. Kryje się w nim przyszły władca Stanów Zjednoczonych.

Tej nocy

Tej nocy, jak zauważył kapitan Dreyer, ani nad Nowy Jork, ani nad jego przedmieścia nie ściągnęła burza, a jednak cały ten rejon stał się teatrem szeregu wydarzeń, które coś zapowiadały. O nie, nie było powodu otaczać miasta kordonem policji ani wprowadzać stanu wyjątkowego. To były drobiazgi, fakty prawie bez znaczenia, a jednak, gdyby ktoś połączył je

wszystkie, zrozumiałby, że zapowiada się coś niezwykłego. Jako pierwsi zauważyli to trzej bezdomni z Jersey City. Klócili się o butelkę kiepskiego wina, szykując się do snu pod kartonami po sprzęcie gospodarstwa domowego, które służyły im za koce w kącie za portowymi dokami, i nagle ich przywódca, niejaki Rudzielec, przestał się wydzierać. Dwaj pozostali zamilkli ze zdumienia i zwrócili oczy tam, gdzie patrzył jak zahipnotyzowany.

Ze składów wyległy setki szczurów.

To wyglądało, jakby wszystkie gryzonie z portu wyznały tu sobie spotkanie. Przed czym tak uciekały? Czyżby wybuchł pożar? Być może. Albo zbliżał się przypływ? Rudzielec przypomniał sobie, że słyszał, iż zwierzęta pierwsze wyczuwają tego rodzaju katastrofy. Szczury, węże i ptaki uciekają, zanim fala dosięgnie wybrzeża.

Wstał, żeby podejść do brzegu i rzucić okiem na port. Nie zobaczył jednak ani płomieni, ani dymu. Także woda wyglądała zupełnie normalnie.

— Szczury nie są głupie! — mruknął Rudzielec. — A wyglądają, jakby ich sonary całkowicie oszalały.

A potem zobaczył „jego”. Stał jak wryty, z rozdziawionymi ustami, czując, że jeży mu się włos.

Trzej mężczyźni widzieli niejednego tankowca, odkąd zamieszkali przy porcie. Jednak ten był... inny.

Można by pomyśleć, że to gigantyczna trumna, ogromna, pływająca trumna, która unosiła się na rzece.

— Co wy na to? — wymamrotał Rudzielec.

— Bo ja wiem... Lepiej się stąd zbierać — powiedział Stary, stając obok kolegi i naciągając czapkę na uszy.

Wszyscy to czuli. To wisiało w powietrzu. Wszędzie cuchnęło śmiercią.

Rudy, Stary i ich przyjaciel wzięli przykład ze szczurów. Zwinęli manatki i odeszli.

Tej nocy, po drugiej stronie rzeki Hudson, Michael Welling także przeczuwał, że wkrótce nastąpią dramatyczne wydarzenia.

Szedł po Spring Street, a chłód dokuczał mu tym bardziej, że był głodny. Jego stare rękawiczki bez palców były podarte, kurtka przemoczona. Przed powrotem do rudery na południowym Bronksie chciał jeszcze wypisać ostatecznie „SAMO is NOT dead” na wystawie galerii. Oczywiście, z miejsca, w którym przystanął, nie mógł widzieć wpływającego do portu Jersey City „Ragnaröka”, jednak nawet na odległość czuł jego potęgę.

Zbladł i nagle ugięły się pod nim nogi. Musiał się oprzeć o zaparkowany obok samochód, żeby nie upaść. Kręciło mu się w głowie. Każdy doświadczony lekarz natychmiast rozpoznałby skutki długotrwałego niedożywienia. Raczej głos lasu, pomyślał Michael Welling, który marzył, żeby jak najszybciej wynieść się z Nowego Jorku. Ale prawda była zupełnie inna i podświadomie doskonale to rozumiał. Wydawało się, że śmierć rozpostarła skrzydła nad miastem i wybrała właśnie jego, Michaela Wellinga.

Tymczasem na Manhattanie jego brat Eric nie mógł zasnąć w pięknym mieszkaniu przy Sześćdziesiątej Drugiej Ulicy Wschodniej. Wciąż myślał o spotkaniu z Timem Modinem, o jego twarzy pirata, o chłostanym przez wiatr Moście Brooklyńskim. Nadal nie był pewien, czy dobrze zrobił, powierzając sprawę *Demonów* detektywowi. Prawdę mówiąc, czuł, że ta decyzja może go drogo kosztować. Chciał sobie zapewnić rewanż, gdyby spotkało go nieszczęście, na przykład nagła i niewytłumaczalna śmierć, temat tak pożądanym przez gazety. Gdyby jednak nic mu się nie stało, a detektyw odkryłby prawdę,

to... musiałby się liczyć z problemami poważniejszymi od tych, których starał się uniknąć.

Do cholery, spróbuj w końcu zasnąć! — powtarzał sobie, przewracając się z boku na bok.

Prowadzenie podwójnej gry wymaga wiele zręczności i jeszcze więcej ostrożności. Welling zdawał sobie z tego sprawę. Wystarczyło nie docenić wroga, by zboczyć z bezpiecznej drogi. A takie zboczenie z drogi mogło pociągnąć za sobą straszliwe, nieobliczalne skutki.

Kurwa, dlaczego myślisz o takich rzeczach w łóżku?!

Teraz naprawdę napędził sobie strachu (doskonale, pogratulować!) i mógł zapomnieć o śnie.

Gniewnie uderzył pięścią w materac, usiadł i włączył lampkę od Tiffany'ego. Metalowa teczka leżała na krześle w kącie sypialni. Gapiała się na niego! Coraz lepiej, głupcze. Wbij sobie do głowy, że żadna teczka na nikogo ani na nic nie patrzy. Bo teczka nie jest żywa, rozumiesz?! Z trudem przełknął ślinę. Potem sięgnął po papierosa i zapalniczkę, które leżały na stoliku nocnym. Zapalił w chwili, gdy niejaki Lars Dreyer wypuszczał pierwszy kłęb dymu z Churchilla, siedząc w toalecie kapitanatu w Jersey City.

Jeden z nich uniknął najgroźniejszej awarii w kapitańskiej karierze, drugiego ogarnęło paraliżujące przeczucie, że cokolwiek zrobi, nie dotrze do rozwidlenia drogi, której tak się bał.

Tej samej nocy w pokoju 121 stamfordzkiego szpitala chora Margaret Stevenson, zanim zaczęła zapominać, ujrzała przed sobą niespodziewanego gościa i zareagowała przeraźliwym krzykiem.

Jodie dowiedziała się o incydencie od doktora Kyle'a tuż po tym, jak pocałowała Tima przed domem wuja Todda. W niespełną godzinę dotarli do szpitala w Stamford i razem weszli do pokoju jej matki.

Zastali przy niej doktora Kyle'a i dwie pielęgniarki. Na twarzy Margaret malowało się przerażenie, palce rozpaczliwie chwyciły prześcieradło.

— To pani matka prosiła, żeby panią tu wezwać — powiedział doktor Kyle, wychodząc jej na spotkanie.

— Co się stało? — zapytała bardzo zaniepokojona Jodie.

— Pani Stevenson nie chce nam tego powiedzieć. Chce rozmawiać tylko z panią. Prawdopodobnie zobaczyła coś, co ją wystraszyło.

Wystraszyło? — pomyślał Tim. Przecież ta biedaczka wygląda na przerażoną. Jodie podeszła i przytuliła matkę.

— Mamo, mamo! Już jestem.

Doktor Kyle położył jej rękę na ramieniu.

— Zostawimy was. Będziemy w pobliżu. Gdyby pani potrzebowała, proszę mnie zawołać.

Jodie skinęła głową.

— Ja też wyjdę, zaczekam na korytarzu — powiedział Tim.

Wyszedł wraz z pielęgniarkami i lekarzem, który zamknął drzwi pokoju.

Obie kobiety długo milczały, tuląc się do siebie. Potem Margaret Stevenson opowiedziała córce o niezwykłych odwiedzinach.

— On tu był, Jodie.

— Kto, mamo?

— Natychmiast zrozumiałam, że chce ze mną zatańczyć.

— Ale kto, mamo? Powiedz mi. Dobrze?

— Najpierw rozmawialiśmy. Rozmawialiśmy, rozmawialiśmy. Bo przyszedł także po to, żeby ze mną pomówić, wiesz, Jodie? A potem chciał, żebym z nim zatańczyła. Odparłam:

„Nie, proszę pana. Proszę zwrócić się do mojego ojca o pozwolenie”. Jestem tylko dzieckiem. Tylko dzieckiem, Jodie. A on powiedział: „W takim razie choć jeden taniec, moje dziecko!”.

— Kto, mammo? — pytała cierpliwie Jodie, gładząc matkę po głowie.

— „Choć jeden taniec!”, tak powiedział. Tata nie będzie zadowolony. Bo z nim zatańczyłam, Jodie. Zatańczyłam. A on powiedział, żebym ci to oddała.

Przechylając się na bok, pani Stevenson wsunęła rękę pod materac i wyciągnęła stamtąd długi metalowy pręt.

Jodie potwornie zbladła. To był lewarek, który Neil Garson trzymał tamtej nocy, gdy wraz z przyjaciółmi zakradła się na szóste piętro Fundacji Waltera Skolla. Wstrzymując oddech, zapytała:

— Kto ci to dał, mammo?

— Przecież ci mówiłam. On. Tancerz. Był wielki. Głową sięgał sufitu. Przeraziłam się na jego widok jak mała dziewczynka. Powiedział mi, że byłaś niegrzeczna. Bardzo niegrzeczna. Och, Jodie! Jego twarz! Ta twarz była straszna!

DZIEŃ SIÓDMY

Wtorek 16 grudnia
(Paskudny dzień dla obu braci)

Spotykamy człowieka z nosem pełnym śniegu

Piąta rano.

Eric Welling starannie wysypał proszek na okładkę najnowszego „Hustlera” i uformował dwie idealne linie. Pochylił się, zatkał jedną dziurkę nosa, wciągnął proszek drugą. Natychmiast poczuł ulgę. Tego było mu teraz trzeba. Dom, przed którym zaparkował, przyprawiał go o dreszcze. I nie od dziś. Był to aneks fundacji na wzgórzach Harlemu. Sam dom nie był zbyt przyjazny, okolica nie cieszyła się dobrą sławą. Ale te dwa czynniki miały minimalne znaczenie, kiedy znało się Waltera Skolla.

Po raz pierwszy przyszedł tu ze swoim dawnym dyrektorem, Bramem Harkerem, dziesięć lat temu. Był wtedy zaledwie asystentem w dziale Dzieła Sztuki i Antyki Spółki Wilde, firmy handlowej z Seattle, ale widząc krople potu na czole Harkera, natychmiast zrozumiał, że facet, który ich tu oczekuje, wymaga więcej niż każdy inny z kategorii OP (Obawiać się i Pieścić).

Niebiosa obdarzyły Wellinga niezwykłym instynktem, pozwalającym wyczuć trudne sytuacje, i wkrótce debiutant obiecał sobie, że i on pewnego dnia zajdzie tak wysoko jak Harker.

Tyle że wiązało się to z ryzykiem i nerwami.

Niebo czekało pięć lat, aby zmylić tę intuicję, wysyłając boeinga 767 z pełnymi zbiornikami paliwa w stronę World Trade Center. Samolot uderzył tuż pod dziewięćdziesiątym drugim piętrem drapacza chmur. A właśnie na tym piętrze mieściło się biuro Wilde'a. W ten sposób niebo na zawsze uwolniło Brama Harkera od problemów z poceniem się, a Eric Welling jako jeden z nielicznych Amerykanów mógł powiedzieć: „Niechaj błogosławiony będzie jedenasty września!”.

Jako jedyny ocalały pracownik działu (na szczęście tego dnia wyjechał do klienta z East Side) zaczął robić karierę, jakby był na anaboliach. Wielcy wodzowie firmy z Seattle mianowali go dyrektorem działu Dzieła Sztuki i Antyki i odtąd stał na czele nowego zespołu w Nowym Jorku, którego siedziba mieściła się w World Financial Center oddzielnym od Ground Zero jedynie West Side.

Im dłużej myślał o wydarzeniach ostatnich lat, tym częściej powtarzał sobie, że nie tylko szczęście i Al Kaida zadecydowały o jego błyskawicznym awansie na szczyty hierarchii spółki. Miał w tym swój udział także milioner Walter Skoll i jego przekłeta fundacja. I to niebanalny udział.

Welling rzucił „Hustlera” na fotel pasażera obok teczki, na której zatrzymało się jego spojrzenie. Wreszcie go od niej uwolnił!

Wyposażona w szyfrowy zamek, którego bronił dodatkowy system,teczka miała wzmocnione ściany, odporne niemal na wszystko, nawet na ogień i wodę. Welling pomyślał, że to

dobrze ze względu na to, co zawierała.

Z oproszonymi bielą nozdrzami wysiadł z samochodu, sportowego lexusa SC 430. Kupił go niedawno, decydując się na całe dodatkowe wyposażenie, w którym nie było, niestety, mechanizmu obniżającego poziom adrenaliny przed spotkaniem z Walterem Skollem. Może warto podsunąć konstruktorom taką sugestię, pomyślał, unosząc ciężką teczkę.

Ostatnio odwiedził fundację nieco ponad dwa miesiące temu. Skoll ściągnął go, nie podając przez telefon powodu spotkania.

W gabinecie, którego wielkie okna wychodziły na ogród, powitał go jak zwykle lodowaty i jak zwykle uprzejmy.

— Pragnę, aby jak najszybciej znalazł pan kupca na ten obraz.

Pośrednik zaniemówił na widok płótna. Miał przed sobą *Demony*, dzieło Forresta Magnusa skradzione z tego budynku we wrześniu. Włamanie zakończyło się śmiercią czterech niewinnych osób.

Działając w imieniu fundacji, Welling wypełnił zgłoszenie kradzieży i przekazał je Interpolowi wraz ze szczegółowym opisem i kompletem kolorowych zdjęć, co miało bardzo utrudnić, a nawet uniemożliwić sprzedaż obrazu na całym świecie. Poza tym fundacja otrzymała wielomilionowe odszkodowanie od ubezpieczyciela. Welling doskonale o tym wiedział, ponieważ osobiście zajmował się tą sprawą.

— Nie rozumiem. Przecież tego obrazu nie powinno tu być — wymamrotał.

— I wcale go tu nie ma, Welling. Proszę nie zapominać, że został ukradziony. W związku z tym zachowa pan szczególną ostrożność i będzie unikał wszelkiego rozgłosu przy jego sprzedaży. Czy mogę liczyć na pańską dyskrecję?

Równało się to żądaniu, by nie informował o niczym policji ani oszukanego ubezpieczyciela, a płótno sprzedał na czarnym rynku, nie wzbudzając podejrzeń Interpolu.

— Nie prowadzę tego rodzaju transakcji, szanowny panie — odparł ostrożnie, zmuszając się do uśmiechu.

— Ale może pan to zrobić, Welling. Może pan i zrobi. Proszę sobie tylko wyobrazić, że to na przykład komoda w stylu Ludwika XVI.

— Komoda...? — powtórzył Eric, nie wierząc własnym uszom.

A skąd Skoll wiedział o komodzie?

W latach dziewięćdziesiątych Welling, współpracując z galerią z SoHo, kupił dla miliardera z Florydy kolekcję mebli skradzionych z pałacyku pod Deauville. Nikt nigdy się o tym nie dowiedział. Przynajmniej do dziś.

Po kilku minutach opuścił fundację z *Demonami* pod pachą.

Sześć tygodni zajęło mu załatwienie tej sprawy w największym sekrecie. Pewien kolekcjoner kupił obraz za, bagatela, milion dolarów i wręczył Wellingowi tę sumę w gotówce, tłumacząc mu, jak działa i co zawiera teczka.

A teraz Welling przyniósł pieniądze Walterowi Skollowi. Przechowywał je u siebie przez dziesięć dni zdziwiony, dlaczego Skoll, choć poinformowany o transakcji, nie domaga się ich przekazania. Czekał, stawał się coraz bardziej nerwowy i zaczął już wyobrażać sobie scenariusze, w których zawsze przypadała mu wielce prawdopodobna i równie nieprzyjemna rola ofiary. I właśnie z powodu tych wizji postanowił skontaktować się z detektywem Timem Modinem. Teraz jednak wszystko zaczynało się wyjaśniać. Nareszcie pozbędzie się tej przeklętej teczki.

Zatrzasnął drzwi lexusa i poszedł w stronę domu, w którego oknach na parterze paliło się światło.

Tej nocy, około trzeciej, kiedy wreszcie udało mu się zasnąć, obudził go telefon Skolla. Klient poprosił o dostarczenie pieniędzy do rezydencji.

— Teraz? — zapytał, oszołomiony.

— Teraz — odparł Walter Skoll.

W tej chwili był już w pełni rozbudzony, a kiedy wchodził do gabinetu, krew tętniła mu w skroniach.

— Dzień dobry, panie Skoll — powiedział.

Siedzący w fotelu prezes Flow Corporation gestem poprosił go, żeby zajął miejsce na wprost.

Rozgorączkowany Welling pokrótce opisał mu, jakie podjął kroki, nie wspominając, rzecz jasna, o spotkaniu z prywatnym detektywem na Moście Brooklyńskim. Potem, kładąc rękę na teczce, zapytał:

— Zechce pan sprawdzić, czy suma jest właściwa?

Chciał jak najszybciej pozbyć się tego balastu.

Ale Skoll nawet nie spojrzał na teczkę.

— Pojedzie pan do hotelu Chelsea — powiedział. — Czekam tam na pana pewien człowiek. Podejdzie do pana, a pan, o nic nie pytając, odda mu pieniądze.

Welling już miał zapytać, czy ma zażądać pokwitowania, potem jednak uświadomił sobie absurdalność sytuacji.

— Nie zatrzymuję, Welling — powiedział Skoll, nawet nie unosząc się w fotelu.

Pośrednik wziął do ręki teczkę, ogarnięty niechęcią i frustracją. Spotkanie trwało niespełna pięć minut, Skoll nawet nie zadał sobie trudu przeliczenia pieniędzy. I nie powiedział ani „Dziękuję”, ani „do widzenia”.

Eric Welling wrócił do samochodu. Nie wiedział, co o tym

myśleć. Na zegarze było wpół do piątej. Cholera, tak bardzo chciał jak najszybciej pozbyć się tej teczki!

Przyjaciele próbują złamać szyfr Wilków

To była prawdziwa zimowa noc, ciemna i mroźna.

Wuj Todd, ubrany w granatowy szlafrok, otworzył drzwi ozdobione światełkami ułożonymi w napis „Wesołych świąt”, zanim Sarah zdążyła wcisnąć dzwonek.

— Biedna Sarah — powiedział.

— O tak — westchnęła, całując go.

Rozmawiali szeptem, żeby nie obudzić całego domu.

— Powinieneś jeszcze się przespać, wujku. Teraz ja tu jestem. Zajmę się wszystkimi.

Rzeczywiście wyglądał na bardzo zmęczonego.

— Tim i Jodie wracali z kina, kiedy się o tym dowiedzieli — pokiwał głową.

Sarah pogładziła go po policzku.

— Tak, opowiadali mi — potwierdziła cichutko.

Tim zadzwonił do niej w środku nocy ze szpitala w Stamford, żeby przekazać jej najświeższe informacje. Poprosił, żeby przyszła do niego rano, jak najwcześniej.

— Forrest nie przyjechał? — zapytał wuj Todd, zerkając na ulicę przez ramię Sarah.

— Parkuje samochód z dala od domu — odparła.

— Zaczekam na niego. Idź do Tima, jest w salonie.

Sarah przeszła do salonu. Tim nie zmrzął tej nocy oka.

Stojąc przy oknie, obserwował okolicę, wyczulony na każdy podejrzany sygnał. W rękę trzymał pistolet i Sarah wiedziała, że broń jest naładowana.

— Cześć — rzucił. — Jodie jest z matką na górze, w pokoju gościnnym.

— Jak się czuje?

— Domyślasz się, że to był dla nich wstrząs. Ale teraz jest już lepiej, śpią.

— Co zrobimy?

— One obie powinny jeszcze dziś wyjechać z Nowego Jorku. Rozumiesz, że trzeba jak najszybciej zabrać je w bezpieczne miejsce. Doktor Kyle, ten, który opiekował się Margaret w szpitalu, zaproponował nam swój dom letniskowy w Massachusetts. Zawiozę je tam z wujem Toddem, kiedy się obudzą.

— Czy Forrest powinien pojawić się w fundacji? Teraz to niebezpieczne.

— Nie sądzę, żeby ryzyko było większe niż dotąd. W przeciwnym razie Wilki rozprawiłyby się z nami tej nocy, zamiast nękać matkę Jodie.

— Skąd wiedzieli o Jodie?

— To właśnie jest zagadka. Wiedzieli w każdym razie, że była w fundacji tej nocy, kiedy weszliśmy na szóste piętro, ale na razie nie mają chyba pojęcia, że to my się tam włamaliśmy.

— Ale dlaczego jej po prostu... — zapytała Sarah, nie mając odwagi dokończyć.

— Dlaczego jej nie zabili? Prawdopodobnie dlatego, że zabójstwo sekretarki kilka dni po „samobójstwie” jej szefa musiałyby wzbudzić podejrzenia policji. Postanowili najpierw dać jej... ostrzeżenie. Nawiasem mówiąc, masz przy sobie tę zaszyfrowaną wiadomość?

Pokiwała głową i podała mu kartkę z przepisaniem przez senatora Marcha kryptogramem.

Tim jeszcze raz przeczytał szereg liczb, które widział już wczoraj u Sarah:

6/1; 5/3; 8/1; 10/3; 2/1; 3/3; 16/1; 26/1; 21/9
9/3; 17/1; 21/1; 27/1; 11/1; 3/4; 4/1; 5/3; 3/3
22/1; 12/1; 8/1; 13/3; 27/4; 25/1
9/5; 27/3; 5/4; 5/1; 27/2; 20/2; 14/1; 13/1
6/7; 13/3; 3/3; 22/1; 13/1; 7/1; 4/1; 24/8; 11/6
17/1; 5/3; 15/4; 27/1; 19/1; 2/1;
25/1; 11/1; 6/1; 9/4; 27/2; 6/7; 10/1; 18/1; 26/1
8/1; 13/1; 27/1; 6/1; 24/15

Potem spojrział na Sarah.

— Musimy to rozszyfrować. Zgadzam się z tym, co powiedziałeś wczoraj: być może mamy w ręku wiadomość pierwszorzędnej wagi.

Zdarzenia minionej nocy nieco przygasiły wspaniały entuzjazm, który przejawiała jeszcze wczoraj. Wydawało się, że przestała wierzyć w celowość ich działań. A gdyby nawet zdołali złamać ten szyfr? Co to zmieni w ich sytuacji? Jodie i jej matka wciąż będą w niebezpieczeństwie. Wkrótce także i oni będą zagrożeni.

Jednak Tim ożywił w niej nadzieję.

— Jeżeli ustalimy, co to znaczy — pukał palcem w kartkę — może dowiemy się, co knują Wilki, a wtedy zyskamy nad nimi przewagę.

Usłyszeli, że wuj Todd otwiera drzwi Forrestowi i przez chwilę rozmawia z nim szeptem. Tim usiadł w fotelu.

— Cześć, Forrest — powitał przyjaciela.

— Przykro mi z powodu Jodie i jej matki — powiedział Forrest.

— To nie twoja wina. Bądź tak miły, po wyglądaj trochę przez okno i uprzedź mnie, gdyby ktoś się tu zbliżał.

— Forrest stanął przy oknie, a Tim skupił się na seriach

liczb, które tańczyły mu przed oczyma. Najpierw wychwycił najbardziej rzucające się w oczy cechy. Niektóre pary, $5/3$, $3/3$, $6/1$, $6/7$, $8/1$, $13/3$ i $26/1$ powtarzały się dwu-, a nawet trzykrotnie, a to wskazywało na szyfr o dość prostej substytucji.

— Jak się do tego zabrać, jeżeli nie jest się ani piratem, ani szpiegiem? — zapytała Sarah.

— Mam pewne pojęcie o kryptologii. Zaraz się przekonamy, na co mi się to przyda.

Do salonu wszedł wuj Todd z tacą.

— Zaparzyłem wam kawy — powiedział.

A do kawy przyniósł też keks, słodkie bułeczki i suszone owoce.

Wtedy Sarah zauważyła coś, co wcześniej przeoczyła — wuj Todd miał wsunięty za pasek szlafroka pistolet, starą berettę z lat sześćdziesiątych.

Uśmiechnął się, widząc jej zaskoczenie.

— Nie bój się. Pozwolę wam ustrzelić paru tych oszołomów.

Po tym oświadczeniu, które wcale nie było przechwałką, uśmiech szybko zniknął z jego twarzy.

— Usiądź tu z nami — zaproponowała Sarah.

Czuła, że i on potrzebuje bliskości i uspokojenia, jednak tylko pokręcił głową i zostawił ich troje w salonie.

— Może poszedł się zdrzemnąć? — rzucił Forrest, spoglądając na przyjaciółkę, i uśmiechnął się tajemniczo.

Sarah zamierzała potwierdzić jego domysły, ale szybko się wycofała.

— Nie mów mi, że on...

— Tak! — zawołał Forrest, wzruszony i z lekka rozbawiony.

— Taki już jest ten wuj Todd!

I Sarah usłyszała z jego ust, że wuj Todd wrócił na posterunek, aby obserwować „teren” z klatki schodowej na górze. Ustawił tam bujany fotel i stolik, na którym obok dzbanka z

kawą leżała beretta. Gdyby ktokolwiek próbował wtargnąć do domu przy Park Slope, siedemdziesięcioletni wuj Todd bez wahania pokazałby, jak korzystać z prawa do obrony własnej. Tak w każdym razie powiedział Forrestowi, gdy wpuścił go do domu.

— Bardzo polubił Jodie — wyjaśnił Forrest, znowu wyglądając na ulicę. — Wydaje mi się, że wszystkie te wydarzenia wstrząsnęły nim silniej, niż chce okazać.

— Wuj ma w dodatku bzika na punkcie bratanka — potwierdził nie bez dumy Tim, nie odrywając się od szyfru.

W tym momencie do salonu weszła Jodie. Miała podpuchnięte oczy, ubrana była jeszcze w bawełnianą piżamę. Tim spojrzął na zegarek. Szósta trzydzieści siedem.

— Dzień dobry — powiedziała. — Wuj Todd wspomniał, że przyjechaliście.

Ucałowali się na przywitanie, a przyjaciele spytali ją, jak minęła noc. Gdy uspokoiła ich obawy, Sarah poruszyła problem zaszyfrowanej wiadomości.

— Słuchajcie... Jeżeli to wiadomość od generała Fenrydera, przeznaczona dla Waltera Skolla, możemy wreszcie natrafić na właściwy trop. Będzie nam potrzebna twoja pomoc, Jodie.

— Sądzisz, że Fenryder, jeśli to rzeczywiście on, użyłby szyfru, z którego korzystał już podczas wojny z Północą? To nie takie głupie. — Tim spojrzął na Jodie. — Czy w pracach poświęconych wojnie secesyjnej twoja matka pisała na temat szyfrów?

— W biografii Kirby'ego Smitha nie pisała — odparła Jodie. — Jestem tego pewna. Ale mama archiwizowała na swoim PC wszystkie zapiski, które wiązały się z jej pracą naukową. Daj mi kilka minut, a może zdołam znaleźć coś o szyfrach z tamtych czasów.

Przed powrotem do Brooklynu zajechali do mieszkania Jodie po jej rzeczy. Poza ubraniami chciała zabrać także komputer matki, bo na jego twardym dysku zapisane były wszystkie jej opracowania, zarówno te opublikowane, jak pozostawione w rękopisie.

Jodie przyniosła komputer i włączyła go. Po paru minutach odnalazła to, czego potrzebowali.

— Z zapisków mamy wynika, że najczęściej używane podczas wojny secesyjnej były szyfr Cezara i Rail Fence. Ale Fenryder uważał je za zbyt łatwe do złamania.

— Cholera — mruknął Tim, który ze zmęczenia zrobił się drażliwy.

— Zaczekaj. Mam w aneksie niejakiego Johna Weeksa. Ten człowiek odpowiadał za szyfrowanie depech w regimencie generała Fenrydera. — Zamilkła, a po chwili dodała: — Nie, nic tu nie ma. Przykro mi. Weeks opowiada o swoich rozterkach, ale nie o szyfrach.

Równocześnie wcisnęła klawisze Ctrl i F. Na ekranie pojawiło się okno „Wyszukaj i zmień”. Wpisała „Jonh Weeks” i wcisnęła: „Następny”. Na ekranie pojawiła się strona 35 z podkreślonym nazwiskiem Weeksa. Akapit dotyczył zaopatrzenia w broń i nie wnosił nic ciekawego z ich punktu widzenia. Kolejne poszukiwania doprowadziły do wzmianki na stronie 378, ale i to nic nie dało.

W końcu komputer dotarł do „Dokumentów załączonych”.

— Mam coś, co może cię zainteresować. John Weeks po wojnie napisał książkę. Zgadnij, czego dotyczy?

Tim zapisał na kartce tytuł i podziękował Jodie za pomoc. Potem zaczęli szperać w Internecie, chcąc dotrzeć do tekstu. Na stronach komercyjnych nie było wzmianki o książce, nawet uwagi, że jest niedostępna. Przeszli na strony bibliofilskie. To też było pułdo. Można by sądzić, że Weeks nigdy nie napisał

żadnej książki.

— Spróbuj w Projekcie Gutenberga — poradziła Sarah.

Wirtualna biblioteka Google błyskawicznie pokazała tę stronę. Tim wypełnił rubrykę „Autor”, wpisując „John Weeks”, i zaczął poszukiwania. Pokazał się tylko jeden tytuł: *Die Geheimschrift und der Krieg* (Kryptologia i wojna).

— Przekład na niemiecki! Tylko tego brakowało! — rzucił, zirytowany.

Wzdychając, kliknął jednak na tytuł. Opracowanie w przekładzie i z przedmową K. Haushofera wydano w roku 1919. Przy okazji Tim zauważył, że oryginalny tytuł *Kryptologia i życie* został zmieniony na *Kryptologia i wojna*.

Tim przewijał tekst w poszukiwaniu nazwiska Fenryder. Pojawiło się na stronie 203.

Weeks napisał o generale Fenryderze, pod którego rozkazami służył, że był to „oficer gwałtowny, okrutny, opętany wojną i całymi dniami cytował fragmenty Pisma Świętego, rozprawiając o niebiańskiej Jeruzalem”. Na szczęście dla Tima ten cytat podano w oryginale.

— I ani słowa o tym cholernym szyfrze — mruknęła zniechęcona Sarah, przecierając oczy.

— Ależ to oczywiste! — krzyknął nagle Tim. — Słowa Weeksa dają nam klucz do szyfru.

— Co? — zdziwiła się Sarah.

— To Biblia! Generał używa Biblii, szyfrując informacje. W gabinecie Waltera Skolla stały na półce dwie książki: *Sztuka wojny* Sun Tzu i Biblia. Biblia z zakładką wsuniętą między stronicę Apokalipsy świętego Jana!

Tim pobiegł po Biblię wuja i odszukał w Apokalipsie fragment dotyczący nowej Jeruzalem. Był to rozdział 21.

— Dobrze — powiedział, wodząc palcem po stronicy. — Ten rozdział liczy dwadzieścia siedem wersów.

— A wytłuszczone cyfry w wiadomości nie są większe od tej liczby — podjęła Sarah.

— Być może więc wskazują wersety. A te drugie liczby...

— Miejsce zaszyfrowanej litery w wersecie? — zasugerował Forrest, wciąż obserwując ulicę.

Sarah pochyliła się nad tekstem i odnalazła pierwszą literę szóstego wersetu. Było to „C”.

Tim wpisał literę pod parą liczb i podjął:

— Pięć łamane przez trzy to trzecia litera piątego wersetu.

— ...czyli „O” — powiedziała Sarah.

Postępując podobnie z całym kryptogramem, odtworzyli w końcu tekst wiadomości.

— Na Boga! Na Boga!

Wbrew wszelkim oczekiwaniom to nie Tim Modin, ale Forrest Magnus wznosił te okrzyki grozy, zbulwersowany tym, co odkryli. Odszedł od okna i dołączył do przyjaciół.

On pierwszy zrozumiał, dlaczego we wrześnie skradziono jego obraz.

Szron bieli drzewa

Pośrednik Eric Welling zaparkował swego lexusa sto metrów od hotelu Chelsea na Dwudziestej Trzeciej Ulicy Zachodniej. Jechało mu się całkiem nieźle. Do Harlemu dotarł Henry Hudson Parkway biegnącą wzdłuż rzeki, a potem jej przedłużeniem — Dwunastą Aleją, Midtown. W radiu zapowiedziano intensywne opady śniegu, których należało się spodziewać w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin. Welling nie znośił zimy i miał nadzieję, że prognoza się nie sprawdzi.

Ledwie wysiadł z samochodu, sypnęło. Z nieba leciały duże płatki śniegu.

Trzeba było mieć pecha! Postawił kołnierz palta i okrążył wóz, żeby zabrać leżącą na fotelu pasażera teczkę.

Podmuchy mroźnego wiatru omiatały ulicę. W taką pogodę nie wygoniłby na ulicę nawet psa, złorzeczył coraz bardziej rozwścieczony Welling.

Szedł przez jezdnię, drząc mimo ciepłego palta i rękawiczek.

Teczka wydawała mu się coraz cięższa. To sumienie, szeptał zjadliwy głos. A Eric święcie mu wierzył.

Piaskowa fasada z balkonami kutymi w żelazie rysowała się na tle ciemnego nieba w świetle latarni. Dlaczego Skoll wskazał właśnie ten skromny hotel Chelsea? I dlaczego zmusił jego, Wellinga, do zabawy w konwojenta w mroźny poranek? Te pytania nie dawały mu spokoju.

Wiedział, że hotel przeżył lata świetności. Najpierw bywali tu słynni pisarze i artyści, ale w latach siedemdziesiątych podupadł, bo szajki i dealerzy z dzielnicy zawładnęli trzema piętrami, terroryzując pozostałych gości. W tych murach popełniano zbrodnie: Sid Vicious, basista Sex Pistols, zamordował tu przecież swoją przyjaciółkę, kiedy przesadził z heroiną!

Potem hotel Chelsea ozdrowiał, w holu znów wisiały portrety znanych klientów. Zapominając o śniegu, Welling pomyślał, że byłoby zabawne, gdyby zamiast Tennessee Williamsa, Dylana Thomasa czy Andy'ego Warhola powiesić tu podobizny złoczyńców i narkomanów, którzy bywali w tym miejscu. Albo truposzy w hotelowych pokojach.

Zostało mu zaledwie kilka metrów do przejścia, gdy zbliżył się mężczyzna o zmierzwionej brodzie i oczach pijaka. Miał dobrze po pięćdziesiątce.

— Widzę, że przyniósł mi pan paczkę — powiedział.

Ta kanciasta twarz nie była Wellingowi obca, ale gdzie, do diabła, mógł go spotkać? Na jakimś wernisazu? A może w telewizji? Może w programie Oprah? Tak, to pewnie jeden z tych pedofilów, których szukała po całym kraju do swego programu.

Zgodnie ze wskazówkami Skolla, Welling oddał mu teczkę, o nic nie pytając i nie domagając się pokwitowania.

Facet wziął ją, dobrotliwie się uśmiechając.

— Wesołych świąt, Welling — powiedział i ruszył ulicą.

Eric Welling wcisnął ręce do kieszeni i obserwował, jak odchodzi z pieniędzmi.

Tak, widział go w telewizji, ale nie w programie Oprah Winfrey. Teraz sobie przypomniał. To było jakieś dziesięć lat temu, ale zapamiętał tę twarz. Facet zasłużył sobie na zainteresowanie mediów, bo popełnił serię makabrycznych morderstw o wyraźnie satanistycznym charakterze.

Do diabła! Właśnie wręczył milion dolarów psychopacie, groźnemu obląkańcowi, którego poszukiwała cała nowojorska policja, a także policje stanowe i służby federalne! To nie był drobny problem!

Wellingowi przyszło też na myśl, że facet wykorzystuje jego reputację międzynarodowego pośrednika.

W co właściwie gra Skoll? — zastanawiał się. Sprawy przybierały coraz groszy obrót — najpierw doprowadzono go do podpisania fałszywego zgłoszenia kradzieży, potem zmuszono do sprzedaży „skradzionego” obrazu, a teraz kompromitowano, wysyłając na spotkanie z poszukiwanym bandytą.

Rozwścieczony, wyobrażał sobie, jak mówi do Skolla: „Sprzedaję dzieła sztuki, nie jestem pańskim chłopcem na posyłki”. Wiedział jednak, że nigdy nie odważy się powiedzieć tego Skollowi w oczy.

Silny podmuch wiatru cisnął w niego śniegiem, który wpadł mu za kołnierz.

Otrząsnął się i próbował wybrać mokre płatki. Na rękawiczkach zobaczył drobne, białe igielki. Spojrzał na palto, które było oproszone takimi samymi igielkami.

Welling z niedowierzaniem spoglądał w nocne niebo przyśłonięte firanką z płatków i aż podskoczył, gdy trzydzieści metrów nad głową zobaczył kształt sunący ruchem węża wzdłuż ciemnej fasady hotelu. Zatrzymał się na chwilę, by znowu się przesunąć. Najgorsze było, że „to” miało jakby ludzką sylwetkę, tylko wiło się jak wąż i schodziło, głową w dół, nie odczepiając się od muru.

Boże święty! To coś było coraz bliżej Wellinga.

Marszand odsunął się od fasady i o mało nie wpadł pod jadący samochód, przechodząc przez jezdnię. Znalazszy się na chodniku, pobiegł do swojego auta ile sił w nogach, z przerażeniem oglądając się za siebie. Przy tej śnieżycy niewiele jednak widział i może tak było lepiej.

Wskoczył do wozu kompletnie roztrzęsiony. Zatrzasnął drzwi i zablokował je, a potem drżącą ręką wsunął kluczyk do stacyjki. Nie miał zamiaru zostawać tu ani chwili dłużej.

Przednia szyba była zaśnieżona. Welling włączył wycieraczki i z niepokojem spojrział na ledwie widoczny podczas takich opadów hotel Chelsea.

Kątem oka dostrzegł jakiś ruch po prawej. To, co zobaczył, zaparło mu dech w piersi. „Tego” tu nie było, kiedy zamykał się w samochodzie.

Na fotelu pasażera, tam gdzie wcześniej leżała teczka, siedział człowiek.

— Psiakrew, przecież pan...

— Nie rozdaję już autografów, gnojku — mruknął najprawdziwszy pod słońcem Sid Vicious.

Po dwudziestu siedmiu latach w krainie zmarłych dawny basista grupy Sex Pistols wcale się nie zmienił: wciąż miał tę samą twarz upadłego anioła, który ćpa, uczesane na Irokeza ciemne włosy, brzydkie usta układające się w beztroski uśmiešek. Nie wyglądał za dobrze.

— Wcale jej nie zabiłam, mówiłem to już temu głupiemu glinie — oznajmiła wyraźnie pogrążona w rozmyślaniach zjawą.

— Ale nie chciał mi uwierzyć!

Sid mówił o swojej przyjaciółce Nancy Spungen, którą znaleziono zasztyletowaną, obok niego, w pokoju numer 100 na parterze hotelu Chelsea.

W innej sytuacji Welling byłby skłonny mu uwierzyć. Prawdę mówiąc, w 1979 Sid Vicious był już tak wyniszczony przez alkohol, heroinę i metadon, że przeważnie to on zbierał ciągi. Obrywał nie tylko od dealerów, ale i od Nancy, która ponoć wcale się nie krępowała. Teraz Welling zaczął w to powątpiewać.

Sid Vicious wydawał się nienormalnie duży, bez względu na to, czy żył, czy był trupem.

Właściwie był gigantem, jakby własną reprodukcją, ale dwukrotnie powiększoną. Siedział obok Wellinga pochylony do przodu i skulony, jakby miał złamaną szyję, ramiona przygniecione przez podsufitkę lexusa, a kolana wbite w tablicę rozdzielczą.

„Ona nie jest istotą ludzką” — śpiewano o królowej Elżbiecie w *God save the Queen* w wersji Rottena. To samo można było powiedzieć o Sidzie do potęgi drugiej, który wypełnił całą przestrzeń dla pasażera.

— Nie zadźgałem Nancy. Kurwa, ja ją kochałem!

Mówił to bardzo smutnym głosem, a kiedy odwrócił twarz, Welling zobaczył krwawe ły na jego policzkach.

— Zobaczyc Nowy Jork i umrzeć, mawialiśmy z Nancy.

Wyciągnął lewą rękę, potężną, pokłutą igłami, i zawiesił ją nad karkiem Wellinga.

— A ty już się napatrzyłeś na Nowy Jork, dupku.

Chwycił Wellinga za kark i trzy razy uderzył jego głową o kierownicę tak mocno, że plastik pękł. Przed śmiercią Welling pomyślał coś w rodzaju: ten facet ma siłę młota pneumatycznego. Ale to nic pewnego. Może zdołał pomyśleć tylko połowę tego, a może zaledwie stanął mu przed oczyma obraz takiego młota, a jego oszalałe neurony zdążyły ustalić, że to najdoskonalsza metafora siły Sida Viciouosa wydobytego z piekieł.

Odkrywamy, na czym polega operacja Demony

Jodie nigdy jeszcze nie widziała trójki swoich przyjaciół tak bardzo podekscytowanych.

Udało im się złamać kod i mieli przed oczyma wiadomość, która leżała na stole jak cenne trofeum:

ZACZYNAJCIE OPERACJĘ DEMONY BĘDĘ W FUNDACJI PODCZAS OFIARY MARCHA

Teraz, siedząc razem przy stole w salonie, wszyscy czworo byli dumni ze swego odkrycia, a równocześnie obawiali się tego, co zapowiadało. Mieli trzy istotne informacje. Pierwsza nie odpowiadała, niestety, na podstawowe pytanie — gdzie był generał Fenryder w tej chwili, ale wskazywała, gdzie będzie już wkrótce. I tę wielkiej wagi wiadomość należało przekazać FBI. Z drugiej jasno wynikało, że senator Marvin March, jako przewodniczący senackiej komisji śledczej, będzie kolejną ofiarą Fenrydera i Wilków. Ta wiadomość także miała swoją wagę —

dotąd March oraz aparat państwowy uważali się za myśliwych, choć w rzeczywistości byli zwierzyną. I wreszcie trzecia, ostatnia wiadomość — kradzież obrazu Forresta, *Demony*, stanowiła element operacji na wielką skalę, określonej takim samym kryptonimem. Wiadomość została wysłana do Wielkiego Wilka Waltera Skolla osiemnastego września. Tak przynajmniej twierdził senator, a cztery dni później doszło do kradzieży w należącej do fundacji rezydencji. Trudno było uwierzyć, że to tylko przypadek, zbieżność nazwisk i dat. Forrest zwrócił na to uwagę jako pierwszy.

— To oczywiste — tłumaczył rozgorączkowany. — Kradzież mojego obrazu była dla Wilków sygnałem do rozpoczęcia operacji. Wyobraźmy sobie, że ze względów bezpieczeństwa tylko Walter Skoll utrzymuje kontakt z Fenryderem. Wyobraźmy sobie, że w trosce o dochowanie tajemnicy wszystkie inne Wilki nie wiedzą ani gdzie się znajduje i co robi mistrz Fenryder, ani co robią inni wierni. Wyobraźmy sobie, że nie mogą się z sobą porozumiewać, że każdy Wilk pozostaje w izolacji na ściśle wyznaczonym terytorium. Pamiętajcie różne obszary z mapy Mrocznego Imperium.

— Wiemy — włączył się Tim — że spotykają się wyłącznie podczas dorocznego zgromadzenia. Ta sławetna Rada Feniksa zbiera się w fundacji.

— Wyobraźmy sobie — podchwycił Forrest — że każdy z Wilków resztę roku spędza z dala od ludzi i od innych Wilków, czekając, aż Mistrz da znak do stworzenia Mrocznego Imperium.

Znowu przerwał mu Tim.

— Faktem jest, że wszyscy poza Skollem uważani są za zmarłych. Na czele z generałem. Dlatego muszą działać w ściśle tajnej tajemnicy, której pilnie strzegą.

— Dobrze, wyobraźmy sobie to wszystko i postawmy następujące pytanie: co byśmy zrobili na miejscu Wielkiego Wilka Waltera Skolla, żeby przekazać wszystkim rozproszonym po terytorium Stanów Zjednoczonych Wilkom wydany przez generała rozkaz podjęcia operacji Demony? Jak go przekazać, skoro nie chce się lub nie może używać telefonu, Internetu, listów, a wszystko to, by uniknąć kontaktu, który ktoś mógłby śledzić, lub nie ma się niezbędnych danych? Co zrobić w takiej sytuacji?

Tim się uśmiechnął.

— Celną uwagę, Forreście — powiedział. — Żeby przekazać wiadomość, Skoll sam zaaranżował włamanie do rezydencji.

— I doskonale wiedział, że medialny oddźwięk tego włamania ogarnie cały kraj. Zauważcie, że tak się stało. Już tego samego dnia wszystkie stacje powtarzały tę wiadomość w swoich serwisach. Zastanówcie się! Włamanie i kradzież obrazu wartego miliony dolarów, popełniona w Nowym Jorku, a do tego kilka niewinnych ofiar! Oczywiście, wszystkie media z lubością przytaczały tytuł zrabowanego dzieła, a także nazwisko właściciela: *Demony* i Walter Skoll. To jak podpisana wiadomość. Albo, jeżeli ktoś woli, depesza z oficjalną pieczęcią.

— Przypomina mi to wiadomość Borgesa — wtrąciła Sarah. — Szpieg zabija człowieka z powodu nazwiska, będącego równocześnie nazwą miasta, które ma zostać zbombardowane przez lotnictwo.

— To dokładnie ta sama metoda, sprytna i okrutna — przyznał Forrest.

Tim w zamyśleniu podrapał się po brodzie. Po chwili powiedział:

— Pozostaje tylko ustalić, na czym ma polegać operacja Demony.

— To mogłoby być zapoczątkowanie Wielkiej Nocy? — wtrąciła Jodie.

— Nie, nie sędzę. Gdyby o to chodziło, wiadomość mówiłaby wprost o Wielkiej Nocy — pokręciła głową Sarah.

— Sarah ma rację — przyznał Tim. — Uważam, że to dwie odrębne operacje, chociaż ta drobniejsza może być wstępem do wielkiej.

— Również zgładzenie senatora Marvina Marcha — podjęła Sarah — nie musi stanowić istoty operacji Demony. Być może to tylko pewien jej etap.

Tim wstał.

— Musisz ostrzec senatora. Wykorzystaj to, żeby zorganizować spotkanie z nim, najlepiej jeszcze dziś po południu— powiedział i zwrócił się do Forresta. — Kiedy będziesz w fundacji, nie podejmuj zbędnego ryzyka. Ogranicz się do obserwowania, kto tam wchodzi, i informuj nas, gdyby się coś wydarzyło. Ja odwiozę Jodie i jej matkę do domku doktora Kyle'a w Massachusetts. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, wrócę wczesnym popołudniem.

Michael Welling rozmawia z Eliotem Marchem

Los chciał, że ten dzień przemijał, a nikt nie powiadomił Michaela Wellinga o tragicznej śmierci jego brata Erica Wellinga, znanego pośrednika w handlu dziełami sztuki. Policja znalazła jego zwłoki dopiero późnym wieczorem, a gdyby nawet stało się to wcześniej, bardzo trudno byłoby zawiadomić Michaela, ponieważ od dawna nie miał ani adresu, ani pracy.

Jego dzień także nie zaczął się jak każdy inny. Tego ranka po przebudzeniu ze zdziwieniem stwierdził, że w domu nie ma ani wielebnego Gardnera, ani Eliota Marcha. Od kilku tygodni

trzej mężczyźni dzielili wspólny pokój w ruderze na Bronksie, ale po raz pierwszy Michael wstał jako ostatni. Spojrzał na zegarek o porysowanym szkiełku, które przypominało mu o bijatyce z policją w Seattle. Było zaledwie kilka minut po wpół do ósmej, co wzmogło zdumienie Michaela. Zazwyczaj Gardner sypiał do południa. Czyżby to chłód, rzeczywiście dotkliwszy niż w minione noce, wygonił z łóżka starego wielebnego?

Michael przetarł oczy i przyglądał czuprynę. Potem wstał. Nie musiał się ubierać, bo na noc nie zdejmował dzinsów ani nawet bluzy. Z powodu zimna. A także kradzieży.

Ogarnął spojrzeniem pusty pokój.

Na podłodze, obok trzech materacy, poniewierało się około dziesięciu świec, których używali nocą, żeby oświetlić pokój. Wciśnięte do pustych puszek po napojach gazowanych, były wypalone w dwóch trzecich. W szarym świetle poranka nawet kolorowe graffiti na starych ścianach pokoju wyglądało posępnie i przygnębiająco.

Michael zdjął prawy but, żeby wydobyć z niego plik banknotów. Nie, Gardner go nie okradł, stwierdził spokojnie i równie spokojnie zaczął liczyć pieniądze. Sto dwadzieścia pięć dolarów — tyle zostało mu po pięciu latach pracy w kapitalistycznej megamachinie, gdy był grafikiem w firmie projektowej. Wcisnął pieniądze do tylnej kieszeni spodni, potem włożył do kieszeni kurtki trzy nowe pojemniki farby, które kupił wczoraj. Wyszedł. Na korytarzu było pusto i Michaelowi przyszło na myśl, że w ten pochmurny ranek rudera wygląda jak dzień po tragicznych starciach pole bitewne, które opuścili już wszyscy zdolni utrzymać się na nogach, pozostali zaś umarli lub dogorywają. Tyle że tu wszyscy, którzy byli zdolni utrzymać się na nogach, wczoraj do późnej nocy rozmawiali albo ćpali, tańczyli albo się kochali, a teraz spali pod stertami podartych kołder i narzut albo pod wilgotnymi kartonami, dygocąc w grudniowym

chłodzie i śniąc o rewolucyjnej zemście lub zawsze skąpanych w słońcu wyspach.

Michael wyszedł na zewnętrzne żeliwne schody, które prowadziły na podwórze. Mieszkańcy zwykli opuszczać ruderę tą drogą, ponieważ klatki schodowe w budynku groziły zawaleniem.

Na zewnątrz przestało padać, a śnieg, który jeszcze przed godziną zalegał na ulicach, całkowicie stopniał.

Na podwórzu płonęło już ognisko, ktoś siedział przy nim w kucki, próbując się rozgrzać. Z ostatnich stopni schodów Michael rozpoznał Eliota Marcha. Postawił kołnierz i podszedł do niego. Niepytany, Eliot powiedział mu, że Gardner wyszedł „w interesach” i nie chciał go zabrać. Bez wielebnego Eliot wydawał się zagubiony i zupełnie bezbronny. Widząc podwinięty rękaw jego swetra, Michael zrozumiał, że zdążył już wstrzyknąć sobie dawkę narkotyku. Drgawki, które przebiegały jego ciało, nie były zatem tylko skutkiem zimna. Narkotyki przenikał do krwi i wkrótce miał wyciszyć inne potrzeby, przynosząc odprężenie i upragnione zapomnienie.

Michael często zastanawiał się, w jaki sposób Eliot zdobywa heroinę, choć nie ma żadnych dochodów, i w końcu doszedł do wniosku, że zaopatrywał go Gardner. To jednak nie wyjaśniało zagadki, bo teraz po prostu kwestią pozostawało, skąd bierze pieniądze i do czego dąży „wielebny”.

Michael usiadł po turecku obok kolegi. Uśmiechnął się, kiedy Eliot trącił go na powitanie łokciem. Michael lubił tego dzieciaka.

— Kurewski mróz! — mruknął Eliot, wpatrując się w płomienie.

Przez dłuższą chwilę milczeli, oparci o siebie przy ognisku, które tak naprawdę wcale ich nie rozgrzewało.

Potem Eliot zapytał, z trudem poruszając ustami:

— Ej, Michael, jak się tu znalazłeś?

Michael miał wrażenie, że Eliot chciał mu zadać zupełnie inne pytanie — co tak straszno zrobiliśmy, żeby wylądować w tej norze dla szczurów?

Nie mógł odpowiedzieć za Eliota (prawdę mówiąc, nie wiedział prawie nic o jego przeszłości), potrafił jednak wyjaśnić meandry własnego życia.

Dziesięć lat temu studiował w Akademii Sztuk Pięknych w Chicago, a jego kolegą był malarz Forrest Magnus. W przeciwieństwie do niego Michael nie ukończył studiów i zaczął pracę w firmie, która specjalizowała się w projektowaniu i wykorzystywaniu tablic informacyjnych. Jego praca polegała na zaprojektowaniu ich tak, by połączyć estetykę i czytelność, w tym celu musiał zaś uwzględnić jak najwięcej elementów zawierających potrzeby różnych osób i sytuacji. Czasami była to jedynie kwestia wielkości liter i symboli, kiedy indziej kolorystyka i usytuowanie motywów. Początkowo to zajęcie bardzo mu się podobało. Otrzymywał całkiem przyzwoite wynagrodzenie, a przede wszystkim czuł się potrzebny społeczeństwu. Czyż pomagając choćby obcokrajowcom poruszać się po dworcu, nie dokłada się własnej cegiełki do budowli życia społecznego? Czy nie przyczyniał się do poprawy jakości życia ludzi? W przestroni tak stresującej jak lotnisko czy metro, dzięki dobrym oznaczeniom wszystko mogło stać się cudownie jasne, oczywiste, łatwe. Osiągnięcie tego celu wcale nie było trudne, a zależało od zdrowego rozsądku. Wystarczyło umieścić właściwą tablicę we właściwym miejscu i na odpowiedniej wysokości. No i prosić los, żeby żaden zwariowany chuligan nie zamazał jej swoim graffiti.

Ten ostatni warunek był najtrudniejszy do wypełnienia na dłuższą metę, Michael dobrze o tym wiedział, a to, co stało się w Waszyngtonie w roku 1992, tylko utwierdziło go w tym

przekonaniu. Kiedy zobaczył, jaki los alterglobaliści zgotowali strzałkom i piktogramom, które zaprojektował dla tamtejszego dworca, ogarnął go gniew. Poczul, że jest na celowniku, poczul się znieważony tym absurdalnym wandalizmem, tym barbarzyńskim świętokradztwem.

Wtedy uważał kontestujących za bandę głupców, zdolnych jedynie do tłuczenia szyb i malowania po takich tablicach informacyjnych swoich haseł. Było oczywiste, że takimi tchórzowskimi działaniami chcieli zmylić trop, sprawić, żeby świat stał się nieczytelny. Chcieli zniszczyć społeczeństwo.

Przez wiele dni miotał nim gniew, zaczął nawet przeglądać w Internecie strony z bronią palną. Wystarczyło złożyć zamówienie na P38. Jednak dość szybko zdał sobie sprawę, że szaleństwa współczesnych dzikusów doprowadzają go do obłądu. Gdyby dał się wciągnąć w tę grę, wkrótce upodobniłby się do brata, Erica, który czcił wyłącznie świętą trójcę materializmu (praca — kasa — dupa) i w kolejnych wyborach głosował na konserwatystów. Ponieważ nie zamierzał robić mu tej przyjemności, wziął się w garść.

Przestał się interesować bronią palną i skupił uwagę na ideologii barbarzyńskich „wrogów”. W pierwszej chwili uważał ich za niedojrzałych i szalonych. Pomysł zerwania z gospodarką rynkową mógł się jego zdaniem zrodzić jedynie w głowie opóźnionego nastolatka. Potem poznał teksty Hakima Beya i doznał olśnienia wizją nowej wolności.

Czy uderzył go ten złagodzony wariant syndromu sztokholmskiego, czy może przeżywał nową wersję drogi do Damaszku? Tak czy inaczej, czytał te pisma z żarłoczną pasją neofity, zastanawiając się, dlaczego nie zrozumiał sam, zanim zapoznał się z myślami Hakima Beya, rzeczy, które mówiono mu tak jasno i pięknie. Trzeba było odczarować świat, a jego

odczarowanie mogło nastąpić tylko dzięki działaniom społeczności dokonujących świadomego wyboru.

Po tylu latach snu przebudzenie było bolesne.

Zrozumiał, że przez minione lata poruszał się jak somnambulik w służbie megamachiny. Wszystko, co dotąd miało w jego oczach wartość — praca, przyjaciele, kino — stało się nagle błahostką. Nie odrzucił swego trybu życia z dnia na dzień, ale nabrał do niego dystansu.

W Chicago związał się z grupą „kapłanów” działań gwałtownych i brutalnych, ale każda ich „akcja” kończyła się orgią, podobnie jak liczne operacje zainspirowane „magicznym terroryzmem” głoszonym przez Hakima Beya. Na czele grupy kobiet i mężczyzn w najprostszym stroju wziął szturmem supermarket. Ci sami ludzie uwięzili następnie trzech rzeźników w chłodniach, najpierw rozebrawszy ich do naga. Działali w imię obrony życia zwierząt. Potem, wciąż z tą grupą, spalił przynajmniej dziesięć terenówek, a to w ramach realizacji programu Frontu Walki z Yuppies.

Jednak Michael szybko doszedł do wniosku, że niszczenie własności yuppies czy rzeźników to dla niego tylko rozrywka. Wszystko to przypominało spotkania Lions Club dla młodych, znudzonych ludzi. Taka dziecinada nie mogła przyczynić się do narodzin „społeczeństwa otwartego”. Tu trzeba było czegoś innego, poważniejszego, mocniejszego. Czuł też, że jego ciało pragnie nareszcie uwolnić gwałtowność. Musiał podążać zawienną drogą obnażenia.

Wtedy zainteresował się Black Blocksami i ich działalnością.

Ci opętani anarchiści, którzy stosowali przemoc w mieście, stanowili najbardziej radykalne skrzydło ruchu alterglobalistów. Propaganda faktów i nieustępliwość izolowały ich od innych zbuntowanych, którzy niechętnie patrzyli na udział tej

grupy w manifestacjach i w najlepszym razie uważali za barbarzyńców i wandalów. Black Blocks nie pozostawali im dłużni — często zarzucali obrońcom podatku Tobina, że dążą tylko do naoliwienia trybów kapitalistycznej maszyny, a ich światowe forum, że jest nędzną parodią forum neoliberalnego. Zdarzało im się także drwić z Hakima Beya i jego poetyckiego „terrorizmu”. Wszystkie te skrajne postawy odpowiadały Michaelowi Wellingowi. Black Blocksi byli nieustępliwi, więc dołączył do nich. Stał się wściekłym pośród wściekłych.

W Seattle, trzydziestego listopada 1999 roku, przyłożył rękę do grabieży w sklepie Nike'a i w paru innych. Chodził na wszystkie manifestacje.

Zgodził się ubierać na czarno jak oni, nadal jednak nie chciał nosić kominiarki, mimo że wciąż słyszał rzucane tonem przestrogi: „Uśmiechnij się, jesteś w kadrze!”. Chciał działać z otwartą przyłbicą, bo takie postępowanie dodatkowo go podniecało. Wkrótce policja miała sporo jego dobrych zdjęć, a dwa trafiły nawet na okładki „News Week” i „Time Magazine”. Cały kraj znał go jako „Wellinga apostatę”.

Dręczyła go pewna scena — młodzi ludzie w kominiarkach demolujący znaki drogowe. Dla Michaela wszystko zaczęło się od tej sceny, której nie chciał już nazywać wandalizmem. Zrozumiał, że on także musi się na to zdobyć. Zaczął wyrwać tablice wszelkiego rodzaju: zakazy, nakazy, znaki informacyjne. Jeśli nie mógł niszczyć, zamazywał je farbą, żeby stały się nieczytelne.

Kiedy jego przyjaciele zajmowali się wystawami, on szukał tylko tablic i znaków. Uważał, że zdeorientowani ludzie uświadomią sobie patos życia, że rozumieją, iż jest jak żegluga po morzu. Żeby się odnaleźć, musieli się zgubić. Nie słuchać tablic informacyjnych, powtarzał z cudownym fanatyzmem apostaty.

Jego umysł ewoluował, dążąc ku gwałtowności ciała.

Czytał Johna Zerzana, jednego z mistrzów Black Blocksów. Czytał Fifth Estate, Perlmana, Moore'a. I pisał. Teksty popierające prymitywizm, publikowane w anarchistycznych gazetkach zbliżonych do Zerzana.

Jego umysł wciąż ewaluował, dążył do rozpasania.

Wkrótce pokłócił się z Zerzanem. Oddalił się nawet od Black Blocksów. Przestał wierzyć w skuteczność wspólnot i w cnoty przemocy.

Porzucił pracę i wyprowadził się z mieszkania. Wyczyścił konto w banku.

W ten sposób on, Michael, znalazł się tu, w ruderze na South Bronx. Mógłby opowiedzieć Eliotowi o swojej drodze, gdyby nie uważał snucia takich opowieści za zbyt „burżuazyjne”. Dlatego wolał ograniczyć się do kilku słów, prostych, a jednak trafnie ujmujących jego historię.

— Wydaje mi się, że przeszedłem szmat drogi. Potem, spoglądając na Eliota, powiedział:

— Gardner wspominał, że twój ojciec zajmuje się polityką.

Słyszac to, Eliot zwrócił na niego oczy i wpatrując się w niego badawczo, wyraźnie spięty, odparł:

— Wiesz co, Michael? On i ja jeszcze się zobaczymy. Ojciec nigdy mnie nie rozumiał. Ale teraz stary March zrozumie. Będzie musiał zrozumieć.

To dziwne, ale Michael wyczuł w tych mętnych słowach pogroźkę, a może cień nadziei. Nie miał tylko pojęcia, które z tych wrażeń jest trafne.

— Nie rób niczego, czego miałbyś żałować — poradził.

— Och, zrobiłem już chyba wszystko, co najgorsze — odparł Eliot, pokazując mu pokłute przedramię.

Czyżby to, co się stało, było nieodwracalne? Czy świat przeznaczał najpiękniejsze owoce tylko dla tych, którzy dostosowują

się do jego reguł?

— Eliot, co robisz z kimś takim jak Gardner?

— Wielebny jest moim wybawcą — szepnął Eliot. Miał przymknięte oczy, a działanie narkotyku stawało się już widoczne na jego otumanionej twarzy. — Wkrótce ty także zrozumiesz.

— Chciałbym... Chciałbym, żebyś jutro, kiedy będę opuszczał miasto, poszedł ze mną. Zamierzam się stąd wynieść. Chcę zamieszkać w lesie, wiesz, żyć w harmonii z naturą, jak... Jak Thoreau. W chatce, którą sam bym zbudował. Mam dość całego tego bagna. Mam tego dość...

Ale Eliot już go nie słuchał.

To właśnie dla takich żalonych typków jak Eliot Michael chciał zmienić świat.

Zasmucony poklepał go po ramieniu i wstał.

Gdy przechodził przez starą, zardzewiałą furtkę, natknął się na Gardnera, który najwyraźniej załatwił już „interesy”. Zauważył, że niesie metalową teczkę.

— Piekielne dziś zimno, co? — zagadnął „wielebny”.

— Eliot na pana czeka — powiedział Michael, wskazując podwórko.

Gardner wydawał się niezadowolony, że Eliot jest na dole.

— Zostaw go w końcu w spokoju — rzucił, zawracając. — Mam jeszcze to i owo do załatwienia. Dokąd to się wybierasz?

Michael przyznał, że ma zamiar wpaść na Pięćdziesiątą Siódmą Ulicę na Manhattanie. Tam, gdzie znajduje się kilka galerii sztuki.

— Znowu graffiti? — zapytał Gardner. — No dobrze. Przejdziemy się kawałek razem, co, mały?

Idąc, przełożył teczkę do drugiej ręki. Byli właśnie na Southern Boulevard, którym podążali w stronę Boston Road.

— Na jutro zaplanowałeś wielką przeprowadzkę do lasu? —

zapytał Gardner tonem kolegi z pracy, gdy gawędzi o planach wakacyjnych. — Nadal chcesz to zrobić jutro?

Od kilku dni Gardner żywo interesował się planami Michaela.

— A dlaczego nie dziś, co? — dodał.

— Dziennikarka — przypomniał krótko Michael.

Było mu smutno z powodu Eliota. Nie miał ochoty na rozmowy, a już na pewno nie na pogawędki z Gardnerem.

— A tak, ta dziewczyna z „New York Timesa”, która chce opisać twoje... wzorowe życie. Pójdiesz na spotkanie z nią?

Michael skinął głową.

— To dobrze, chłopcze. Bardzo dobrze. Tak trzeba robić.

Wspaniałe pożegnanie z Nowym Jorkiem. Odejdziecie w pięknie.

Tylko ja jestem niecierpliwy jak Nazarejczyk! — wykrzyknął Gardner, a potem, tonem drapieżcy, dodał, unosząc dłoń: — „Przyszedłem ogień rzucić na ziemię i jakże bardzo pragnę, żeby on już zapłonął”. To święty Łukasz, rozdział dwunasty, werset czterdziesty dziewiąty.

I wybuchnął niesamowitym śmiechem. Michael przystanął, by mu się przyjrzeć.

— Wielebny, ja nie wybieram się na spotkanie z Szatanem — uznał za stosowne przypomnieć.

— Nigdy nie wiadomo, Michaelu, nigdy nie wiadomo. To przecież oko Babilonu!

Michael nigdy dotąd nie widział go w tak jowialnym nastroju.

— Gdybym był tą wścibską dziennikareczką, zadałbym ci pytanie dotyczące państwa. Chcesz wiedzieć jakie? No, okaż odrobinę ciekawości! Nie? Trudno, i tak zadam ci to pytanie. Wiesz, wcale nie jesteś zabawny. Idziemy razem, a tylko ja mówię. Mógłbyś się zdobyć na więcej uprzejmości, chłopcze. Przecież to nasze ostatnie wspólne chwile.

— Niech pan wreszcie zada to pytanie — westchnął Michael.

— A tak... Gdybym był na miejscu tej dziennikarki, zapytałbym cię o coś takiego: „Proszę pana (bo na pewno tak się będzie do ciebie zwracała, nie powie „chłopcze”), a więc, panie anarchisto, chce pan porzucić cywilizację, żeby żyć jak dzikus Thoreau, zgoda, ale jeżeli wszyscy postąpią jak pan, to co stanie się z państwem? Czy i ono zniknie w lasach, czy umocni się jak nigdy dotąd, bo odejdą wszyscy jego przeciwnicy?”.

— Państwo to etap, który należało przejść, wielbny, a w tym celu trzeba... Właściwie... nie. Myślano, że państwo można obalić siłą. Że trzeba okazać się silniejszym od siły... Ale państwo to stadium dzieciństwa. Opiera się na... na strachu, nie poza tym. Stara się nas zastraszyć, jakbyśmy ciągle byli dziećmi. Dlatego myślę... Myślę, że nie można go pokonać siłą, ale... ale determinacją. I świadomością. Tak. Większą świadomością.

— Przemówił do mnie! Wreszcie do mnie przemówił! — chichotał drwiąco Gardner.

Michael był wściekły, że mu uległ. Gardner poklepał go po ramieniu.

— Miło mi słuchać od rana twoich anarchistycznych idei.

Są zawsze takie... ożywcze. Państwo, państwo, państwo! „Najzimniejszy z zimnych potworów”, jak to ktoś powiedział, chociaż mnie wydaje się ciepławe. Tak, ciepławe. Mówisz, że sprowadza nas do roli dzieci. Moim zdaniem państwo nie potrafi kochać, tak jak nie potrafi zabijać. Jest równie niezdolne do sprawiedliwości, jak do prawdziwej siły. Tylko ten, kto nie należy do państwa, jest dobry do tak miłej rzeczy jak państwo. Oto moja filozofia polityczna, chłopcze! Ale, ale, to już Crotona Park. Tu się pożegnamy. — Zadudnił palcami po tecyce, którą uniósł w lewej, pokrytej satanistycznymi symbolami ręce. — Muszę oddać komuś ten skarb.

Gardner przeszedł przez Boston Road przy skrzyżowaniu, a Michael wiódł za nim wzrokiem aż do granic parku.

Diabeł chyba naprawdę istnieje, pomyślał. Inaczej nikt nie stworzyłby takiego człowieka jak Gardner.

Satori w ścieku

Po powrocie z Brooklynu Sarah i Forrest rozstali się przed Rockefeller Center przy Piątej Alei. Woląla zostawić mu samochód, więc pojechał prosto do fundacji, by zgodnie z prośbą Tima zabawiać się nadal w szpiega, kończąc nadzór nad rozwieszaniem obrazów. Sarah wracała do domu, by skontaktować się z senatorem Marchem.

Weszła do tunelu metra, kupiła żeton i skierowała się na peron linii F w kierunku południowym.

Nagle poczuła, że ktoś ją śledził. Zwalniając kroku, odwróciła się i zaczęła przyglądać idącym za nią ludziom. O tej porze na peronie panował tłok. Dominowali wyżsi urzędnicy, w garniturach i krawatach, ze skórzanymi teczkami i „Wall Street Journal” pod pachą, albo sekretarki o umalowanych na czerwono ustach, tak nadęte, jak drażniące były ich perfumy. Wszyscy wydawali się zaaferowani i mijali Sarah, nie zwracając na nią uwagi, chyba że ją potrącali. W polu widzenia nie miała nikogo, kto nosiłby czarną rękawiczkę tylko na prawej ręce. Było to raczej uspokajające.

Nim upłynęła minuta, podjechał skład, który już wcześniej zapowiedział metaliczny pomruk. Sarah wsiadła do jednego ze środkowych wagonów.

Stała aż do stacji przy Czterdziestej Drugiej Ulicy. Potem zwolniło się miejsce przy oknie. Siedząca obok kobieta czytała *Masakrę na Manhattanie* Stanleya Holdera. Dostrzegając

zaciekawione spojrzenie, wesoło mrugnęła do niej okiem. Sarah uśmiechnęła się i odwróciła głowę.

Ponieważ wciąż miała wrażenie, że jest śledzona, wodziła wzrokiem po twarzach i dłoniach otaczających ją osób. I tym razem nie dostrzegła niczego niepokojącego, postanowiła jednak zachować czujność.

Pomiędzy ulicami Dwudziestą Trzecią a Czternastą pociąg gwałtownie zahamował, światła przygasły na krótką chwilę. Zatrzymali się w tunelu.

Sąsiadka Sarah oderwała się od książki i zdezorientowana wyjrzała przez okno w ciemności. Już miała wrócić do lektury, kiedy otworzyły się drzwi. Czterech mężczyzn w kominiarkach, z bronią maszynową w rękach, wbiegło do wagonu. Pasażerowie zaczęli krzyczeć.

— Zamknąć się! — wrzasnął jeden z napastników, grożąc bronią. — Wszystko będzie dobrze, jeżeli się zamkniecie, jasne? To nie jest napad. Powtarzam, to nie napad. Nie chcemy nikogo zabić ani okraść, jasne?

Kiedy to mówił, jeden z jego kumpi podszedł do Sarah.

— Proszę pójść z nami — powiedział.

Zdumiona tym „proszę”, usłuchała i po chwili znalazła się na torach.

— Tędy — powiedział mężczyzna, który wysiadł wraz z nią.

Szli wzdłuż pociągu aż do ostatniego wagonu.

Piąty mężczyzna czekał na końcu składu. Czarnowłosa, o azjatyckich rysach, miał nieco poniżej metra siedemdziesięciu pięciu wzrostu. Był dość przystojny. Sarah natychmiast domyśliła się, że to 10-13.

— Przyszedłem opowiedzieć pani tę historyjkę — powiedział głosem, z którego wyczierała siła.

— Tę o szczurze i kanałach — przypomniała sobie Sarah.

— Tak jak obiecałem, kiedy rozmawialiśmy przez telefon. Zaczynam. Pewnego dnia niejaki Big Joe zszedł do kanałów w dzielnicy Hunts Point. Big Joe, Sarah, był czarny, a ratusz płacił mu za to, żeby czyścił ścieki dokładniej, niż mył własny sracz. Dzieciaki z okolicy wiedziały, że bił żonę przy każdej okazji, nawet kiedy była w ciąży z nim albo z innym. Nie przepadał za swoją żoną, nie znosił tej dzielnicy, i tyle. Może sobie pani wyobrazić, że facet zrobił się ponury. Jedynym miejscem na ziemi, gdzie było mu dobrze, były te podziemne kanały. Żona nie mogła mu tam gderać, a biali, którzy wydawali mu polecenia, też tam nie schodzili i nie zawracali mu głowy.

Kanały to była nie tylko jego kryjówka, to był jego prawdziwy dom. Pewnego dnia zszedł tam i na nieszczęście spotkał na swojej drodze starego, ledwie powłóczącego łapami szczura.

Raz-dwa złapał szczura, a ten zaczął piszczeć w jego wielkich łapach. Słyszała pani kiedyś pisk szczura, Sarah? — 10-13 zamilkł na chwilę, a potem podjął: — Nasz Big Joe nie lubił, kiedy szczury włóczyły się po jego kanałach, a ponieważ miał dużo czasu, zaczął się bawić starym szczurem. Kolejno łamał mu łapy, potem chwycił go za ogon i tłukł nim o ściany.

Smutny uśmiech pojawił się na twarzy 10-13.

— Myślę sobie, że Big Joe powinien był okazać więcej przychylności temu szczurowi. W końcu on też był kanalarzem. To był również jego dom. Miał prawo do odrobiny miejsca i odrobiny szacunku. Był już starym szczurem. Ale nasz Big Joe wolał zachować się jak ci biali z góry, którzy z powierzchni trzymali go za ogon i kazali mu lizać mury. Na swoje nieszczęście Big Joe nie był z tym szczurem sam na sam.

— Bo zjawiał się tam także pan!

— Cóż za przenikliwość, Sarah! — zawołał 10-13. — Zapomniałem, że rozmawiam z dziennikarką.

— Co pan powiedział kanalarzowi?

— Nic.

— Naprawdę?

— Nie warto było już nic mówić, Sarah. Wszystko się stało. Big Joe pokazał, ile wart jest człowiek, każdy człowiek. Nędzny kłębek podłości. Wpakowałem cały magazynek w gębę tego obłąkańca. A potem wytarłem broń i usiadłem przy zwłokach. Głaskałem zdychającego szczura, mówiłem do niego. Leżał na boku i już nie pisał. Zostałem przy nim do końca. Towarzyszyłem mu w drodze, którą musiał przejść. Było mi go żal. Niech to się tak skończy. Pod nogami miałem błotnistą kałużę, zapatrzyłem się w nią, odkryłem barwy świata ludzi, a także coś innego. Ból zniknął, smutek zniknął, szczur zdechł, Big Joe nie żył, a ja już nie istniałem. Wszystko stało się spokojnym bezkresem, wiecznym śniegiem po horyzont.

— Satori mnichów zen. I ja chciałabym je kiedyś poznać, ale, na litość boską, nie w kanałach!

— Wielki myśliciel napisał: „Mrok świata nigdy nie dosięga światłości bytu”. Ostatnio te słowa wydają mi się wyjątkowo trafne.

— I w duchu dążenia do świętości postanowił pan zostać bandytą?

— Sarah, w dziele Stworzenia człowiek to o jedno zwierzę za dużo. Uczestniczę w wielkiej czystce, szerzę Potop, używając narkotyków i broni. Kiedyś mi pani podziękuje. Liczy się tylko jedno: czy na pokładzie Arki znajdzie się miejsce dla Sarah Widar?

— Prawdę mówiąc, nie lubię pływania.

— Jeżeli wszystko ułożone jest w pary i przeciwieństwa, to obok świętego znajdzie się najgorszy łotr i zapewniam, że potrafią się doskonale porozumieć. Wtedy naprawdę jagnię

spać będzie u boku wilka. To nie będzie zwyczajna koegzystencja, ale rzeczywista fuzja. — Zamilkł na chwilę. — Udało się wam odszyfrować wiadomość, którą otrzymał Skoll?

— Zawsze jest pan tak dobrze poinformowany?

— Na Ścieżkach Zła aż huczy od pogłosek i nowin, trzeba tylko uważnie nadstawiać ucha. Co pani odkryła?

Opowiedziała mu wszystko, czując, że byłaby nieojjalna, gdyby ukryła cokolwiek przed człowiekiem, który dwukrotnie uratował jej życie.

— To dla mnie nic nowego — pokiwał głową, trochę rozczarowany tym, co usłyszał.

— Wciąż te Ścieżki Zła?

— Powiedzmy raczej, że tym razem to głos Rona Flinta.

— Wiedział pan, że Ron Flint był jednym z ich *tarhq-sagogh*, prawda? I dlatego kazał go pan uprowadzić.

— Kiedy gram, Sarah, staram się przewidzieć kilka ruchów z góry.

Sarah jak zwykle nie siliła się na uprzejmości ani drobne kłamstwa.

— To pan ukraść *Demony*. To znaczy, częściowo?

— Tak, tylko częściowo. Powiedzmy, że dwaj ludzie, których wysłałem do rezydencji, zdołali dotrzeć do obrazu, ale z nim nie wyszli. Jak się pani domyśla, Walter Skoll najprawdopodobniej się nami posłużył.

— Ale w takim razie...

— Gdzie jest obraz? Dobre pytanie. Przypuszczam, że Skoll go ukrył i już sprzedał na czarnym rynku, przedtem odbierając odszkodowanie. Pozwolił, żeby moi ludzie zabili służbę, wyręczając go w tym, nie był jednak aż tak szlachetny, żeby dać im *Demony*. W dodatku jednego z tych ludzi straciłem, drugi zdołał uciec, zanim spotkało go coś naprawdę złego.

— Czyżby Skoll wyłudził odszkodowanie? Ale po co? Jest wystarczająco bogaty, żeby uniknąć takich kombinacji.

— I za bogaty, żeby jego kontami nie interesował się IRS *. Poza tym pieniądze ze sprzedaży obrazu mogą zostać przeznaczone na cele... powiedzmy, mniej szczytne niż fundacja.

* Amerykański odpowiednik kontroli skarbowej.

— Jak opłacanie zbirów. I *tarhq-sagogh*.

— Wysoce prawdopodobne. Oczywiście, musi mieć inne źródła dochodu, ale nie udało mi się ich ustalić. Operacja Demony wciąż kryje wiele tajemnic, nawet dla mnie.

— Czego się pan dowiedział od Rona Flinta?

— Powiedział nam o terminalu naftowym w Jersey City. Wczoraj tuż przed północą przyplłynął tam generał Fenryder. Moi ludzie i ja spóźniliśmy się kilka minut. Ciężarówka zabrała ich z pokładu, jego i jednego z Wielkich Wilków, kiedy tylko tankowiec zawinął do portu.

— Generał Fenryder tu jest?

— Przebywa w rezydencji fundacji, na wzgórzach Harlemu.

— Skoro tu jest, to ofiara Marcha odbędzie się w najbliższym czasie.

— Trafny wiosek, Sarah. Ponieważ mam dziś dzień dobroci, podam pani jeszcze jedną informację. Życie Marvinina Marcha stanie się głównym punktem programu wernisażu, i to już jutro wieczorem.

— Ofiara podczas wernisażu?

— Tak, i to będzie rzeź, jaką Wilki lubią najbardziej. Czy senator wspomniał pani o swoich problemach rodzinnych?

— Pewnie ma pan na myśli jego syna, Eliota? Tak, mówił mi, że Eliot należy do sekty. — Sarah zamilkła, bo nagle dotarło

do niej, dlaczego 10-13 wspomniał o synalku Marcha. — Chwileczkę, chyba nie chce mi pan powiedzieć, że...?

10-13 uśmiechnął się, przerywając jej gestem ręki.

— Eliot March ubiega się o miejsce wśród Wilków i wszystko wskazuje, że jutro wieczorem je otrzyma. Sarah, zna pani ich rytuał inicjacji. Zadźgaj ojca i matkę, a przystaniesz do nas. A to w dodatku jest rozbita rodzina. Senator March nic mnie nie obchodzi, nie będę opłakiwał jego śmierci. Podąłem pani tę informację z dwóch powodów. Po pierwsze, dlatego że pobiegnie go pani uprzedzić, a to może mi pomóc.

— Czyli ma to być pocziwy, stary kij w mrowisku.

— Właśnie. Wilki dowiedzą się w ten sposób, że ktoś uprzedza ich posunięcia. Chcę, żeby stracili trochę pewności siebie.

— A druga przyczyna?

— To pani, Sarah. Proszę jutro wieczorem trzymać się z dala od fundacji i nie iść na wernisaż, zgoda? A całą tę inscenizację — dodał 10-13, wskazując stojący na torach pociąg — proszę potraktować jako zuchwałą demonstrację siły.

— A dodatkowo jako wiadomość dla senatora — powiedziała w zamyśleniu.

— Tak, i dla federalnych. Niech w końcu zrozumieją, że nie żartuję i że byłoby szaleństwem stawać między generałem Fenyderem a mną, kiedy będziemy załatwiali swoje porachunki. Nie cofnę się przed niczym i nie będę liczył trupów.

Marvin March ponownie rusza do walki

Senator uznał, że ostrożniej będzie spotkać się z nimi poza biurem, i ustalił z Sarah czas i miejsce: Gramercy Park, godzina siedemnasta.

Na miejscu dzielnie zniósł cios, gdy Sarah przekazała mu informacje zebrane tego dnia.

— Eliot miałyby mnie złożyć w ofierze? — powtarzał w osłupieniu. — Mój rodzony syn!

Siedzieli na ławce w centrum parku przy odlanym w brązie pomniku Edwina Bootha. Senator miał na łysej głowie kapełusz, ubrany był w ciepły płaszcz i gustowny, kaszmirowy szalik.

Wydawało się, że targają nim gniew i niedowierzanie — dwa sposoby na uporanie się ze wstrząsem.

— Według tego dziesięć-trzydzieści — mruknął, próbując zapanować nad nerwami — Potrójna Kreska jest uzależniona od Wilków Fenrydera?

— Chyba że to osobista inicjatywa pańskiego syna — wtrącił Tim, który siedział obok Sarah.

Po odwiezieniu Jodie, jej matki i wuja Todda do chaty doktora Kyle'a w Massachusetts wrócił do Nowego Jorku i wpadł po Sarah. Kiedy dotarli do parku, brama była już zamknięta. Senator, który czekał wewnątrz, otworzył ją własnym kluczem, jako mieszkaniec okolicy. Starannie za nimi zamknął, a potem poszli razem w głąb słabo oświetlonego parku, w którym nie ustawiono latarni poza tymi przy obrzeżu ulicy.

March zwrócił się do Tima i zapytał, wyraźnie poruszony.

— Czy to... możliwe? To znaczy, że...

— Taką inicjację przechodzą rekruci do grona Wilków — wyjaśnił Tim.

— Każą im zabić ojca i matkę?

— Nie pomijając braci, sióstr i dzieci, jeśli ktoś je ma — odpowiedziała Sarah.

— Wszelkie więzy krwi mają zostać zerwane i utopione we krwi — dodał Tim. — Na tym polega rytuał Wilków.

Przez wysoką, kutą w żelazie bramę ogrodu mogli obserwować ruch na Gramercy Park South i fasadę Players Club, klubu dla aktorów, do którego należeli między innymi Frank Sinatra i Richard Gere.

Senator szarpał palcami wargę.

— Mniejsza o to, że grożą mi śmiercią. W moim wieku o śmierci myśli się każdego dnia. Nie boję się jej. Ale grozić mojej młodej żonie, to...

— Pańskiej żony nic z Eliotem nie wiąże — przerwała mu Sarah, żeby rozwiać jego obawy.

— Tak, nie jest jego matką. Ale Dolores nosi moje dziecko. Synka, który ma się urodzić pod koniec kwietnia.

— Cholera! — mruknęła Sarah, zaraz jednak dodała: — Chciałam powiedzieć, gratuluje, panie senatorze.

— Eliot będzie miał przyrodniego brata? A czy o tym wie? — zapytał Tim.

— Powiedziałem mu podczas naszej ostatniej utarczki telefonicznej jakieś dwa czy trzy miesiące temu — odparł March.

Potem uderzył się pięścią w udo.

— Kurwa! — krzyknął — zmiążdżę tych cholernych łajdaków, te Wilki! Jak pani mówiłem, zamierzałem podać się do dymisji i wycofać z prac komisji senackiej, żeby chronić żonę. Ale oni najwyraźniej chcą zamordować nas obydwójce bez względu na to, co zrobię. W takim razie sprawię, że pożałują operacji Demony, możecie mi zaufać.

— Panie senatorze — uspokajała Sarah — pan i pańska małżonka musicie mieć ochronę policyjną. I oczywiście pod żadnym pozorem nie może się pan pojawić na jutrzejszym wernisżu.

— Myli się pani. Proszę się zastanowić. Teraz mamy nad nimi zdecydowaną przewagę. Znamy ich plan, więc możemy poczynić odpowiednie kroki.

— Co pan ma na myśli, mówiąc o odpowiednich krokach? — zapytał Tim, aby się upewnić, że nadają na tych samych falach.

Marvin March wstał i zaczął krążyć przed nimi jak molos po klatce.

Znowu obudził się w nim pitbull, Sarah nie miała co do tego wątpliwości i poczuła niemal dziecięcą radość, którą najchętniej okazałaby, klaszcząc w dłonie.

— Panie Modin, czy Jodie Stevenson i jej matka są bezpieczne w tej chacie, do której je pan zawiózł?

Tim skinął głową.

— A na tym doktorze Kyle'u można polegać?

— To porządny człowiek — odparł Tim.

— Kto oprócz nas zna ten adres?

— Jeszcze Forrest — powiedziała Sarah.

— Jak na mój gust, to o wiele za dużo. Chcę, żeby trzymali się państwo teraz z dala od fundacji. I żebyście byli o wiele bardziej dyskretni i ostrożni niż dotąd. Chcę też, żebyście pozwolili nam zrobić to, co mamy do zrobienia. Mówię o mnie i o służbach federalnych. Moi drodzy, ta sztuka zbliża się do rozwiązania akcji. Jutrzejszy, piąty akt, nie jest dla amatorów. Tam nie będzie miejsca na żaden błąd. Obiecuję, że będę was informował o wszystkim na bieżąco. Możecie do mnie dzwonić o każdej porze dnia i nocy. To mój prywatny numer.

Wręczył im po wizytówce.

— Co pan zamierza? — zapytała Sarah, odrywając oczy od mapy. — Proszę mi nie mówić, że chce pan iść na wernisaż.

— Owszem, panno Widar. Jeżeli mam dopaść generała Fenydera, to muszę go zwabić do fundacji. A przyjdzie tam wyłącznie, żeby być świadkiem tego, jak mój syn składa mnie w ofierze, sama mi pani o tym powiedziała. Dlatego muszę do jutra grać rolę ofiary.

— Panie senatorze — nie poddawała się — wiemy przecież, że on przebywa w rezydencji. Mógłby pan po prostu kazać go tam aresztować, choćby zaraz, a nie czekać do jutrzejszego wieczoru.

— Zapomina pani, że nie mamy żadnych dowodów przeciwko niemu i jego Wilkom. Powtarzam, że jedynym sposobem usidlenia go jest schwytanie na gorącym uczynku jutro wieczorem podczas wernisażu.

Sarah zmrużyła oczy.

— Chce pan, żeby wpadli we własne sidła? To bardzo ryzykowny chwyt teatralny.

— Ryzyko jest duże, ale to może się udać — pokiwał głową Tim. — W końcu Wilki nie wiedzą, że odkryliśmy ich plan.

— I dlatego proszę, abyście nie wspominali o naszym zamiarze, nawet najbliższym przyjaciółom. Im mniej wtajemniczonych, tym mniejsze ryzyko, że powtórzy się to, co spotkało matkę waszej przyjaciółki w szpitalu w Stamford, i to niewątpliwe w jeszcze straszliwszej formie. Ale już najwyższy czas, żeby agencji FBI przygotowali sobie smokingi na jutrzejszy występ.

Rozmowa o naturze

Dziennikarka „New York Timesa” przyszła pierwsza do sali 540 Park, gdzie zarezerwowała stolik dla dwóch osób. Restauracja hotelu Regency w Upper East Side była jedną z najpopularniejszych w Nowym Jorku. Biznesmeni, doradcy do spraw strategii, postaci znane z mediów, a także wpływowi lobbyści i wszechobecni politycy, uganiający się za funduszami na kampanię, spotykali się tu przy każdym posiłku, od modnego *power breakfast* po kolację.

Jak większość kolegów Suzanne Maxwell dobrze знаła to miejsce. Zwracała się po imieniu do co najmniej trzech kelnerów ubranych w nieskazitelnie białe koszule i czarne kamizelki, uśmiechniętych i niezmordowanych w pracy. Z jednym z nich nawet kiedyś się przespała, ponieważ jednak nie była zadowolona z usługi, nie zamówiła jej więcej, ale z chłopakiem nadal utrzymywała serdeczne stosunki. Właściwie nie było tygodnia, żeby nie pojawiła się w 540 Park. Wczoraj, w tej samej sali, jadła na śniadanie pyszny omlet za siedemnaście dolarów w towarzystwie Edgara Prospero, gubernatora stanu Nowy Jork, oraz Gregory'ego Oldmanna, jednego z senatorów zasiadających w komisji śledczej do sprawy sekt, której przewodniczył nieprzekupny Marvin March.

Przechodząc przez salę do swojego stolika, zauważyła Oldmanna przy jednym z wysokich luster, które sąsiadowały z oknami weneckimi. Tym razem siedział obok dyrektora generalnego firmy Smith & Wesson, którego rozpoznała bez trudu. Czyż nie płacili jej za to, żeby znała na pamięć nowojorskie *Who's Who*?

Senator Gregory Oldmann skinął jej ręką, gdy ich spojrzenia się spotkały, jednak nie zaproponował, żeby się do nich przysiadła. Był zbyt zajęty przedstawianiem dyrektorowi generalnemu pomysłu, który zaserwował wczoraj gubernatorowi Prospero, dotyczącego konieczności zaostrzenia przepisów prawnych odnoszących się do grup okultystycznych (które nazywał „diabelskimi kanałiami”).

Usiadła i zamówiła *Screwdrivera* na czas oczekiwania na Michaela Wellinga, którego portret chciała przedstawić w czwartkowej kronice.

Pomysł tego spotkania podsunął jej, może nawet sobie tego nie uświadamiając, Eric Welling, pośrednik handlu dziełami

sztuki i brat Michaela. Dwa miesiące temu spotkała Erica na wernisażu w PSI. Zaczął ją podrywać. Dobrze się złożyło, bo był w jej typie. Poszli do niego, do pięknego apartamentu przy Sześćdziesiątej Drugiej Ulicy Wschodniej, gdzie spędzili resztę nocy, wspólnie przeglądając *Kamasutrę*. Pomiędzy dwiema narzuconymi pozycjami zaczęli gawędzić o tym i owym i w pewnej chwili rozmowa zeszała na sprawy rodzinne. Suzanne była jedynaczką i nie narzekała. Eric miał brata.

— To skończony głupiec — szepnął jej do ucha, które podgryzał.

Tej nocy odniosła wrażenie, że bracia Wellingowie nienawidzili się z całego serca. Kiedyś byli sobie bliscy, ale potem Michael przeistoczył się w „cholernego ajatollaha ekologii” (cytat z Erica Wellinga) i ta „ideologiczna mutacja” fatalnie odbiła się na ich stosunkach.

— Ja też kocham naturę — powiedział Eric, liżąc sutki Suzanne. — Ale nie muszę zadręczać tym ludzi. Widzisz, mój szurnięty braciszek nie jest nawet oryginalny. Wszyscy kochają przyrodę — dodał po chwili, chcąc podkreślić, że jego brat jest praktycznie jak kran z letnią wodą.

— Ja nie kocham — rzuciła ostro Suzanne, nagle czymś zdenewrowana, i zapaliła papierosa.

Uniósł głowę znad jej piersi i spojrzał na nią w osłupieniu, jakby wylądował w łóżku z Marsjanką, której nie zdążył jeszcze poznać.

— Ty też ją kochasz, słonko, po prostu jeszcze o tym nie wiesz — oświadczył w końcu i znowu oddał na jej usługi język. — Wszyscy kochamy tę łajdaczącą się matkę naturę. Wszyscy.

Otóż nie, Suzanne nie kłamała. Ona nie lubiła natury. To była najświętsza prawda. Suzanne nienawidziła natury.

Warto zaznaczyć, że zachowała bardzo złe wspomnienia z krótkiego pobytu na wsi, do którego zmuszono ją w dzieciństwie, wcześniej tylko rozpieszczając. Rodzice wyjeżdżali na trzy tygodnie do Europy w podróż służbową i nie znaleźli lepszego rozwiązania, niż powierzyć małą Suzie, dwunastoletnie oczko w głowie, Ethanowi Cloydowi, „bratu mamy”, który miał farmę pod Binghamton w stanie Nowy Jork (Suzanne już jako dziecko nigdy nie nazywała go wujkiem, ale po prostu Ethaniem, kiedy była z nim, albo „bratem mamy” w rozmowach z innymi. Podobnie było z ciotką, do której zwracała się po imieniu albo nazywała „bratową mamy”, i z kuzynem Mattem, swoim rówieśnikiem, którego uważała za ostatniego ćwoka. Kiedy rozmawiała o nim z „tatusiem” i „mamusią”, mówiła „syn Cloydów”, a prawie nigdy „Matt” czy „mój kuzyn”).

A zatem w wieku dwunastu lat zmuszona była spędzić trzy długie tygodnie na farmie Cloydów. Binghamton dzieliło od Nowego Jorku zaledwie dwieście kilometrów, ale jej ten zakątek wydawał się bardziej zagubiony niż najgorsze pustkowia Montany.

Oblazły ją tam pchły, a co gorsza, w skórę wbił się jej kleszcz (Boże drogi!), którego znalazła wczepionego w swoją śliczną łydkę, kiedy łapczywie wysysał z niej krew. Na samo wspomnienie tego paskudztwa, które zżerało ją jak jakiś wampir, do dziś wstrząsało nią z odrazy i serce wyskakiwało jej z piersi.

Ale nie to było jej najgorszym przeżyciem na farmie Cloydów, o nie!

Najgorsze stało się pewnej nocy, kiedy obudziła ją nagła potrzeba. To była już trzecia noc w domu Cloydów i Suzie miała po dziurki w nosie życia na farmie. Przed kilkoma godzinami, wieczorem, rozmawiała przez telefon z rodzicami. Byli właśnie na lotnisku w Madrycie, czekali na samolot do Berlina, a ojciec mówił jej o tym, jakby powinna cieszyć się razem z nimi.

Ale Suzanne wybuchnęła płaczem. Nie chciała zostawać tu ani chwili dłużej, nie chciała mieszkać „u Cloydów”, w tym „chlewie”. Wtedy ojciec wyjaśnił jej kilka rzeczy, które powinny ją uspokoić. Po pierwsze, wciąż była i będzie (nawet w Madrycie, za Oceanem Atlantyckim) jego oczkiem w głowie, a on zrobi wszystko, absolutnie wszystko, żeby była szczęśliwa, ale (bo było pewne ale) teraz jest w Madrycie. „Rozumiesz, maleńka? — zapytał ze smutkiem. — Jesteśmy w Madrycie”. Suzanne zrozumiała jednak, że ojcu wcale się nie chce po nią przyjechać, i chociaż prosił, żeby zawołała do telefonu Ethana Cloyda, ona, jego ukochana Suzie, jego najdroższy skarb i oczko w głowie, rzuciła słuchawką.

Jej pokój znajdował się na piętrze, w końcu długiego korytarza wyłożonego parkietem.

Spała sama, bo Cloydowie mieli (mimo wszystko) dość rozsądku, żeby nie pogłębiać jej rozpacz, umieszczając ją w jednym pokoju z synem.

Płacz ją zmęczył i wyczerpał jak baterię, której używano przez cały dzień, więc bez problemu padła w objęcia morfeusza (nadal wiernego).

Ale teraz było już po pierwszej nad ranem. Obudziła się. Całkiem poważnie zastanawiała się, czy zsiusiać się do łóżka, czy wstać w środku nocy, otworzyć drzwi pokoju i wyjść na skrzypiący parkiet na korytarzu, mrocznym i długim, żeby w końcu dotrzeć do ubicacji w tym wsiowym domu.

Ostatecznie zdecydowała się wybrać drugą możliwość i boso powędrowała do toalety. Cała farma była pogrążona we śnie. W korytarzu nie natknęła się ani na szczura, ani na żadnego dzieciocjada. Może dlatego, że to najgorsze, co miało ją spotkać w domu Cloydów, czyhało w jej pokoju, pod łóżkiem. Czekало, aż Suzanne się położy, wtuli loki w poduszkę i odetchnie z ulgą, żeby dać o sobie znać.

Skrobanie słychać było tuż obok, z parkietu pod łóżkiem. Suzanne otworzyła oczy i nasłuchiwała, wstrzymując oddech.

Znowu rozległo się ciche drapanie.

Serce Suzanne ścisnęło się ze strachu, dziewczynka zagryzała usta, a jej oczy stały się wielkie, jakby chciały pomóc uszom w wychwytywaniu szmerów, tworząc paraboliczną antenę. Ale w ciemnościach nic nie było widać, a dźwięki były tak samo ciche i tajemnicze.

Wiedziała, że powinna natychmiast zapalić światło i zajrzeć pod łóżko, robiąc przy tym minę, jaką widziała na twarzy mamy, gdy ta pytała ze znużeniem „co znowu?”. Tata wydawał się kulić, kiedy słyszał to marnie „co znowu?”, więc może gdyby Suzanne zajrzała pod łóżko i wypowiedziała to magiczne „co znowu?”, to coś dałoby jej spokój.

Strach, który nią owładnął, wzmógł się, kiedy coś spod łóżka zaczęło drapać już nie tylko parkiet, ale także materac, tuż pod pupą Suzanne, jakby chciało ją ugryźć przez jego grubą warstwę.

Usta dziewczynki zaokrągliły się do krzyku, ale nie krzyknęła. Domyślała się, że gdyby tylko pisnęła, to coś spod łóżka natychmiast dopadłoby ją i uciszyło, pożerając żywcem. A może, co gorsza, wciągnęłoby ją pod łóżko, do swojej nory, i Suzanne zniknęłaby bez śladu.

Wpadła w jeszcze większe przerażenie, kiedy sobie przypomniała, że przed chwilą wychodziła do ubikacji. Być może to coś siedziało już pod łóżkiem. Być może postawiła bosą stopę tuż obok tego. I może to coś już zmarszczyło pysk, szczerząc ostre kły, śliniąc się i grożąc...

Skuliła się pod kocem, wcisnęła głowę w ramiona i z szeroko otwartymi oczami modliła się do Boga dzieci, tego prawdziwego i sprawiedliwego, który nigdy nie pozwoliłby tacie wyjechać

do Madrytu, zostawiając na zabitej deskami farmie swoje oczko w głowie.

Suzanne nigdy się nie dowiedziała, czy sprawił to żar modlitwy dziecka, jednak drapanie ustało.

Wyteżając wszystkie zmysły, czekała, aż znowu je usłyszy. Ale pod łóżkiem panowała cisza i w końcu, jakimś cudem, Suzanne zdołała usnąć.

Rano, kiedy „bratowa mamy” przyszła zawołać ją na śniadanie, poprosiła, żeby na kolejne noce mogła przenieść się do pokoju Matta.

Tak, Eric Welling się mylił, nie wszyscy kochali naturę.

Dla Suzanne natura była połączeniem rozgoryczenia i strachu. Farma Cloydów, pchły, które raniły owłosioną skórę do krwi i powodowały palący ból, kleszcze, które wciskały się w ciało, sycąc się jego płynami, i w dodatku mogły zarazić jedyną z tych chorób kończących się paraliżem — to była natura w jej oczach.

No i jeszcze to coś spod łóżka, co drapało materac pod posładkami i nie dawało zmrużyć oka.

Mając dwanaście lat, po trzytygodniowym doświadczeniu (które nazywała swoim Wietnamem), Suzanne postanowiła, że do końca życia będzie nowojorczką.

Prowadząc wywiad z Michaelem Wellingiem, chciała zrozumieć nie to, dlaczego sama żywi nienawiść do wszystkiego, co przypomina skrawek łąki albo łąn zboża, ale to, jak on i jemu podobni mogą otaczać kultem ten sam skrawek łąki czy łąn zboża.

To tę patologię pragnęła zgłębić na przykładzie Michaela Wellinga.

Oczywiście, inna dziennikarka sama by go odwiedziła, żeby móc obserwować podmiot w jego środowisku i pewnie nawet włóczyłaby się po starych ruderach i alterglobalistycznych

demonstracjach. Ale Suzanne prowadziła kronikę, nie pisała reportażu wojennych. Pracę w terenie z przyjemnością zostawiała innym. Dlatego zaprosiła Michaela Wellinga do Regency. Na własne terytorium w sercu Manhattanu. Ta restauracja znajdowała się w bezpiecznej odległości od ruder i wszystkich farm świata.

Kelner (ale nie ten, z którym się przespała) podał jej *Screwdrivera*. Z uśmiechem na ustach zdjęła z obrzeża szklanki plasterek pomarańczy i wypila łyk wódki, która natychmiast przyniosła oczekiwany efekt.

Zanim umówiła się tu z Wellingiem, zadała sobie trud, by zebrać informacje na jego temat. Była przecież profesjonalistką. Z garstki zebranych dokumentów Suzanne Maxwell czuła się zdolna stworzyć monumentalną sylwetkę ostatniego prostaka z Montany. Oczywiście, pod warunkiem że nikt nie zażąda, aby udała się na miejsce i obserwowała życie ćwoka.

Jeśli chodzi o informacje, to uważała Internet za róg obfitości albo raczej za magiczny śmietnik. A jak to bywa ze śmietnikami, trzeba było śmiało zanurzać w nich ręce i dokładnie wiedzieć, czego się szuka. W dodatku ten śmietnik miał ogromną przewagę nad innymi — nie cuchnął i nie mogły cię w nim obejść wszy. Dziś rano trochę posurfowała i trafiła na wiele tekstów Wellinga z czasów jego buntu. Co ciekawego z nich zapamiętała? Przede wszystkim, że w wieku, kiedy człowiek powinien myśleć o wstąpieniu do Lions Club, Michael Welling odkrył w sobie ostrą technofobię. Cisnął do śmieci stanowisko, komputer i komórkę, i chyba całkiem dobrze zniósł te wyrzeczenia. „Każdy powinien mieć możliwość samospelnienia” — powtarzał w jednym ze swych pouczających pism. W tej fazie jego życia prymitywizm teoretyka anarchizmu Johna Zerzana skupił całą jego uwagę ze względu na wspaniałą radykalizm.

Zerzan nawoływał do tworzenia społeczności idealnej, opartej na wspólnotowym stylu życia. Jego zdaniem wymagało to destrukcji wszystkich technologii, jakie posiadał homo erectus przez minione tysiąclecia. To idealne społeczeństwo było nie przed nami, ale w tyle. Neolityczna technorewolucja zniszczyła po dwóch milionach lat pierwotną, żyjącą w harmonii społeczność. (Czytając takie zdania, Suzanne raz po raz wybuchała nerwowym śmiechem). Zerzan widział jedyną szansę ocalenia planety w pełnym, przemyślanym i definitywnym powrocie do epoki, w której technika nie istniała lub praktycznie nie istniała, czyli do paleolitu. Ponieważ postęp był nowym opium kapitalizmu, antidotum należało szukać w jego zaprzeczeniu, czyli gwałtownej regresji. Najprymitywniejsza przeszłość stanowiła naszą jedyną sensowną przyszłość.

Tego faceta należałoby zamknąć w domu wariatów, myślała Suzanne Maxwell, której ani się śniło rezygnować z najnowocześniejszego i najmodniejszego kalendarza elektronicznego.

Praca ma swoje wymogi! Mimo wszystko Suzanne nadal gromadziła wiedzę o tych stukniętych anarchoprymitywistach.

W ich pojęciu człowiek pierwotny, dwunożne stworzenie, które żyło z myślistwa i zbieractwa, symbolizował szczyt szczęścia, jakie mogła osiągnąć ludzkość. Tego typu idee zdaniem Suzanne dowodziły, że ci wariaci nigdy nie widzieli kleszcza na swoich pięknych, ludzkich łydkach.

Pytanie, które nasuwało się prymitywistom, dotyczyło określenia, jak daleko należy się cofnąć. Według części tych myślicieli rolnictwo stanowiło grzech pierworodny ludzkości, więc należało je za wszelką cenę unicestwić. Inni, jeszcze bardziej radykalni, uważali (a do nich grona należał wielki mistrz John Zerzan), że należy odrzucić mowę dyskursywną.

Suzanne dostrzegła jednak, że Zerzan, atakując mowę dyskursywną i nowe technologie, popadał w śmieszność. To wcale nie takie prymitywne, koteczku, drwiła, zanurzając głowę w magicznym śmietniku.

Tak czy inaczej, Michael Welling dał się otumanić tymi bajkami i wypisywał w anarchistycznych gazetach hymny pochwalne ku czci Johna Zerzana.

Jednak dość szybko pojawiły się różnice zdań między nim a Zerzanem. Kwestią sporną stała się na przykład obecność myśliwych w nowej społeczności. Welling był przeciwnikiem polowań i wszelkich form drapieżnictwa. Z uporem twierdził, że polowanie rozbudza najniższe instynkty ludzkie — żądzę krwi, mord, ducha współzawodnictwa. Nakłaniał do wegetarianizmu, i to ścisłego. Suzanne aż zadrżała na myśl o pożegnaniu ze stekiem.

Michael zgadzał się z Zerzanem w sprawie mowy, oskarżał jednak mistrza o brak konsekwencji. Mowa jako artefakt była koniecznością w życiu grupy. Chcąc zniszczyć mowę, należało zniszczyć to, co dało jej początek, czyli życie we wspólnocie. Wszelkie jego formy — od pary po grupę. A nie starać się mu sprzyjać, jak utrzymywał Zerzan.

Zdaniem Michaela Wellinga powrót do małych społeczności zbieraczy-myśliwych nie wystarczał. Prawdziwe ocalenie mogli dać ludzkości samotni, samowystarczalni zbieracze, którzy nie mieli potrzeby kontaktowania się z innymi.

Jego ostatnim śladem w Internecie był list otwarty do Zerzana — ich ostateczne zerwanie. Suzanne zapamiętała przede wszystkim ten fragment: „W przeciwieństwie do Lenina, chce pan Sowietów bez elektryczności. Jednak Sowietci to już elektryczność. Socjalizacja człowieka pragnie postępu, dąży do coraz większego komfortu, coraz większego bezpieczeństwa.

To jej naturalna skłonność, wrodzone dążenie. Jeżeli chce pan zachować społeczność, to prędzej czy później znów obudzi się ten technofag-Lewiatan, jakim jest postęp”.

Michael Welling był może stuknięty, ale przynajmniej jego szaleństwo było spójne i konsekwentne.

W tym ostatnim tekście ujawnił decyzję o porzuceniu pracy i mieszkania, i o przenosinach z Chicago do Nowego Jorku, „miasta, które nie jest miastem”, bo chciał, by tam zaginał ślad po nim, jak niegdyś ślady świętych, którzy odeszli na pustynię.

Lecz Suzanne nie zgubiła jego śladu. Po nocy spędzonej z Erikiem zleciła stażystce z redakcji odnalezienie Michaela. Dwudziestoczteroletni stażysta, cudownie usłużny i pracowity, świeżo wyprodukowany w szkole dziennikarskiej w Pensylwanii, wytrwale włóczył się po wszystkich nowojorskich ruderach, aż w końcu znalazł „świętego z pustyni” w Morrisami, w południowej części Bronksu. Wspaniała adept sztuki dziennikarskiej zdołał nawet namówić obiekt na obiad z szefową w Regency i na rozmowę w cztery oczy.

I właśnie teraz czekała, aż wreszcie pojawi się Michael.

Popijając drinka, uśmiechnęła się do wysokiego mężczyzny o tlenionych włosach, który gapił się na nią, siedząc samotnie przy stoliku w głębi sali, za senatorem Oldmannem. Uniósł kieliszek wina, lekko pochylając głowę, i pił razem z nią. Suzanne zauważyła, że na prawej ręce ma doskonałej jakości czarną skórzaną rękawiczkę. Czyżby biedaczek przytrzasnął sobie rękę drzwiami swego rollsa, czy może podczas połowu w gronie bogatych przyjaciół ugryzł go rekin? Tak czy inaczej, facet wydawał się mieć coś wspólnego z Walterem Skollem, tajemniczym szefem Flow Corporation, którego udało jej się zobaczyć tylko raz przez dziesięć lat pracy w „New York Timesie” i bywania w 540 Park. Mimo to zapamiętała jego twarz na zawsze.

Skinieniem palca przywołała kelnera. Dowiedziała się od niego, że pan przy stoliku w końcu sali to William Hasty, od niedawna przebywający w Nowym Jorku i kierujący morską kompanią transportową, której główna siedziba znajdowała się w Norwegii, a filia ściśle współpracowała z amerykańską spółką naftową Flow Corporation. Kelner nie wiedział jednak, czy Hasty jest krewnym Skolla.

Uwagę dziennikarki odwrócił odgłos kroków — zobaczyła Michaela Wellinga, którego prowadził do jej stolika jeden z kelnerów. Z jego ładnej twarzy wyzierała niechęć i Suzanne zorientowała się, że o mało nie wystawił jej do wiatru. Ubrany w przybrudzone dzinsy, włożył mimo wszystko marynarkę i krawat, jeśli oczywiście nie wypożyczono mu tych części garderoby w recepcji.

Uśmiechnęła się słodko, witając temat swego artykułu do kroniki. Jak przystało na profesjonalistkę, zaczęła od pytań o starszego brata. Co u niego słyhać? Czy często się widują?

— Z Erikiem? Nie. To zwyczajny dureń — odparł, nie pozostawiając żadnych wątpliwości co do łączących ich relacji.

Nieźle się zaczynało...

Najzabawniejsze, że brat, pośrednik handlowy, używał bardzo podobnych słów, mówiąc o Michaelu w przerwie miłosnych igraszek z Suzanne, w pięknym mieszkaniu przy Upper East Side. (Facet miał niesamowite libido).

Nawet nie otwierając karty, zamówiła stek „przygotowany, jak lubię”. Michael, prawdziwy wegetarianin, wybrał sałatkę. Suzanne pomyślała, że odrobina mięsa by mu nie zaszkodziła. Chłopak nie wyglądał na kogoś, kto codziennie najada się do syta.

Czekając, aż zostaną obsłużeni, zaczęła zadawać mu pytania.

— Jaką szybką metodę ocalenia planety zaleciłby pan, będąc

na miejscu Bloomberga? — zapytała, splótłszy dłonie pod brodą i przymrużywszy oczy.

Michael zastanawiał się nad odpowiedzią. Był równie chudy, jak poważny i zatroskany.

— Otóż — odparł w końcu — zacząłbym od... od zakazu poruszania się samochodami z napędem na cztery koła. Albo... albo zlikwidowałabym stanowisko.

— Stanowisko? Ale jakie?

— Bloomberga. Stanowisko burmistrza.

— Nowy Jork miałby zostać bez burmistrza?

— Tak. — Uśmiechnął się ze smutkiem.

Suzanne wypila łyk koktajlu i podjęła:

— Czyżby w naszych dziejach Bloomberg i terenówka byli podłymi faszystami?

W tym momencie podeszli do stolika dwaj kelnerzy i pochylili się, by ich obsłużyć.

— Mark, ten stażysta, który się do pana zwrócił... — powiedziała po chwili, pobrzękując bransoletkami przy uniesieniu widelca. („Mark, ten cudownie usłużny chłopak z Pensylwanii”, dodałaby z chęcią, jednak powstrzymała się od tego). — ...powiedział mi, że zamierza pan opuścić Nowy Jork i przenieść się do... — o mało się nie zakrzuszyła, jednak dzielnie dołała: — do lasu.

Już sama myśl o tym przyprawiała ją o zawrót głowy. Nie mogła pojąć, że ktoś naprawdę zamieszkałby w lesie!

Michael nie od razu odpowiedział. Odwrócił się, wodząc oczyma za kelnerami w białych koszulach i kamizelkach, którzy krzatali się przy stolikach.

Czuł się bezradny, nieszczęśliwy, poniżony bardziej niż ci wykorzystywani służący. Przyszedł na to spotkanie przekonany, że będzie mógł wszystko wyjaśnić, że za pośrednictwem tej

dziennikarki wytłumaczy ludziom, że jest jeszcze czas, by odmienić życie, by odwrócić się plecami od cywilizacji śmierci i poniżenia. Pomylił się. Dziennikarka chciała zrobić z niego idiotę, wyczuł to, a potem w swojej kronice ośmieszyć go przed całym Nowym Jorkiem. Pomyślał, że powinien natychmiast wyjść, opuścić tę pełną dobrze urodzonych, wpływowych, „cywilizowanych” ludzi salę, uciec ile sił w nogach przed tą dziennikarką, która bawiła się nim jak podła dziewczynka lalką Barbie. Powtarzał sobie, że nie powinien był tu przychodzić i że teraz płaci za to, dając się poniżyć. Powtarzał sobie, że powinien opuścić Nowy Jork i nigdy więcej nie wracać do tego miasta. Tak, powinien natychmiast wyjechać, jeżeli chce przeżyć tę hańbę.

A jednak Michael Welling nadal siedział przy stoliku.

Topiąc żal w rozmyślaniach, zaczął mówić o Thoreau, człowieku z lasu, idealnym filozofie stanu naturalnego, którego przykład pragnął naśladować, odkrywając własny las Walden.

Suzanne chciała go zapytać, czy zdaje sobie sprawę, co może zrobić człowiekowi kleszcz (gdyby nie wiedział, gotowa była podać mu adres farmy Cloydów pod Binghamton), gdy zobaczyła, że William Hasty wstaje od stolika i rusza w stronę wyjścia. Jakby czując na sobie spojrzenie Suzanne, już w progu obejrzał się i mrugnął do niej okiem. W innych okolicznościach dziennikarce by to pochlebiało. Wiedziała, że podoba się wielu mężczyznom, a Hasty zdawał się należeć do ich grona. Jednak to mrugnięcie oka nie tylko nie miało w sobie odrobiny erotyzmu, ale i niczego ludzkiego.

Jego usta ułożyły się w zimny uśmiezek drapieżcy, a oczy błysnęły czerwonym, okrutnym blaskiem, jak ślepia wściekłego zwierzęcia, które czyha na ofiarę, ukrytą w poszyciu lasu.

Jego gałki oczne nagle wypełniły się krwią, która w

przeciwieństwie do łez, rozlewała się od kącików przy nozdrzach w stronę skroni. To było jak mikrotsunami hemoglobiny. Od łez ta fala różniła się także tym, że nie spływała po policzkach, ale do wnętrza oka, jak cofająca się fala. Zupełnie jakby Hasty miał trzecią, poprzeczną powiekę, jak jakiś gad. Tyle że to była powieka z krwi.

Suzanne broniła się przed wstrząsem, poddając się rozumowemu wyjaśnieniu, że padła ofiarą halucynacji, jak dwadzieścia lat temu, kiedy miała złudzenia słuchowe i dotykowe. Po prostu wypila za dużo wódki. A teraz uroiła sobie, że poważni biznesmeni puszczają do niej oko, w dodatku — jak jacyś ludożercy.

Zacisnęła powieki i potrząsnęła głową, drżąc. Gdy znów spojrzała w stronę drzwi, Williama Hasty'ego już tam nie było.

Coś musnęło jej prawe kolano pod stołem. Odruchowo przesunęła ręką po opadającym przed nią obrusie i potarła łydkę przez wełniane rajstopy.

— Widział pan tego człowieka, który przed chwilą wyszedł?
— zapytała Michaela, żeby się upewnić, że to było tylko przywidzenie.

Pokręcił głową.

— Przez chwilę wydawało mi się, że on...

Zamilkła, uznając, że tak będzie lepiej.

I znowu coś dotknęło jej nogi. Było śliskie i zimne.

Teraz wodziła palcami po obrusie i obmacywała rajstopy.

Przy stoliku senatora Oldmanna dyrektor generalny Smith & Wesson także się pochylił, patrząc na obrus, który dotykał jego kolan.

Goście przy sąsiednich stolikach również się kręcili. Ludzie pocierali kolana jak przed chwilą Suzanne. I jak ona podkulali nogi, wsuwając je pod krzesła. Epidemia muśnięć zdawała się panować już w całym lokalu.

W oczach Suzanne świat rozbłysł nagle jak kryształ. Czas się zatrzymał. Wszystko się zagęściło, wyostrzyło, nabrało wagi.

Zobaczyła, że dyrektor generalny firmy Smith & Wesson pochyla się jeszcze bardziej i wyciąga rękę, żeby chwycić róg obrusa. Chciał go unieść, żeby zajrzeć pod stół.

Niech pan nie patrzy, chciała go przestrzec, ale jak wtedy na farmie Cloydów, tej nocy, kiedy coś drapało pod jej łóżkiem, nie mogła wydobyć z siebie głosu.

Ta rzecz była nie tylko pod stolikiem senatora. Czaiła się pod wszystkimi stolikami.

Jest także pod twoim, przekonywał cichy głos dwunastoletniej dziewczynki. Jeżeli podniesiesz obrus, kochana Suzie, skoczy ci do gardła. Lepiej tam nie zaglądamy, dobrze? Póki tego nie widzisz, ono nie istnieje.

Zakaz poruszania się i patrzenia. Za to modlitwa, tak, modlitwa do Boga dzieci, prawdziwego, sprawiedliwego, który zawsze otacza je opieką, gdy nocą boją się, leżąc samotnie w swoim pokoju. Ten Bóg uciszył owo coś pod łóżkiem, gdy miała dwanaście lat i ochroni ją teraz, kiedy (och, tak, teraz, Panie miłosierny małych, przerażonych dzieci, teraz, błagam) rzecz pojawiła się pod stolikiem, tu, w nowojorskiej restauracji.

Suzanne nie ruszała więc nogami, wsunęła je tylko możliwie najdalej pod krzesło, kiedy jeszcze mogła. Ale kolana wciąż dotykały obrusu przed nią. Powinna przesunąć krzesło, żeby się od niego oddalić, ale pamiętała, że nie wolno jej zmrużyć powieki. Nie ruszać się i przede wszystkim nie patrzeć.

Póki się nie patrzy, to nie istnieje, powtarzała sobie.

I natychmiast zrozumiała, że to William Hasty, z całą pewnością on, wsadził to coś pod stolik. Facet, którego oczy tak nagle nabiegły krwią, gdy na nią patrzył, był zdolny do wszystkiego,

prawda? W dodatku, jakby specjalnie, opuścił restaurację, zanim to się stało.

Och, Suzie, ten potworny facet zmaterializował twój dziecięcy strach. Obrzucił cię spojrzeniem wielkiego, złego wilka tuż przed wyjściem i w ten sposób czytał w tobie jak w otwartej książce. Zajrzał do dwunastego rozdziału twojego dzieciństwa i znalazł urywek dotyczący tego przekłętego pobytu u Cloydów. Rodzaj superzłego oka — tym był William Hasty! On zajrzał pod łóżko i zobaczył to coś od Cloydów. I jednym spojrzeniem ściągnął to tu, do Regency na Manhattanie. Dla ciebie, kochana Suzie...

Przy stoliku senatora dyrektor generalny uniósł rąbek tkaniny i mocniej pochylił głowę. To, co zobaczył, co ukrywało się pod obrusem, patrzyło na niego małymi, czarnymi ślepiami, z których wyzierał obłęd, i głucho warczało.

Dyrektor generalny wytrzeszczył oczy. Oślupiał.

„To” miało w sobie coś z kojota i coś z mureny. Na łbie o lśniącej skórze i deseniu jak u węża włochate uszy sterczały, odchylone do tyłu, jakby na znak gotowości do ataku, a pysk z wyszczerzonymi kłami drżał w zabójczym szale. Między uszami a pyskiem drapieznika dwoje ciemnych, obłąkanych oczu wpatrywało się w niego. Te dwie czarne dziury marzyły, by wchłonąć wszystkie gwiazdy. Dwie studnie pragnęły pogrzebać całe życie.

Kiedy dyrektor zamrugał, stwór wyskoczył, żeby chwycić go za gardło, i błyskawicznie wciągnął pod stolik.

Trysnęła krew.

Senator Oldmann poderwał się z miejsca, jednak nie dość szybko, żeby uniknąć takiego samego losu. Coś spod stołu ugryzło go w łydki i wciągnęło pod obrus. Upadając, mężczyzna rozciągnął się całym torsem na blacie, chwycił go oburącz.

Jego krawat od Hermesa zanurzył się w zupie z homara. Coś ciągnęło go z uporem. Każde szarpnięcie za nogi powodowało, że senator tracił skrawek stołu i coraz bardziej się zsuwał.

Krew przesączała obrus i dół jego marynarki. W końcu jego palce rozluźniły uścisk i coś całkowicie wciągnęło go pod stolik.

W tej samej chwili przy wszystkich stolikach dokonana się rzeź. Goście — mężczyźni i kobiety — a także kelnerzy byli chwytni za nogi, ręce, gardło i znikali pod stolikami. Dzika, żarłoczna, okrutna siła rozszarpała wszystko, co żywe w sali.

Suzanne Maxwell, która wciąż się nie ruszała i nawet nie próbowała zerknąć pod stolik, także została schwytana przez to coś. Najpierw spadła z krzesła na pośladki, uderzając plecami o jego nogi. Zaczęła znikać pod stolikiem i w osłupieniu patrzyła, jak obrus przesiąka jej krwią, która tryskała strumieniami. Coś obcięło jej nogi. Zaczęła wyć, bardziej z przerażenia niż z bólu, bo paraliżujący strach działał jak znieczulenie. Oszołomiona, zaszokowana (słodki Jezu, coś WYRWAŁO jej nogi, kiedy jadła obiad na Manhattanie, w wielkim mieście, w odległości dwustu kilometrów od farmy Cloydów) zdołała mimo wszystko chwycić nogę stołu. Coś szarpało dołem jej ciała, z wściekłością gryzło nogi niczym molos kawał mięsa.

— Pomocy — błagała, drgając i mrugając wielkimi ze strachu oczyma. — Do diabła, pomocy!

Zobaczyła, że Michael Welling wstaje, by pośpieszyć jej na ratunek. Dlaczego to coś nie odgryzło nóg jemu, tylko jej? Dlaczego mógł jeszcze stać i chodzić? Dlaczego to coś go oszczędziło?

Chwycił ją za ramiona i pociągnął w tył. O mało nie zemdlała, widząc, co się stało z jej pięknymi nogami. Jej biodra wyglądały jak krwista masa, w której kipi posoka, były tylko ludzkim strzępem.

Ogarnięty paniką na widok tego kadłuba kobiety, Michael Welling puścił ją i odskoczył, pobladły, niezdolny nawet do krzyku.

Zszokowany umysł Suzanne wciąż zadawał sobie te same pytania: Dlaczego to coś nie zeżarło tamtego faceta, a rzuciło się na nią, dlaczego on wciąż stał i chodził? Cholera, czy to coś spod stołu zapomniało odgryźć mu nogi?

Pełznąc, Suzie próbowała oddalić się od stołu, co jej się udało. Wyglądała jak na pół rozgnieciony ślimak i znaczyła drogę krwią. Odpychając się łokciami, dowlokła się do drzwi, lawirowała między stolikami, pośród śmierci i zabójczego oblędu. Wokół słyszała krzyki przerażenia, wycie z bólu i warczenie rozjuszonych bestii, wszędzie lała się krew, ludzie konali w konwulsjach. To była apokalipsa.

Mijając ostatnie stoliki, Suzanne zobaczyła to coś czające się za obrusem i obserwujące ją. Odrażający łeb wyglądał przez tkaninę jak ohydna, gipsowa maska. Przed rozchylonym pyłkiem zakrwawiony obrus falował w rytm oddechu bestii. A obląkane oczy gapiły się na Suzanne.

O nie! Nie! Zostań pod stołem, prosiła. Boże, spraw, żeby to zostało pod stołem!

Jęcząc z przerażenia, czołgała się dalej. Raz po raz zerkała przez ramię ogarnięta paniką. Do wyjścia zostały jej może dwa metry. Nie chciała umierać.

Ale coś za nią zdecydowało inaczej i wyskoczyło spod obrusa.

DZIEŃ ÓSMY

Środa 17 grudnia
(Zaproszenie do *piekła*)

Dowiadujemy się, że prawda jest najbardziej niestrawną z potraw

Kiedy Sarah obudziła się o ósmej, Forrest stał zamyślony przy przeszklonej ścianie mieszkania, patrząc na Hudson.

Patrzył, ale nie widział parku przed domem ani trzech biegaczy, którzy w pochmurny ranek pojawili się w jaskrawych dresach i czapkach, z owczarkiem niemieckim — jedynym w tej grupce elementem niekłóącym się z dobrym smakiem. Nieco dalej sunął po rzece, we mgle, lodołamacz.

— Dobrze spałeś? — zapytała Sarah, podchodząc do Forresta.

— Niezbyt — odpowiedział. Przytulił ją do siebie.

— Wiesz, jak się czuję?

— Nie. — Potrząsnęła głową.

— Jak artysta, który zobaczy najwspanialszą wystawę w swojej karierze łądującą w kronikach kryminalnych wszystkich gazet.

Wyczuła szczyptę goryczy w jego głosie.

— Przynajmniej raz sztuka będzie użyteczna — powiedziała po chwili, starając się poprawić mu tym żarciem humor.

— A wiesz, co w tym wszystkim jest naprawdę śmieszne? Że gotów jestem iść o zakład, że ceny moich obrazów jeszcze wzrosną w najbliższych tygodniach. Sam talent to już za mało, rozumiesz? Ale trochę porządnej sensacji, jakaś afera kryminalna to doskonała reklama. Diabeł ciągle zbiera dywidendy, nawet kiedy jesteśmy przekonani, że postępujemy dobrze.

— Dziś wieczorem będzie po wszystkim. Dzięki twojej pomocy.

— Dziś wieczorem? — zapytał, zerkając na nią z ukosa.

— Tak, uwierz mi, dziś wieczorem.

Nie mogła i nie chciała powiedzieć nic więcej. Senator March nakazał zachowanie najwyższej dyskrecji. A poza tym Sarah nie chciała go bardziej niepokoić. Jak każdy wybitny twórca, ciężko pracował nad *Witrynami* i domyślała się, że nie marzy o tym, by wernisaż wspaniałej wystawy stał się policyjną zasadzką.

— A potem? — zapytał, unosząc brwi.

— Co „potem”?

— Pytałem, co będzie z nami, kiedy Fenryder i Wilki zostaną schwytani, jeżeli kiedyś do tego dojdzie?

— Och, jeśli chodzi o mnie, to zamierzam napisać o nich grubą książkę i zgarnąć Pulitzera.

— Miałem na myśli nas.

Sarah uśmiechnęła się.

— Wiem, że nas miałeś na myśli.

— Chciałabyś tu zostać, Sarah? Wiesz, poważnie zostawiam się nad kupnem tego mieszkania. Wydaje mi się, że jest — rozejrzył się wokół — całkiem niezłe. Sądziś, że moglibyśmy być tu szczęśliwi? Obiecaj, że się nad tym zastanowisz, dobrze?

— Czy to oświadczyły?

Roześmiali się oboje, a on wzruszył ramionami.

— Pójdę przygotować śniadanie — oznajmił.

W kuchni usłyszeli radiowe informacje o wczorajszej rzezi w mieście.

— Myślisz, że „oni” za tym stoją? — zapytał, trzymając w ręku grzanekę.

Pokiwała głową.

— Ale po co? — znowu zmarszczył brwi.

— Nie mam pojęcia. Prawdopodobnie to część ich cholernej operacji.

— Operacji Demony. Do diabła! Kiedy pomyślę, że obraz łączy mnie z tymi zbrodniami...

— Nie obwiniaj się, Forreście. Nie możesz odpowiadać za obłąd bogaczy, którzy kupują twoje płótna.

Wstała od stołu.

— Pójdę po gazety, żebyśmy mogli dowiedzieć się czegoś więcej. Wrócę za dwie, trzy minuty.

— W porządku, czekam. Sarah... Kocham cię.

Odniosła wrażenie, że nie mógł uwolnić się od niepokoju, i wychodząc, zastanawiała się, czy to tylko nastrój artysty na kilka godzin przed wernisażem, tu pogłębiony ze względu na dramatyczny kontekst wydarzeń, czy może dzieje się coś jeszcze, coś, co Forrest przed nią ukrywa.

W kiosku z gazetami kupiła „New York Timesa”, a także poranne wydanie „Daily News”. Właśnie zamierzała przejść przez ulicę, by wrócić do domu, kiedy ktoś ją zawołał.

— Panno Widar, zechce pani pójść ze mną? Senator March pragnie się z panią spotkać.

Odwróciła się i zobaczyła wysokiego Latynosa o ogolonej głowie. Widząc przewód biegnący od słuchawki w jego uchu

po kark, domyśliła się, że to jeden z goryli senatora. Jego uśmiech nie był ani przyjazny, ani wrogi. Ten mężczyzna był po prostu maszyną do pilnowania. A w razie potrzeby — także do zabijania. Zwyczajną, beznamiętną maszyną.

Poszła za nim do zaparkowanego przy Washington Street samochodu senatora i od razu zauważyła, jakim piętnem odcisnęły się ostatnie, trudne dni na twarzy Marvinina Marcha.

— Znowu mam smutne wiadomości — powiedział, zanim zdążyła zająć miejsce obok niego.

— Wiem — mruknęła, pokazując mu gazety. — Ma pan na myśli masakrę w Regency, prawda?

— Tak i nie. — Westchnął. — Co do wczorajszej tragedii, to mniej więcej wiemy już, co się stało. Personel hotelu, zarówno kuchni, jak holu głównego, nagle usłyszał potworne wycie z restauracji. Ludzie próbowali się tam dostać, ale bezskutecznie. Z niezrozumiałych przyczyn wszystkie drzwi zablokowano, więc nie można było wejść do środka, a nade wszystko wydość się na zewnątrz. Kiedy na miejscu pojawiła się policja, było już za późno. Drzwi nie stawiały oporu, a to, co funkcjonariusze zobaczyli wewnątrz, trudno opisać. Wszyscy, którzy w tym czasie pracowali albo jedli w sali 540 Park, zostali zmasakrowani, ich ciała zamieniły się w bezkształtną masę. Wszyscy, z jednym wyjątkiem: policja odnalazła niejakiego Michaela Wellinga pod oknem w stanie głębokiego szoku. Był zakrwawiony, ale nie odniósł nawet powierzchownych ran. Krew na ubraniu nie była jego. Policja ustaliła, że ten Welling to niebezpieczny anarchista z grupy Black Blocks. Wobec braku innych podejrzanych to jego posądza się obecnie o barbarzyńską zbrodnię. Nie muszę wyjaśniać, że moim zdaniem ten nieszczęsny chłopak nie ma nic wspólnego z rzezią.

— Dlaczego Wilki to zrobiły? Jak pan sądzi? —zapytała Sarah.

Znowu westchnął.

— Prawdziwym celem wczorajszej masakry był Gregory Oldmann. Inni zginęli tylko dlatego, że znaleźli się w nieodpowiednim miejscu w niewłaściwym czasie.

— Gregory Oldmann? Senator Gregory Oldmann?

— Mój bliski przyjaciel. Znaliśmy się od trzydziestu lat, darzyłem go pełnym zaufaniem. Greg pracował ze mną w komisji śledczej. Czy teraz pani rozumie?

— Operacja Demony miałyby posłużyć do realizacji dwóch celów, tak? Zrobić z pańskiego syna Wilka, a równocześnie zniszczyć komisję, eliminując jej najaktywniejszych członków.

— W przypadku wczorajszej masakry wszystko zdaje się wskazywać na działanie anarchisty z grupy Black Blocks. A o zabójstwo mnie, dziś wieczorem, oskarżona zostanie Potrójna Kreska „wielebnego” Gardnera. Z jednej strony lewicujący buntownik, z drugiej stara tradycja satanizmu.

— I w żadnej z tych spraw na Wilki Fenrydera nie padnie nawet cień podejrzenia.

— Trzeba przyznać, że to sprytne. Z przykrością stwierdzam, że to naprawdę potężna grupa. Potężniejsza, niż przypuszczałem, kiedy podjąłem tę krucjatę.

Zwracając zmęczone oczy na Sarah, powiedział z nutą żalu w głosie:

— Druga zła wiadomość dotyczy pani i jej przyjaciół.

Sarah była przygotowana na najgorsze. Wyczekując, patrzyła mu prosto w oczy.

— W waszej grupie jest szpieg — powiedział, nie owijając w bawełnę.

Oczy Sarah zasnuły się mgłą. Owszem, była gotowa wysłuchać wszystkiego, tego jednak zupełnie się nie spodziewała. Szpieg...

Informacja docierała do niej jak paraliżująca kurara rozchodzi się w krwiobiegu.

Twarze Forresta, Jodie i Tima przesuwały się jej przed oczyma.

Szpieg w ich gronie... Ta informacja bardzo dużo wyjaśniała. Przede wszystkim fakt, że tamtej nocy, kiedy szła za Walterem Skollem przez Central Park, on wiedział, że jest śledzony.

— Szpieg — szepnęła.

— Tak. I mamy podstawy sądzić, że to jeden z pani najbliższych przyjaciół.

Wiedziała, że musi zadać to decydujące pytanie, pytanie o tożsamość szpiega. Ale nie miała dość odwagi.

Chciałaby wysiąść z samochodu i iść przed siebie, błędząc po ulicach ogromnego miasta. Wypić martini i pomyśleć (albo zapomnieć?). Do diabła, miała taką ochotę na martini!

— Uzyskaliśmy tę wiadomość od naszego informatora u Wilków. Przypomina pani sobie, że już o nim wspomniałem. Nadal nie mogę, niestety, ujawnić nazwiska, bo naraziłbym go na jeszcze większe ryzyko, jednak dzięki jego działaniom wiemy, kto was zdradza i dla kogo pracuje ta wtyczka. Wydaje mi się, że to ostatnie pani nie zaskoczy.

Oczywiście, dla Fenrydera. Generał sterował nimi od samego początku. Tylko po co? Jednak te pytania schodziły na dalszy plan, pozostawało zasadnicze: Kto? Kto jest wtyczką?!

— Sarah, jest mi naprawdę bardzo przykro.

Stary senator po raz pierwszy zwrócił się do niej po imieniu, a ona była mu wdzięczna, że to zrobił. Znowu spojrzała mu w oczy.

— Kto? — zapytała.

W rzeczywistości знаła już odpowiedź i bała się tylko jej potwierdzenia.

Senator spojrział na ochroniarza, który siedział obok kierowcy. Wysoki Latynos sięgnął po leżącą na tablicy rozdzielczej kopertę i podał ją Sarah.

Wyciągnęła z niej dziesięć zdjęć Eliota Marcha, idącego ulicą w towarzystwie Forresta.

— Według FBI, które wykonało te fotografie, pan Magnus i mój syn spotkali się w Nowym Jorku. Eliot zaopatrywał pani przyjaciela w narkotyki. Nie wiemy, który z nich wpadł na pomysł wstąpienia do sekty Potrójna Kreska i pociągnął za sobą drugiego. Pani przyjaciel nigdy nie wspominał, że zna Eliota?

— Nie, nie — powiedziała cichutko.

Teraz zachowanie Forresta stawało się jasne. Nie tylko nerwowość, jaką wykazywał dziś rano. Sarah przypomniała sobie także, jak był zbulwersowany, kiedy po raz pierwszy wspominała o swoich kontaktach z Marvinem Marchem. Dlaczego już wtedy jej to nie zastanowiło?

Senator na moment odwrócił twarz, by nie wprawiać rozmówczyni w jeszcze większe zakłopotanie. Po chwili milczenia dodał:

— FBI podejrzewa pani przyjaciela o udział w okrutnym mordzie na Oscarze Wattsie. — Spoglądając znowu na Sarah, dostrzegł, że go nie rozumie. — Widzę, że i o nim nigdy nie wspominał. — Westchnął, pocierając ręką czoło. — Oscar Watts był właścicielem jednej z najbardziej renomowanych galerii sztuki w Nowym Jorku, przy Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy. To on jako pierwszy postawił na talent Forresta Magnusa. Można chyba powiedzieć, że go wylansował. Rankiem piątego lipca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego roku znaleziono martwego Oscara Wattsa w biurze na tyłach galerii. Zmarł na skutek potwornych okaleczeń wskazujących na mord rytualny, satanistyczny. Takie są wnioski z ekspertyzy.

Zabójcy nie ukradli żadnego z dzieł, nie tknęli pieniędzy, które miał przy sobie. Policja doszła w związku z tym do wniosku, że jedynym celem zbrodni było poddanie ofiary bestialskim torturom, i powiązała tę śmierć z serią rytualnych mordów dokonywanych przez Potrójną Kreskę w tym samym czasie. A Potrójna Kreska złożyła wcześniej dwie ofiary z ludzi na cześć Szatana. Dwie młode dziewczyny zostały zadręczone na śmierć, a na ich ciałach stwierdzono podobne okaleczenia o charakterze rytualnym. Do dziś śledczym nie udało się zdobyć dowodów obciążających Forresta Magnusa o zabójstwo Oscara Watta, choć podejrzenia były poważne. Sarah, prosimy, żeby nie ujawniała pani żadnej z usłyszanych teraz informacji. Forrest Magnus nie może się dowiedzieć o naszym odkryciu. Z Bożą pomocą, dzięki siłom skierowanym na miejsce przez rząd, wszystko powinno zakończyć się jeszcze dziś...

Sarah już nie słuchała. Patrzyła na przechodzących obok ludzi, nie widząc ich.

Kiedyś Forrest powiedział, że diabłu lepiej patrzeć w twarz, niż mieć go za plecami.

Jakże przerażająco dwuznaczne stały się teraz te słowa! Forrest wciąż spoglądał na diabła. Najpierw szukał go w Potrójnej Kresce, ale to był tylko nędzny przedsiónek zła. Znalazł to, czego pragnął, u Fenrydera i jego Wilków.

Stał się sługą Fenrydera. Jego lokajem. Nędznym, żalonym sługusem.

Jodie (1)

Z dala od Manhattanu, w chacie, którą udostępnił im doktor Kyle, Jodie wreszcie poczuła się bezpiecznie. To uczucie było tak głębokie, że gdy wczoraj ułożyła już matkę, sama zasnęła

niemal natychmiast i obie, wolne od lęków i koszmarów, spały do ósmej rano. A potem wuj Todd, opiekuńczy i troskliwy, podał im na śniadanie zieloną herbatę i płatki, one zaś usiadły na wprost siebie, jak jeszcze niedawno, kiedy pani Stevenson wykładała historię na Uniwersytecie Columbia.

Nigdy, odkąd matka trafiła do szpitala, Jodie nie widziała jej w tak dobrej formie. Musiała wprawdzie pomagać jej w ubieraniu, jednak to umysłowe splątanie, które ostatnio zdawało się pogłębiać z każdym dniem, jakby przeminęło. Poza tym odżyła apetyt, a nawet radość życia. Gdyby doktor Kyle mógł zobaczyć, jak sama przyjmuje tabletki ariceptu, stwierdziłby nie bez zdumienia, że Margaret Stevenson cofnęła się o co najmniej trzy stopnie w przerażającej skali Reisberga *.

* Skala, według której ocenia się rozwój choroby Alzheimera, wyróżniając siedem jej stadiów.

Jodie wiedziała, że choroba matki jest w stadium przejściowym, że jej stan może gwałtownie się zmieniać, jednak tak wielka poprawa zaskoczyła ją. Być może wynikała z tego, że były razem, może swój wpływ miała sprzyjająca atmosfera zagubionego w lesie domu, a także troska wuja Todda. Tak czy inaczej, stan matki pozwalał Jodie łatwiej znieść obawy związane z ich sytuacją finansową. Rzucając pracę w fundacji, Jodie pozbyła się dobrej pensji sekretarki, ale nie żałowała swej decyzji. To, że matka jest bezpieczna, było dla niej najważniejsze. Poza tym powtarzała sobie, że kiedy sytuacja się unormuje, poszuka nowej pracy. Wierzyła w swoje umiejętności i w determinację. Po prostu wiedziała już, że w swoim *curriculum vitae* będzie pomijała tych kilka dni w Fundacji Waltera Skolla.

— Dobrze nam tu — zdołała powiedzieć bez większego wysiłku Margaret Stevenson.

— Cieszę się, że podoba ci się domek, mamó — powiedziała łagodnie Jodie, jakby wynajęła to miejsce na wakacje.

Rano wolała dostrzegać same pozytywy sytuacji. Matka czuła się lepiej, a chata doktora Kyle'a, zagubiona w lasach Concord w Massachusetts, faktycznie była urokliwa. Była stara i duża, budowana jak za pionierów i doskonale odrestaurowana, od ścian z pni po dachówkę, a ogrzewał ją duży, wysoki kominek w dawnym stylu.

Kyle, który często przyjeżdżał na weekendy, wyznał Jodie, że w panującym tu spokoju i odosobnieniu znajduje najlepsze antidotum na stres współczesnego życia. Prawdę mówiąc, dopiero teraz Jodie dokładnie zrozumiała, co znaczy antidotum. Bo Kyle, zachowując autentyczny wygląd zewnętrzny tego domu, wyposażył wnętrze w maksimum komfortu i nowoczesności, jak przystało na człowieka dwudziestego pierwszego wieku. Kuchnia była wzorowa i niczego tu nie brakowało, w salonie królował gigantyczny telewizor plazmowy (42-calowy) z DVD i imponującą kolekcją filmów. W jednej z dwóch sypialni na górze ustawił nawet sprzęt multimedialny z szerokopasmowym łączem internetowym. Na dachu sterczała antena, a w składziku, do którego prowadziła kamienna alejka, urządził saunę i jacuzzi. Najwyraźniej Kyle cenił bliskość natury, ale nie aż tak, by rezygnować z wygód.

Inwestował głównie w nowe technologie, co Jodie stwierdziła, przeglądając resztę rzeczy. Żadna książka, nawet banalna powieść, nie burzyła tej epikurejskiej atmosfery w garsonierze *high-tech*, a nieliczne wyroby artystyczne były na ogół litografiami bez wyrazu, które w oczach Jodie miały tylko nieznaczną przewagę nad tradycyjnymi kłami dzika czy porożem łosia albo jelenia.

Około dziewiątej zatelefonował Tim.

Powiedział, że Sarah jest u niego, a z jego głosu Jodie wy-
czuła, że stało się coś złego. Nie chcąc jej niepokoić, odmówił
bliższych wyjaśnień i rzekł tylko:

— Gdyby dzwonił do ciebie Forrest, pod żadnym pozorem
nie podawaj mu adresu chaty. Tak będzie... bezpieczniej.

— Nie rozumiem...

— Nie martw się, Jodie. Rób, jak powiedziałem. Wieczorem
wszystko ci wyjaśnię.

— Kiedy będziesz? — zapytała szeptem, bo matka i wuj Todd
byli w pobliżu.

Przedstawił jej w kilku słowach plan senatora, a potem od-
powiedział na pytanie:

— Wyjadę, kiedy tylko gliniarze zamkną Fenrydera, Skolla i
resztę. Myślę, że najpóźniej o jedenastej wieczorem.

— Jeżeli wszystko pójdzie dobrze.

— Tak. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze. Zapadła cisza. Potem
Tim zmienił temat.

— Jak się czuje twoja matka?

— Dawno nie było tak dobrze. Nie poznasz jej.

Znowu zamilkli.

— Kocham cię — powiedział Tim.

— I ja cię kocham — odpowiedziała. — Nie zapomnij, co mi
obiecałeś.

— Nie zapomnę, Jodie. Ucałuj ode mnie wuja. Do zobacze-
nia wieczorem.

Godzinę później panie postanowiły nacieszyć się słońcem i
wybrać na długi spacer po lesie. Ubrały się ciepło i wyszły.

Wkrótce ujrzały dwie rude wiewiórki, które bawiły się u stóp
drzewa, a potem wspaniałego daniela, który długo im się przy-
glądał i spokojnie odszedł. Te przyrodnicze obserwacje bardzo
je ucieszyły, a uśmiechnięta Jodie spojrzała na matkę.

I ona uśmiechała się, zachwycona. Po brodzie ciekła jej strużka śliny. Jodie wyjęła z kieszeni kurtki chusteczkę ligninową i wytarła ją. Pani Stevenson zasępiła się i szepnęła:

— Przepraszam, kochanie. Ślinię się jak malutkie dziecko.

Jodie czule objęła ją ramieniem.

— To drobiazg, mamó — przekonywała.

Jej promienny uśmiech przewyciężył smutek matki.

Spacerowały jeszcze przez kilka minut, a potem wróciły do chaty, przytulone i szczęśliwe, że są razem.

Pod ich nieobecność wuj Todd przygotował ogromną pizzę z anchois i wszyscy troje usiedli do stołu. Także Todd zdawał się odmieniony pod wpływem czarodziejskiej atmosfery tego miejsca. Smutek zniknął z jego pięknych, niebieskich oczu i teraz wyzierała z nich tylko dobroć. Wydawało się, że rozstanie z pięknym domem na Brooklynie przyniosło mu ulgę, i to nie dlatego, że uwolnił się od wspomnień, które go wypełniały, ale ponieważ poczuł, że teraz może współżyć z nimi w harmonii.

Przy obiedzie półserio opowiadał im o mechanizmie boi raktunkowych. Budował je przez całe życie z zaraźliwym zapałem, jaki mają ci, którzy chcą kogoś ocalić. Ten wykład techniczny mógłby je znudzić, ale w jego ustach wydał się obu paniom pasjonujący jak powieść Dickensa.

— Dobry z pana człowiek, panie Modin — powiedziała matka Jodie, kładąc dłoń na jego rękę.

— Todd. Margaret, proszę mówić mi po imieniu, dobrze?

— Dobrze, Todd.

— I niech nam się powiedzie — rzekł, ujmując ją za rękę.

Kiedy wstali od stołu, Jodie, uprzedzając wuja Todda, oświadczyła, że sama pozmywa.

— I biada wam, jeżeli dotkniecie ścierki! — dodała, zbierając talerze i szklanki. — Ostrzegam, że mogę ugryźć.

Po tej demonstracji siły wyniosła naczynia do zlewozmywaka. Odkręcając kran, rzuciła okiem na zegar ścienny. Wskazywał dwadzieścia dwie minuty po dwunastej. Za niespełna sześć godzin, myślała, na Manhattanie wszystko się rozegra. Albo dojdzie do aresztowania Wilków, albo stary senator March zginie. Jodie modliła się w duchu, żeby spełniła się pierwsza z tych możliwości, miała jednak świadomość, że drugiej, niestety, nie da się wykluczyć. Otuchy dodawało jej jedno. Tim obiecał pozostawać z dala od fundacji aż do załatwienia sprawy przez policję. Wiedziała, że dotrzyma słowa z miłości do niej, ale także dlatego, że nie chciał przeszkadzać federalnym w pracy. A poza tym obiecał przyjechać do chaty, kiedy tylko Fenryder i Wilki przestaną im zagrażać. Zaraz potem wyruszy w drogę. Jodie już tęskniła, licząc, że zobaczy go w nocy.

Dowiadujemy się między innymi, co znaczy tarhḡ-sagogh

Wczesnym rankiem senator March odwiózł Sarah do Tima. Po drodze zadzwoniła do Forresta, żeby uprzedzić, że nie wróci na śniadanie.

— Ale na obiad — zapytał Forrest — jesteście umówieni?

Zamierzał spędzić przedpołudnie w fundacji, dopracowując ostatnie szczegóły wystawy, a potem zjeść z Sarah obiad, i zarezerwował już stolik w China Grill, jednej z najlepszych azjatyckich restauracji w Nowym Jorku. W ten sposób chciał zakończyć przygotowania do wernisażu.

— Tak, jesteście umówieni — skłamała ze łzami w oczach i rozłączyła się.

Miała do niego potworny żal.

Kiedy samochód senatora jechał przez Most Brooklyński, Sarah z goryczą pomyślała, że wyspa Manhattan, którą zostawia za sobą, zatonie jak nowa Atlantyda, zabierając jej rzeczy, jej miłość i wszystkie nadzieje na przyszłość.

— Co z nim będzie? — zapytała mimo woli senatora.

— Od tej chwili FBI zacznie śledzić pana Magnusa, a my będziemy otrzymywali informacje o każdym jego kroku. Wieczorem zostanie aresztowany i stanie przed sądem, oskarżony o wiele przestępstw, przede wszystkim za współudział w morderstwie oraz usiłowanie zabójstwa mnie. Taką przynajmniej prokurator generalny zamierzał obrać linię oskarżenia.

Dotarli do Park Slope i senator powtórzył Timowi to, co wcześniej powiedział już Sarah.

Wszyscy troje stali w dużej kuchni wuja Todda. March przezcucił płaszcz przez ramię i zdjął kapelusz.

— O cholera! — mruknął Tim na widok zdjęć Forresta rozmawiającego z Eliotem Marchem.

— Sprawa jest poważniejsza, niż pan sądzi, panie Modin. FBI podejrzewa go o udział w bestialskim mordzie na Oscarze Wattsie w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym. Zresztą kawa na łąkę: podejrzewamy, że to on jest drugim *tarhq-sagogh* Wilków w Nowym Jorku.

— Do stu diabłów! — zaklął Tim. — Tylko nie Forrest! Nie on! Znam go jeszcze z Chicago.

— I nigdy nie zastanawiała pana jego dziwna sympatia do Rona Flinta, tego strażnika z fundacji i *tarhq-sagogh* Wilków?

— Nie! — krzyknął Tim, nerwowo zaczesując włosy do tyłu. — Forrest zawsze był miły dla ludzi, bez względu na ich dochody i stanowiska.

— Chyba się nie pomyłę, mówiąc, że Oscar Watts, gdyby oczywiście mógł, nie zgodziłby się z panem. A poza tym proszę

sobie przypomnieć ten wieczór, kiedy Flint dopadł was w fundacji. W jakiej kolejności zamierzał wysłać waszych przyjaciół na szóste piętro, gdzie byliście już pan i Sarah?

Tim zmarszczył czoło.

— Flint najpierw wysłał na górę Neila Garsona — zaczął sobie przypominać. — Potem miała przyjść kolei na Jodie...

— I niby przypadkiem Forrest Magnus miał umrzeć po wszystkich innych. Proszę się zastanowić, czy Ron Flint naprawdę zamierzał zabić swojego kompana?

Senator zadawał cios za ciosem, zajadły jak pitbull, którym znowu się stał. Spojrzał na Sarah.

— Czy pani wie, gdzie był Forrest Magnus wczoraj rano?

— Byliśmy tutaj — odpowiedziała bezradnie.

— Tak, był tu z nami — potwierdził Tim. — Tak jak Jodie i jej matka.

— Przez całe przedpołudnie?

— Nie — odparła Sarah, patrząc w dal. — Wróciliśmy razem na Manhattan. Rozstaliśmy się przy Piątej Alei. Ja wsiadłam do metra, żeby wrócić do domu, a on pojechał do fundacji.

— Powiedział pani, że tam się wybiera? Otóż nie, nie pojechał do fundacji — stwierdził senator. — A w każdym razie nie natychmiast po rozstaniu z panią. Pół godziny później widziało go w Crotona Park, niewielkim parku na Bronksie, gdzie odebrał metalową walizkę od brodatego mężczyzny, niejakiego Gardnera, guru Potrójnej Kreski.

Sarah zamknęła oczy, wstrząśnięta tą nową wiadomością.

— Chyba lepiej będzie, jeżeli usiądę — szepnęła, zataczając się.

— Tak, usiądź — zaniepokojony Tim podsunął jej krzesło.

— Przykro mi. — Senator March patrzył na Sarah, także siadając przy kuchennym stole i kładąc przed sobą kapelusz.

Tim podał Sarah szklanę wody mineralnej. Ze łzami w oczach wypila kilka łyków.

— Nie mogę sobie darować, że niczego nie zauważyłam! — powiedziała.

— Któż mógłby przypuścić — pocieszał ją Tim. Senator pokiwiał głową.

— Ma pan rację. Nikt.

— Zatelefonuję do Jodie, żeby ją ostrzec — rzekł Tim, odchodząc od zlewozmywaka. — Zaraz wracam.

Sarah drżała, wpatrzona w szklanę z wodą.

— Panie senatorze, pamięta pan, co mi pan powiedział, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy? — zapytała, zerkając na niego przymrużonymi oczyma, by zaraz potem zapatrzeć się w wodę w szklance. — „Przyjaciele nie istnieją”. To pańskie słowa, przypomina pan sobie?

Marvin March uśmiechnął się wyrozumiale.

— Myliłem się, Sarah. I to pani pokazała mi jak bardzo.

Proszę powiedzieć, czy my nie zostaliśmy przyjaciółmi? Czy pan Modin nie jest istnym archetypem przyjaźni?

— Tak, niewątpliwie — powiedziała ze smutkiem.

Wrócił Tim, uspokojony po rozmowie, która upewniła go, że w chacie nie stało się nic złego.

— A poza tym, drodzy przyjaciele — podjął senator, kładąc nacisk na ostatnie słowa i uśmiechając się do Sarah — na szczęście dla was na tym kończą się złe wiadomości.

Wstał i stojąc za krzesłem, poklepał oparcie, przez które przerzucił płaszcz.

— Już czas, żebym przekazał wam informacje z ostatniej nocy. Sarah, proszę mnie posłuchać. Wiem, że jest pani waleczna

i że pragnie pani skończyć z Wilkami, zwłaszcza teraz. Dlatego proszę posłuchać. Nasz informator przekazał nam, że tej nocy generał Fenryder pozostawał w sarkofagu z czarnego metalu i że nie może z niego wyjść, bo na zewnątrz umrze. Ten sarkofag, zwany Potężnym Wiatrem*, jest jakby sterylnym pomieszczeniem, wie pani, jak w szpitalu. Ponoć zawiera półpłynną substancję barwy bursztynu. Nie wiadomo, co to za substancja, ma jednak zdolność promieniowania.

* O Potężnym Wietrze, czyli Vent-Fort, więcej w *Wilkach Fenrydera*, *op. cit.*, s. 357.

— Skąd nazwa Potężny Wiatr? — zapytała Sarah, odzyskując zapal, jak przewidział March.

— Celne pytanie, Sarah. Zgodnie z informacjami naszego człowieka, nikt poza Wilkami nie może się zbliżyć do tego sarkofagu bez zezwolenia generała. Każdy, kto ważyłby się zaryzykować, zostanie unicestwiony w polu oddziaływania promieniujących jak laser. I stąd nazwa Potężny Wiatr.

Oparty o lodówkę Tim wpadł mu w słowo.

— Kiedy byliśmy na szóstym piętrze fundacji, zauważyliśmy ogromną niszę w ścianie na końcu stołu, tuż za fotelem przewodniczącego. Mogłoby tam stanąć obok siebie co najmniej trzech mężczyzn.

— To prawdopodobnie miejsce na sarkofag Fenrydera, panie Modin. Jednak wracając do możliwości zbliżenia się do Potężnego Wiatru, odkryliśmy, że nie tylko Wilki robią to bez narażenia się na niebezpieczeństwo. *Tarhq-sagogh* także posiadają tę zdolność, muszą tylko posłużyć się talizmanem. FBI ustaliło, co znaczy słowo *tarhq-sagogh*. Pochodzi z bardzo starożytnego, ezoterycznego języka argonejskiego, znanego wyłącznie

nielicznym wtajemniczonym. *Tarhq-sagogh* to „strażnik kultu Człowieka Wilka”, a w bardziej ograniczonym zastosowaniu „noszący *tarhq*”, czyli amulet, który *sagogh* zawiesza na szyi podczas rytualnych ceremonii. I to *tarhq* pozwala mu zbliżyć się do jego pana, do Człowieka Wilka, tak, by nie zabił go Potężny Wiatr. Nie ma wątpliwości, że *tarhq* Rona Flinta jest teraz w rękach dziesięć-trzynaście, chociaż on pani o tym nie powiedział. Pozostaje nam więc jak najszybciej odnaleźć talizman pani byłego przyjaciela. Sarah, czy pani wie, gdzie Forrest Magnus go ukrył?

Sarah zastanawiała się przez moment.

— Nie, nie wiem... — powiedziała. — Chwileczkę, Forrest ma pracownię w Meatpacking District. Byłam tam tylko raz, odkąd znam Forresta.

Dokładnie pamiętała, że było to w dniu, kiedy się poznali. Forrest chciał jej pokazać swoje płótna, ale tego wieczoru nie zajmowali się zbyt długo malarstwem. Wspomnienie szczęśliwych chwil dziś okazało się dla niej bolesne.

Senator wyciągnął rękę, żeby spojrzeć na cartiera. Zbliżało się południe. Wstał i zarzucił płaszcz.

— Powinna pani zajrzeć do tej pracowni — powiedział, sięgając po kapelusz. — Za pół godziny mam spotkanie z ludźmi z FBI. Proszę zatelefonować, gdyby odnalazła pani *tarhq* Forresta Magnusa lub gdyby ustaliła pani coś nowego.

Od progu, już w płaszczu i kapeluszu, jeszcze raz popatrzył w smutne oczy Sarah.

— Jest pani pewna, że nie ujawniła mu pani żadnego szczegółu naszego planu na dzisiejszy wieczór?

— Nie, niczego nie powiedziałam — odparła. — Staralam się... oszczędzać artystę.

Sarah i Tim w pracowni Forresta

Wykorzystując to, że Forrest czekał na Sarah w China Grill, pojechali do jego pracowni. Ponieważ nie mieli kluczy, Tim zastosował starą dobrą technikę — wytrych. Prawdę mówiąc, żadnej innej nie znał, ale na szczęście drzwi nie stawiały oporu.

W pochmurne grudniowe popołudnie spartańskie wnętrze było jeszcze bardziej ponure i zimne niż zazwyczaj. Na środku dużego pomieszczenia, które oświetlały dwa łukowe okna, w napełnionych spirytusem starych słoikach po konfiturach moczyły się pędzle, a posadzka była upstrzona farbami jak malowidło Jacksona Pollocka.

Obrazy rozmaitych wymiarów — dzieło godzin pracy twórczej Forresta — stały pod ścianami tyłem do światła w drewnianych ramach, a w kącie, na podłodze, czekał w gotowości stary ekspres do kawy marki Braun. Nie było tu ani krzesła, ani stołu. Jedyne meble stanowiła biblioteka zamontowana wokół drzwi. To pod jej półkami Sarah i Tim weszli do środka.

Tim pesymistycznie oceniał szanse na odnalezienie talizmanu Forresta.

— Nie widzę tu miejsca, w którym mógłby ukryć *tarhą* — powiedział, pochylając cztery obrazy i opierając je na swoich kolanach.

— Może trzyma go w książce — rzuciła Sarah, podchodząc do drzwi.

Imponująca rozmiarami biblioteka zajmowała całą ścianę, od sufitu po podłogę. Stały w niej stare książki w skórzanej oprawie, które zapamiętała z pierwszej wizyty, jednak tym razem poświęciła im więcej uwagi i nawet wyrzucała sobie, że poprzednio nie zadała sobie trudu rzucenia na nie okiem.

Bo to wcale nie były książki o sztuce. Zrozumiała wreszcie, dlaczego Forrest trzymał je w pracowni pod kluczem.

Bibliotekę wypełniały setki ksiąg o czarach i czarnej magii, opracowania poświęcone voodoo i jego rytuałom, traktaty demonologiczne... Były tam rzeczy tak znane, jak *Obojczyk Salomona*, *De occulta philosophia* Agrypy z Nettesheim i *Disquisitionum magicarum libri* Hiszpana Martina Antonia Delrio, a obok nich inne, jeszcze ohydniejsze, jak *Ofiara z noworodka*, *Ofiary dla Szatana czy Księga tortur*. Już same tytuły mogły oburzyć najzagorzalszych obrońców wolności słowa, a co dopiero ilustracje — odrażając ryciny ze stron, na których opisywano składanie w ofierze noworodków podczas czarnych mszy. Bezbronnym małościom wypruwano flaki albo rzucano je do wrzątku. Sarah robiło się niedobrze, choć tylko kartkowa-ła te książki.

— Co za łotr! — szepnęła z odrazą.

Tim podszedł i położył jej rękę na ramieniu.

— W co zabawia się ten obłąkaniec? — zapytał, także zdegu-
stowany. — Czyżby się uważał za Doriana Graya?

Mimo tego, co powiedział im i pokazał senator, jakaś część jego serca i umysłu jeszcze dziś rano nie dopuszczała możliwości, że Forrest jest dwulicowym zdrajcą. Teraz wątpliwości się rozwiały — przyszedł czas, by pogodzić się z rzeczywistością, choćby najtrudniejszą. Ten uroczy lekkoduch Forrest opętał i jego, i Sarah.

Obok dzieł wszystkich Aleistera Crowleya, angielskiego maga, który kazał się nazywać „Bestią”, Sarah zobaczyła tom pod tytułem *Zło jest naszym losem*. Jego autorem był... „wielebny” Gardner.

Tętniło jej w skroniach, kiedy otworzyła książkę na pierwszej stronie i przeczytała dedykację:

*Mojemu przyjacielowi Forrestowi.
Niechaj ciemności zaspokoją twoje pragnienie.
Jack W. Gardner*

Sarah pogodziła się i z tym. Słowa pisane ręką guru satanistów wydały jej się jeszcze gorsze niż zdjęcia, na których Forrest pojawiał się obok Eliota Marcha.

Z wyrazem cierpienia na twarzy odwróciła książkę, żeby spojrzeć na ostatnią stronę okładki. Czarno-białe zdjęcie Gardnera... Po raz pierwszy widziała twarz tego opętanego zabójcy, ale natychmiast go rozpoznała. Malując *Demony*, Forrest nadał Saturnowi rysy „wielebnego” Gardnera. *Demony* były więc nie tylko kolejnym płótnem, ale swoistym hołdem, aktywnym tworzeniem zła.

Nie mogąc wydusić z siebie słowa, pokazała Timowi dedykację. Zaciśnął tylko zęby. To go dobiło. Nie miał żadnych złudzeń.

Długo patrzyli na siebie, bez słów dzieląc ból. A potem zadzwoniła komórka Sarah. Dziewczyna drgnęła. Zdenerwowana, wyciągnęła telefon z kieszeni i zobaczyła na ekranie numer Forresta. Prawdopodobnie zaczął się niepokoić jej spóźnieniem. Po czwartym sygnale zapadła cisza, a komórka poinformowała o nagraniu wiadomości w poczcie głosowej. Zdenerwowana, odsłuchiwała ją: „Sarah, gdzie jesteś? Już za dwadzieścia druga. Chyba nie zapomniałaś, że umówiliśmy się na obiad? Zadzwoń. Martwię się. Kocham”.

W głosie Forresta wyczuwało się rozgorączkowanie bliższe obawie niż rozczarowaniu albo złości.

Cholerny łajdak! — pomyślała.

— Pyta, gdzie się podziewam — wyjaśniła, widząc spojrzenie Tima.

I znowu zaczęli szperać w bibliotece, otwierając książkę po książce, żeby sprawdzić, czy nie ma tam żadnego przedmiotu. Tak upłynęło kolejnych dziesięć minut, a oni wciąż niczego nie znaleźli.

— Zajrzę na samą górę — stwierdził Tim.

I stawiając stopę na najniższej półce, zaczął się wspinać. Grube dębowe deski z łatwością wytrzymały dodatkowe obciążenie. Zatrzymał się na wysokości drugiej półki od sufitu, na oślepie wyciągnął rękę i zaczął obmacywać wierzchy książek. Spod jego palców unosiły się tumany kurzu, który drażnił gardło i nos, powodując kaszel. Już miał przerwać poszukiwania, gdy natrafił na małą metalową kulkę.

— Chyba coś mam — powiedział do Sarah.

Wszedł półkę wyżej i stanął na palcach. Niemal dotykał nosem małej kamery cyfrowej, zamontowanej między sufitem a półką. Obiektyw był zwrócony w dół, a pole widzenia obejmowało całą pracownię z wyjątkiem biblioteki. Zielone światelko pulsowało rytmicznie. Nie było cienia wątpliwości — kamera pracowała.

Jodie rozmawia z wujem Toddem

— Przypominasz mi go. Masz taki sam uśmiech. Kiedy Kevin się uśmiechał, także robiły mu się takie śliczne dołeczki na policzkach. Uwielbiałem tego dzieciaka — dodał Todd po chwili milczenia i smutno się uśmiechnął.

Razem z Jodie obierał w kuchni ziemniaki, a Margaret odpoczywała w salonie po długim spacerze. Teraz oglądała świąteczny program w telewizji. Matka i córka po południu znowu wybrały się na spacer, ale tym razem w towarzystwie wuja Todda. Krążąc po okolicy, przeszli leśnymi drogami około pięciu, sześciu kilometrów, a wrócili pół godziny temu, tuż przed

zmrokiem. Wuj Todd ze zdumiewającą wprawą posługiwał się obieraczką. Uporał się już z trzema ziemniakami i sięgał po czwartego, kiedy Jodie kończyła dopiero pierwszego.

Mówił, a ona słuchała. Słuchała łakomie, jak zakochana kobieta, gdy opowiada się jej o przeszłości ukochanego.

— Widzisz, Tim i Kevin doskonale się rozumieli. Nigdy nie widziałem, żeby się kłócili, jak to często bywa z braćmi. Nie masz rodzeństwa, ale jestem pewien, że rozumiesz, co mam na myśli, Jodie. Kłótnie między braćmi czy siostrami to często zaciekle walka, która może się przemienić w rodzinne Sarajewo.

Ale moi bratankowie chyba nigdy się nie pokłócili. Niewiarogodne, prawda? Kiedy jako dzieci przyjeżdżali do nas na wakacje, zawsze byli tacy spokojni i grzeczni, że zaczynałem wygłupiać się za nich. Melinda była dobra i tolerowała moje wybryki. Czuliśmy się tacy szczęśliwi, mając ich przy sobie!

Chciałem powiedzieć: mając ich tylko dla nas! Jednak nie kierował nami egoizm.

Odłożył obieraczkę i ścierką wytarł obrane ziemniaki.

— Teraz trzeba je pokroić w plasterki — powiedział.

Sięgnął po nóż leżący na stole i pokazywał Jodie jak ma je kroić.

— O, w ten sposób! Widzisz? Nie mogą być ani za cienkie, ani za grube.

Jodie wzięła się do roboty.

— Doskonale, Jodie. Jesteś urodzoną kucharką. W takim razie ja przygotuję tymczasem żaroodporne naczynie.

Wstał, wyjął je z szarki, postawił na blacie, a następnie posmarował masłem i wrócił do przerwanej opowieści:

— Harry, ich ojciec, a niestety, także mój brat... wyznam,

że mówiąc o kłótniach braci, opierałem się na własnych doświadczeniach... wcale się nimi nie zajmowałem. Przynajmniej moim zdaniem. Zresztą to prawda. Nie robił z nimi niczego, co normalny ojciec robi i lubi robić z synami: nie rozmawiał z nimi, nie uprawiał sportu. Mawiał, że od tego jest szkoła, a on płaci wystarczająco wysokie podatki, żeby mieć święty spokój, z dziećmiakami też.

Usiadł, stawiając obok naczynie, w którym zaczęli układać warstwy ziemniaków.

— Troszczył się tylko o własny tłusty tyłek. Jak można tak żyć? Jak można się tak zachowywać, kiedy ma się dwóch wspańiałych chłopców, których wszyscy ci zazdroszczą? Gdyby Bóg obdarzył mnie i Melinę marną namiastką takiego dziecka jak Kevin czy Tim, bylibyśmy najszczęśliwszymi rodzicami na świecie.

Przyniósł mleko i roztrzepane jajka i polał nimi ziemniaki, a potem posypał danie gruberem, dodając małe kawałki masła.

— Najwspanialsze, że rosnąc, nie przestawali nas kochać. Wręcz przeciwnie. Wyobraź sobie, że nigdy nie zdarzyło im się zapomnieć o urodzinach któregoś z nas. Melinda mawiała czasami, że w sumie Bóg całkiem nieźle to urządził.

Uśmiechnął się melancholijnie i usiadł obok Jodie.

— Biedna Melinda! Wiesz, czym się martwiła, kiedy po raz ostatni odwiedziłem ją w szpitalu? Nie tym, że jakaś cholerna białaczka może z dnia na dzień złamać człowiekowi życie, ani nawet nie tym, czy na tamtym świecie są zielone łąki, ale tym, że przysparza kłopotów i bólu Timowi, Kevinowi i mnie. Ona...

— Dwie duże łzy spływały mu po policzkach. Otarł je wierzchem dłoni. — Powiedziała mi, że nie może sobie tego darować, a ja płakałem w jej ramionach jak dziecko. Jak miałem sobie poradzić bez Melindy? Odeszła, martwiąc się o kochanych bratanków

i pocieszając mnie. Na korytarzu czekał kapłan, ale zwymyślałem go. Och, wstydzę się swojego zachowania, ale byłem taki zrozpaczony i zagubiony. Poskarżyłem mu się na boski serwis gwarancyjny. Powiedziałem, że Bóg dał nam obojgu życie, ale nie dotrzymał warunków umowy i gwarancji. Plotłem takie i inne bzdury. Szalałem z rozpaczą. Nie chciałem zadzwonić do Tima i Kevina, żeby im powiedzieć o śmierci ciotki. Powtarzałem sobie, że zadam im ból, a to równałoby się zadaniu go Melindzie. Przez chwilę zastanawiałem się nawet, czy w ogóle im o tym powiem. Ale kiedy gniew nieco się wypalił, chwyciłem słuchawkę. Nie zastałem żadnego z nich, więc zacząłem wymyślać inne brednie typu: „Panie, spraw, aby nie wracali do domu!”, albo: „Spraw, aby telefony nie działały wystarczająco długo, żebyśmy zdążyli się trochę otrząsnąć”. Odłożyłem słuchawkę i wtedy poczułem, że ktoś kładzie mi rękę na ramieniu. Odwróciłem się. Za mną stali Tim i Kevin. Przyjechali z Chicago do Nowego Jorku, aby odwiedzić Melinę. Po raz pierwszy, odkąd dorośli, widziałem ich żyć. Ja także się rozplakałem. Powtarzałem: „Nie płaczcie, chłopcy, nie płaczcie, nie sprawiajcie przykrości Melindzie”.

Jodie przesunęła krzesło, żeby znaleźć się tuż obok Todda, objęła go i pocałowała w policzek.

— Musiał pan strasznie cierpieć — szepnęła ze współczuciem.

— Wiesz, najtrudniej jest, kiedy wspominam, jak Melinda mówiła, że być może Bóg całkiem nieźle to wszystko urządził. Ona w to wierzyła. I umarła, wierząc w to... kłamstwo. Bo to kłamstwo, Jodie. Bóg bardzo źle urządził życie na tej ziemi. Pomyślałem tak, chowając Melinę, i tak samo myślałem dwa lata potem, kiedy zginął Kevin. Zasłałem, dowiedziawszy się o tym dramacie, i przez dwa tygodnie leżałem w szpitalu. Nie mogłem nawet pojechać na pogrzeb do Chicago. Tim odwiedził

mnie w szpitalu i o wszystkim opowiedział. Kiedy zobaczyłem go bez oka, z tą czarną przepaską, ścisnęło mi się serce i szepnąłem: „Boże, czy nie dość Ci, że zabrałeś mu brata, czy musiałeś pozbawić go także oka?”. Tim bardzo się zmienił. Przedtem był wesołkiem, ale po śmierci Kevina zatracił radość życia. Tylko dzięki tobie znowu widzę go szczęśliwym. Twarz Jodie rozpromieniła się.

— Trzeba powiedzieć — dodał wuj Todd, także się uśmiechając na widok takiego uśmiechu — że nikt nie potrafi ci się oprzeć. Tim i doktor Kyle to chyba wystarczający dowód?

— Doktor Kyle to tylko przyjaciel — wyjaśniła natychmiast, uśmiechając się jeszcze radośniej.

— Tak sądzisz? — zapytał półzartem. — Dałbym głowę, że i on ma do ciebie słabość. Czy to nie on przed chwilą dzwonił?

Rzeczywiście, doktor Kyle telefonował około pierwszej. Wziął kilka dni urlopu i obiecał Jodie, że zajrzy wczesnym wieczorem, żeby sprawdzić, czy niczego im nie brakuje. Oczywiście, zamierzał wykorzystać wizytę, by zająć się matką Jodie. Młody lekarz dodał, że przenocuje u rodziców, którzy mają dom w Concord, niecałe dziesięć kilometrów od chaty. Nie chciał się narzucać, a gdyby Tim Modin pragnął zostać w chacie na noc, nie miał nic przeciwko temu...

W oczach Jodie doktor Kyle przestał już być opóźnionym nastolatkiem w za dużym kitlu lekarskim. Stał się przyjacielem. Nie tylko pozwolił jej korzystać z sauny w swojej posiadłości, ale też zachęcił, by to uczyniła.

— To bardzo zdrowe — zapewniał. — A kiedy żyje się w napięciu, jak pani w tej chwili, jest to po prostu obowiązek!

Jodie zerknęła na zegar w rzeźbionej ramie. Było pięć po piętej. Obawa położyła się cieniem na jej twarzy, dołeczki zniknęły z piegowatych policzków.

— Nie zamartwiał się — powiedział wuj Todd, dostrzegając tę nagłą zmianę nastroju. — Jestem pewien, że wszystko będzie dobrze. I pamiętaj, Tim obiecał, że nie pójdzie na wernisaż. Dopóki jesteś na lądzie, rekiny cię nie osiągną.

— Ma pan rację, ale to silniejsze ode mnie.

— Może posłuchaj rady lekarza, Jodie?

— Jakiej rady? — powtórzyła, nie rozumiejąc.

— Czyżby nie zalecał ci sauny?

— Tak, ale nie mam ochoty.

— Daj spokój, Jodie. Mamie nic tu nie grozi. Jest ze mną, pooglądamy razem telewizję. A te pyszności — powiedział, wstawiając naczynie do pieca — będą gotowe dopiero za godzinę.

Chciał dodać, że w kieszeni marynarki ma starą beretkę i potrafi przegnać wrogów, ale powstrzymał się w obawie, że wywoła efekt przeciwny do pożądanego.

— No, Jodie, to takie proste. Wyjdiesz tędy — wskazał drzwi kuchenne, prowadzące na tyły domu — i tą kamienną ścieżką dojdiesz do sauny. Jest gotowa do użycia, czeka na ciebie. Uruchomiłem wszystko, zanim zabraliśmy się do obierania ziemniaków.

— Odważył się pan! — zawołała, śmiejąc się mimo woli.

— Och, proszę! A jeśli wrócisz stamtąd taka wesola, to... kto wie, może potem ja i twoja matka też urządzimy sobie mały seansik. A poza tym to na pewno lepsze od palenia papierosa za papierosem i słuchania takiego starego trutnia jak ja, racja?

Jodie próbuje się odprężyć

Na zewnątrz, wciąż jeszcze z ręką na klamce, Jodie przystanąła, patrząc na oświetlone okna domku, który wznosił się na

końcu szarej kamiennej ścieżki. Noc była ciemna i zimna, mroczny las tworzył posepny krąg wokół chaty. Jodie wcale nie miała ochoty iść do sauny, a poza tym czuła się trochę winna, zostawiając matkę i wuja Todda samych. W dodatku już teraz tęskniła do ciepłej kuchni, a przede wszystkim do dodającej otuchy obecności wuja Todda.

Daj spokój, nie bądź głupia, przekonywała samą siebie. Jeżeli zostaniesz z nimi jeszcze parę minut, zarazisz ich tylko swoim strachem, i tyle. A gdybyś do tej pory tego nie zauważyła, to teraz uświadom sobie, że ani matka, ani wuj Todd cię nie potrzebują.

Przełamała się i puściła klamkę, by w końcu ruszyć w stronę chatki. Wewnątrz znalazła urządzenie godne najlepszych uzdrowisk w kraju. Poza kabiną sauny, wykonaną z pięknego cedru, był tam prysznic z biczami wodnymi, a dalej, za niewielką ławą i dwiema płytami grzewczymi, ogromne jacuzzi.

Kłęby pary wypełniły kabinę w głębi chatki i napierały na szklaną ścianę pomieszczenia.

Nie wiedząc, czy taka ilość pary jest rzeczą normalną, Jodie zaczęła się zastanawiać, czy wuj Todd nie przesadził z kamieniami i temperaturą paleniska. Ale nie, przecież Todd znał się na rozmaitej aparaturze. Z wykształcenia był inżynierem, technika to jego dziedzina. Wyluzuj w końcu, psiakrew!

Podeszła do białych ręczników kąpielowych, ułożonych na cedrowej ławie, i usiadła, wciąż wahając się, co robić. Oczywiście, nie musiała korzystać z uroków sauny. W końcu ani doktor Kyle, ani wuj Todd nie obraziliby się, gdyby nie zastosowała się do ich zaleceń mających pomóc młodej, sparaliżowanej strachem kobiecie. Równie dobrze mogła natychmiast wrócić do chaty i poprosić Todda, żeby to wszystko powyłaczał. Wolno jej przecież siedzieć i palić papierosa za papierosem, gapiąc

się na zegar coraz bardziej przerażonymi oczyma. Tak, miała do tego prawo.

Ale za nic nie chciała jeszcze bardziej niepokoić wspaniałego wuja Todda (który przecież dla niej opuścił piękny dom na Brooklynie) ani przyczynić się do pogorszenia stanu zdrowia matki.

Wciąż niezdecydowana spojrzała na kabinę. Kłęby pary tłoczyły się za szklaną ścianą.

Wszyscy ci mówią, że sauna cię odpręży, więc rozbieraj się i wskakuj do środka!

Wstała i poszła zamknąć drzwi na zasuwkę. Kiedy wracała do ławki, wydawało jej się, że widzi czyjś cień w kabinie. Oddychając szybko, stanęła i złana zimnym potem, uświadomiła sobie, że jest tu sama, w środku lasu i w środku nocy, z chorą matką i starszym panem. Tak, był uzbrojony, ale przecież był tylko starym człowiekiem.

A Tim był daleko stąd.

A intruz czai się w saunie doktora Kyle'a.

Jodie usiłowała przekonać samą siebie, że padła ofiarą wyobraźni.

Przestań się nad sobą znęcać. Wydawało ci się, że widzisz kogoś w saunie, i pod wpływem tego przywidzenia uruchomiłaś wyobraźnię.

Mimo wszystko byli tu niemal bezbronni, tylko we troje w tej chacie na pustkowiu. Wyposażenie domu i piękno przyrody osłabiło poczucie zagrożenia, w jakim żyli w Nowym Jorku, i uśpiło ich czujność.

A może ktoś wykorzystał sytuację i wśliznął się do sauny, z wózkiem sprzątacza...

Nie myśl o tym! Nie myśl o facecie w niebieskim fartuchu.

Ale wspomnienie sprzed dziesięciu lat wynurzyło się z głębi

podświadomości niczym upiór spod ziemi, siłą torując sobie drogę.

Serce biło jej coraz szybciej. To było latem. W piękny, lipcowy poranek. Rok? 1996. Miała prawie piętnaście lat, nosiła aparat na zębach. Wydawało jej się, że to działo się wczoraj. A mężczyzna w niebieskim fartuchu nazywał się Stedman. Tak, Davie Stedman. Miał czterdzieści siedem lat, był kawalerem, jak dowiedziała się potem od policjantów. Pracował w dużym sklepie w Stamford. Średniego wzrostu, drobnej postury, nosił okulary z grubymi szklami i ciemnoniebieski nylonowy fartuch z napisem „Służby porządkowe”, adresowanym zapewne do tych, którym wiadra i szczotki nie wystarczały, żeby się domyślić, kim jest. Jego głównym zadaniem było utrzymanie czystości w znajdujących się w suterrenach sklepu toaletach. Nie było to zajęcie łatwe ani przyjemne, jednak Davie Stedman przywykł do swojej pracy, a można powiedzieć, że wykonywał ją z oddaniem. Dbał zwłaszcza o damską toaletę. Zaglądał tam często, żeby przetrzeć posadzkę albo uzupełnić zapas papieru toaletowego. Spędzał tam tak dużo czasu, że niektóre klientki nawet na to narzekały. Szef zwrócił mu uwagę i na tym się skończyło. Davie lubił swoją pracę, to nie budziło wątpliwości, i dobrze ją wykonywał. Szef nie zamierzał zwolnić takiego skarbu, w dodatku po ponad ośmiu latach od chwili zatrudnienia, bo Davie nigdy nie patrzył na zegarek i nigdy nie przyszło mu do głowy, żeby pod koniec roku domagać się podwyżki. Ten facet, dopóki nie przekroczył Rubikonu, naruszając kodeks karny, mógł być spokojny o swój etat i prawo pozostania w suterrenie. Dlatego szef uspokoił niezadowolone klientki — pracownik nigdy nie był karany, a jego intencje, czysto zawodowe, w niczym im nie zagrażały. Zresztą szef zastanawiał się, czy większość pań nie zaczyna bujać w krainie marzeń na widok faceta

w fartuchu w ich toalecie. I doszedł do wniosku, że te kobiety to frustratki.

Davie Stedman czyścił właśnie umywalki w damskiej toalecie, kiedy w lipcowy ranek 1996 roku weszła Jodie. Była w sklepie z matką, chciały kupić ubrania. Od otwarcia minęło zaledwie kilka minut i klientów było niewiele. Jodie zostawiła matkę w dziale bluzek i udała się sama do ubikacji, żeby załatwić pilną potrzebę. Poza czterdziestoletnią sprzedawczynią, która poprawiała makijaż, nie było tu właściwie nikogo. Jodie zamknęła się na chwilę w kabinie i kiedy wyszła, ekspedientki już nie było, ale Davie Stedman został.

Davie Stedman nie odważyłby się na to wobec żadnej innej dziewczyny niż Jodie. Musiał wyczuć, że jest zbyt nieśmiała, żeby się bronić, i za dobrze wychowana, żeby opowiedzieć matce o tym, co zamierzał jej pokazać podczas tego krótkiego sam na sam.

Lekcja zaczęła się, kiedy się odwrócił.

Jego fartuch był napięty na wysokości podbrzusza podobnie jak rozporek. Jodie skamieniała na ten widok.

Lubieżnie oblizal usta, a w jego oczach rozbłysł jakiś prymitywny, wulgarny ogień.

— Napatrzyłem się na dziwki, ale ty, mała!

Davie Stedman właśnie przekroczył Rubikon kodeksu karnego, a posunąłby się dalej, gdyby Margaret Stevenson, o wiele mniej nieśmiała i wychowana nie tak dobrze jak jej córka, nie wpadła do toalety jak lwica, żeby chwycić go za włosy i z całej siły pchnąć na umywalkę, w którą uderzył szczęką.

Tego lipcowego ranka sprzątacze stracił cztery zęby i pracę.

Nikt nie wiedział, co się z nim stało po tym zajściu. Klientki opowiadały, że wyjechał z Connecticut i że teraz czyści toalety w innym stanie. Może udał się do Massachusetts i może znalazł

się w lasach Concord... I żeby cię przywitać, odezwał się okrutny głosik w mózgu Jodie, czeka, ukryty w saunie.

Jak wtedy, na widok rozpiętego fartucha, zamarła, niezdolna do żadnej reakcji.

Nigdy nie umiała się bronić. Już jako dziecko nie buntowała się, kiedy Rachel Peterson, córka sąsiadów, królowa wszystkich małych diabolic, ukradła jej lalkę albo próbowała obciąć włosy. Chyba nie miała genu waleczności, tak w każdym razie to sobie tłumaczyła. I jeśli zawsze podziwiała matkę, to w równej mierze za siłę charakteru, co za inteligencję. Bo Margaret Stevenson była kobietą twardą i myślącą. Sama wychowała córkę, robiąc równocześnie prawdziwą karierę naukową, a w razie potrzeby potrafiła też chwycić za włosy jakiegoś zboczeńca i porachować się z nim. Tym cięższym ciosem było dla Jodie odkrycie, że ta doskonała matka okazała się kruchą istotą ludzką, którą paskudztwo znane jako choroba Alzheimera mogło na zawsze pogrzyźć. Jodie czuła głęboką rozpacz, jakby matka ją porzuciła. Kto, jeśli nie matka, obroni ją przed kolejnym Daviem Stedmanem, który stanie na jej drodze?

Jednak odkąd Margaret zachorowała, Jodie była zmuszona wziąć sprawy w swoje ręce, przynajmniej dopóki nie zaczęli jej pomagać Tim i Todd. I skoro udało jej się wytrwać tak długo, musiała kontynuować.

Doskonale, moja śliczna, dodała sobie odwagi, jak w takim razie zamierzasz zareagować? Zacznesz wyć niczym jakaś histeryczka? Albo też jak szalona wybiegniesz stąd, żeby zaalarmować wujka Todda? Decyduj, wybór należy do ciebie. Ale spróbuj sobie wyobrazić, że w kabinie nikogo nie ma. Że to tylko para, zwyczajne kłęby pary. Czy przy wuju Toddzie nie wyjdiesz na zwyczajną idiotkę?

Jodie zagryzła usta, nie wiedząc, co robić.

A jeśli chodzi o odprężenie, to musiała przyznać, że w tej chwili nic z tego nie będzie.

Tam nic nie ma. Weź się w garść!

Powściągając pierwszy impuls paniki, chwyciła cynową łyżkę, która służyła do polewania wodą kamieni.

W braku lepszej broni musiała wystarczyć jej taka.

Nie odrywając oczu od zaparowanej szyby sauny, ruszyła, choć ze strachu skręcało ją w żołądku. Mimo perswazji jej umysł znowu uciekł do krainy koszmarów.

Wilki cię odnalazły i dały ci w prezencie Daviego Stedmana, ale gorszego od oryginału. To ich sztuczka, przynajmniej zdaniem Tima. Boisz się pajaków, to proszę! Sprawią, że wszędzie będzie ich pełno — w twoich oczach. To proste, a zarazem przerażające. Pokonują cię, realizując przeciwieństwo twoich życzeń.

Tak, właśnie. Otworzą się drzwi kabiny i Davie Stedman pojawi się w obłoku pary, wyskoczy jak diabeł z pudełka. Davie Stedman, sprzątac w niebieskiej bluzie, z wózkiem na szczotki. I powie: „Napatrzyłem się na dziwki, ale ty, mała!”, a potem przesunie językiem po wargach jak w 1996 roku, w ubikacji sklepu w Stamford.

Jednak tym razem Margaret Stevenson nie przyjdzie, żeby chwycić go za włosy i wybić zęby o umywalkę.

Teraz Jodie stała przed kabiną i przysunawszy do niej twarz, próbowała przeniknąć wzrokiem ścianę pary. Ale nie udało jej się, nic nie zobaczyła.

W końcu zdobyła się na odwagę, zrobiła krok w bok i z bijącym sercem zacisnęła dłoń na gałce, a potem pociągnęła drzwi ku sobie. Para rozgrzana do osiemdziesięciu stopni Celsjusza buchnęła jej w twarz. Jodie odskoczyła.

Zazwyczaj w takich miejscach ludzie się rozbierali, przypominała sobie.

Zrobiła jeszcze krok i wsunęła głowę do kabiny. Davie Stedman nie czyhał tam na nią. Nikogo w środku nie było. Ani jego, ani nikogo innego. Odpręż się w końcu! Do diabła, wyluzuj!

Wuj Todd przyjmuje gości

Parę minut po tym, jak Todd zdołał nakłonić Jodie, żeby poszła do sauny, ktoś zapukał do drzwi.

Podszedł sprawdzić, kto to może być, po drodze biorąc pistolet. Ostrożności nigdy za wiele. Uniósł zasłonę w drzwiach i zobaczył w ciemnościach mężczyznę w kapłańskim stroju. Biel koloratki lśniła słabiej od krzyżyka zawieszzonego na kieszeni jego kurtki.

Wuj Todd odłożył berettę na kaloryfer i otworzył, mocno zaniepokojony. Czyżby kapłan przyniósł złe wieści?

Starszy mężczyzna, którego zobaczył przed domem, miał zmierzwioną brodę, jak franciszkanie z bractwa świętego Kryspina w South Bronx. Todd czasami pomagał im w rozdawaniu żywności.

— Sądzi pan, że On tu jest? — zapytał duchowny, wskazując ręką las.

— Ale kto? — Todd spojrzał na niego podejrzliwie.

— Oczywiście Nasz Bóg, Pan Najwyższy, synu. Czyż nie jest powiedziane: „Las jest kościołem, w którym przystaje Jezus”?

— To... na pewno prawda — skinął głową Todd, uśmiechając się. — Nie pamiętam jednak, bym natknął się w Ewangelii na te słowa, walebnym.

— Och, nie. To słowa pewnego komunisty. Ale tak go

nazywam, ponieważ dla mnie każdy Rosjanin jest komunistą. Po nich wszystkiego można się spodziewać, nawet tego.

— Na przykład czego, wielbny?

— Że wypowiedzą całą prawdę jedną szklanką — duchowny z powagą pokiwał głową. — To dlatego Wszechmogący uczynił z nich naród pijaków.

— Na pewno — mruknął Todd, nie wiedząc, co powiedzieć.

Zauważył dziwne blizny na obu dłoniach duchownego. Nie, to nie rany, pomyślał po chwili. To tatuaże... Drapiąc się za uchem, zapytał:

— Co wielbnego do nas sprowadza?

— Och, zagubiłem się, synu. Czyż wszyscy nie jesteśmy zagubieni? — Stary duchowny wznosił oczy ku niebu. — Panie, wskaż nam, swym zagubionym dzieciom, drogę ku Światłu przez mrok, który nas otacza. Nie wiemy już, gdzie jesteśmy. Błądzący się, raz po raz wpadając w kłopoty, nieświadomi własnej ignorancji, ślepi na własne zaślepienie. — Zwrócił oczy na wuja Todda i z łagodnym uśmiechem zapytał: — Mieszkasz tu sam, synu?

— To znaczy — zaczął wuj Todd, któremu trudno było okłamywać duchownego. — Powiedzmy, że przyjechałem z żoną, żeby odpocząć w chacie doktora Kyle'a.

Urocze mieszanie prawdy z fałszem, pogratulował sobie Todd.

— Żona jest chora — dodał, wciąż kłamiąc tylko w połowie. — Przypuszczam, że zna wielbny doktora Kyle'a.

— Znam tu właściwie wszystkich. Czy pozwolisz, że wejdem, synu? Chciałbym się trochę rozgrzać, zanim ruszę w dalszą drogę.

— Cóż... — zawahał się Todd. — tak. Oczywiście, proszę wejść, wielbny.

I zaprosił go do chaty.

Sarah i senator dokonują ostatecznych ustaleń na kilka godzin przed wernisażem

Senator Marvin March zadzwonił do Sarah o wpół do piątej po południu, kiedy z Timem jechała fordem taurusem na Brooklyn.

— Znaleźliście coś? — zapytał.

Sarah opowiedziała mu o bibliotece i znalezionej w pracowni Forresta książce Gardnera z dedykacją.

— Co do Forresta, miał pan rację — powiedziała, patrząc w dal.

— Zapewniam, że wołałbym się mylić, Sarah. Znaleźliście *tarhą*?

— Niczego takiego nie zauważyliśmy. Jest tam natomiast kamera systemu zabezpieczeń.

— Kamera? — powtórzył zbity z tropu senator.

— Pokazaliśmy ją przyjacielowi Tima, który zna się na systemach alarmowych. To kamera cyfrowa, ulepszona wersja *webcam*, która zaczyna filmować po wykryciu wtargnięcia.

— I jest powiązana z telefonem komórkowym?

— Tak.

— No cóż, w tej sytuacji trzeba pilnie zwrócić się do FBI o natychmiastowe aresztowanie Forresta Magnusa, jeśli bowiem zobaczy, że myszkowaliście po jego pracowni, domyśli się, że wszystko wiecie, a wtedy nad panią i pani przyjacielem zawiśnie poważne zagrożenie. Proszę się nie rozłączać, Sarah, pomówię z agentami, którzy są w moim biurze. — Przez chwilę czekała. — Halo! Jest tam pani? FBI nie widzi przeszkód. Agenci postarają się działać dyskretnie, żeby nie spłoszyć innych. Zdejmiemy pionek Forrest Magnus z szachownicy. Nie musi się pani już obawiać, Sarah. Ręczę, że panujemy nad sytuacją.

— A co dało spotkanie z FBI? — zapytała, ulegając dziennikarskiemu odruchowi, który chwilowo wziął górę nad cierpieniem zawiedzionej kobiety.

— FBI przeprowadziło śledztwo w porcie Jersey City. Pani przyjaciel dziesięć-trzyście mówił prawdę. Generał Fenryder i jego Potężny Wiatr dostali się do kraju nielegalnie, na pokładzie norweskiego tankowca, nocą z poniedziałku na wtorek. Towarzyszył im niejaki William Hasty. Udało nam się też ustalić, że ciężarówka spółki King została wynajęta na tę noc przez Waltera Skolla do przewozu dużej skrzyni do rezydencji należącej do fundacji, tej na wzgórzach Harlemu. Agenci obserwujący posiadłość widzieli nadjeżdżającą ciężarówkę i jej rozładunek. Od tego czasu nie pojawił się tam żaden inny samochód ciężarowy, a to oznacza, że Fenryder wciąż jest w rezydencji i że nie ruszał się stamtąd przez te dwa dni. Mamy jednak pewność, że będzie musiał wyjść dziś wieczorem, żeby dotrzeć do fundacji i na swój sposób wziąć udział w wernisażu. Mamy wszelkie podstawy sądzić, że zrobi to w ostatniej chwili, dopiero kiedy mój syn Eliot dostanie się do budynku.

— Na pańskie „ofiarowanie”.

— Proszę nie zapominać o Dolores — wycodził. — Chociaż nie sądzę, żeby jej zależało na tej roli.

— Chyba nie zamierza pan zabierać żony na wernisaż? — zaniepokoiła się Sarah.

— Proszę zrozumieć, Sarah. Nie możemy zadowolić się Eliotem czy Gardnerem ani nawet Wielkim Wilkiem Walterem Skollem. Chcemy dostać ich przywódcę Fenrydera i dlatego musimy grać zgodnie z ich planem, dopóki nie wywabimy go z rezydencji. Proszę pomyśleć: jeżeli moja żona lub ja nie pojawimy się na wernisażu, „ofiara”, którą planują, będzie niemożliwa, więc Fenryder pozostanie grzecznie w kryjówce

w Harlemie i będzie tam czekał na inną okazję. A jak już mówiłem, nie możemy wejść do rezydencji bez nakazu, żeby...

— Żeby zaś sędzia wydał rozkaz — dokończyła Sarah — trzeba przedstawić dowody.

— A my do dziś nie mamy nic na Fenrydera i Wilki. Nic też nie dowodzi, i tak będzie do wieczora, powiązań tej tajnej organizacji z sektą Potrójna Kreska „wielebnego” Gardnera. Wie pani coś o dżudo? Otóż a dżudo polega na wykorzystaniu siły przeciwnika i spowodowaniu, że sam się przewróci. FBI chce, żebyśmy grali swe role, a my z Dolores zgodziliśmy się na to. Pójdziemy tam na przynętę. Ale pułapka uwięzi nie nas, lecz ich. Proszę mi zaufać, Sarah.

Senator wydawał się pewny siebie. Był w doskonałym nastroju. Czy w ten sposób zachowywał się w sytuacji zagrożenia, aby mieć kontrolę nad wszystkim, czy może był aż tak pewien, że akcja musi się powieść?

— Proszę się o nas nie martwić — dodał. — Będzie nas chronić gromada federalnych w cywilu. Dziś wieczorem ani Dolores, ani mnie włos nie spadnie z głowy. Zresztą wie pani równie dobrze jak ja, że Dolores nic nie grozi, dopóki Fenryder nie znajdzie się w gmachu Fundacji Waltera Skolla. Proszę sobie przypomnieć zaszyfowaną wiadomość. „Ofiara” ma zostać złożona w obecności generała.

— A kiedy już tam przybędzie, co pan zrobi?

— Sarah, on tam nie dotrze. Właśnie na tym polega plan FBI, i to jego najmocniejszy punkt. Fenryder zostanie unieszkodliwiony, zanim znajdzie się w fundacji. Kiedy będziemy pewni, że Eliot jest na miejscu, podejmiemy działanie i schwytamy ich wszystkich. Sarah, przecież powiedziałem, że doskonale panujemy nad sytuacją.

Sarah, wciąż jeszcze sceptyczna, odparła:

— Panie senatorze, nie istnieją żadne dowody, które dawałyby mocniejsze podstawy zatrzymania go teraz niż wówczas, gdy przebywał w rezydencji.

— Myli się pani. Czy pani wie, jak wymiar sprawiedliwości poradził sobie w końcu z Caponem? Nie oskarżono go o morderstwa, ale o to, że nie płacił podatków.

— A Fenryder odpowie za przekroczenie prędkości? — pytała drwiąco.

— Cieszę się, że nareszcie jest pani sobą, nieustępliwą, skłoną do szyderstwa. Jednak musi pani wiedzieć, że od zamachów z jedenastego września zasady przewozu towarów w Nowym Jorku są bardzo restrykcyjne. Policji wolno kontrolować każdy pojazd, który mógłby przewozić niebezpieczne z tego punktu widzenia materiały. O ile mi wiadomo, to transport sarkofagu o wymiarach dwa na dwa metry, zawierającego niezidentyfikowaną ciecz, która wydziela nieznaną substancję promieniotwórczą, a w dodatku przewożenie go bez stosownych zezwoleń stanowi poważne naruszenie ustawy o walce z terroryzmem. Zatrzymamy Fenrydera i za to go skażemy.

— Dobrze, dlaczego jednak nikt nie kiwnął palcem, kiedy generał przybył do Jersey City?

— Zapomina pani, że wtedy nie wiedzieliśmy jeszcze, iż znajduje się na pokładzie tankowca. I lekceważy pani drugi element naszej kryminalnej zagadki. Prawdopodobnie dopadlibyśmy Fenrydera, ale nie udowodnilibyśmy mu powiązań z Potrójną Kreską Gardnera. Kiedy unieszkodlimy Eliota już w fundacji, Fenryderowi i jego Wielkiemu Wilkowi Walterowi Skollowi trudno będzie zaprzeczyć zaszyfrowanej wiadomości, którą znaleźliście na twardym dysku laptopa.

— Pomyślał pan o wszystkim — przyznała w końcu Sarah, uśmiechając się blade.

— Nawet sobie pani nie wyobraża, jak dokładnie. Zapewniam, że nasz plan się powiedzie. Gdzie pani teraz jest?

— Wracamy do Tima — odpowiedziała.

— Świetnie. Proszę tam zostać aż do wieczora, pozwalając nam działać, dobrze? Zatelefonuję, kiedy ich już dopadniemy. Do widzenia, Sarah.

Rozłączyła się i przekazała Timowi to, co powiedział jej Marvin March.

— Myślisz, że mu się uda? — zapytała.

— Pamiętaj, że to Pitbull. Umie walczyć i zwyciężać. To stary wyga. Żałuję tylko jednego.

— Czego?

— Żałuję, że nie będę mógł patrzeć na miny Wilków, kiedy dziś wieczorem, w fundacji, uświadomią sobie, że na wernisażu aż roi się od policji.

— Pomyśl o Jodie. O tym, co jej obiecałeś.

— Wiem, Sarah. Pamiętam o tym.

Po chwili milczenia dodał:

— Gdybyś dwa tygodnie temu powiedziała, że miłość tak bardzo mnie odmieni, roześmiałbym ci się prosto w twarz.

Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

Zamyślona, zapatrzona w dal, pokiwała głową.

— I dziękuję, że niczego takiego mi nie powiedziałaś, Sarah, bo dziś czułbym się jak błazen.

— Jesteś uroczym błaznem — stwierdziła, uśmiechając się przelotnie.

Znowu na nią zerknął.

— Nie wiem, co mam powiedzieć o Forreście. To mój przyjaciel, a niczego nie dostrzegłem. Nie powinienem był ci go przedstawiać. To wszystko przeze mnie. Po prostu uważałem go za porządnego faceta.

— Wiem — szepnęła Sarah.

Dojechali do Park Slope. Tim zatrzymał się przed domem wuja.

— Weź klucze. Poszukam wolnego miejsca i zaraz przyjdę.

Wysiadła, zaczekała, aż ford Taurus odjedzie, a potem przeszła przez ulicę i wbiegła po schodach przed domem. Lampki układające się w napis „Wesołych świąt” wydawały jej się szyderstwem.

Zapadała noc, nad ulicą rozblęły elektryczne girlandy.

W domu Sarah zdjęła płaszcz i czapkę, odwiesiła je na wieszak i poszła do salonu.

— Czekałem na was — usłyszała znajomy głos.

To był Forrest. Siedział w fotelu z wysokim oparciem, na miejscu wuja Todda. W uniesionej ręce trzymał telefon komórkowy, na którego ekranie zobaczyła siebie i Tima wchodzących do pracowni. W drugiej dłoni miał automatyczny pistolet, który sama mu dała, żeby czuł się bezpieczny.

Celował do niej.

Jodie wraca z sauny

Zegar pieca dzwonił, gdy Jodie weszła do chaty przez drzwi kuchenne. W pomieszczeniu unosiła się smakowita woń zapiekanki, co uświadomiło jej, że jest piekielnie głodna. Wytarła nogi o wycieraczkę i zamknęła drzwi, a potem, mijając drzwi salonu, zerknęła do wnętrza. Matka wciąż oglądała telewizję, kołysząc tułowiem, a wuj Todd dotrzymywał jej towarzystwa, siedząc w fotelu odwróconym plecami do drzwi.

— Masz rację, wujku Toddzie — powiedziała wesoło. — Nie ma nic lepszego na stres niż sauna. Było cudownie!

Matka odwróciła się do niej i uśmiechnęła. Podśpiewywała:

— On tu był i jeszcze przyjdzie.

Jodie cofnęła się, żeby wyłączyć piecyk i alarm.

— Tak, mamo, a jeśli chcecie nacieszyć się sauną, to idźcie tam teraz — powiedziała, wsuwając ręce w kuchenne rękawice z podobizną Myszki Miki. — Zanim siądziemy do stołu.

Gdy otworzyła piec, kłęby dymu buchnęły jej w twarz. Przymykając oczy, które już ją piekły, chwyciła naczynie i je wyciągnęła.

Głowa wuja Todda leżała na zapiekance.

Jodie odskoczyła, wypuszczając z rąk naczynie, które z trzaskiem rozbilo się o posadzkę. Nadpalona głowa potoczyła się pod lodówkę, plastry ziemniaków wplątały się we włosy.

Krzyknąwszy z przerażenia, Jodie drżącą ręką zatkała usta, żeby powstrzymać się od wycia. Myślała o matce, która siedziała w salonie, o matce, której nie wolno było straszyć, o matce, którą trzeba było jak najszybciej stąd zabrać.

Tam tamy jej serca stały się ogłuszające.

Usłyszała, jak matka znowu podśpiewuje.

— On tu był i jeszcze przyjdzie.

Weszła do salonu, drżąc na całym ciele, niezdolna wykrzusić słowa. Zasłoniła usta rękami. W przerażeniu okrążyła fotel, w którym, jak jej się wydawało, widziała przed chwilą Todda.

Rzeczywiście, to było jego ciało. Reszta ciała. Koszula w kratę była nasiąknięta krwią, na kolanach leżał nóż, którym zabójca obciął mu głowę.

Jodie o mało nie zemdląła na ten makabryczny widok, właściwie tylko troska o matkę, która siedziała tuż obok zmasakrowanych zwłok, zmusiła ją do wzięcia się w garść.

Otworzyła usta, chcąc poprosić matkę, żeby z nią wyszła,

ale nie zdołała nic powiedzieć. Pochyliła się, by chwycić ją za rękę i podnieść, i w tedy usłyszała za plecami:

— Dobry wieczór, moje dziecko.

Podskoczyła, krzyżąc ze strachu.

Stary brodaty mężczyzna w koloratce stał w drzwiach. Skonsternowany kręcił głową, patrząc na zmasakrowane ciało Todda Modina.

— Biedny prostaczek nie ubrał się w strój weselny. Zasady w tej kwestii są bardzo ścisłe, nikt nie może ich łamać. Nie ma stroju weselnego, nie ma ślubu. Mateusz, rozdział dwudziesty drugi, werset jedenasty i dwunasty. Tak... — Czerwoną od krwi ręką wykonał gest podcinania czegoś przed sobą. — Dlatego posłałem go w ciemności, gdzie słychać tylko „płacz i zgrzytanie zębów”.

Mężczyzna zwrócił małe czarne oczy na Jodie i jego twarz rozbliżyła.

— Nie lękaj się, moje dziecko. Jestem wielebny Gardner.

Chciał nadać głosowi pieszczotliwy ton i Jodie, po szoku, jakiego doznała, nie od razu uświadomiła sobie, że w drugiej ręce Gardner trzymał berettę wuja Todda.

10-13 (1)

Zgodnie z tym, co powiedział swoim ludziom, przyjechał przed rezydencję fundacji dopiero po siedemnastej. Jego kierowca zaparkował czarnego g-wagena w sporej odległości od bramy. Nieco dalej, w brudnoszarym mercedesie z napędem na cztery koła, czekało czterech ludzi, w tym Szakal i Tish. Oni pełnili tu wartę od wczorajszego wieczoru.

10-13 nie wiedział, że podziela poglądy senatora Marcha co

do najlepszej pory na wkroczenie do akcji. Każdy z nich miał swoje racje, by tak uważać. March kierował się poszanowaniem legalizmu podejmowanych działań, mafioso z Bronksu myślał o skuteczności tych działań, 10-13 wiedział, że atak na rezydencję byłby samobójczy, że każda taka próba zakończyłaby się klęską, ponieważ obecne tu Wilki stanęłyby na drodze do Potężnego Wiatru, sarkofagu chroniącego generała Fenrydera. Nie, najlepsza okazja do zniszczenia Fenrydera pojawi się, kiedy będzie on przewożony ciężarówką z Harlemu na Piątą Aleję. Wtedy i tylko wtedy będzie bezbronny. Wystarczy wysadzić ciężarówkę wraz z cennym ładunkiem. Dlatego 10-13 początkowo myślał o rozmieszczeniu ładunków C4 wzdłuż trasy przejazdu, ale szybko z tego zrezygnował, bo nie miał stuprocentowej pewności, jaką drogą pojedzie wóz. Wybrał inne, równie radykalne rozwiązanie...

Z chodnika, na którym stał g-wagen, 10-13 miał przez kratę widok na park.

Przed rezydencją nie zaparkowało żadne auto. Nie było nawet limuzyny Skolla.

Zgodnie z informacjami zebranymi przez Szakala, Skoll opuścił rezydencję wczesnym popołudniem, ale, o dziwo, nie wrócił do fundacji przy Piątej Alei. Co jeszcze dziwniejsze, nie wrócił też do rezydencji. Być może jednak Skoll nie zamierzał towarzyszyć generałowi na wernisażu, a w takim razie Fenrydera byłoby jeszcze łatwiej zniszczyć.

10-13 spojrział na zegarek, nie okazując zdenerwowania.

Nie przyjechał przed rezydencję wcześniej, ponieważ dobrze wiedział, że generał Fenryder nie podejmie ryzyka przejazdu do fundacji, dopóki nie będzie pewien, że stary senator March już tam jest. Wiedział też, że FBI kręci się po okolicy i że będzie musiał ubiec federalnych, kiedy Fenryder opuści już kryjówkę.

Dwie ekipy to nie za dużo, jak na tę akcję. Wziął z sobą Cumminga, Wilkinsona i kierowcę. Tish i Szakał stanowili trzon drugiej ekipy.

Każdy z jego ludzi wiedział, co ma robić. 10-13 nie czuł napięcia. Czuł tylko pewność, że Fenryder nie zdoła mu się wymknąć. Dla niego był żywym trupem, który przeżywa swe ostatnie minuty. Był pewien, że w końcu się zemści.

O siedemnastej dwadzieścia zapaliły się światła w parku. Mrok się rozproszył, kształty stały się wyraźniejsze, ale wciąż panował spokój. Od czasu do czasu strażnik wychodził z budynku, okrążał dziedziniec i siadał na chwilę w budce przy bramie.

Zawiesiwszy na palcach łańcuszek *tarhq*, jeszcze raz obejrzał wisior. Był inkrustowany czarnymi kamieniami i zgodnie z logiką wyobrażał łeb wilka.

Jego dawny właściciel, Ron Flint, nie oddał go z własnej woli. Tego zresztą nie można było oczekiwać od *tarhq-sagogh*, zwłaszcza że talizman był kluczem umożliwiającym zbliżenie się do pana bez obudzenia zabójczej mocy Potężnego Wiatru. W rękach kogoś, kto nie był strażnikiem kultu Człowieka Wilka, ten klucz mógł stać się bronią groźną dla samego Fenrydera.

10-13 znowu spojrział na zegarek. Była za kwadrans szósta, w parku otaczającym rezydencję wciąż panował niezmacony spokój. Czy to możliwe, by błędnie odczytał intencje Fenrydera?

Samochód Skolla nie wracał, a ekipa obserwująca fundację nie widziała go przez cały dzień.

10-13 czuł, że jego ludzie robią się nerwowi. Choć tego nie okazywał, jemu również nie podobał się ten złowieszczy spokój, ten nienormalnie pusty parking, to zniknięcie Skolla.

Zamknął oczy, żeby się skoncentrować.

— Ej, patrzcie — odezwał się nagle siedzący obok kierowcy Wilkinson.

Była siedemnasta pięćdziesiąt cztery i ciężarówka spółki King wjechała do parku.

Forrest tłumaczy się przed przyjaciółmi

Z całą siłą perswazji, jaką ma w sobie gotowy do strzału Glock 18, Forrest poprosił Sarah i Tima, żeby zechcieli odłożyć broń i usiąść na kanapie w salonie.

— Jeżeli ktoś z was drgnie, strzelam — powiedział, stojąc przed nimi. — Dobrze, teraz jestem pewien, że mnie wysłuchacie, więc zadam wam kilka pytań. Ten, kto udzieli niepoprawnej odpowiedzi, będzie winny cierpieniu drugiego, bo za karę będę strzelał. Jeżeli nie macie nic przeciwko temu, zacznę od nóg, przyjaciele.

Trzymając ich na muszce, oparł się o kominek.

— Ponieważ ustaliliśmy już reguły gry, zadam pierwsze pytanie: czego szukaliście w mojej pracowni?

— Dobrze wiesz — odparła Sarah, patrząc na niego ponuro.

— Powiedz, żebym mógł się upewnić.

— Jesteś wszawym *tarhq-sagogh*. Drugim w Nowym Jorku.

— Tak właśnie przypuszczałem — szepnął Forrest. — I March też w to wierzy, prawda?

— FBI poszukuje cię i chce aresztować — dodał Tim. — Tym razem nie uda ci się wymknąć.

— Tym razem? — powtórzył zdziwiony Forrest.

— Przykro mi, że muszę ci wyjaśnić, iż FBI podejrzewało cię o współudział w innych paskudnych sprawach. Chodzi na przykład o mord na twoim marszandzie, Oscarze Wattsie.

— Śmierć Oscara nie ma nic wspólnego z Wilkami — uniósł się Forrest.

Tim obrzucił go pogardliwym uśmiechem.

— Prawda, w tym okresie byłeś zaledwie członkiem Potrójnej Kreski twojego kumpla Gardnera. Dopiero potem przeszedłeś do Wilków Fenrydera. Wspaniały awans!

— March i FBI bardzo się co do mnie myślą — oświadczył, patrząc to na Sarah, to na Tima.

Wydawał się przytłoczony tym, co usłyszał, i jakby zadumany.

— Opowiem wam coś — odezwał się w końcu. — Otóż... ja także miałem swoje szóste piętro, jak Fundacja Waltera Skolla. Zamknięte piętro, na które obiecałem sobie już nigdy nie wracać, teraz jednak widzę, że to jedyny sposób, byście zdołali mnie zrozumieć.

Odsunął się od kominka i nie spuszczał ich z oka, przechadzał się po pokoju.

— Kiedy zacząłem odnosić sukcesy w Nowym Jorku, uderzyło mi do głowy. Robiłem mnóstwo głupstw. W tym czasie Eliot March zaopatrywał mnie w kokainę. Sam też brał, i to sporo. Powiedziałbym nawet, że był swoim najlepszym klientem, nie licząc mnie. Zaprzyjaźniliśmy się i któregoś dnia przedstawił mi „wielebnego” Gardnera. Facet przez godzinę truł mi głowę opowieściami, które uznałbym za makabryczne, gdyby nie fakt, że nie byłem wtedy sobą. Pomyślałem, że ten gość jest gorszy od Rasputina i Crowleya razem wziętych, i sama ta myśl tak mnie podekscytowała, że postanowiłem zostać jego przyjacielem. Oscar wciąż mi powtarzał, że sztuka nic sobie nie robi z moralności, a ja po prostu tego dnia wprowadziłem tę filozofię w życie, pojmując ją dosłownie.

Niestety, na nieszczęście Oscara.

Gardner mówił o Wielkim Koźlonogim, o Złym i jego absolicie z taką pasją, z jaką inni rozmawiają o finałach NBA. Był gawędziarzem jakich mało. Słuchając go, miało się wrażenie, że jest opętany, i to nie tylko tematem swojej opowieści. Była w nim tak ogromna żądza zniszczenia, że nabierała cech świętości. Nazwałbym go superprofetą. Oczywiście, prorokiem Zła. Błyskawicznie odmieniał naszą osobowość oszałamiającymi mowami. Ten facet potrafił opętać każdego głupca, byle ten był słaby, a mnie w tamtych czasach można uznać za uosobienie słabego głupca. Pogrążyłem się w jego szaleństwie, szybkim krokiem przemierzając Drogę Lewej Ręki. Myślałem, że moje malarstwo bardzo na tym zyska, i w pewnym sensie tak właśnie się stało. Tak, moje płótna jakby zyskały głębię... Wróćmy jednak do Gardnera. Był zawsze doskonale poinformowany o życiu ludzi, z którymi się stykał, a raczej do których chciał się zbliżyć, bo inicjatywa nawiązania znajomości zawsze wychodziła od niego. Wiedział, kim jestem, skąd pochodzę, znał moje prace, wiedział, kto je kupuje i za ile. Znał także galerię Oscara przy Pięćdziesiątej Siódmej Wschodniej. Pewnego dnia powiedział: „Ten esteta jest pedziem, a pamiętaj, Forrest, że Szatan nie lubi pedałów estetów, tak samo jak nie darzy ich miłością Ojciec Ukrzyżowanego”. W pierwszej chwili nie dostrzegłem kryjącej się w tych słowach pogroźki.

Nawet kiedy piątego lipca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego roku znaleziono potwornie zmasakrowane zwłoki Oscara w biurze przy galerii, nie od razu to do mnie dotarło. Byłem otumaniony przez narkotyki i przez Gardnera. Gdyby nawet Gardner wyznał mi, że torturował Oscara Wattsa i że w ten sposób go zabił, nie zareagowałbym inaczej. Może nawet całowałbym pokryte tatuażami ręce tego łotra. I to wzbudza we mnie największy wstręt. Pomyśleć, że byłem

zdolny całować go po rękach... Ale oczywiście Gardner nigdy nie przyznał się przede mną do tej zbrodni, jestem jednak pewny, że Oscara zamordował on i kilku jego uczniów. Wtedy wspomniano mi już niejasno o składaniu ludzkich ofiar, ale tylko się z tego śmiałem, po części z zepsucia, po części z niewiedzy.

Jego napięta, ponura twarz świadczyła o poczuciu winy za własną głupotę. Niemal wylękniony, szukał wsparcia w oczach Sarah. Spojrzała na niego i po chwili, jakby bez przekonania, zapytała:

— Forrest, czy byłeś jednym z tych ludzi? Mów prawdę!

— Nie — odpowiedział, uśmiechając się żałośnie. — Nie. Nigdy do nich nie przystałem. Można by powiedzieć, że przeszedłem z nimi tylko pewien odcinek drogi.

— Czy oddaliła cię od nich śmierć Oscara? — zapytał Tim.

— Nie. Przynajmniej nie od razu. Prawdę mówiąc w cztery miesiące po jego śmierci wyśniłem cię, Sarah. — Uśmiechnął się do niej. — To był jakby proroczy sen, bo przyszedł na długo przed naszym spotkaniem w Nowym Jorku. Pokochałem cię od pierwszego wejrzenia. Pomyślałem, że skoro gdzieś na świecie jest taka kobieta, to może zdołam odpokutować swoje winy. Natychmiast porzuciłem Potrójną Kreskę, uciekłem do Bostonu, a potem do Paryża, gdzie mieszkałem i pracowałem przez wiele lat. Myślałem, że udało mi się skończyć z Potrójną Kreską, jednak nie doceniłem Gardnera. Byłem w Paryżu, kiedy przysłał mi wiadomość. Odnalazł mnie, co zresztą nie było wcale trudne. Aż dziwne, że tak długo zwlekał. W pierwszym odruchu wyrzuciłem list do kosza, nawet go nie czytając. Ale Gardner zadbał, żeby zaznaczyć na kopercie „Skaryfikacja”. Tak napisał. Gra słów była przerażająco wymowna. Z duszą na ramieniu przeczytałem list. Gardner prosił, żebym przyjął

przedstawioną przez Fundację Waltera Skolla propozycję wystawy. Gdybym odmówił, rzucono by na mnie podejrzenie o udział w rytualnych mordach, do jakich dochodziło w Nowym Jorku w latach dziewięćdziesiątych, w tym w zabójstwie Oscara.

— Powiedziałeś nam przecież, że nie masz nic wspólnego z tymi potwornościami — wtrąciła Sarah. — Nie miałeś powodu bać się policji.

Wzruszył ramionami.

— Nie tak łatwo jadać przy stole diabła, a potem twierdzić, że nie skosztowało się żadnego z serwowanych dań. Gardner miał mnie w garści i dobrze o tym wiedział. A ja natychmiast się domyśliłem, dlaczego tak bardzo mu zależało, żebym przyjął tę propozycję. Wszyscy wiedzą, że senator March jest częstym bywalcem wernisaży w fundacji. Załatwienie Marcha od dawna było jednym z szaleńczych zamierzeń Gardnera.

— A ty zgodziłeś się być narzędziem w jego ręku — dokończył Tim, wyręczając Forresta.

— Gardner nie żądał, żebym zabił senatora, ale żebym wprowadził na wernisaż człowieka, który to zrobi. Nie wiedziałem, kto to ma być. Zgodziłem się w nadziei, że zdołam zniweczyć plany Gardnera i doprowadzić do jego aresztowania.

— A kiedy powiedzieliśmy ci o Wilkach Fenrydera? — zainteresował się Tim.

— Nie wierzyłem wam. Przynajmniej początkowo. Potem przyszło mi do głowy, że Gardner i generał Fenryder mogli połączyć swoje złe moce, żeby zrealizować wspólny cel: zabić senatora Marcha.

— Dlaczego o niczym nam nie powiedziałeś? — zapytała Sarah, skonsternowana, a zarazem odczuwająca pewną ulgę.

— Obawiałem się, że źle to przyjmiecie. Chyba się nie myliłem?

Opuścił broń i rzucił ją na kolana Tima.

— Pistolet nie jest nabity, możesz sam sprawdzić. Uciekłem się do podstępu z ciężkim sercem, chciałem jednak, żebyście wysłuchali mnie do końca.

— Nic już nie rozumiem — jęknęła Sarah, łapiąc się za głowę.

— Powtórzę jeszcze raz: senator March bardzo się myli. Nie jestem drugim *tarh-q-sagogh* Wilków w Nowym Jorku i nie zabiłem Oscara Wattsa. Mam nadzieję, że mi wierzysz, Sarah?

Dziewczyna zmrużyła oczy, wpatrując się w jego twarz.

— Szczerze mówiąc, sama nie wiem — powiedziała. — Według FBI wczoraj włóczyłeś się po parku na Bronksie w towarzystwie Gardnera.

— Wykluczone. Od powrotu do Nowego Jorku widziałem się tylko z Eliotem. Gardner gdzieś się zasztył i czeka na odpowiednią chwilę.

— Coś ci poradzę — odezwał się Tim, wstając z kanapy. — Nie pokazuj się dziś wieczorem na wernisażu.

— Tim, zrozum, to mój wernisaż. A jeśli mogę zapobiec śmierci Marvina Marcha, zrobię to za wszelką cenę.

— Będzie tam pełno glin — tłumaczył Tim. — A im wszystko jedno, czy należysz do Wilków, czy nie, przynajmniej chwilowo. Aresztują cię, kiedy tylko się tam pojawisz. Nic nie wskórasz. Twoja obecność może nawet pokrzyżować ich plany. Mówię ci, trzymaj się z dala od fundacji. Nie możesz tam iść, jasne?

Mówiąc to, Tim wziął komórkę i wybrał numer. Potem, trzymając telefon ramieniem przy uchu, wolnymi rękami sięgnął po broń i odbezpieczył ją.

— Trzeba uprzedzić senatora Marcha, że część jego hipotez jest błędna — oznajmił, słuchając kolejnych sygnałów telefonu.

10-13 (2)

Zanim ciężarówka firmy przewozowej King wyjechała z parku, upłynęło dziesięć minut. Wkrótce ruszyła Broadwayem, kierując się na południe. Kilka samochodów przed nią jechał szary g-wagen, a terenówka z 10-13 zgodnie z planem zamykała konwój.

W strumieniu aut dotarli Broadwayem do Sześćdziesiątej Czwartej Ulicy.

Jadący z przodu szary g-wagen zwolnił, czekając, aż go dogonią. Gdy kierunkowskaz ciężarówki zaczął migać, skręcił w prawo w Columbus Avenue. Trzy kolejne wozy powtórzyły ten manewr, by po czterystu metrach pojechać Dziesiątą Aleją do Clinton, dzielnicy zwanej niegdyś Piekielną Kuchnią.

Skręcili w lewo, w Czterdziestą Ósmą Ulicę, jednokierunkową, jak większość nowojorskich ulic.

Teraz Fenryder, który kierował się ku Piątej Alei, żeby wziąć udział w ofiarowaniu rodziny Marchów, był zdany na ich łaskę. Sile ich ognia nie zdołałoby się oprzeć żadne opancerzenie.

Dzielnice teatrów przejechali w niemal płynnym ruchu. Między Szóstą a Siódmą Aleją terenówka jadąca na czele gwałtownie zahamowała i ustawiła się w poprzek drogi. W wozie został tylko kierowca, trzej pozostali mężczyźni wyskoczyli na ulicę. Dwaj byli uzbrojeni w pistolety maszynowe MP5 Heckler & Koch, trzeci, Szakał, zarzucił już na ramię granatnik M-79.

Ciężarówka usiłowała uciec, cofając się, ale szary g-wagen grupy 10-13 odciał jej drogę. 10-13, Cumming i Wilkinson wysiedli. Gdy Wilkinson zbliżał się do ciężarówki z wycelowanym w drzwi pistoletem maszynowym, Cumming oparł na ramieniu 10-13 gotową do użycia M-136 LAW.

Serią dziewięciomilimetrowych pocisków dum-dum Wilkinson rozprawił się z zamkiem tylnych drzwi ciężarówki. Na pierś miał *tarhą*, który chronił go przed mocą Potężnego Wiatru Fenrydera. Trzymając rękę na klamce, odwrócił się do 10-13, który już przygotował się do strzału.

10-13 skinął głową, dając mu znak, by otworzył drzwi. Wilkinson natychmiast to uczynił.

Maleją szanse na sukces senatora

Tim na próżno usiłował dodzwonić się do senatora. Komórka była wyłączona.

— Prawdopodobnie March jest już w fundacji — stwierdził, zwracając się do przyjaciół i odkładając motorolę.

Na jego twarzy malowała się powaga. Znowu pojawiła się zmarszczka nad opaską.

Sarah nie rozumiała tego nagłego zaniepokojenia.

— Zastanów się — powiedziała. — To, że Forrest jest niewinny, nie zakłóci przebiegu operacji i nie spowoduje jej niepowodzenia.

— Sarah, sprawa jest poważniejsza, niż ci się wydaje. Przecież to FBI poinformowało wczoraj senatora Marcha o rzekomym spotkaniu Forresta z Gardnerem w parku na Bronksie. Ktoś zatem kłamie: albo Forrest, albo agenci FBI.

A z tego wynikałoby, że do FBI przeniknęli ludzie Wilków.

— Żeby mieć czyste sumienie — dodał Tim — musimy zwerifikować informacje podane senatorowi przez FBI. Być może są mylne albo kłamliwe. Zacznijmy od tego, co najbardziej mnie dręczy. Pamiętasz sprawę transportu? Skoll miał wynająć ciężarówkę, żeby pojechać po Fenrydera tej nocy, kiedy

przyplłynął on do portu Jersey City. Przypominasz sobie nazwę firmy transportowej?

— Spółka King — odparła bez wahania. — Dobrze, wystarczy tam zadzwonić, żeby się upewnić.

Sarah wybrała numer biura informacji. Poprosiła o numer firmy i odpowiedziała „tak”, kiedy zaproponowano jej połączenie z tym numerem. Czekala.

Na szczęście trafiła na skłonną do współpracy sekretarkę. Postanowiła użyć blefu.

— Dobry wieczór. Dzwonię z Fundacji Waltera Skolla. Nasza księgowość ma pewne problemy z waszą fakturą za wynajem ciężarówki nocą z piętnastego grudnia, to było z poniedziałku, na wtorek szesnastego. Czy mogłaby pani podać mi brakujące szczegóły?

— Z przyjemnością. Telefonował do nas pan Skoll. Chciał przetransportować skrzynie z portu w Jersey City na Manhattan, jeśli mnie pamięć nie myli. Towar dotarł dopiero nocą z powodu opóźnienia na morzu. Pan Skoll mówił, że sprawa jest pilna.

— Towar? — podchwyciła Sarah. — Zwróciliśmy się do was w sprawie przewozu jednej skrzyni jedną ciężarówką.

— Ciężarówki były dwie — poprawiła ją sekretarka.

Na te słowa serce Sarah uderzyło mocniej: FBI mówiło o jednej ciężarówce.

W skrytości ducha pobłogosławiła wszystkie gadatliwe sekretarki z New Jersey, gdy usłyszała coś, o co nawet nie zapytała.

— Nie mam pod ręką adresu dostawy, ale proszę chwileczkę poczekać, połączę panią z Billem. On będzie wiedział. Był tego wieczoru w ekipie transportowej.

Sarah musiała zaserwować swoją opowieść o problemach rachunkowości Billowi, a on połknął haczyk.

— Tak — zaczął — doskonale pamiętam. — Załatwiłem to bezpośrednio z pani szefem. Cholera, jak on się nazywa?

— Pan Skoll — przypomniała mu natychmiast.

— Tak, właśnie, Skoll. Ostry facet, co? Właściwie nie powinienem tego mówić. Zwłaszcza że pracuje pani pod jego kierownictwem przez pięć dni w tygodniu.

— Proszę się nie martwić, nie wspomnę mu o naszej rozmowie.

— Przynajmniej pani jest tam miła. A co do faktury, to oczywiście zastosowaliśmy nocną taryfę. Normalnie o tej porze ja i chłopaki spokojnie sobie śpimy.

— Jaki adres dostawy podał panu pan Skoll?

— Niech no się zastanowię... Pierwsza ciężarówka przyjechała do portu około północy, dokładnie pamiętam. A pani szef czekał na nas. Był z nim jeszcze jeden facet i on pojechał ze skrzyniami. Załadowaliśmy cztery i dostarczyliśmy gdzieś w Harleemie. Do, powiedziałbym, dość sztywnego budynku. Ale nie przypominam sobie, gdzie to dokładnie było. Adres wyleciał mi już z głowy.

— Zapewne do aneksu fundacji.

— No właśnie. Do aneksu. Pamiętam, że tak to nazywał pani szef.

— A pozostałe skrzynie? Wróciliście po nie później, tak?

— To nie tak było! Skoll wynajął od nas dwie ciężarówki. Poprosił, żeby ta druga podjechała pół godziny później. Nie bardzo wiem dlaczego. A co do pozostałych skrzyń, to była już tylko jedna, ale piekielnie duża i ciężka. Phil mówił, że wydobył ją z kontenera. Phil kierował drugą ekipą.

— Wie pan może, dokąd pojechała ta druga ciężarówka? — Sarah wstrzymała oddech, ale już знаła odpowiedź.

— Prosto do waszej fundacji przy Piątej Alei. Nie wiedziała pani o tej ogromnej skrzyni?

10-13 przybywa z dostawą szampana

Z palcem na spuście raketnicy i okiem wpatrzonym w celownik 10-13 czekał, by skierować zabójczą siłę ognia na wroga. Toteż trudno opisać jego rozczarowanie, gdy wewnątrz ciężarówki zamiast sarkofagu, który widział już oczyma wyobraźni, ujrzał sześć małych, drewnianych skrzynek ułożonych jedna obok drugiej tuż pod ścianą.

Wyglądało na to, że zawierają one butelki z szampanem i są przeznaczone dla gości zaproszonych na wernisaż. Potwierdził to kierowca ciężarówki, który z podniesionymi rękami stał przy samochodzie. Towarzyszyło mu dwóch kelnerów w białych liberiach. Zapewnili, że kierowca mówi prawdę.

— Gdzie Fenryder? — zapytał Szakał, grożąc, że ich zastrzeli, jeśli nie udzielą dokładnej odpowiedzi.

— Kto taki? — zapytał wystraszony kelner.

Miny dwóch pozostałych świadczyły, że na ten temat nie mają nic do powiedzenia. Żaden z nich trzech nie miał pojęcia, kto jest jego prawdziwym szefem, co dodatkowo rozwścieczyło 10-13, który zrozumiał, że ma przed sobą trzech Bogu ducha winnych głupków.

— Daliśmy się wpuścić w kanał — stwierdził Szakał, podchodząc do 10-13.

— Jeszcze nie — syknął przez zęby 10-13. — Jeszcze nie.

— Czyżbyś chciał wejść do fundacji? — zapytał Szakał, którego taki pomysł przyprawiał o dreszcz.

— Czy ty nic nie rozumiesz? — obruszył się 10-13. — Fenryder wcale nie był w tej rezydencji. Odwieziono go prosto do fundacji tamtej poniedziałkowej nocy.

— Cholera! Ten łajdak Skoll nieźle sobie z nas zadrwił. Jak zdołamy tam się dostać?

— Chcieli szampana? W porządku, my im go dostarczymy.

110-13 rozkazał Tishowi i Wilkinsonowi przebrać się w białe liberie kelnerów, a następnie wsiąść do kabiny razem z Szakalem, któremu przypadła rola kierowcy. On sam z Cummingiem zajęli miejsce z tyłu obok skrzynek szampana. Kierowcę oraz obu kelnerów zmuszono, by także tam weszli.

Gdy drzwi się zamknęły, 10-13 odczekał chwilę, by wóz ruszył. Potem zabił kolejno prawdziwego kierowcę i dwóch kelnerów, strzelając im w głowy z pistoletu z tłumikiem.

Żalodne skutki uboczne, pomyślał, chowając jeszcze gorącą broń.

Wkrótce ciężarówka znalazła się w miejscu, z którego widać było fundację, a po chwili przyhamowała przed wjazdem na podziemny parking, gdzie przy barierce stał uzbrojony strażnik.

— Dostawa szampana — oznajmił z pełnym przekonaniem Wilkinson.

Na kolanach położył sobie pistolet z tłumikiem i był gotów go użyć, gdyby strażnik czynił im najmniejsze trudności. Ale ten nie należał do nadgorliwych.

Barierka poszła w górę i ciężarówka mogła już zjechać z rampy.

Zaczyna się zabawa

Kroniki towarzyskie i kulturalne nowojorskich gazet mogłyby uznać wernisaż Forresta Magnusa za jedno z najbardziej udanych wydarzeń sezonu, przynajmniej dopóki późnym wieczorem nie doszło do strasznych wydarzeń. Krytycy, nawet ci nieliczni, którzy jeszcze przed tygodniem wahali się, czy przyjść, pojawili się w komplecie, zwabieni tak niedawnym

skokiem z szóstego piętra Neila Garsona, szefa biura prasowego fundacji, który przedtem zdemolował gabinet Lisy Whittaker, rozbijając sprzęt lewarkiem. Jak to ujął Phil Flanagan, kurator wystawy, Neil zawsze był niezrównany w czynieniu ze swoich wypowiedzi „mocnych akcentów” wieczoru. I, jak słusznie twierdzili najwytrawniejsi krytycy z Manhattanu, można mu było wierzyć, a czyn Neila był na miarę eksplozji, „absolutnie” godnej uwagi. „Wspaniałe” — to słowo padało najczęściej z kształtowanych za pomocą botoksu ust gości, a wtórowało mu „cudowne”, a raczej „cuudownee”.

Wśród dwustu przybyłych tego wieczoru osób, poza plejadą krytyków sztuki, znaleźli się bogaci kolekcjonerzy, którzy przyjechali z całej Ameryki prywatnymi samolotami. Byli też wysoko postawieni goście, jak choćby gubernator Edgar Prospero, teść i stary przyjaciel senatora Marcha, czy wiceburmistrz do spraw kultury, reprezentujący bawiącego na świątecznym urlopie na Zachodnim Wybrzeżu Michaela Bloomberga. Pojawił się także Marvin March w towarzystwie młodej małżonki i dwóch ochroniarzy.

Całe to doborowe towarzystwo, pachnące kosztownymi perfumami, imponujące biżuterią, skupiło się przy płótnach Forresta Magnusa. Każde kolejne odkrycie wywoływało fale okrzyków „cudowne, wspaniałe”, które jakby elektryzowało sale wystawowe. Szukano artysty, chcąc mu pogratulować, ale organizatorzy z pewnym zakłopotaniem tłumaczyli, że Forrest Magnus jeszcze się nie pojawił, że z pewnością przybędzie tu lada chwila.

W imieniu Fundacji Waltera Skolla po salach krążyła promienna Allison Weiss, która rozdawała katalogi i życzyła miłego wieczoru. Dawna asystentka nieodżałowanego Neila Garsona, obecnie odpowiedzialna za relacje zewnętrzne, tego wieczoru

pojawiła się w obcisłej sukni, wydekoltowanej głęboko na piersiach i na plecach. Taki strój dowodził, jak bardzo pragnie kontynuować linię wytyczoną przez byłego szefa, używając do tego celu broni, jaką on nie dysponował. Wszystko w niej nastawione było na spełnienie nowych ambicji, które można by ująć następująco: „Przysięgam, iż sprawię, że pokochacie sztukę współczesną”.

Trudno się dziwić, że raczej mężczyźni niż kobiety przejawiali chęć, by poświęcić jej całą swoją uwagę. Zawsze pełen współczucia Phil Flanagan szepnął nieco złośliwie: „Domyślam się, że w pewnych sytuacjach jej biodra są tak ponętne, jak łądzwia »upadłego« Garsona”.

Lecz tego wieczoru świetne wejście miała Jennifer Nice, istna bułeczka semteksowa, nafaszerowana hormonami piosenkarka zespołu R'n'B. Od trzech lat Jennifer Nice wielbiła twórczość Forresta. W ubiegłym roku pojechała do Paryża wyłącznie po to, żeby obejrzeć jego wystawę w centrum Pompidou Beaubourg, i szeptało nawet, że zakochała się w malarzu, chociaż ten kochał inną, także czarnoskórą. Tak przynajmniej mówiono.

Jako bodhisattwa wernisażu Phil Flanagan uznał za swój obowiązek zając się piosenkarką, a dyrektorze fundacji, Lisie Whittaker, pozostawił troskę o senatora i jego młodą małżonkę, których oprowadzała po siedmiu salach wystawowych. Lisa z przyjemnością wzięła na siebie ten trud.

Stojąc przed dużym obrazem, *Witryną* numer 5, opisywała senatorowi rozmaite techniki zastosowane przez Forresta Magnusa, gdy wręcz podpłynął do nich ubrany w biały garnitur młody dandy z bródką.

— Kenneth Foreman — przedstawił się, podając Marvinowi Marchowi wizytówkę krytyka sztuki. — Cieszę się, doprawdy bardzo się cieszę, że pana tu widzę, panie senatorze.

Uśmiech Foremana był równie bezbarwny, jak dzień bez kawioru.

— Co sądzisz o naszej wystawie, Kenneth? — zapytała dyrektorka.

— Niesamowita, bliska absolutu! — wykrzyknął, zamaszycie gestykulując. Stojąca obok młoda blondynka o silikonowym biuście wybuchnęła śmiechem. Nie wiedząc, czy śmieje się z niego, także parsknął, bo nie chciał pozostać w tyle.

„Nigdy nie pozostawać w tyle” — tak brzmiało pierwsze przykazanie wyznaczonego przez niego kodeksu życia towarzyskiego.

Posługując się z góry przygotowanymi zdaniami i komplementami na każdą okazję, Foreman fruwał jak motyl z wystawy na wystawę i płał w życiu towarzyskim jak wisienka koktajlowa w Tomie Collinsie. Żądny zaszczytów, zabiegający o znajomości nie dlatego, że mu ich brakowało, ale dlatego, że tym żył, ten wernisażowy narkoman miał duszę nimfomana, ale tylko wobec wpływowych. „Dziwka”, „Dupoliz” — tak nazywali go „przyjaciele” i koledzy po fachu. Nie przejmował się tym, ponieważ należał do grona ludzi, którzy wolą, żeby mówiono o nich źle, niż żeby nie mówiono wcale.

Przestał się jednak śmiać, kiedy zauważył, że March nawet się nie uśmiecha. Senator wyglądał na zatroskanego i pełnego dystansu. „Skoro mąż się boczy, zagadnij żonę”, głosiło drugie przykazanie Foremana. Postanowił niezwłocznie je zastosować.

Przybrał teatralną minę konspiratora i zwrócił się do młodej Dolores March.

— Szanowna pani, to tu, w tym cudownym miejscu, rodzą się główne trendy jutra. Proszę mi wierzyć, moja droga, że o tej wystawie będzie głośno jeszcze za dwadzieścia lat, a nawet dłużej.

Kenneth Foreman nie domyślał się, że właśnie wypowiedział jedyne dwa zdania, które staną się śladem jego kariery w pamięci przyszłych pokoleń, ponieważ wydarzenia tego wieczoru miały potwierdzić ich słuszność.

10-13 (3)

10-13 ruszył w kierunku parkingowych wind, za nim szli jego ludzie. Czuł w sobie spokojną siłę. W końcu wybiła godzina zemsty! Jego rękami tej zemsty dokona Matthew Beals, jego młody przyjaciel*. Uwięziony w sarkofagu Fenryder nie zdoła im się wymknąć. 10-13 pomyślał o wszystkim, co robił przez ostatnie lata, żeby doczekać się tej chwili. Przed oczyma stanął mu martwy Matthew z twarzą wykrzywioną z bólu i przerażenia.

* Por. *Wilki Fenrydera*, *op. cit.*, s. 353–355.

Och, Matthew, pomszczę cię.

Szakał wcisnął przycisk, a drzwi windy, niczym znak od przeznaczenia, otworzyły się natychmiast.

— Pojadę z Szakalem — powiedział 10-13, wchodząc do kabiny. — Reszta do drugiej windy.

Bez wahania wcisnął guzik szóstego piętra. Nigdy jeszcze poczucie siły nie było w nim tak mocne, tak oczywiste. Winda ruszyła w górę.

10-13 (który w rzeczywistości nazywał się Colin Tyron) wyjął spod marynarki dwa uzi i odbezpieczył je. Szakał zrobił to samo ze swoimi.

— Uważaj na siebie, mały Szakału — rzekł 10-13.

— Ty też, Colin.

— Jeżeli Wilki czekają na nas na górze, celuj w ich ręce w rękawiczkach. Nie w głowę ani szyję. Tylko w ręce w rękawiczkach.

Szakal uśmiechnął się i pokiwał głową.

Dlaczego właśnie Szakal? Dlaczego szedł na spotkanie z Fenryderem w towarzystwie tego chłopaka? Choć Szakal już się wyleczył, nie był wcale najlepszym z jego ludzi. Czy to z powodu podobieństwa do Matthew Bealsa, który zginął z rąk Wilków? Tak, z Szakalem czuł się trochę tak, jakby Matthew szedł z nim, by pomścić swą straszliwą śmierć.

10-13 odwdzielił się uśmiechem Szakala. Był szczęśliwy.

Kabina zatrzymała się, drzwi się otworzyły. Wysiedli. Żaden Wilk nie wyszedł im na powitanie.

Tish, Wilkinson i Cumming dojechali drugą windą. 10-13 skinął na dwóch pierwszych — mieli iść z nim, a Cumming pozostał na straży przy windzie.

— Tędy — szepnął Szakal, wskazując dwuskrzydłowe drzwi.

Szli, zachowując spore odległości między sobą.

Duża sala konferencyjna była pogrążona w mroku, ale nie w kompletnej ciemności. W głębi, w wykuszu, stał samotnie sarkofag generała Fenrydera otoczony bursztynową poświatą. Pięciu mężczyzn przystanąło, obserwując to fascynujące zjawisko i niezwykłą ciecz, która wypełniała Potężny Wiatr i nie wyciekała, choć sarkofag ustawiony był pionowo. Drobne fale pojawiły się na jej powierzchni, marszcząc ją lub wygładzając, a żółtawe światło padało na blat długiego stołu, tańcząc po nim i ożywiając blask czerwonego szkła lamp Gallé.

Wydawało się, że Potężny Wiatr drzemie.

Rozejrzeli się po ciemnym pomieszczeniu i nie dostrzegli żadnego z Wilków. Na szóstym piętrze byli sami. Sami z Potężnym Wiatrem Fenrydera.

Szakał zatrzymał się tuż za progiem, a 10-13 i inni poszli dalej. Czyżby mały Szakał się wystraszył? — zastanawiał się 10-13, który czuł wyłącznie spokój i pewność siebie. Miał wrażenie, że jest silny, a to coś, co pozostawiono w wykuszu, wydawało mu się bezbronne, zdane na jego łaskę, mimo magicznych sztuczek i zaklęć. I nie tylko dlatego, że zawiesił na szyi *tarhq*.

Uświadomił sobie, że nosi dziś tę samą skórzaną kurtkę, którą miał wtedy, gdy poszedł do mieszkania Matthew i znalazł go martwego, z przerażeniem na twarzy. Włożył też te same buty.

— Wszystko jest w porządku — szepnął.

Czuł się niepokonany. Niczego się nie boję, nawet tego, pomyślał, zbliżając się do sarkofagu.

Tarhq go chronił, on jednak wiedział, że nienawiść i tylko nienawiść sprawia, iż idzie przez tę salę.

Sarah i jej przyjaciele udają się do fundacji

Nie mogąc skontaktować się z senatorem i nie chcąc ryzykować, dzwoniąc do niego przez FBI albo centralę fundacji, postanowili udać się tam wbrew zakazowi Marvina Marcha i wbrew obietnicy, którą Tim złożył Jodie.

Zostawili Forresta przed budynkiem, żeby obserwował wejście, i we dwoje wjechali do podziemnego garażu, gdzie strażnik wpuścił ich po odnalezieniu ich nazwisk na liście gości specjalnych. Ponieważ Forrest uprzedził ich, że ochrona zainstalowała wykrywacze metalu, postanowili, acz z niechęcią, zostawić broń w fordzie.

Windą wjechali na parter, przeszli przez dwie zatłoczone

sale i odszukali elegancko ubranego senatora oraz jego małżonkę Dolores, którym towarzyszyła dyrektor artystyczna Lisa Whittaker.

— Przepraszam na chwilę — powiedział natychmiast starszy pan i opuścił obie panie, wychodząc naprzeciw Sarah i Timowi.

Tim poinformował go, że Fenryder najprawdopodobniej jest w budynku.

— Ależ to niemożliwe — obruszył się senator, gwałtownie błędąc. — FBI powiadomiłoby mnie o tym.

Sarah wolała na razie nie wspominać mu o ich wątpliwościach co do wiarygodności FBI i poprzestała na przekazaniu tego, czego dowiedziała się w firmie transportowej King.

— Kiedy Fenryder przyplłynął do portu — wyjaśniła — Walter Skoll wynajął nie jedną, ale dwie ciężarówki. Pierwsza przyjechała do portu w Jersey City tuż przed północą i za nią ruszyli ludzie dziesięć-trzydzieści, śledząc ją aż do aneksu. Druga pojawiła się pół godziny później, kiedy droga była już wolna, i dostarczyła towar tu, do fundacji.

— Psiakrew! To oznacza, że Dolores jest w niebezpieczeństwie!

— Oczywiście — potwierdził Tim. — Podobnie jak pan, senatorze. Powinniście natychmiast opuścić to miejsce. Jeżeli ma tu dojść do rzezi, to wyłącznie z powodu pańskiej obecności. Proszę o tym pamiętać.

— Dobrze. Zgoda. — Odszedł, ale po chwili zawrócił. — Proszę to wziąć, panie Modin. Tylko dyskretnie. Nie ma sensu wywoływać paniki. Zwłaszcza że to skłoniłoby Wilki do przyspieszenia akcji.

— Spluwa? — zdziwił się Tim na widok walthera P38.

— Ostrożnie, jest naładowany. Domyślam się, że potrafi się pan obchodzić z bronią.

— Cholera, udało się panu przemycić pistolet!

— Jeżeli myśli pan o bramkach bezpieczeństwa, to musi pan wiedzieć, że nie uznano za stosowne poddawać mnie kontroli, i na szczęście postąpiono tak samo ze wszystkimi agentami FBI, od których się tu roi. Maszyna by się spaliła, a ja pewnie bym ogłuchł. Dobrze, zaczekajcie tu. Pomówię z żoną. Musi za wszelką cenę wydostać się z tego gniazda os.

Dolores waha się między zaufaniem a niepokojem

Zdaniem wszystkich, którzy mieli okazję poznać młodą żonę senatora, była to naprawdę bardzo ładna kobieta. Młodsza od Marvin Marcha o czterdzieści dwa lata Dolores zakochała się w nim pierwsza, a nie odwrotnie, jak by można sądzić, widząc ich razem.

Jej ojciec, gubernator stanu, bez entuzjazmu przyjął decyzję córki, która postanowiła związać się z jego rówieśnikiem. Żeby się otrząsnąć, wychylił duży kieliszek hennessy. Gorycz złagodziła wiadomość, którą usłyszał tego samego wieczoru — przyszłym zięciem okazał się jego najbliższy przyjaciel Marvin March. Oczywiście, mógł doprowadzić do kłótni, otwarcie powiedzieć Marvinowi, co sądzi o jego matrymonialnych planach, ale był prawdziwym liberałem, a poza tym nie potrafiłby cisnąć kamieniem w przyjaciela, bo sam zdradzał żonę z każdą młodą stażystką, która przewinęła się przez jego biuro, i często te dziewczyny były rówieśnicami Dolores. Dlatego pogodził się z losem i dolał sobie koniaku, tym razem — żeby uczcić tak ważne wydarzenie.

Edgar Prospero i Marvin March darzyli się szacunkiem, a także wzajemnie cenili, co jest dość rzadkie w relacjach

między ludźmi, a zwłaszcza między dwoma starymi wygami sceny politycznej.

Błyskotliwą karierę robili jeśli nie razem, to równolegle. Niemal w tym samym czasie zajęli się polityką — March w 1973, Prospero rok później. A kiedy w latach dziewięćdziesiątych jeden zdobył mandat senatora, drugi został gubernatorem. Ich losy wydawały się tak mocno z sobą związane, że trudno się dziwić, iż w końcu stali się rodziną.

Sama Dolores, jako córka liczącego się polityka, była w pewnym sensie predestynowana, by poślubić człowieka z tych kręgów, choć matka, córka senatora, stale zachęcała ją do przełamania rodzinnego konformizmu i udowodnienia, że stać ją na oryginalność.

Dolores bardzo kochała matkę, jednak tym razem jej nie posłuchała. I jak dotąd nie żałowała swego kroku. Zresztą za jej plecami nawet przyjaciele szeptali, że mogłaby trafić gorzej.

Marvin March, w młodości błyskotliwy adwokat, jako polityk zyskał szacunek nawet w przeciwnym obozie republikańców. Rzecz jasna jego powtórne małżeństwo z kobietą młodszą o czterdzieści dwa lata i uroczysty ślub w roku dwutysięcznym stały się ulubionym tematem popularnych programów satyrycznych, pojawiły się także nieprzyjemne karykatury, jednak ogół mediów nie podkreślał przesadnie różnicy wieku między nowożeńcami. Teraz nadszedł czas, by się przekonać, czy wiadomość o ciąży młodej pani senatorowej zostanie przyjęta równie życzliwie.

Wykorzystując chwilę, gdy Lisa Whittaker zwróciła oczy na płótno, o którym im opowiadała, Dolores dotknęła ręką brzucha, dumna, że wkrótce zostanie matką i że tego dzieła dokonał Marvin. Cięża była jeszcze niewidoczna, lekką nadwagę można było uznać za efekt koktajli i kolacji, które zajmują tak dużo

miejsca w życiu żony senatora. Dolores jeszcze nie mówiła o tym nikomu poza najbliższą rodziną. (Dowiedziawszy się o ciąży córki Edgar Prospero, rzecz jasna, zwrócił się ku bogu Hennessy). Druga ultrasonografia nie wykazywała żadnych nieprawidłowości w rozwoju płodu. „To będzie wspaniałe dziecko” — obiecał jej lekarz. Nie chciała poznać płci maleństwa, wolała poczekać na niespodziankę do porodu. Jeżeli na świat przyjdzie chłopiec, nadadzą mu imię Marvin junior, dziewczynka będzie się nazywała Kate. Jednak w skrytości ducha Dolores czekała na małego Marvina juniora i...

Nagle uświadomiła sobie, że wcale nie słucha Lisy Whittaker. Przywołała się do porządku i postanowiła skupić uwagę. Dyrektorka właśnie zaproponowała przejście do kolejnej sali.

Gdy za nią szli, Marvin z niepokojem ujął Dolores pod ramię i lekko naciskając jej łokieć, zapytał:

— Kochanie, dobrze się czujesz?

Uspokoila go miłym uśmiechem i wraz z krytykiem w białym garniturze, tym Kennethem jakimś tam, zatrzymali się przed następnym wielkim dziełem Forresta Magnusa, *Witryną* numer 8, która ukazywała wystawę sklepu rzeźniczego. Whittaker opowiadała o hołdzie, jakim jest ten obraz dla sławnej *Ćwierci wołu* Rembrandta, a Kenneth jakiś tam przytakiwał jej.

Chociaż młodej senatorowej bardzo podobało się hiperrealistyczne malarstwo Forresta Magnusa, nie mogła się skoncentrować i myślami znów uciekła ku innym sprawom.

Ogarnęła czułym spojrzeniem swego Marvina. On przynajmniej umiał ukrywać zdenerwowanie, pomyślała z uwielbieniem, wyrzucając sobie, że nie potrafi tak dobrze nad sobą panować.

Oczywiście, okoliczności łagodzące przemawiały na jej korzyść. Nigdy nie było przyjemne dowiadywać się, że życie

własne i współmałżonka jest zagrożone przez żądnych krwi fanatyków. Kiedy Marvin ostrzegł ją przed czyhającym na nich niebezpieczeństwem, zareagowała bezsennością, ale od kilku dni, dokładnie, odkąd Marvin powiedział jej prawdę o Eliocie, wiedziała, na czym stoi, i czuła się pewniej. Po prostu trochę jej ulżyło.

Uspokajał ją także fakt, że dano im ochronę policyjną. Poza dwoma towarzyszącymi im zwykle ochroniarzami teraz czuwało nad nimi FBI. Przed chwilą Marvin powiedział jej nawet, że w salach wystawowych fundacji jest wielu agentów w cywilu. Być może rozmawiała z jednym z nich, myśląc, że zwraca się do krytyka Kennetha jakiegoś tam. Być może ten mężczyzna ukrywał pod białą lnianą marynarką kaburę z regulaminową trzydziestkąosemką.

Wyobraziła to sobie, uśmiechnęła się bezwiednie, umoczyła usta w kieliszku szampana i starała się dostrzec oznaki, które wzmocniłyby w niej poczucie bezpieczeństwa.

Ale nie zauważyła żadnego takiego znaku. Usłyszała natomiast, jak mąż mówi:

— Przepraszam na chwilę.

I zobaczyła, jak odchodzi, żeby porozmawiać z młodą czarnoskórą kobietą i mężczyzną o wyglądzie pirata. To na pewno agenci FBI...

Automatycznie unosząc kieliszek do ust, nie odrywała oczu od Marvina i zauważyła, jak zimna krew, którą tak w nim podziwiała, nagle gdzieś znika.

Dolores obserwowała go z zaniepokojeniem, gdy szedł w jej stronę.

Ten niepokój zamienił się w panikę, kiedy Marvin March nagle się zatoczył i blady jak śmierć przycisnął rękę od serca.

Senator schodzi do sutereny

Fenryder jest gdzieś w budynku, powtarzała sobie Sarah, jakby chciała w pełni uświadomić sobie znacznie tej informacji i związane z nią niebezpieczeństwo.

Sarah powiodła wzrokiem za senatorem, który zbliżał się do towarzyszących mu osób. Zauważyła, że w połowie drogi zwolnił, potem się zatoczył i uniósł rękę do serca.

— O nie! — wyrwało jej się.

Senator March doznał zawału serca.

Zanim ona i Tim zdążyli zareagować, do senatora podbiegli dwaj ochroniarze. Podtrzymując go, zabrali do holu.

Poruszeni goście, szepcząc, skupili się wokół Marcha, toteż Sarah i Tim nie zdołali do niego podejść.

Pojawił się lekarz. Pielęgniarze przenieśli chorego do windy. Towarzyszyły mu Dolores oraz dyrektorka artystyczna Lisa Whittaker. Tim obserwował okienko nad windą. Jedyńka zniknęła, pojawił się poziom minus jeden. To był parking. A zatem zamierzano przewieźć senatora do szpitala.

Sarah i Tim postanowili dogonić ich schodami pożarowymi. Przeskakiwali po trzy metalowe stopnie, a ich kroki rozbrzmiewały głośnym echem.

Gdy dotarli na parking, zobaczyli grupę ludzi idących do zaparkowanej przy wjeździe limuzyny. Kiedy już biegli w tamtą stronę, za ich plecami pojawił się Eliot March, który trzymał oburącz wycelowanego w nich colta .38.

— Ani kroku dalej! — krzyknął.

Jego dźwięczny głos wypełnił cały parking. Ludzie towarzyszący senatorowi odwrócili głowy. Sarah i Tim posłusznie stanęli.

— Zapomnieliśmy o nim — wycedził przez zęby Tim, zerkając przez ramię.

— Cholera, przecież powiedziałem: nikt się nie rusza! — krzyknął Eliot March.

Z rękami w górze Sarah odwróciła się do niego.

— Niech pan nie będzie głupi. Tu aż się roi od agentów FBI. Nie ma pan szans.

— Proszę stać z podniesionymi rękami i nie zmuszać mnie, żebym kogoś tu zabił, bo zrobię to z przyjemnością. Nie radzę mnie podjudzać.

Tim, który wciąż stał do niego tyłem, wybuchnął:

— Do diabła! Czy pan rozumie, co się do pana mówi? Policja wie o wszystkim.

— Wiem, Modin — odparł Eliot, by dorzucić z uśmiechem: — wiem, bo sam jestem z FBI.

I wolną ręką pokazał im legitymację agenta federalnego.

— Aresztuję was oboje za próbę zabójstwa mojego ojca Marviniego Marcha.

— Co takiego?! — wykrztusił Tim, gwałtownie się odwracając.

Agent specjalny Eliot March spełnił groźbę, strzelając mu w nogę. Tim upadł.

— Przecież uprzedzałem. Nie pogarszaj swojej sytuacji, Modin.

Potem, zbliżając usta do mikrofonu schowanego w kieszeni koszuli, powiedział:

— Dobra, chłopaki! Dwoje już mamy. Możecie wchodzić. — Wyciągnął z kieszeni dzinsów kajdanki i rzucił je Sarah.

— Niech pani skuje swojego współnika.

Sarah stała jak wryta, trzymając kajdanki.

— Odmawia pani?

— Robi pan potworne głupstwo, March — powiedział Tim, z trudem łapiąc oddech.

— Proszę o natychmiastowe wsparcie, mówi agent specjalny Eliot March! — powtórzył, pochylając się do mikrofonu. — Co tam robicie? Mam tu dwoje podejrzanych, trzeba ich zabrać!

Sarah dostrzegła, że Eliot jest bardzo zdenerwowany. Sytuacja mogła przybrać fatalny obrót. Postanowiła wykonać jego polecenie i przykucnęła, żeby założyć Timowi kajdanki.

— Doskonale. Teraz pani kolej. Proszę uklęknąć, tyłem do mnie.

Zawahała się, a potem, jak w koszmarnym śnie, zrobiła, co kazał. Podszedł do niej, wciąż trzymając ich na muszce. Związał jej ręce. Potem brutalnie sprawdził kajdanki Tima.

— Doskonale — stwierdził.

Forrest postanawia włączyć się do gry

Spacerując wzdłuż ogrodzenia fundacji, Forrest obserwował z bezpiecznej odległości wejście do budynku. Wcisnął ręce do kieszeni i postawił kołnierz, żeby osłonić się przed mroźnymi podmuchami wiatru. Nie mógł odsunąć od siebie myśli, że ta sytuacja była okrutna w swej ironii. Jego nazwisko wypisano wielkimi literami na sownicie oświetlonej tablicy w holu, jego dzieła prezentowano licznie przybyłym gościom, a on, artysta, nie mógł się tam pokazać i musiał pogodzić się z myślą, że tylko z daleka będzie uczestniczył w triumfie swojej sztuki.

Budynek był oświetlony w dolnej części, co wydawało się logiczne każdemu, kto znał jego układ — siedem sal wystawowych znajdowało się na poziomie parku. Z miejsca, w którym stał, czyli z chodnika Piątej Alei przed bramą otaczającą park, widział poruszające się po oświetlonym holu sylwetki.

Forrest uniósł głowę, patrząc na górne piętra budynku — szóste, pozbawione okien, było niewidoczne. Przypomnił sobie, że krytyk Shirley Zimmer, jego przyjaciółka, opowiadała mu, jak nowojorczyki nazywali ten gmach w roku 1970, gdy go zbudowano — ochrzcili go mianem „kamienia nagrobnego”.

Ciarki przebiegły mu po kręgosłupie, ale ten dreszcz nie miał nic wspólnego z przenikliwym, mroźnym wiatrem.

To nie Sarah i Tim powinni być teraz w środku, ale on, Forrest. I nie tylko dlatego, że wystawiano jego dzieła.

Znów spojrzął z niepokojem na ciemności spowijające szóste piętro. Wyobraził sobie wewnątrz opisane przez Sarah — długi stół konferencyjny z czarnego drewna, krzesła z wysokimi oparciami i małe lampy Gallé w kształcie czerwonych, trujących grzybów. Wyobraził sobie także dalszą część sali. I głęboką wnękę, która nie była już pusta...

I wtedy zrozumiał.

— Boże, nie! — szepnął, ledwie poruszając ustami.

Pomyślał o Sarah i Timie. Pomyślał o Oscarze Wattsie, swoim zamordowanym przyjacielu i marszandzie. Przypomnił sobie sen, w którym po raz pierwszy ujrzał Sarah, zanim jeszcze spotkał ją w libańskiej restauracji na Brooklynie. Ten sen pozwolił mu zrozumieć, że dzięki Sarah może naprawić swoje błędy, że Sarah będzie pięknym aniołem jego odkupienia.

Teraz przyszedł czas, by odkupić winy.

Przypomnił sobie, że zostawił pistolet u Tima, ale w lewej kieszeni miał coś, co nosił przy sobie od pierwszego dnia przygotowań do wystawy w fundacji. Czy to wystarczy? Tak, jeśli znajdzie w sobie dość odwagi, żeby doprowadzić sprawę do końca.

Mogło mu się udać, ale musiał sam w to uwierzyć. W przeciwnym razie „oni” natychmiast się zorientują. Czytają w myślach

rozmówców, pamiętał o tym. I najważniejsze było teraz, żeby o tym nie zapomniał nawet na sekundę.

Kto miałby dokonać niemożliwego, pomyślał, jeżeli nie artysta?

Bo czyż sztuka nie jest cudem? Czy nie w tym tkwi jej istota? Sprawić, by ludzie uwierzyli, że życie jest inne. Umieć powoływać do istnienia ten jego wymiar, którego wcześniej nie miało.

Z dziwnym uśmiechem na ustach ruszył przez park, płosząc stado gołębi, które po chwili przycupnęły nieco dalej. Tu wiatr zawodził głośniejsze niż przed chwilą, gdy Forrest stał na chodniku. I noc wydawała się tu mroczniejsza, zimniejsza i bardziej wroga niż na całym Manhattanie.

Pociągnął skrzydło drzwi i wszedł do ciepłego holu wypełnionego gwarem rozmów.

Fundacja nie oszczędzała na środkach bezpieczeństwa. Żeby wejść, trzeba było się wylegitymować. Wymagano także zaproszenia, a służby porządkowe, wspierane tego wieczoru przez trzech ochroniarzy, sprawdzały na liście nazwiska gości. Potem przybywający byli proszeni o przejście przez nowoczesną bramkę Ionscan Sentinel firmy Smiths, która potrafiła błyskawicznie wykryć każdy metal czy też ładunek wybuchowy.

Forrest zamarł na widok tych barier.

Na szczęście szef ochrony poznał go i wpuścił wejściem dla personelu, zwalniając z obowiązku poddania się kontroli.

A z tym, co Forrest niósł z sobą, lepiej było ominąć bramkę.

Odetchnął głęboko, znalazłszy się wśród gości, i wmieszał się w tłum.

Nikt z FBI nie podszedł, by go aresztować. Może policjantom nie przeszło przez myśl, że waży się tu pojawić.

Ktoś chwycił go za rękę, mówiąc z podziwem:

— Forrest, twoje prace są naprawdę genialne. Inny głos szepnął:

— Lisa cię szuka.

On jednak nie słuchał, torując sobie drogę do bufetu przy windach.

Przed wejściem do sal chciał się napić, dla odwagi. A potrzebował jej, jak nigdy dotąd, i w ten wieczór wernisażu niczego innego nie był tak pewny.

Kelnerka z promiennym uśmiechem podała mu kieliszek, a on błogosławił ją za to w duchu.

Nogi nie odmówiły mu posłuszeństwa, a to był cud, więc błogosławił także swoje nogi za to, że pozostały mu wierne. I modlił się, aby go nie zawiodły, kiedy wybije godzina jego odkupienia.

Senator March odzyskuje kontrolę nad sytuacją

Rewidując Tima siedzącego na betonowej posadzce tuż obok Sarah, agent Eliot March znalazł P38, który nieco wcześniej detektyw dostał od senatora.

— Tylko mi nie mów, Modin, że nie wiedziałeś o tej broni w swojej kieszeni — rzucił, podając pistolet Jackowi, jednemu z dwóch goryli senatora, który pospieszył mu z pomocą.

— Robi pan potworny błąd — protestował Tim, zaciskając zęby.

— Zamknij się! — warknął Eliot March. — Nie zmuszaj mnie, żebym cię uciszył.

— Do diabła, niech pan zapyta ojca! — rzuciła rozwścieczona Sarah.

Ale senator, którego usadowiono w limuzynie, nie był chyba

w stanie odpowiadać na pytania i ta świadomość wzmogła w Sarah poczucie bezradności. Nigdy nawet nie przemknęło jej przez myśl, że sytuacja może przybrać taki obrót i że jeden z głównych podejrzanych okaże się agentem FBI wypełniającym tajną misję. Ten iście teatralny zwrot akcji był zresztą dość pikantny, szkoda tylko, że teraz jej i Timowi przypadły niezbyt miłe role bandytów.

Senator mówił im, że FBI przeniknęło do obozu wroga, dlaczego jednak nie ujawnił, że wtyczką jest jego rodzony syn? Żeby go chronić na wypadek przecieku, to oczywiście. Sarah wyrzucała sobie, że wcześniej na to nie wpadła.

— Jack, pilnuj tych dwojga, dobrze? — Eliot zwrócił się do ochroniarza. — Muszę zajrzeć do ojca.

Schowwał broń do kabury i podszedł do limuzyny, żeby zapytać wysiadającego z niej lekarza:

— Jak on się czuje, panie doktorze?

Lekarz przeczesał palcami siwiejące włosy.

— Senator March już dochodzi do siebie. Sądzę, że większą rolę odegrał tu strach niż choroba, jednak na wszelki wypadek należałoby przewieźć go do szpitala i wykonać dodatkowe badania.

Eliot wsunął głowę do limuzyny, gdzie na tylnym siedzeniu przy senatorze czuwała Dolores.

— Trzymaj się, tato. Zawiozę cię do szpitala.

Marvin March energicznie machnął ręką na znak sprzeciwu.

— Już czuję się lepiej — powiedział dość słabym głosem. — To było tylko omdlenie, zresztą... nie wiem. — Chwycił syna za rękę: — Posłuchaj, trzeba uprzedzić Edgara Prospero. Grozi mu niebezpieczeństwo. Oni są tu, w fundacji. I wkrótce przejdą do ataku.

Potem zwrócił się do siedzącej obok Dolores:

— Kochanie, proszę, idź z Eliotem. Musisz przekonać ojca, że sytuacja jest poważna. Pospieszcie się. Zostało niewiele czasu.

— A ty? — zaniepokoił się Eliot.

— Mam tu Jacka i Mela — odparł senator, wskazując na stojących przy limuzynie goryli. — Zresztą nic mi już nie grozi.

Eliot March skinął głową. Wiedział, że limuzyna jest opancerzona i że oprze się nie tylko kulom, ale nawet niektórym ładunkom wybuchowym.

— Dobrze — powiedział — zostań w aucie, tato. Wracamy za dwie minuty. — Potem, patrząc na goryli, dodał: — Jack, miej na oku podejrzanych. Gdyby próbowali ucieczki, zastrzel ich bez wahania. Chodźmy, Dolores, czas nagli.

Dolores uniosła długą wieczorową suknię i stukając wysokimi obcasami po betonie, pobiegła za Eliotem do windy.

Gdy zniknęli, senator z wysiłkiem wysiadł z auta, wspierany przez lekarza i Lisę Whittaker, którzy pogubili się w całej tej sytuacji. Kiedy już stał, odepchnął oboje i sam podszedł do siedzących na posadzce Sarah i Tima.

— Do diabła, Jack, odłóż tę broń! — rozkazał ochroniarzowi. — To tylko potworna pomyłka.

Zwracając się do Sarah i Tima, zapytał:

— Poradzicie sobie jakoś?

Tim wciąż kipiał gniewem.

— Skoro nie chciał pan nam ujawniać, że pański syn jest informatorem, to mógł pan przynajmniej powiedzieć mu o nas. Wtedy nie miałbym kuli w nodze i nie siedziałbym tu skuty jak pospolity przestępca.

Jego duma detektywa została głęboko urażona.

— Przykro mi, przyjaciele, ale to zniweczyłoby nasz plan. Zdoła pan wstać, Modin?

— Tak, kula właściwie tylko mnie drasnęła.

— Jack, masz kluczyki do tych piekielnych kajdanków?

Goryl pokiwał głową.

— To na co jeszcze czekasz? Rozkuj ich!

Sarah zdążyła już wstać. Mając wolne ręce, pomogła podnieść się Timowi.

— Dobrze — mruknął senator, kiedy oboje już stali i byli wolni. — Jack, daj mi pistolet pana Modina, chcę mu go zwrócić.

Goryl podał mu walthera.

— Czy jest pan pewien, że ci ludzie nie są niebezpieczni? — zapytał dość sceptycznie Jack.

— Całkowicie! — odparł senator, trzymając w ręku P38.

I oddał dwa strzały z bliska do swojego goryla. Potem się odwrócił i znowu strzelił.

10-13 (koniec)

Fala przebiegła złocistą plazmę wypełniającą sarkofag od góry do dołu, a w ogromnej sali na szóstym piętrze jakby powiało i rozległ się świst.

10-13 natychmiast się zorientował, że zmienił się skład cząsteczkowy powietrza. Że Potężny Wiatr, mechanizm obronny sarkofagu, właśnie został uruchomiony.

Niemożliwe, pomyślał.

Bo przecież było to niemożliwe, skoro miał na szyi *tarhą*.

— Nie ruszajcie się — szepnął do swoich ludzi, cały w napięciu.

Tish, Wilkinson i Cumming, którzy go otaczali, natychmiast stanęli.

I znowu rozległ się świst, ale tym razem towarzyszył mu dźwięk szabli rozcinającej jabłko.

— Cholera — szepnął Tish.

To było ostatnie słowo, jakie wypowiedział.

10-13 zerknął na prawo, nie poruszając głową.

Zobaczył, że Tish gwałtownie zbladł. Tysiące jaskrawoczerwonych punkcików upstrzyło jego twarz i szyję. Tworzyły biegnące poziomo linie równoległe, oddalone od siebie o pół centymetra.

10-13 powiódł oczyma w dół i zobaczył, że takie same linie przecinają ręce Tisha, jego marynarkę, spodnie i buty.

Zerknął na lewo, na Wilkinsona i Cumminga, nieruchomych i bladych, i takżeznaczonych tymi liniami z punkcików, podobnymi do tatuażu na ciele miłośnika geometrii przestrzennej.

Wciąż się nie ruszając, 10-13 znowu zwrócił oczy na Tisha. Wzdłuż nacięć pojawiały się krople krwi, pęczniały, aż wreszcie zmieniły się w strugi płynące coraz obficie.

Tish osunął się na podłogę. Ale nie od razu, tylko stopniowo, po kawałku, a właściwie plaster po plastrze, jakby ktoś wsadził go całego do nowoczesnej laserowej krawalnicy do wędlin.

Także stojący po prawej stronie Cumming i Wilkinson osuwali się, pocięci na kawałki od stóp do głów.

Potężny Wiatr przeniknął ich, tnąc ciało i kości w ułamku sekundy i nie natrafiając na opór.

10-13 zastanawiał się, dlaczego Potężny Wiatr nie przeszedł przez jego ciało. Czy to dzięki *tarhq*, który miał na szyi? Na pewno. Na wszelki wypadek uniósł prawą dłoń i wysunął ją, żeby sprawdzić, czy może iść dalej.

W odległości pół metra przestał widzieć swoją rękę. Usłyszał cichy świst. W osłupieniu cofnął rękę, ale było już za późno.

Całe przedramię przenikał potworny ból, od którego 10-13 zbladł.

Jego dłoń, jakby zanurzona w ciekłym azocie, odpadła. Ale gdzie się podziała? W jakiej innej przestrzeni, niedostępnej i niesamowitej.

Choć straszliwie cierpiał, nie krzyknął. Popęłnił jednak poważny błąd, chcąc drugą ręką chwycić krwawiący kikut. Bo wtedy ta sama siła obcięła mu lewe ramię.

Z jękiem padł na kolana i poczuł, jak lodowate ostrze rozrywa mu lewy policzek i ucho.

Tkwił w ciasnej celi o tnących jak laser ścianach, groźnych i niewidzialnych. Gdyby teraz drgnął, byłoby po nim.

Przed oczyma stanęła mu scena w metrze, którą opisał Sarah — czuł się jak ten zadrzeczony przez Big Joego szczur z kanału w Hunts Points.

I wtedy usłyszał dobiegający z sarkofagu głos generała:

— Myślałeś, że *tarhq* Rona Flinta ochroni was przed Potężnym Wiatrem.

Głos był zimny i władczy. Tak mówili dowódcy, których władzy nikt nie śmiał podważać.

Ten łajdak Flint zdołał ich wykiwać, zrozumiał nagle 10-13, drżąc z bólu. Torturowany *tarhq-sagogh* wyznał to, co chciał im wmówić, i nic ponadto. Złożył w ofierze życie, aby chronić swych panów.

Oszolomiony 10-13 ujrzał zakrwawioną twarz Flinta, który uśmiechał się do niego, spokojnie czekając na strzał mający położyć kres jego życiu. Ten obłąkańczy uśmiech był zwycięski.

— Ron Flint poświęcił się dla sprawy — podjął Fenryder. — Musiałem zwabić was wszystkich do siebie, dając wam do zrozumienia, że w pełni panujecie nad sytuacją. Wmówiliśmy

wam, że mając *tarhq*, jesteście odporni na Potężny Wiatr. To kłamstwo. Wmówiliśmy wam, że jestem więźniem sarkofagu i że przyjąć tu i nafaszerować mnie ołowiem to dziecinna zabawa. I to też było kłamstwo.

Dygocząc z bólu, 10-13 patrzył, jak plazma w sarkofagu ciemnieje i zastyga od środka, tworząc złocistą sylwetkę wysokiego mężczyzny, który wynurzył się z wnętrza. Gdy znalazł się już w sali, półprzezroczysta, żółtawa membrana, która jak placenta spowijała jego ciało, zaczęła się wchłaniać, odsłaniając szary mundur Konfederatów, który miał na sobie generał.

— Jak zdołał się pan przekonać — ciągnął Fenryder — mogę opuścić to schronienie. Och, oczywiście, moja twarz nie nadaje się do pokazania ludziom i głęboko nad tym ubolewam.

Na prawej połowie twarzy Luciusa Ewela Fenrydera widoczne były odrażające blizny, niczym wspomnienie śmierci w 1865 roku z rąk żądnych zemsty Jankesów.

Żołnierze Lincolna pastwili się nad jego zwłokami przy dźwiękach *John Brown 's Body*. Strzelali mu w głowę, potem wlekli go po ziemi za pędzącym koniem.

Wtedy stracił część kości czaszki nad prawym oczodołem i oko. Jeszcze mniej zostało z ucha, wyrwanego tuż przy skórze, i z kości ciemieniowej, która uległa zmiażdżeniu, tak że teraz widać było bladoróżowe zwoje mózgu.

Prawa połowa ust, rozerwana, odsłaniała zęby koloru kości słoniowej, różowe dziąsła i czerwone naczynia krwionośne policzków. Na czubku głowy pozostały zwisające płyty skóry z kępkami czarnych włosów. Poniżej widać było sploty brązowo-czerwonych mięśni i żyły barwy kobaltu.

— Pewnie się pan zastanawia, co w pańskim planie zawiodło i dlaczego pana młody przyjaciel Szakal nie wszedł tu z wami przed chwilą.

— Ten łotr wiedział, że to zasadzka — szepnął 10-13, krzywiąc się z bólu.

— O, już pan zrozumiał. Tak, to prawda, wiedział. Gdy we wrześniu odwiedził rezydencję, Walter Skoll zdołał go nakłonić, żeby do nas przysłał. Skoll ma niezwykle dar przekonywania.

Generał podszedł do stojącego tuż za progiem Szakala.

— Chłopcze — powiedział — śmierć naszego przyjaciela Rona Flinta musi zostać pomszczona.

Szakal wyjął broń i celując do 10-13, zapytał generała:

— Od czego mam zacząć, panie?

Generał cmoknął z zadowolenia.

— Urocze, urocze! Ale źle mnie zrozumiałeś, piękny motylku! Generał stanął za Szakalem i uniósł go jak piórko, a potem, chwytając go za ręce, rozłożył je, krzyżując ofiarę w powietrzu. Ogarnięty paniką Szakal zaczął wyć i w szale strzelać na oślep.

— Umiem należycie nagradzać zdrajców — oznajmił Fenryder.

I wyrwał mu ręce tak, jakby wyrwał owadzie skrzydła. Martwy Szakal runął na ziemię.

— Tyron — generał zwrócił się do 10-13 — jestem zmuszony na chwilę pana opuścić. Mam pewne zobowiązania wobec gości. Szczerze radzę siedzieć tu spokojnie aż do mojego powrotu. Gra dopiero się zaczęła, a jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, na panu chciałbym ją zakończyć.

Maski opadają

Cztery ciała leżały bezwładnie na betonowej posadzce parkingu. Nie żyli dwaj goryle senatora, lekarz i Lisa Whittaker, dyrektorka artystyczna fundacji.

— Wiecie, co sobie myślę? — March zwracał się do Tima i Sarah tonem zwierzeń, trzymając ich na muszce. — Starość to bardzo niewdzięczny wiek. Znowu miewa się kaprysy, znowu pragnie się przygód. Och, jaka szkoda, że ciało nie nadąży za tym odrodzeniem młodzieńczej duszy!

Podrapał skroń gestem Petera Falka z najbardziej makabrycznych odcinków *Columbo*.

— Pewnie się zastanawiacie, dlaczego agenci FBI nie podejmują działań? Otóż obawiam się, że czterech, którzy czekali przed fundacją, wplątało się w jakąś przykrą sytuację i teraz nie są już w stanie pomóc nikomu, przede wszystkim sobie. Podobnie jak obecni tu nasi przyjaciele — powiedział, wskazując palcem leżące na ziemi zwłoki.

— Dlaczego pan to robi? — zapytała Sarah, nie mogąc otrząsnąć się ze zdumienia.

— Jesteście młodzi. Nie wiecie, jak to jest, kiedy człowiek się starzeje. Ten uwiąd. Śmierć, która czyha, coraz bliższa. Wciąż stoi za plecami, patrzy człowiekowi przez ramię, obserwuje każdy jego gest. Czeka na pierwszy fałszywy krok, żeby dopaść ofiarę. A wszędzie wokół tyle młodości, tętniące życie tuż pod nosem, ludzie tak bezwstydnie zdrowi. Sarah, przez siedemdziesiąt lat byłem porządnym człowiekiem. Chyba dość z siebie dałem.

— Zwyczajny łajdak — warknął Tim.

— Dlaczego „zwyczajny”? — Senator spojrział na niego z rozbawieniem.

Tim rzucił się w jego stronę, ale rana nogi spowodowała, że nie był dość szybki. Senator uchylił się i przytknął lufę P38 do głowy Sarah.

— Tylko spokojnie, panie Modin. Proszę mnie nie zmuszać, żebym pana zastrzelił, zanim pan zrozumie, co się stało. Czyżby

nie był pan ciekaw? Nie ma pan ochoty poznać zakończenia tej historii? Osobiście bardzo bym chciał, żeby uczynił mi pan zaszczyt, uczestnicząc w moim wejściu do grona Wilków. Sądzę, że obaj sobie na to zasłużyliśmy?

Od strony windy dobiegł cichy, metaliczny dźwięk i Tim poczuł, jak metalowa kulka w jego lewym oku zaczyna wibrować. Dawne wahadełko radiestety dało mu o sobie znać, wykrywając niezwykle silne pole magnetyczne, jak w Chicago, przed dwunastu laty, kiedy razem z bratem wszedł nocą do budynku A w dawnej bazie wojskowej.

Spod czarnej welurowej opaski popłynęły krwawe łzy. Winda się otworzyła. Mężczyzna, który z niej wysiadł, podszedł do nich prężnym krokiem.

Po ostrzyżonych na jeża tlenionych włosach Tim rozpoznał natychmiast jednego z trzech uczestników mordu dokonanego przez trójkę Wilków na Kevinie.

— Przyjaciele, pozwólcie — odezwał się stary senator, którego rozpieła duma — że przedstawię wam Wielkiego Wilka Williama Hasty'ego, jednego z oficerów naszego Mistrza i jednego z tych potwornych Wilków, które tak bardzo chciałby pan zmieść z powierzchni ziemi. No, panie Modin! Proszę mu się przyjrzeć i przyznać, że byłaby to niepowetowana strata dla naszego świata cherlawych, pobekujących owieczek.

Ubrany w elegancki trzyczęściowy garnitur William Hasty trzymał pod pachą kuferek ze szlachetnego drewna. Stał obok senatora. Sama jego obecność sprawiła, że wszyscy odczuli przerażającą moc. W prawej, obnażonej ręce trzymał czarną rękawiczkę Wilków.

— Walter polecił mi pana przeprosić — powiedział do senatora. — Musi załatwić drobny problem z obsługą, nie może

więc osobiście powitać pana w fundacji. Prosił, abym uczynił to w jego imieniu. Potem spojrział na Sarah i Tima.

— Powinniście wiedzieć, że dawno mogliśmy was zabić, ale nasz Mistrz, generał Fenryder, pragnął wykorzystać was do innego celu niż tylko nasza rozrywka.

— Ten szaleniectwo posłużył się nami, tak? — mruknął Tim, zaczynając ogarniać rozmiary kłęski.

— Proszę im to wyjaśnić, senatorze — powiedział Hasty, nie spuszczać ich z oka.

— Tak, panie Modin. Nasz Mistrz was wykorzystał, ale wciąż nie macie pojęcia jak bardzo. Plan generała okazał się genialny i umocnił jego reputację doskonałego stratega. Najpierw nawiązaliśmy kontakt z pańskim przyjacielem Forrestem Magnussem, który przebywał w Paryżu, fundacja zaproponowała mu dużą wystawę w Nowym Jorku. Wiedzieliśmy, że się znacie i że pan prowadzi śledztwo w sprawie naszego Mistrza. Pomyśleliśmy, że nie przepuści pan takiej okazji, żeby wetknąć nos w nasze sprawy. Potem rozbudziliśmy stare zjawy z życia Magnusa... mam na myśli jego dawną przynależność do sekty Potrójna Kreska.

Trudno było nie zauważyć sięgającego szczytu samozadowolenia senatora. I prawdę mówiąc, miał powody do satysfakcji.

— Reaktywowaliśmy siatkę Potrójnej Kreski i za pośrednictwem naszego wiernego przyjaciela, „wielebnego” Gardnera, nawiązaliśmy kontakt z przebywającym w Kanadzie Eliotem, moim synem, i z Forrestem Magnussem w Paryżu, dając im do zrozumienia, że Gardner chce zrealizować swój plan zgładzenia mnie. Wiedziałem, że FBI obserwuje członków Potrójnej Kreski, ale nie miałem pojęcia, że Eliot jest wtyczką i agentem

służb. Kiedy dyrektor FBI poinformował mnie o rzekomym niebezpieczeństwie, jakie znowu nade mną zawisło, podał mi także nazwisko agenta, który przeniknął do sekty. Jakież było moje zdumienie, gdy usłyszałem, że jest nim mój syn. W pierwszej chwili chciałem wszystko wstrzymać i z takim zamiarem, od którego na szczęście odstąpiłem, przyszedłem do pani, Sarah.

— Tylko proszę nie mówić, że to ja nakłoniłam pana do zmiany zdania — wpadła mu w słowo, patrząc na niego z odrazą.

Stary senator wybuchnął śmiechem.

— Nie, przykro mi, ale znowu muszę panią rozczarować. Nie miała pani wpływu na moją decyzję. To generał, którego poinformowałem o rozwoju wydarzeń, przekonał mnie, bym się nie wycofywał. Dostrzegł... jak by to ująć?... możliwość upieczenia dwóch pieczeni na jednym ogniu. I tu dochodzimy do istoty genialnej operacji Demony. Polegała na manipulowaniu wami, a równocześnie na manipulowaniu FBI, poprzez odpowiednio podsuwane informacje o pseudospisku godzącym w moje życie. Ta podwójna gra wydała wspaniałe owoce, którymi możemy się rozkoszować dziś wieczorem. Muszę jednak przyznać, że o mało nie pokrzyżowaliście naszych planów, ośmielając się wtargnąć na szóste piętro fundacji.

Odnieśliście sukces, rozszyfrowując wiadomość od Mistrza, i już nam się wydawało, że nas zdemaskowaliście. Jednak na szczęście błędnie zinterpretowaliście słowa „ofiara Marcha”.

Myśleliście, że operacja Demony ma na celu pozbawienie mnie życia i nie przyszło wam do głowy, że ta ofiara ma zostać złożona na moją cześć. Po spenetrowaniu szóstego piętra wiedzieliście, że w Nowym Jorku Wilkom służy dwóch *tarhqsagogh*. Nasz drogi nieżyjący Ron Flint i ktoś, kogo musieliście wykryć. Ponieważ nie chcieliśmy, żebyście ustalili, że drugim

tarhq-sagogh jest „wielebny” Gardner, podsunęliśmy wam fałszywy trop: waszego przyjaciela, Forresta Magnusa.

— „Sztuka wojny opiera się na podstępnie” — przypomniała sobie nagle Sarah.

Był to cytat, na który razem z Timem natrafili na szóstym piętrze: *Sztuka wojny* stała obok Apokalipsy. Teraz Sarah z goryczą rozmyślała nad trafnością tej uwagi.

A Hasty dorzucił, skupiając uwagę na ciemnoskórej kobiecie:

— Sun Tzu napisał także: „Kiedy wróg jest zjednoczony, należy go skłócić”. I skłóciliśmy was.

Tak, pomyślała Sarah, udało im się na pewien czas ich podzielić, a przez to osłabić.

Ogarnięta wątpliwościami Sarah, podobnie jak jej przyjaciele, traciła cenny czas, który mogli wykorzystać, by ustalić choćby, że czarna limuzyna, którą widzieli przed fundacją tamtej nocy, gdy zebrała się Rada Feniksa, należała właśnie do senatora.

Ibbalyastr!

Dolores March wyjaśniała powagę sytuacji swemu ojcu, gubernatorowi Edgarowi Prospero, gdy nagle na parterze budynku zaczęły gasnąć kolejno światła, od potężnych reflektorów po podświetlane elementy posadzki, wskazujące wyjścia ewakuacyjne. Gości ogarnęły ciemności i z wolna narastał ich lęk. Tylko w samym końcu amfilady siedmiu sal świecił jeszcze wskaźnik windy. Widoczny z daleka, rozrywał mrok czerwoną smuzką.

Rozległ się szmer. Po chwili tu i ówdzie błysnęły zapalniczki, a w ich świetle widać było na twarzach zdumienie i niepewność.

Eliot odnosił przykre wrażenie, że sytuacja wymknęła mu się spod kontroli. Zwrócił się do Edgarda Prospero.

— Panie gubernatorze, musi pan niezwłocznie udać się do limuzyny.

Potem znowu pochylił się nad mikrofonem, by wydać pozostałym agentom FBI rozkaz natychmiastowego wkroczenia, chociaż wydawało mu się już oczywiste, że go nie słyszą. Może mikrofon nie działał?

Dwaj ochroniarze wyciągnęli z kieszeni latarki i oświetlali krąg wokół gubernatora, aby zapobiec próbom napaści na niego. W blasku tego światła Edgard Prospero próbował uśmiechem uspokoić córkę.

— Nie martw się — powiedział, ale głos zdradzał, że sam jest pełen obaw.

Agent Eliot March wyciągnął broń z kabury, trzymał ją jednak częściowo ukrytą pod marynarką, żeby nie wywołać paniki, która dodatkowo utrudniłaby im dotarcie na parking. Potem szybko poprowadził gubernatora i Dolores do wind, a pozostali goście, zwabieni światłem jak ćmy, ruszyli w ślad za nimi, zastanawiając się, co też mogło się tu stać. W końcu wszyscy zgromadzili się w holu głównym, przy czerwonym świetelku nad windą. W sumie było tam około dwustu osób, tworzących niespokojny, szepczący tłum.

Zamachy na bliźniacze wieże World Trade Center dla wielu były wciąż jeszcze żywym wspomnieniem, a wczorajsza rzeź w Regency dodatkowo podsyciła obawy. Wielu gości sądziło też, że doszło do poważnej awarii energetycznej, która mogła sparaliżować całe miasto, jak zdarzyło się latem roku 2005. Bardzo nieliczni, urodzeni optymiści albo ludzie naiwni, spodziewali się raczej wniesienia tortu ze świeczkami lub innej wymyślonej przez organizatorów wernisażu niespodzianki.

Agent Eliot March powtarzał sobie, że na szczęście tłum nie zdawał sobie sprawy, jak groźna jest sytuacja w gmachu fundacji. Z wyjątkiem gubernatora, jego córki i dwóch ochroniarzy nikt na parterze nie wiedział, że w ostatniej chwili udało się zapobiec zamachowi na parkingu i że teraz trzeba uniemożliwić kolejne, już rozpoczęte działania.

Eliot zauważył ciemne sylwetki strażników stojących przy szklanych drzwiach oświetlonych przez latarnie przy Piątej Alei.

— Proszę sprowadzić windę — rozkazał goryłom gubernatora. — Wydaje mi się, że nawet w budynku prąd nie został całkowicie odcięty. Porozmawiam z ochroną i zaraz tu wrócę.

Przebił się przez tłum do strażników i podsunąwszy im pod nos odznakę agenta federalnego, polecił nie wypuszczać nikogo, dopóki gubernator nie opuści parteru.

Tymczasem Phil Flanagan, kurator wystawy, zwrócił się do gości, prosząc o chwilę uwagi.

— Szanowni państwo! Proszę o ciszę, drodzy goście! — powiedział, powodując, że niektórzy zamilkli. — Jestem pewien, że za chwilę będzie tu już widno i że wszyscy będziemy mogli kontynuować podziwianie prac naszego artysty. Teraz zapraszam wszystkich do bufetu, po prawej stronie holu. Wspomniano mi, że w barze mamy doskonałe koniaki i szampana, więc bawmy się, czekając na usunięcie awarii.

We wnęce rzeczywiście ustawiono szereg stołów. Kelnerzy w liberiach i białych rękawiczkach zapalili świece i wtedy wszyscy zobaczyli, że na złocistym obrusie czekają tace z kanapkami, drobne przekąski, oliwki i koreczki, a także wiele innych smakołyków, a po bokach wysokie piramidy czerwono-fioletowych kieliszków do szampana.

Goście podeszli, rozbrzmiał śmiech i nagle zniknęło skrzępowanie, które przed chwilą sprawiło, że atmosfera była tak przykra. Wszyscy ochoczo prosili o szampana, jedli *petits fours* i żartowali. Półmrok holu oświetlonego za pomocą kandelabrow był ciepły i romantyczny, taki jaki daje ogień płonący w kominku starego domostwa.

Phil Flanagan świecił przy bufecie przykładem. Po dwóch blinach z kawiozem z łososia pochłoniął porcję *quiche* i popił go szampanem.

— Gdzie się podziała Lisa? — zapytał, spoglądając na Allison Weiss i jej dekolt.

Tych dwoje — Allison i jej biust — ruszyło za Flanaganem, żeby skupić na sobie powszechną uwagę, która po zgaśnięciu świateł koncentrowała się na nim.

— Zasłużyła na gratulacje! — zawołał Flanagan. — To iście olimpijski stół, przyjaciele! Doprawdy, godny Olimpu! I co? Gdzie nasza Lisa?

Allison i jej biust odparli, że dyrektorke artystyczną widziało, gdy wychodziła wraz z senatorem Marchem i jego małżonką Dolores parę minut przed zgaśnięciem świateł.

— Mam nadzieję, że nie utknęła na parkingu — powiedziała Allison, uśmiechając się dwuznacznie.

Zmysłowo rozchyliła usta, by wbić zęby w pasztecik wegetariański.

— Może powinna pani to sprawdzić? — zasugerowała bogata kolekcjonerka, unosząc do skorygowanych botoksem ust kieliшек szampana, który trzymała czubkami palców.

Allison Weiss i jej dekolt udzielili profesjonalnej odpowiedzi.

— O nie! Lisa z pewnością nie życzyłaby sobie, żebym zostawiła gości.

Tymczasem Eliot March wrócił do gubernatora i jego córki.

— Pójdziemy teraz do pańskiego auta — powiedział do coraz bardziej zaszępionego Edgarda Prospero, a zwracając się do jego ochroniarzy, zapytał ze zniecierpliwieniem: — Ściągniecie w końcu tę windę?

— Próbujemy, ale nie przyjeżdża — odpowiedzieli. — A przecież elektryczność tu jest.

Eliot postanowił sam to sprawdzić i wcisnął guzik. Winda nie reagowała. Cofnął się i zerknął na wskaźnik pięter. Kabina zatrzymała się na szóstym i ani drgnęła.

Kciukiem wcisnął guzik raz po raz.

— Jedź, do cholery! — syczał przez zęby.

Winda wciąż nie reagowała, więc Eliot musiał w końcu pogodzić się z myślą, że zablokowano ją na górze.

— Zostały nam schody — jeden z goryli wskazał wyjście ewakuacyjne po prawej stronie korytarza.

— Dobrze, niech będą schody — mruknął Eliot.

Kiedy się już oddalali, rozległ się metaliczny dźwięk. Jak na komendę podnieśli oczy, by spojrzeć na świecący w mroku wskaźnik. Słodki Jezu, najwyższy czas! Winda w końcu ruszyła.

Po piątce w okienku mignęła czwórka.

Niektórzy, żeby wypełnić sobie czas oczekiwania na usunięcie awarii, zaczęli głośno odczytywać zmieniające się cyfry, jak w odliczaniu do tyłu, poprzedzającym eksplozję radości.

4... 3... 2... 1... 0.

Kabina się zatrzymała. Wszyscy zamilkli, wstrzymując oddech.

Po krótkiej chwili rozsunęły się drzwi, złocista poświata z kabiny padła na twarze stojących najbliżej, a potężna postać o straszliwie okaleczonej twarzy wyszła do holu. To był generał Fenryder, jednak wśród gości nie mógł znaleźć się nikt dość stary, aby docenić ten zaszczyt, ani dość dobrze poinformowany, by uświadomić sobie powagę zagrożenia.

Krytyk Kenneth Foreman, jeden z tych do głębi zblazowanych dziwactwami świata artystycznego ludzi, musiał przyznać, że trochę zaszokował go ten widok. I choć nie szepnął stojącej obok kobiecie swego bardzo praktycznego zdanka: „Tak, tak, doskonale go znam”, to rzucił nadające się na niemal każdą okazję „Wspaniałe, wspaniałe!”, bo przecież zawsze musiał nadążać za biegiem wydarzeń.

— A cóż to ma być? — zapytał agent Eliot March, nie wiedząc, czy uważać przybysza za zagrożenie, czy za ofiarę.

I wtedy potężny, męski głos, który brzmiał jak grzmot, oznajmił:

— Jestem Tym, Który Przybywa.

I ruszył, zmuszając tłum do cofnięcia się.

Tylko kurator wystawy Phil Flanagan nawet nie drgnął i w efekcie znalazł się po prawej stronie Fenrydera. Zafascynowała go ta makabryczna twarz i wyciągnął palec ku przerażającemu ciału, zapewne chcąc udowodnić sobie i innym, że to tylko maskarada. Jednak dotknął w pełni ludzkiego ciała, ale ciała pozbawionego ciepła.

— Jak pan to zrobił? — bąknął, marszcząc ze zdumienia czoło.

Fenryder odwrócił się do natręta i zmierzył go swoim jedy-
nym okiem i wtedy to oko zapłonęło czerwienią niczym piekielne paleniska.

A połowa ust generała wymówiła obce, ciężkie słowo, jakby zaczerpnięte z zakłéc dzikiego ludu: *Ibbalyastr!*

Było to zaledwie kilka sylab, które już same w sobie brzmiały przerażająco, a wymówione przez tego człowieka, paraliżowały. Tajemnicze, złe zestawienie częstotliwości drgań, dzikie, nieuchwytnie dźwięki poruszały się, wrzały, tętniły w tym *Ibbalyastr!* Biła od niego ostra woń mordy, odrażający smród

rozkładu, wszystko, co przyprawiało o dreszcz, nasuwając myśl o nagim ciele wleczonym po ostrych kamieniach skąpanego w słońcu wybrzeża, po kolcach, które wbijały się w najdelikatniejszą skórę ramienia białego jak masa perłowa. O mordzie na wspaniałych kobietach, którym obcięto piersi, o pożeraniu jasnowłosych, roześmianych dzieci.

To był absolut Zła. Mroczna harmonia. Właśnie to kryło się za kilkoma sylabami *Ibbalyastr!*

To słowo wryło się w umysł Flanagana, który zadrżał, chwytając się rękami za głowę. *Ibbalyastr!* Ból rozrywał mu czaszkę, a obce *Ibbalyastr!* odbijało się od neuronu do neuronu w makabrycznej reakcji łańcuchowej.

Ibbalyastr! Ibbalyastr!

A kiedy cały jego mózg stał się jednym wielkim *Ibbalyastr!* — Phil Flanagan poczuł ogromny ucisk na skronie, jakby zgniały je olbrzymie obcegi. Ze wszystkich otworów głowy buchnęła krew przemieszana z mózgiem, który zamienił się w ciecz. Ta maź wydobywała się przez nos, usta, oczy, uszy. Jego ciało *Ibbalyastr!* powoli się uniosło. Kości trzaskały jak suche gałęzie, a czaszka po prostu eksplodowała!

Tłum, co przecież zrozumiałe, potwornie wył.

Wilki mówią o swych zamiarach

— Oto, co będzie można przeczytać w jutrzejszej prasie — powiedział Wielki Wilk William Hasty, zwracając się do Sarah i Tima. — Uzbrowieni ludzie wtargnęli do fundacji i zamordowali wiele osób obecnych na wernisażu Magnusa. Wśród ofiar znaleźli się gubernator, jego córka, a zarazem małżonka senatora stanu Nowy Jork Marvinna Marcha, oraz Eliot March, syn senatora z pierwszego małżeństwa. Wspomną też o jednym

ocalałym z tej straszliwej rzezi senatorze Marchu, który zabił dwójkę napastników, gdy chcieli pozbawić go życia.

— Tych dwoje to wy, przyjaciele — wyjaśnił March, z satysfakcją pokazując ich palcem. — Dokładny przebieg wydarzeń będzie relacjonowany na podstawie moich zeznań. A te będą doskonale, zapewniam was. Gdy szedłem do limuzyny pozostawionej na podziemnym parkingu fundacji, dwoje fanatyków, pani Widar oraz pan Modin, wdarli się do budynku i zostali aresztowani przez Eliota Marcha, mojego syna. Potem Eliot i moja żona Dolores wrócili na górę, żeby przestrzec przed grożącym niebezpieczeństwem gubernatora oraz gości. Niestety, w salach wystawowych doszło do strzelaniny, podczas której zginęli oni oraz wszyscy obecni tego wieczoru na wernisażu.

Jeden z zamachowców, schwytany w podziemiach, powiedzmy, że to pan, panie Modin, w zamieszaniu zdołał pozbyć się kajdanków, sięgnąć po ukrytą broń i zastrzelić moich ochroniarzy. Potem, kiedy strzelał pan do mnie, chybiając — senator kilkakrotnie strzelił z P 38 w karoserię limuzyny — wydobyłem rewolwer leżący w schowku — wyciągnął z kieszeni płaszcza colta .45 — i zabiłem was oboje. Proszę to sobie zapamiętać, panie Modin, bo chcę, żeby był pan wiarygodny w swojej ostatniej roli.

Tim obrzucił go piorunującym spojrzeniem.

— Stary głupcze, naprawdę myśli pan, że policja uwierzy w tę bajkę?

Uśmiech senatora wyrażał politowanie.

— Problem raczej w tym, panie Modin, na jakiej podstawie czy za jakim podszeptem Ducha Świętego policja miałaby wątpić w moje słowa. Bo faktem jest, moi drodzy, że wszystko świadczy przeciwko wam.

I senator odmalował bardzo posępny obraz ich sytuacji. Faktycznie, wszystko zdawało się potwierdzać ich winę.

Nie mówiąc już o odciskach palców Tima, które zostaną znalezione na waltherze P 38 przy jego zwłokach, jednym z najsilniejszych dowodów będą zeznania Marvin Marcha. Kamery fundacji nie uniewinnią podejrzanych, ponieważ zostały uszkodzone przed wieczornymi wydarzeniami.

— Nie tak miało się to potoczyć — dodał senator, ale nie wyglądał na zmartwionego zmianami. — Proszę sobie przypomnieć: prosiłem, żebyście zostali w domu, panie Modin. To tam przyszlaby policja, żeby was aresztować po zatrzymaniu pańskiego przyjaciela Forresta Magnusa.

Gdy z przykrością zobaczył Sarah i Tima na wernisażu, błyskawicznie wpadł na pomysł symulowanego ataku serca, a następnie działań na parkingu. Wiedział, że gdy zasłabnie, ochrona będzie chciała ewakuować go limuzyną, a Sarah i Tim pobiegną za nim na parking, chcąc z nim mimo wszystko porozmawiać.

Uniósł brew, uśmiechając się ironicznie.

— Nawet sobie nie wyobrażacie, w co policja uwierzy, nie zadając sobie trudu weryfikacji. Na początek w waszą przynależność do Potrójnej Kreski.

— Co takiego?! — krzyknęli chórem Sarah i Tim.

— To przecież zupełnie oczywiste. Skoro usiłowaliście mnie zgładzić tego 'wieczoru, to dlatego, że taka była wola waszego guru, „wielebnego” Gardnera. Zresztą Gardner wkrótce przekaże prasie oświadczenie, które to potwierdzi. Skorzysta z okazji, by „podziękować” wam za poświęcenie się dla niego.

I z niekłamaną przyjemnością Marvin March opisał im zasadzkę zastawioną przez Fenrydera.

Operacja Demony polegała na przekonaniu społeczeństwa,

że dokonano serii mordów politycznych, i obciążeniu winą za nie satanistyczną sektę Gardnera, która od kilku lat służyła Wilkom.

Rzeź w Regency, dokonana minionej nocy, miała na celu wyłącznie uwiarygodnienie odpowiedzialności Gardnera i uczynienie dramatu w fundacji bardziej „logicznym”. Zanim pojawi się oświadczenie Gardnera i znane będą żądania, policja zdąży powiązać obie masakry na Manhattanie, do których dojdzie w odstępie około dwudziestu czterech godzin. Wniosek, że rzeczywistym celem zamachowców była komisja senacka do spraw tajnych sekt satanistycznych, nasunie się niemal samowolnie, a policja przyjmie, że w Regency ugodzono serce tejże komisji, zabijając senatora Gregory'ego Oldmanna, współpracownika Marcha, w fundacji zaś chybiono celu, nie doszło bowiem do zgładzenia Marvina Marcha, przewodniczącego komisji.

Te wnioski nasuną się tym szybciej, że policja pozna tożsamość zamachowców, a ich powiązania z Gardnerem będą oczywiste. Zarówno anarchista Michael Welling z Regency, jak malarz Forrest Magnus (a pośrednio Tim i Sarah) z fundacji byli w raportach składanych przelożonym z FBI przez Eliota Marcha wymieniani jako ludzie z kręgu Gardnera.

— FBI odkryje wcześniej czy później związek Gardnera z Wilkami — wtrąciła Sarah. — A wtedy stanie się jasne, że za tymi rzeziami kryje się coś więcej.

— Tyle że FBI musiałoby mieć pojęcie o naszym istnieniu — włączył się do rozmowy Hasty.

— Tak, racja — mruknął senator, udając zakłopotanie. — Z wielką przykrością informuję was, że panowie z FBI nigdy nie słyszeli o naszym Mistrzu i o Wilkach. Ostatnio byłem trochę roztargniony, zapomniałem z nimi o tym pomówić. Mam nadzieję, że nie ma pani do mnie o to żalu, Sarah.

Dziewczyna zacisnęła zęby.

— Ale przecież pański syn Eliot prowadził śledztwo w sprawie Wilków — rzuciła.

— Och, więc uwierzyła pani mnie, politykowi! Pani naiwność mnie rozczula, Sarah!

— FBI nigdy się nami nie zajmowało — potwierdził William Hasty. — A senator, stojąc na czele komisji, dopilnuje, żeby nigdy do tego nie doszło.

— Mój syn prowadził śledztwo w sprawie Potrójnej Kreski. Jego zadaniem było obserwować działalność Gardnera i zde-maskować uśpionych członków sekty. Obawiam się, że FBI nigdy nie słyszało o istnieniu Wilków.

— Nazwa „Demony” idealnie pasuje do waszej operacji, chłopaki — rzucił z odrazą Tim. — Pozbywacie się wszystkich, którzy wam przeszkadzają, w dodatku obarczając ich winą za wasze zbrodnie. To bardzo sprytne, naprawdę bardzo sprytne.

— Nareszcie zaczyna pan rozumieć, panie Modin. Wszedł pan na właściwą ścieżkę, brawo! Mówiąc między nami, tu nie dokona się zbrodnia, ale ofiara. Muszę się jednak z panem zgodzić, że dla mediów to będzie rzeź, a może masakra i na pewno zbrodnia.

— Do diabła! — mruknął Tim. — Pomyśleć, że posłał pan na śmierć ciężarną żonę i syna, który pana chronił, a wszystko po to, żeby dostać przepustkę do kręgu Wilków! To wciąż nie mieści mi się w głowie. Zrobił pan z siebie szmatławego demona, March.

— Wyobraźmy sobie, panie Modin, że jakiś koncern farmaceutyczny wyprodukował pigułkę, której codzienne przyjmowanie zapewni człowiekowi, że stanie się dziesięć razy inteligentniejszy, ale skutkiem ubocznym kuracji będzie skrócenie życia tego osobnika o, powiedzmy, połowę. Kto zgodziłby się

zażywać taką pigułkę? Kto miałby odwagę realnie, a nie tylko słownie w salonowych pogawędkach, zdobyć się na to? Wyłącznie najbardziej świadomi członkowie społeczeństwa, ci najbardziej przedsiębiorczy i zdeterminowani. Ogół ludzi wolałby przeżyć swoje lata, choćby bez cienia intelektu. Każdy poważny wybór wymaga wielkich ofiar i zasługuje na nie. Poświęcam żonę, syna, moje ludzkie życie, ale w zamian dostaję władzę i moc. Prawdziwą władzę.

Sarah nie mogła powstrzymać się od sarkastycznej uwagi:

— Ten wybór wymaga tym większej odwagi, senatorze, że zapewnia panu także nieśmiertelność. Zawsze łatwiej poświęcić cudze życie.

— Może mi pani nie wierzyć, ale moja motywacja jest inna. Gdybym miał skonać za chwilę, dokonałbym takiego samego wyboru. Są tylko dwa sposoby ucieczki przed strachem: pierwszym jest umrzeć, drugim stać się absolutnym panem siebie. Być panem swoich lęków, Sarah, oto co przyprawia o zawrót głowy!

Hasty spojrzał na sufit parkingu.

— Marvinie, czas zaczynać rytuał inicjacji. Czuję, że Wielki Mistrz już zszedł.

I Wielki Wilk otworzył kuferek ze szlachetnego drewna, który z sobą przyniósł, by wyjąć z niego rękawiczkę identyczną jak ta, którą sam nosił.

Była czarna i niezwykle miękka, jakby uszyto ją nie ze skóry, ale z jedwabiu. Tim i Sarah mimowolnie wpatrywali się w ten symbol, którego nigdy nie mieli okazji widzieć z tak bliska.

Senator wzięła ją od Hasty'ego ostrożnie, wręcz z namaszczeniem. Zaczął wsuwać w nią prawą dłoń. Ledwie pierwsze paliczki jego palców znalazły się wewnątrz, z ust senatora

wydobył się tak przejmujący jęk, jakby zanurzył rękę w kwasie solnym. Rozległ się szmer przypominający wrzenie, cmokanie i trzask — dowód kipiącego, zachłannego życia w rękawiczce. Po nadgarstku senatora spływała krew, krople potu zrosiły mu czoło, zmarszczki wyostrzyły się pod wpływem cierpienia.

— O cholera! Jak to boli! — szepnęła, blady jak ściana. Na jego skroniach pulsowały sine żyły.

Nigdy nie przeżył czegoś takiego, nawet podczas dwóch kolejnych zawałów.

— Ale wkrótce odżyje pan nadludzkim życiem — dodał mu otuchy pełen potępieńczej wiary Hasty.

— Tak, tak — przyznał senator, ciężko dysząc i naprężając mięśnie. Po jego łysej czaszce spływał pot.

I znowu pociągnął rękawiczkę. Tym razem zanurzył w niej całe palce i już po chwili ucichł dziwaczny odgłos, jaki wydawała czarna skóra. Mobilizując siły, senator odrzucił głowę do tyłu, zamknął oczy i przetarł powieki lewą ręką. Oddychał już niemal normalnie. Po chwili otworzył oczy i oświadczył:

— Teraz jestem jednym z was!

W wieku siedemdziesięciu jeden lat, mimo poważnych problemów kardiologicznych, Marvin March zdołał wejść do kręgu Wilków. Odtąd jego serce nie zazna już chwili słabości.

Sarah z przerażeniem patrzyła na jego pałające czerwienią oczy, które zdawała się wypełniać wrząca lava.

A on zaczął się śmiać i drwić.

— Wiecie, co jest najzabawniejsze? Że w tej chwili moja żona i syn boją się dokładnie tak jak wy.

Stał się Wilkiem, więc mógł teraz wyczuwać strach jak smakowitą woń w powietrzu.

— Draństwo — syknęła Sarah.

Koszmar na parterze

Zakrwawione zwłoki Phila Flanagana wirowały parę centymetrów od sufitu holu niczym ochłap mięsa, o który walczą w locie niewidzialne ptaszyska.

Przerażeni ludzie wypuszczali z rąk kieliszki i zakąski, pędząc ku wyjściu i przewracając w popłochu kordon zdezorientowanych strażników. Kobiety na wysokich obcasach nie nadażały za partnerami. Najbardziej uprzywilejowani byli samotni osobnicy płci męskiej, którym nie przeszkadzały ani obcasy, ani osoba, która tego wieczoru uległa ekstrawaganckiej modzie noszenia takiego obuwia, i to oni pierwsi dobiegli do drzwi. Niestety, tu szczęście przestało im sprzyjać, bo wyjście było zamknięte. Żaden ze strażników, gdyby ktoś o to zapytał, nie potrafiłby wyjaśnić dlaczego. Nie wiedzieli, że ktoś je zablokował, ale przecież coś uniemożliwiało ich otwarcie. Panika mąciła ludziom w głowach, toteż nie pojmowali, że istota zdolna przemienić jednego z najbłyskotliwszych nowojorskich krytyków sztuki w latający strzęp człowieka mogła również zamknąć trzy nędzne pary drzwi.

Krzyki się nasiliły. Panika była coraz większa.

Dolores March i jej ojciec senator znaleźli się w zwartym tłumie. Popychana kobieta dyszała, usiłując nade wszystko osłaniać rękami brzuch. Myślała o pokoju dziecinnym, który wraz z Marvinem urządzali już w pięknej rezydencji na Long Island. Myślała o kołysce czekającej na maleństwo. Powtarzała sobie, że nie może umrzeć, nie teraz, kiedy oczekuje dziecka.

— Moja córka jest ciężarna — jęczał za jej plecami gubernator, którego słowa zagłuszały potworne krzyki.

Ale tu nie liczyli się już ani gubernator, ani jakaś brzemienna kobieta, bo w tłumie nie było już ani kobiet, ani mężczyzn,

tylko wyjąca, zdesperowana masa ludzka napierająca na zamknięte drzwi.

A przecież zaledwie dwieście zbydlęciałych łbów uległo panice...

Tych dwieście sztuk bydła próbowało wyrwać się ze szponów śmierci.

Jednak Eliot March zdołał się oprzeć zwierzęcemu instynktowi strachu i w odróżnieniu od tłumu cofnął się przed generałem Fenryderem zaledwie o kilka kroków. U jego boku pozostał jeden z ochroniarzy gubernatora, drugi utknął zapewne w tłumie z Prospero i jego córką.

— Och, słodka muzyka krzyków! — zawołał generał. — Jakże mi jej brakowało!

Gdy minęło początkowe osłupienie, Eliot i ochroniarz stanęli Fenryderowi na drodze i wycelowali w niego pistolety. Razem, bez regulaminowych ostrzeżeń, otworzyli ogień. Mimo to Fenryder szedł dalej. Kule odbijały się od jego ciała niczym szalejące fale od zbocza. Nie czuł bólu, nawet mu to nie przeszkadzało. Chyba wręcz sprawiało mu to przyjemność.

Eliot March, którego żołądek ścisnął się ze strachu, gorączkowo naciskał spust swojej trzydziestkiósemki.

Przecież to, co widział, było niepojęte. Facet musiał być w kamizelce kuloodpornej, i tyle. Nie, nawet gdyby miał kamizelkę, kule spowodowałyby problemy z oddychaniem i połamałyby mu żebra. Musiałby się cofnąć pod takim ostrzałem.

Eliot March chciałby przekonać samego siebie, że to tylko paskudny koszmar, że zaraz się obudzi i wróci do realnego świata, ale to, co przeżywał, było bardzo realne. Wiedział o tym, bo czuł napięcie ciała, które ogarnęła panika, bo wdychał gorzką woń prochu, przemieszaną z zapachem perfum Chanel w holu, i ponieważ słyszał determinację oraz wrzaski. A poza

tym jego serce tłukło się w piersi jak szalone.

Nie, to nie był sen. Eliot strzelał do czegoś, czego kule się nie imały.

I jakby na potwierdzenie tych myśli nad krzykiem rozbrzmiał znowu głos generała.

— Wspaniali mieszkańcy Nowego Jorku, wasi przodkowie tworzyli te regimenty żołdaków, którzy przyszli spustoszyć Południe, grabiąc, mordując i gwałcąc. Pod pozorami kultury jesteście dzikusami wywodzącymi się od pokoleń dzikusów, a jeszcze nieuformowane dłonie waszych nienarodzonych dzieci już teraz są zbrukane krwią moich ziomeków. Zrodzone w ohydzie i nieprawości, wasze społeczeństwo jest przegniłe i zdeprawowane.

Idąc w kierunku dwóch strzelających do niego ludzi, wykonał ręką drobny obrót i nawet nie dotykając żadnego z nich, rzucił ich na bufet. Stoły runęły pod ciężarem mężczyzn, zabrzęczało tłuczone szkło. Potem generał przystanął i podniósł obu mężczyzn skinieniem palca wskazującego, a ich ciała stały się lekkie i potulne niczym marionetki, które pociągał za sznurki.

Bezwładny, obsypany okruchami szkła i jedzeniem Eliot March czuł się, jakby nabrał w płuca podtlenku azotu. Utracił czucie w kończynach. Tylko oczy były mu jeszcze posłuszne, więc widział własną rękę, gdy się wyciągała, celując z broni do ochroniarza, który robił — a raczej któremu coś kazało robić — to samo, jakby był lustrzanym odbiciem Eliota. Mężczyźni trzymali się na muszkach, a z ich oczu wyzierały zdumienie i przerażenie. Strzelili równocześnie, zabijając się nawzajem kulą w czoło. Ich głowy opadły na bok, ale ciała wciąż trwały w pozycji pionowej, bo taka była wola Fenrydera.

Rycząc z przerażenia, tłum jeszcze mocniej napierał na drzwi.

— Ja, Prawdziwy Pan — oznajmił generał — przynoszę każdemu strach, na który zasługuje. Przynoszę świętą pierwotną radość wyniszczenia i mordy. Niosę wyzwolicielski ogień i miecz. Przybyłem wzniecić pożar, aby wkrótce nastąpiła Wielka Noc i aby moja rasa Wilków stworzyła na tej ziemi Mroczne Imperium. Amen!

Z wysokości swego metra dziewięćdziesięciu gubernator zobaczył, jak dwa ciała ładują pistolety, a potem, sztywne i zsynchronizowane jak automaty, zwracają się w stronę tłumu i strzelają.

Jego córka znalazła się wśród pierwszych ofiar. Kula ugodziła ją w głowę, jak wszystkich innych. Dwóch zombie celowało z zabójczą precyzją snajperów. Każdy strzał trafiał do celu, pozabawiając kogoś życia.

Fenryder stanął pomiędzy dwoma strzelcami i głośno się śmiał. To była ostatnia scena, jaką ujrzał Prospero, zanim kula przebiła mu czaszkę.

Pojawia się Forrest

Na podziemnym parkingu odgłosy detonacji z parteru uciły wkrótce po przeraźliwych krzykach. Zapadła ciężka cisza, którą przerwał senator March.

— Cóż, przyjaciele, obawiam się, że przyszła kolej na was — powiedział, celując z colta .45 do Sarah i Tima.

Wtedy zza jednej z kolumn parkingu wysunął się Forrest.

— Gdybym był na pańskim miejscu, senatorze March — powiedział pogardliwie — nie niepokoiłbym się, bo ich kolej nie nadejdzie.

Senator zerknął na Forresta, wciąż się uśmiechając.

— Panie Magnus, sądziliśmy, że jest pan na górze i wrzeszczy razem z moją żoną i synem.

— Pożałujesz tego, śmieciu, zapewniam cię.

I Forrest uniósł prawą rękę, w której trzymał małe pudełko. Kciukiem dotykał czerwonego guzika.

— Na pewno wiesz, co to jest? — zapytał.

Odpowiedział za niego Wielki Wilk Hasty.

— Detonator. Zaskoczył nas pan, panie Magnus. Czy wolno mi zapytać, w co pan właściwie gra?

— Zaczynijmy od przestrogi: trzymajcie swoje magiczne sztuczki w kapeluszu. Jeżeli poczuję, że na tym parkingu cokolwiek się zmienia, nie odpowiadam za mój palec, jasne?

— Nie mówi poważnie. — Senator spojrzał na Williama Hasty'ego, wzruszając ramionami. — Nie odważy się wysadzić tu i siebie, i swoich przyjaciół.

— Czy zginą w ten sposób, czy po waszemu, to już żadna różnica — odparł Forrest. — Natomiast dla was ta różnica jest ogromna. A kiedy mówię o was, to mam na myśli także waszego pieprzonego generała, który jest teraz na górze.

— Mistrz jest silniejszy, niż pan sądzi, panie Magnus — odparł spokojnie Hasty. — Być może my wszyscy umrzemy, on jednak przeżyje eksplozję, daję panu na to moje słowo.

Forrest, który przygotował się na tego typu uwagi, zagrał ostro.

— Rozejrzyjcie się uważnie. Tuż obok środkowego słupa stoi półciężarówka, ten ford. Jest w niej dość materiałów wybuchowych, żeby budynek runął jak domek z kart, jeżeli tylko zdejmę palec z detonatora. I może wasz generał jakoś z tego wyjdzie, ale na pewno nie ocali swojego piekielnego sarkofagu, Potężnego Wiatru.

Z ciszy, jaka zapadła po tych słowach, Forrest czuł, że wykonał trafny ruch. Generał bez Potężnego Wiatru nie przetrwałby długo po wybuchu.

William Hasty uniósł brwi.

— Co pan proponuje? Chciałbym poznać pańskie warunki.

— Grzecznie pozwolicie nam opuścić fundację — odparł Forrest z wielką pewnością siebie.

Na twarzy Williama Hasty'ego pojawił się okrutny uśmiech.

— Dobrze, oni mogą iść, ale pan zostanie.

— Nie ma mowy — wtrąciła się Sarah. — Forrest idzie z nami.

— Nie możemy podjąć takiego ryzyka. Kto nam zagwarantuje, że kiedy znajdziecie się na zewnątrz, nie wywołacie eksplozji?

Argument był logiczny. Po chwili namysłu Forrest powiedział:

— Idź, Sarah. Ty także, Tim. Ja muszę zostać.

Sarah znowu się sprzeciwiła.

— Nie widzisz, że wygrali — tłumaczył Forrest. — Jeżeli zostaniesz na tym parkingu, ich zwycięstwo będzie pełne. Lada chwila pojawi się tu policja i jak myślisz, komu uwierzy? March powiedział to jasno, nie bluffował. Wszystko nas obciąża. Wszystko, Sarah. Dlatego jeżeli Tim i ty odmówicie, skończymy w więzieniu i nikt już nie podejmie walki z tymi łotrami, którzy nazywają siebie Wilkami. Musicie stąd wyjść. Natychmiast. Kocham cię, Sarah. No, pospieszcie się, gliny zaraz tu będą.

Tim chwycił Sarah za rękę.

— Chodź — powiedział. — Forrest ma rację.

— Ale...

— Zaufaj mi — przekonywał — dałbym wiele, żeby zająć jego miejsce i pozwolić mu uciec razem z tobą.

Sarah, którą ich bezsilność doprowadzała do szału, rzuciła mu gniewne spojrzenie. Wiedziała, że nie kłamał. Gdyby Forrest mógł bez wywoływania eksplozji zwolnić nacisk palca, Tim bez wahania zająłby jego miejsce.

Opierając się Timowi, jeszcze raz zwróciła na Forresta duże, pełne grozy i niepewności oczy. Czy naprawdę musi odejść bez niego?

Wtedy Forrest poczuł gwałtowne bicie serca i uświadomił sobie, że ma przed sobą Sarah ze swego snu, tę, która patrzyła na niego w milczeniu długo i z natężeniem, zanim jeszcze się poznali. Tak, sen, który śnił przed laty i który wyrwał go ze szponów Gardnera, spełnił się dziś wieczorem i wreszcie nabrał pełnego sensu.

Przebiegł go dreszcz.

— Zabierz ją stąd, Tim — powiedział głuchym głosem. — Proszę cię, zabierz ją. Natychmiast.

Sarah wpatrywała się w niego jeszcze przez chwilę, zanim poszła za Timem.

— Do zobaczenia wkrótce, panno Widar — rzucił senator, patrząc, jak siada za kierownicą samochodu Tima. — Dokądkolwiek się wybieracie, jedźcie szybko, bo najbliższe godziny będą dla was bardzo trudne i wyczerpujące nerwowo. Może mi pani wierzyć.

Ford taurus wyjechał ostro na wstecznym biegu, potem z piśkiem opon skręcił w stronę rampy.

Kiedy Forrest był pewien, że jego przyjaciółom nic nie grozi, uśmiechnął się smutno do dwóch stojących przed nim Wilków.

— W domenie manipulacji musicie się jeszcze sporo nauczyć — powiedział.

I cisnął im pod nogi pudełko, które roztrzaskało się na

betonie. W środku nie było żadnego mechanizmu. Patrzyli na zwyczajny wyłącznik, który wziął sobie pewnego dnia, kiedy elektrycy instalowali oświetlenie jego obrazów. Opowiastka o bombach, które mogą zaraz wybuchnąć, była zwykłą bajką, ale on uwierzył w nią tak mocno, że szperając w jego myślach, Wilki także wzięły ją za prawdę.

— Zawsze wizualizuję to, co chcę ukazać, zanim przystąpię do malowania — tłumaczył Forrest, gdy w pobliżu fundacji słychać już było syreny wozów policyjnych. — Panowie, po prostu zapomnieliście, że jestem artystą.

I ten artysta stworzył właśnie najpiękniejszy obraz w całej swojej karierze.

Tim i Sarah się rozstają

Już z oddali słyszeli policyjne syreny, które wyły na Piątej Alei, gdy oni jechali fordem taurusem w kierunku Astor Place. Sarah prowadziła w milczeniu, a z jej twarzy wyzierała rozpacz. Tim, ranny i pokonany, też ledwie się trzymał.

Oboje wciąż mieli przed oczyma Forresta, który stał sam na parkingu, w otoczeniu Wilków. Ocalił im życie, czy jednak zdoła ocalić siebie? To pytanie nie dawało im spokoju, jeszcze okrutniej uświadamiając ogrom klęski.

— Będziemy musieli się rozstać — powiedział rwącym się głosem Tim.

Jako główni podejrzani o masakrę, do jakiej doszło tego wieczoru, powinni jak najszybciej opuścić Nowy Jork, nie łudząc się, że zdołają przekonać kogokolwiek o swojej niewinności. Nie mogli liczyć nawet na najbardziej przekupnego albo najbardziej bezinteresownego adwokata. Teraz byli ścigani i

tak powinni o sobie myśleć, a przede wszystkim — tak działać, inaczej bowiem mogliby popełnić kolejny fatalny w skutkach błąd. Doskonale zdawali sobie sprawę, że jeśli zostaną aresztowani albo zabici przez policję, przyczynią się do realizacji potwornego zamierzenia Fenrydera.

Sarah zaparkowała samochód przy bankomacie na Astor Place. Pobrała maksymalną kwotę, na jaką pozwalała jej karta kredytowa, czyli czterysta dolarów. Potem wsunęła do bankomatu kartę Tima.

— Nie tak szybko — powiedział Tim, kiedy wsiadła do samochodu i chciała podzielić się z nim pieniędzmi.

Zanim do tego doszło, zgodnie z radą Tima przejechała St Mark's Place do Tompkins Square, gdzie zaparkowała.

— Daj mi swoją komórkę — powiedział i wysiadł z wozu.

Utykając, z rękami w kieszeniach, szedł przez plac. Przy furtce skweru, na ławce, trzy osoby prowadziły ożywioną rozmowę. Mężczyźni, którzy w zimny wieczór, o tak późnej porze, siedzieli w tym miejscu, zapewne nie byli amatorami szachów na świeżym powietrzu.

Zatrzymał się przy nich. Coś mówił. Z ust wydobywała mu się para. Dał im jakiś przedmiot, ale Sarah nie widziała, co to było. Potem uściśnął im ręce i zawrócił. Jeden z mężczyzn wkrótce ruszył za nim. Na ulicy skinął Timowi ręką i poszedł w przeciwną stronę.

Tim wsiadł do samochodu i przez chwilę milczał, zadyszany. Dokuczala mu noga, chłód na zewnątrz też był dotkliwy. Patrzył przed siebie, jakby nieobecny.

— Znam tych ludzi — odezwał się w końcu. — Handlują samochodami. Kradną je, przemaalowują i sprzedają. — Wsunął ręce do kieszeni. — Zamieniłem mój wóz na dwa inne. To nie będą cadillaki, ale da się nimi jeździć.

Sarah pomyślała, że nawet ranny i załamany, Tim Modin

wciąż myślał logicznie. Nie wiedziała, czy powinna mu zazdrościć, bo sama miała kompletny mętlik w głowie. Mimo to zdawała sobie sprawę, że w ciągu kilku najbliższych godzin cała policja tego pocziwego kraju otrzyma informację o czarnym fordzie taurusie i że lepiej nie jechać wtedy tym samochodem.

— Dałem im także nasze komórki — powiedział Tim. — Ricky obiecał mi dzwonić z nich przez całą noc, żeby zmylić policję do czasu, kiedy wydostaniemy się z Nowego Jorku.

Po chwili milczenia Sarah zapytała:

— Forrest kłamał? Nie miał żadnej bomby?

— Oczywiście, że kłamał. Ale tam, na parkingu, my też musieliśmy mu wierzyć, bo inaczej zginęlibyśmy wszyscy troje z rąk Wilków. Zrozumiałem, że jedynym sposobem podziękowania Forrestowi było zagrać w jego przedstawieniu. Żeby cię ocalić...

Mężczyzna, który poszedł za Timem i miał na imię Ricky, wrócił za kierownicą starego chevroleta w kolorze piaskowym. Wóz miał rejestrację z Maine. Zaparkował tuż za nimi i podszedł do drzwi po stronie Sarah.

Opuściła szybę i zadrżała owiana zimnym powietrzem.

— To dla ciebie, ślicznotko — powiedział wesoło i pomachał jej przed nosem kluczykami od chevroleta.

Uśmiechał się niemal bezzębnymi ustami, przesłonięty obłokami pary.

— Daj mu dwieście dolarów — polecił Sarah Tim.

Wręczyła mu pieniądze w zamian za kluczyki. Zauważyła, że jest przy nich breloczek w kształcie trupiej czaszki.

— Idę po drugi wózek — oznajmił sprytny Ricky i szybko odszedł.

Tim wziął z rąk Sarah resztę pieniędzy. Przeliczył je i oddał jej ponad połowę, czyli czterysta dolarów.

— Będziesz musiała za to przetrwać kilka tygodni — uprzedził, patrząc jej w oczy.

Po raz pierwszy od ucieczki z fundacji naprawdę na siebie spojrzeli. Było to zarazem ostatnie takie spojrzenie przed rozstaniem. Czuli się zmęczeni, oszołomieni, bali się. Wyglądali na pokonanych, a to tylko nasilało w nich gorycz i ból.

— Już nigdy nie posługuj się tą kartą kredytową — powiedział. — I nie próbuj telefonować do przyjaciół.

Nie zapytał, dokąd zamierza pojechać. Gdyby Wilki odnalazły jedno z nich, dla drugiego byłoby lepiej, żeby w umyśle przyjaciela nie mogły wyczytać miejsca jego pobytu.

— Musisz już jechać — powiedział. — Proszę, uważaj na siebie, Sarah.

— A jak ty sobie poradzisz? — zapytała cicho.

— Ricky zajmie się moją nogą. A potem ucieknę. Tym drugim samochodem.

— Drugim samochodem — powtórzyła bezwiednie, patrząc Timowi w oczy tak, jakby błagała go, żeby powiedział, że to tylko zły sen.

— Tak. Samochodem. Myślę, że dam radę prowadzić.

Sarah odwróciła oczy i z ciężkim sercem popatrzyła na ulicę.

Wokół było pusto, jeśli nie liczyć dwóch mężczyzn na skwerze, którzy obserwowali ich z ławki.

Plaszcz Sarah zaszeleścił, kiedy pochyliła się, żeby otworzyć drzwi.

— Zaczekaj — powiedział Tim i jedną ręką postawił jej kołnierz.

Sarah zrozumiała, że ich sytuacja jest naprawdę rozpaczliwa, skoro Tim pozwala sobie wobec niej na czuły gest. Dotąd zawsze traktował ją jak wojowniczkę.

— Dziękuję — szepnęła, unikając jego spojrzenia, podobnie jak on.

Ze łzami w oczach wysiadła z forda i podeszła do chevroleta. Po chwili siedziała już za kierownicą.

Tim powiódł wzrokiem za chevroletem i obserwował go, dopóki wóz nie zniknął mu z oczu. Potem westchnął i oparł głowę o zagłówek. I nagle — jakby przebiegł go prąd — przypomniał sobie, co Wielki Wilk William Hasty powiedział im o swoim kompanie Walterze Skollu. Na tę myśl zlał się zimnym potem.

Tego wieczoru Skoll się nie pojawił, bo „miał do załatwienia drobny problem z personelem”. Tak to ujął Hasty.

Drobny problem z personelem, powtarzał Tim i narastał w nim strach.

O nie! — jęknął w duchu. Nie!

Zapominając o ranie, szybko wysiadł z wozu. Serce biło mu jak szalone. Przed oczyma miał śliczną, pełną niepokoju twarz Jodie, która błagała, żeby był ostrożny, kiedy wróci do Nowego Jorku. Odprowadziła go do samochodu, zatrzymali się przed domkiem i pocałowali na pożegnanie. Jeszcze teraz czuł jej usta na swoich, czuł jej ręce na swoim karku.

— Boże, błagam, niech to się nie stanie!

Powłócząc nogą, Tim Modin pobiegł do najbliższej budki telefonicznej.

Odnajdujemy Jodie i „wielebnego” Gardnera

Kilka godzin wcześniej, późnym popołudniem, kiedy chatę doktora Kyle'a spowily już ciemności, Jodie drżała jak osika, patrząc na „wielebnego” Gardnera. Przywiązał ją do krzesła w salonie i kucnąwszy przed nią, tłumaczył, patrząc jej w oczy:

— Możesz krzyczeć, ile chcesz, ślicznotko. Tutaj nikt cię nie usłyszy. Ale przecież w tym tkwi urok takich miejsc, prawda?

I żeby jej to udowodnić, wrzasnął na całe gardło. Po chwili zamilkł, uśmiechnął się i powiedział:

— Widzisz, krzyki na nic się nie zdadzą. Bardzo mi przykro.

Zgodnie z obawami Jodie stan jej matki gwałtownie się pogorszył. Widziała, jak starsza pani przechadza się po pokoju, powtarzając w kółko to samo pozbawione sensu zdanie. Jej umysł zatracił kontakt z rzeczywistością i Jodie zastanawiała się, czy w gruncie rzeczy tak nie jest lepiej dla matki. Gardner zauważył spojrzenie Jodie.

— Dobrze! Masz rację. To prawda — powiedział, jakby podjął z nią rozmowę. — Dobrze, zaczekaj chwilkę, zaraz do ciebie wrócę, zgoda?

Podniósł się z westchnieniem, podszedł do drzwi wejściowych, otworzył je i poprosił Margaret, żeby wyszła, bo on i jej córka muszą „pomówić w cztery oczy”.

Jodie po raz ostatni widziała matkę, gdy ubrana w szlafrok i kapcie z radością dreptała po śniegu w ten zimowy wieczór. Potem drzwi się zamknęły.

Gardner wrócił i znowu przykucnął przed Jodie.

— Tak będzie lepiej — mruknął z uśmiechem. — Wróćmy do naszej rozmowy!

Chwytał kciuk jej prawej ręki, przywiązanej do oparcia krzesła, i zaczął go szarpać w górę i w dół, potem w prawo i w lewo.

— Upprzedzam, dziecinko, że jeśli ważysz się pisnąć, zadam ci o wiele silniejszy ból. Nie będę tolerował żadnej hysterii w takim miejscu.

I wyłamał jej kciuk.

Krzyknęła.

— Nie mów mi tylko, że cię to zabolalo! — wrzeszczał nad nią stary szaleniec. — Nie opowiadaj mi, że to boli!

Ból palca był nieznośny, ale Jodie wiedziała, że Gardner jest zdolny do znacznie gorszych rzeczy. Błada i zapłakana, zdołała powstrzymać krzyk, który w końcu zamarł w jej gardle, przerażając się w cichy szloch.

— No dobrze, czas na sąsiada — rzekł Gardner, potrząsając jej palcem wskazującym.

— Nie, błagam pana — jęknęła, czując, jak serce podchodzi jej do gardła.

Nieczuły na łyzy, chwycił dłonią jej palec.

— Błagam pana, niech pan tego nie robi — powiedziała, dławiąc się słowami.

— W górę, w dół — mówił Gardner, potrząsając tym palcem, jak przed chwilą kciukiem. — A teraz w prawo i w lewo... A teraz uwaga, żadnych wrzasków! Teraz... teraz...

I złamał jej palec.

Wytrzeszczyła oczy i krzyknęła, nie mogąc dłużej zapanować nad głosem.

— Cicho! — syknął Gardner, niemal przytykając usta do jej ucha. — Ciiicho! Chciałbym ci powiedzieć, że to minie, ale nie, to wcale nie minie.

— Dla... dla... dlaczego? — zapytała, szlochając i patrząc na niego przez łyzy.

Odsunął pomarszczoną twarz i ujął jej głowę w dłonie.

— Bo jestem po tamtej stronie. Albo żeby użyć słów Clintona, pamiętasz, tego prezydenta: bo mogę. A poza tym wiesz — uśmiechnęła się przelotnie — że cokolwiek zrobię, będą o tym wiedziały tylko te cztery ściany. I tobie samej wyda się to niczym w porównaniu z tym, co zrobi ci jeden z moich Panów.

Nawet gdybym urwał ci głowę, to i tak byłoby to błahostką wobec tego, do czego zdolni są Oni. Zło rozgrzeszy każdy mój czyn. Ja dla Nich nie istnieję, ty też nie istniejesz. I cokolwiek ci zrobię, jest niczym. Twój ból — odsunął palcem pasmo czarnych, wilgotnych od potu włosów z jej czoła — twoje łzy — otarł jej łzę z policzka — są — uśmiechnął się — niczym. Potem wstał i po chwili milczenia dodał, kiwając głową:

— Ty i ja wcale nie istniejemy. Dlatego nic, co zrobimy i co przeżyjemy, się nie liczy.

Nagle zamilkł, nadstawił ucha i podnosząc palec, powiedział:

— Słyszysz, Jodie Stevenson? Słyszysz? Oto przybywa jeden z Nich. Tak, to jeden z Tych, którzy Istnieją. Przybywa specjalnie do ciebie, Jodie Stevenson. Do diabła, On przybywa do ciebie!

Ogarnięty dziką radością, Gardner cofnął się i przycupnął w kącie, jak pełen respektu, wylękniony obserwator, który nie chce swą obecnością zakłócić wejścia wspaniałego myśliwego.

Dławiąc nerwowo szloch, Jodie patrzyła na drzwi, w których stanął Walter Skoll. Szedł prosto do niej, a na jego twarzy malowała się niezłomna wola. Emanował niewypowiedzianym bestialstwem i nawet elegancki, trzyczęściowy garnitur nie łagodził tego wrażenia. Był wygłodniały, dawało się wyczuć, że jest żarłoczny jak orka, która płynie, by upolować młodą, zagubioną fokę.

Serce Jodie waliło jak szalone, a ona myślała o tym mężczyźnie w niebieskiej bluzie, o Daviem Stedmanie, sprzątaczu, i o tym, co jej pokazał w toalecie supermarketu w Stamford, kiedy miała piętnaście lat.

Wiedziała, że to, co zrobi jej Walter Skoll, nie da się porównać z przeżyciami z podziemi supermarketu w Stamford, wiedziała, że czeka ją coś o wiele gorszego.

Bo Walter Skoll był Daviem Stedmanem, ale po tysiącokroć silniejszym. Stedman był tylko sfrustrowanym zbrojnym, Skoll — uosobieniem zła.

A przede wszystkim profesor Margaret Stevenson nie położył tym razem kresu koszmarowi.

Mamo! — prosiła w myślach. Och, mamo, pomóż mi. Tak strasznie się boję!

Ale matka wyszła i spacerowała po ciemnym lesie pod ramię z Panią Demencją, jej jedyną towarzyszką. Nie chwyci Waltera Skolla za włosy. Nie wybije mu zębów. Nie ocali córki.

Walter Skoll zatrzymał się przed Jodie, a ona uniosła głowę.
— Litości — wyszeptwała. — Litości.

Zwracała się jednak nie tyle do Wilka Waltera Skolla, ile do Boga, który tam, w niebie, musiał chyba zatkać uszy i zasłonić dłońmi oczy.

Czy Jodie Stevenson widziała, jak Walter Skoll rozdziera ogromną paszczę z kilkoma rzędami kłów i jak pochyła się nad nią, szybki niczym wygłodniała orka?

Czy naprawdę to widziała?

Tim telefonuje do chaty doktora Kyle'a

Tim ze ściśniętym żołądkiem wszedł do budki telefonicznej i wybrał numer komórkowy Jodie. Wysłuchany w dźwięk dzwonek, czekał, ale Jodie nie odebrała. Po szóstym sygnale włączyła się poczta głosowa. Tim odłożył słuchawkę, nie zostawiając wiadomości.

Gdzie jesteś, Jodie?

Przypomniał sobie, że tuż przed rozstaniem, kiedy wsiadał już do samochodu, wsunęła mu do kieszeni numer telefonu

stacjonarnej chaty. Wyjął białą kartkę w kratkę i serce ścisnęło mu się na widok drobnego pisma Jodie.

Wybrał numer. Po drugim sygnale ktoś odebrał telefon.

— Halo!

Rozpoznał głos doktora Kyle'a. Mocno zacisnął powieki, jego palce z całej siły trzymały słuchawkę.

— Mówi Tim Modin — powiedział.

— Coś ty jej zrobił, ty obłąkany bydlaku? Jak mogłeś to zrobić tej biednej dziewczynie?!

Wzburzony lekarz krzychał w słuchawkę ogarnięty szałem.

Tim usłyszał, że ktoś mówi do Kyle'a: „Proszę mi go dać, doktorze... Dziękuję”. Na linii rozległy się trzaski, a zza nich głos:

— Panie Modin, mówi inspektor Stappleton... Panie Modin, jest pan tam?

Tim zwilżył językiem wyschnięte wargi i oparł czoło o szklaną ścianę kabiny.

— Panie Modin?

— Tak, słucham... — odparł Tim głosem jak zza grobu.

Wiedział, że powinien zadać to pytanie. Jeszcze mocniej zacisnął palce na słuchawce.

— Co... co się tam stało, proszę powiedzieć? — wydusił wreszcie.

— Bardzo mi przykro. Panna Jodie Stevenson nie żyje, podobnie jak pański wuj. Doktor Kyle znalazł ciała, gdy przyjechał tu około osiemnastej. To... to straszne. Poszukujemy Margaret Stevenson, która chyba zdołała uciec. Były razem, kiedy widział je pan po raz ostatni, prawda? Gdzie pan jest, panie Modin? Powinniśmy porozmawiać. Chciałbym...

Tim odłożył słuchawkę, Oszołomiony, przytłoczony rozpaczą wyszedł z budki, zataczając się jak pijany. Szedł przed siebie,

niczego nie widząc, nie czując lodowatego wiatru, który dał w tę noc śmierci.

Dwaj bezdomni podeszli, żeby poprosić o trochę drobnych, ale kiedy zobaczyli, że ten olbrzym cicho płacze, pozwolili mu spokojnie odejść i tylko na siebie popatrzyli, przejęci milczącym współczuciem braci w nieszczęściu.

Tim szedł dalej. Włóczył się bez celu bardzo długo. Wiedział, że dla niego ta mroźna noc będzie wieczna.

Po chwili poczuł coś białego i lekkiego, co wirowało mu przed oczyma i muskało twarz. Zamrugał powiekami. Z czarnego nieba posypały się duże płatki śniegu. Musiało padać już od dawna, i to mocno. Na chodniku i jezdni leżała dość gruba warstwa białego puchu. Tim przystanął, popatrzył na samotne ślady swoich stóp. Chyba tym razem śnieg się utrzyma, pomyślał, czując ukłucie w sercu i nie odrywając oczu od śladów, które już zniknęły pod nowymi płatkami.

— O Boże! — jęknął rozpaczliwie.

W uśpionym mieście sypał czysty, biały śnieg, a Jodie, która tak pragnęła, by spadł na święta, już go nie zobaczy.

Pojawia się drugi cień wędrujący przez mrok

Stara kobieta także szła już od dawna.

Oczywiście, dla niej pojęcie czasu nie miało teraz żadnego znaczenia, a ciało reagowało na zmęczenie egzaltacją.

Zgubiła gdzieś kapeć, który pewnie utknął w błocie, podarła na strzępy szlafrok, raz po raz zaczepiając nim o gałęzie. Ale kobieta, która dawniej nazywała się Margaret Stevenson, szła dalej, choć „dalej” nic już dla niej nie znaczyło. Drzewa, noc,

grudniowy mróz, płatki śniegu spadające z nieba, nawet gdyby je zauważyła, byłyby obce jej umysłowi.

Szła i szła, domyślając się ze swoistą dumą, że ten marsz doprowadzi ją do tańca. I może właśnie o tańcu marzyła, może chciała stać się tańcem. Taniec przyjdzie jak nagroda i wreszcie pochłonie ją całą.

Teraz zapomniała już o wszystkim, nawet o nazwisku, nawet o córce i o własnej płci, a może o przynależności do zadziwiającego gatunku ludzkiego.

Bo czy Margaret Stevenson wiedziała jeszcze, że jest istotą ludzką? Idąc przez zaśnieżony las, nie była nawet kobietą, a jednak była całą ludzkością, tą ludzkością, która myśli i pamięta, ale nie mogłaby iść jak Margaret Stevenson w tę grudniową noc.

Od czasu do czasu stawał jej przed oczyma tylko jeden obraz — wojownik dosiadający rosłego konia. Ta przerażająca zjawia ubrana była w szary mundur poplamiony krwią. Czy przyszedł po nią? Czy zaprosi ją do tańca? Och, niechże wreszcie przybędzie jej tancerz! Niech przyjdzie, modliła się o to, niechaj porwie ją do tańca!

Poza kolcami wbijającymi się w skórę i kaleczącymi starą kobietę ciemny las, który przyjął ją tej śnieżnej nocy, obchodził się z nią dość życzliwie. Mróz nie był tak ostry, żeby ją zabić, noc była widna, na niebie pojawił się księżyc. Ale może to była tylko obojętność natury wobec człowieka. Może Margaret Stevenson stała się tylko kolejnym cieniem, jedną z wielu zjaw, samotną czcicielką nieznanego kultu w mrocznej przestrzeni, która po prostu ją tolerowała.

Jakkolwiek było, starsza pani przyspieszyła kroku, teraz już niemal biegnąc między drzewami. Szła i szła w stronę tańca, szła ku światu tańca.

A zwierzęta nawet już przed nią nie uciekały.

Kilka kolejnych dni

Przez następnych kilka dni padało.

Rankiem dziewiętnastego grudnia rozszalała się zamięć i Nowy Jork oraz Boston sparaliżowała osiemdziesięciocentymetrowa warstwa śniegu (co oznaczało pobicie rekordu Wielkiego Jabłka z roku 1947). Samoloty nie odlatywały i nie lądowały w tych wielkich miastach. Zamknięto wiele dróg, ruch niemal zamarł i jak to bywa w takich sytuacjach, życie gospodarcze wyraźnie zwolniło rytm. Sklepy odnotowały znaczny spadek sprzedaży, bo nie było klientów, a fabryki, do których nie docierali pracownicy, wstrzymały produkcję. Ludzie siedzieli w domach, czekając na poprawę pogody.

Ale poprawa nie nadchodziła.

Warunki meteorologiczne pogorszyły się w weekend. Wiatr na wybrzeżu osiągał prędkość stu trzydziestu kilometrów na godzinę, temperatura w Nowym Jorku i Baltimore spadała, a w końcu zatrzymała się na poziomie -10°C . W niektórych stacjach, na przykład w Maine, wynosiła nawet poniżej -30°C . Ogromne zasy, miejscami ponadtrzymetrowe, tworzyły się na ulicach i drogach, toteż przejazd z Bostonu do Baltimore był praktycznie niemożliwy.

Jak łatwo się domyślić, te kaprysy pogody znacznie utrudniły policji ściganie zbiegów, których media z lubością określały w artykułach prasowych i dziennikach telewizyjnych „krajowymi terrorystami”.

FBI, które w tym zbiorowym mordzie w Fundacji Waltera Skolla straciło pięciu agentów, znalazło się w ogniu krytyki, ponieważ nie zdołało zapobiec tragedii. Bezlitosna prasa i Kongres, który chciał spełnić oczekiwania wyborców, żądały głów. I głowy polecały — liczne i ważne.

Powołany natychmiast nowy szef FBI zapewnił media, że nie spocznie, póki nie uda mu się schwytać sprawców ostatnich rzezi. Wydawało się, że wierzy w to, co mówi, a jednak tylko nieliczni jemu uwierzyli.

W Wigilię Bożego Narodzenia „wielebny” Gardner został rozpoznany i aresztowany przez funkcjonariusza NYPD, gdy wychodził z kafejki internetowej po wysłaniu kilku wiadomości. Podczas konferencji prasowej, którą zwołano, burmistrz Michael Bloomberg chwalił się tym sukcesem, stojąc obok szefa policji, również rozpromienionego. Agenci FBI tymczasem zajęli się przesłuchaniem Gardniera, który z dumą oświadczył, że był mózgiem obu zamachów – w Regency i w Fundacji Waltera Skolla. Podał nazwiska czwórki swoich „braci w Szatanie”. Dwóch już zatrzymano, dwojga pozostałych intensywnie poszukiwano. Byli to anarchista Michael Welling, malarz Forrest Magnus, prywatny detektyw Tim Modin i była dziennikarka Sarah Widar. W oświadczeniach, które Gardner rozesłał do redakcji i na stronę Oprah Winfrey, można było znaleźć nawoływanie „prawdziwego kraju” do buntu przeciwko „neobolszewikom z Waszyngtonu”. On i Jego ludzie poświęcili się, żeby Ameryka wreszcie się obudziła. „Wrogowie wolności” powinni zostać „natychmiast wyeliminowani”, mówił otwarcie, podkreślając zarazem, że „ta kanalia March” i Jego zbiry w senacie” posłużą się tymi zamachami jako pretekstem, żeby przeforsować w Kongresie „haniebne i wolnościobójcze” prawo o ograniczeniu wolności wiary. I Gardner dodawał: „Lecz prawo to przygotowano już dawno, bracia. Tak, federalna hydra tylko czeka na okazję, by położyć łapę na ostatnie bastiony wolności w naszym kraju: nasze umysły i dusze. I dlatego zaatakowaliśmy ją, zanim ona zdążyła to uczynić”. Gardner w podobny sposób opluwał „federalnego Lewiatana” oraz papieża, „tego

wielokrotnego recydywistę Big Brothera”, nie zapomniał też zaatakować Żydów.

Uważał, że fundamentalne swobody religijne były zagrożone, a kierowana przez Marcha senacka komisja śledcza zapowiadała zmierzch niezależnych religii. „Dziś to Potrójna Kreska, ale jutro ten judeopapista March zajmie się małą kongregacją na rogu waszej uliczki. Ja jednak chcę móc nadal wierzyć w to, w co chcę wierzyć, a nie w dogmaty narzucone mi przez żydowsko-watykańskich spiskowców”.

Wszystkie e-maile wysłane tego dnia przez Gardnera kończyły się identycznie: „Amerykanie, zaczął się wyścig z czasem, a ten wyścig jest zarazem walką na śmierć i życie. Wskazałem wam drogę. Teraz wybierzcie swój obóz! Nie pozostaniecie obojętni!”.

I kraj zareagował. Podzielił się.

Jedni bezwzględnie potępiali sektę, inni próbowali ją tłumaczyć, a nawet usprawiedliwiać. Najzagorzalsi wrogowie, ci najbardziej zdeterminowani, dostrzegali w sprawie Potrójnej Kreski wymarzoną okazję, żeby wyplenić sekty uważane za groźne dla bezpieczeństwa narodowego, bez względu na to, czy miały cokolwiek wspólnego z satanizmem. Przerażone masakrami dokonanymi przez Potrójną Kreskę media na ogół podzielały ten punkt widzenia, podobnie jak coraz liczniejsi politycy, którzy poczuli się teraz osobiście zagrożeni.

Rzecznicy prasowi scjentologów dobijali się do mediów, chcąc uzyskać prawo do riposty. Mówiło się także o wpływach grup hardrockowych i kręgów gotyckich.

Sam Gardner znalazł obrońców wśród przedstawicieli ruchów ekstremistycznych, miał także spore poparcie społeczne. Tu i ówdzie pojawiali się „advokaci wolności”. Wielu mówiło, że może Gardner jest szaleńcem, ale przecież jego walka

o wolność nie mogła doprowadzić go ani do szpitala psychiatrycznego, ani na krzesło elektryczne.

W Teksasie, Minnesocie, Kalifornii powstawały komitety wspierające go.

Znów zaczęto czytać Lysandera Spoonera*.

* Lysander Spooner (1808–1887) – prawnik, publicysta, zaliczany do klasyków amerykańskiego anarchizmu.

W Nowym Jorku niektórzy dziennikarze zastanawiali się, czy kraju nie ogarnął „syndrom Waco”. Przypominali w związku z ostatnimi wydarzeniami, że FBI, przystępując do szturm w roku 1994, kiedy celem była sekta Davida Koresha, pośrednio przyczyniło się do zamachu terrorystycznego, którego rok później dokonał na budynki federalne w Oklahoma City Timothy McVeigh. „Ilu Timothych McVeighów jesteśmy w stanie znieść, żeby unieszkodliwić nowych Davidów Koreshów Ameryki?”, pytał z powagą „New York Post”.

Ten pełen napięcia klimat niewątpliwie wyjaśnia, dlaczego informacja „Boston Globe” przeszła całkowicie niezauważona. Artykuł w pięciu liniijkach donosił, że około czwartej po południu dwudziestego siódmego grudnia, gdy ustała zamieć, Charles Winfield, przemierzając las z dwoma psami, seterem i terierem szkockim, znalazł zwłoki Margaret Stevenson. Staruszka zmarła w odległości pięciu kilometrów od chaty, w której zamordowano jej córkę Jodie. Mróz spowodował, że ciało pani Stevenson nie uległo rozkładowi.

„Cholera, kobiecina skonała z uśmiechem na ustach!” — powtarzał raz po raz Charles Winfield, opowiadając o całym zdarzeniu żonie i głodnym sensacji przyjaciółom.

Tylko on odgadł, że Margaret Stevenson w końcu zatańczyła.

Odnajdujemy Sarah tuż przy granicy z Kanadą

Sarah jechała wąską górską drogą przez Minnesotę, której granicę z Wisconsin udało jej się przekroczyć nocą, kilka kilometrów od Duluth.

Po rozstaniu z Timem na Tompkins Square ruszyła na zachód, przejeżdżając kolejno New Jersey, Pensylwanię, Ohio i Indianę. Potem skierowała się na północny zachód przez Illinois i Wisconsin. Wybierała wyłącznie boczne drogi, omijając lepiej patrolowane autostrady. Dzięki temu, że pojechała na zachód, a nie na północ, jak przez pewien czas zakładało FBI, nie tylko uniknęła blokad policyjnych, ale także śnieżycy, która rozszalała się nazajutrz po dramatycznych zdarzeniach w fundacji. Sarah miała nadzieję, że Tim wybrał takie samo rozwiązanie i że również sprzyjało mu szczęście.

FBI nie bez powodu przewidywało, że zbiegowie zechcą dostać się do Kanady (agent Eliot March ustalił, że powstała tam struktura wspierająca Potrójną Kreskę), nikt jednak nie domyślał się, że Sarah, chcąc osiągnąć ten cel, okrąży Jezioro Górne i nadłoży wiele kilometrów, zamiast ruszyć prosto na północ.

Setki telefonów do centrali FBI utwierdzało agentów w błędnym przekonaniu. Informowano, że Sarah była widziana w Bostonie, w Portlandzie, w Maine. W Boże Narodzenie kilku świadków przysięgało, że pojawiła się w Nowym Jorku. I że snuła się po ulicach mimo mrozu i wiatru. Tę hipotezę uznano nawet za najbardziej prawdopodobną, jako że śnieżycy mogła rzeczywiście uniemożliwić Sarah i Timowi opuszczenie miasta.

Sarah żywiła się przez te dni wyłącznie płatkami zbożowymi z suszonymi owocami, kupując je nocą na stacjach benzynowych razem z paliwem poza centrami miast. Tam też się myśla,

a czasem, ale bardzo rzadko, pozwalała sobie na kawę. Mimo takiego odżywiania jakoś się trzymała, ale bardzo schudła.

Sypiała przeważnie w samochodzie, na poboczach mało uczęszczanych dróg, bała się bowiem, że ktoś mógłby ją rozpoznać. Jej zdjęcie, podobnie jak zdjęcie Tima, pokazywano we wszystkich dziennikach telewizyjnych — dowiedziała się o tym, słuchając radia.

Jej życie nie miało już żadnej wartości, a jednak było w cenie. A ta wynosiła aż trzysta tysięcy dolarów, bo taką nagrodę wyznaczyło FBI za informacje na temat poszukiwanej.

Jednak dwudziestego siódmego grudnia wczesnym wieczorem Sarah postanowiła zaryzykować i wynająć pokój w motelu. Chciała się umyć, a także obejrzeć telewizję. Dotąd czerpała informacje wyłącznie z radia, teraz jednak poczuła, że musi po raz ostatni zobaczyć twarz Forresta.

Żeby zminimalizować ryzyko, wybrała mało uczęszczane miejsce. Jack London Motel zbudowany w środku lasu na północnym brzegu Jeziora Górnego zapewniał dyskrecję. Klientom oferowano dziesięć pokoi (przeszło połowa była wolna) i widok na granicę kanadyjską. Jack London nigdy się tu nie zapuścił, jednak motel nazwano jego imieniem, aby przypomnieć, że niegdyś to tędy traperzy wędrowali do Kanady.

Właścicielka nie zadawała jej żadnych pytań, pogawędziły tylko chwilę o mrozach. Ale przecież nie było się na co uskarżać, prawda? Wystarczyło pomyśleć o zamieciach na Wschodnim Wybrzeżu, od Bostonu po Waszyngton. Sarah w pełni się z nią zgodziła, a potem poprosiła o pokój z telewizorem.

Wpisując się do książki hotelowej, podała nazwisko Jodie Forrest — w ten sposób uczciła dwójkę swoich przyjaciół.

Wolała zapłacić z góry.

W pokoju przed informacjami CBS o dwudziestej zdążyła jeszcze wziąć gorący prysznic.

O jej ucieczce mówiło się nadal na początku serwisu, tuż po relacjach dotyczących śnieżyc, które paraliżowały północny wschód kraju.

Przed przejściem do tematu dziennikarz zwrócił uwagę, że warunki meteorologiczne bardzo utrudniają policji poszukiwania. Potem na ekranie pojawiła się Fundacja Waltera Skolla. Dziennikarz w futrzanej czapce stał przed budynkiem. Przypomniął, że Sarah Widar i Tim Modin, „dwoje fanatyków z Potrójnej Kreski, którzy usiłowali zabić senatora Marcha”, są wciąż na wolności. Ich guru, Gardner, nadal współpracuje z policją. Tymczasem w mieszkaniu Tima Modina odnaleziono telefon komórkowy Jodie Stevenson. Aparat był poplamiony krwią, analizy potwierdzały, że to krew ofiary zamordowanej w leśnej chacie w Massachusetts. U Tima Modina znaleziono także teczkę, a w niej milion dolarów. Z rączki zdjęto odciski palców Gardniera. Wszystko wskazywało, że pieniądze pochodziły ze sprzedaży *Demonów*, obrazu skradzionego we wrześniu z rezydencji fundacji w Harlemie.

Potem pokazało się kilka migawek z senatorem Marchem. Pojawił się przed swoim domem na Long Island, gdzie ścisnął rękę prezydenta, który przybył do niego z wizytą. Marvin March miał na prawej ręce ciemną skórzaną rękawiczkę, „aby osłonić rany”, wyjaśnił dziennikarz, który przypomniał też, że w tamten tragiczny wieczór senator stracił żonę będącą w piątym miesiącu ciąży, a także syna Eliota, jak się okazało — agenta FBI rozpracowującego Potrójną Kreskę.

Na ekranie znowu pojawił się prezenter. Tym razem relacjonował wystąpienie Marvina Marcha w Senacie, gdzie brałymi na stojąco przyjęto jego decyzję o kontynuacji walki —

przez pamięć najbliższych. March oświadczył, że uczyni wszystko, by położyć kres kryminalnej działalności niektórych sekt i ugrupowań. Jeśli Lincoln miał rację, mówiąc w Cooper Union, że prawo stanowi siłę, to prawdą jest też, że tylko prawo ma siłę. Tymi oto słowy March zakończył porywające wystąpienie.

Sarah z obrzydzeniem przerzuciła kanał na Fox News.

To, co zobaczyła, było jak cios.

Na ekranie pojawił się Forrest. Miał na sobie pomarańczowy kombinezon, był skuty. Eskortowało go dwóch uzbrojonych osiłków. Widać było, że pod kurtkami z napisem FBI mają kamizelki kuloodporne. Forrest trafił do więzienia na Rikers Islands. Ta wyspa była piekłem na ziemi.

Widząc go w takim stanie, wychudzonego, Sarah niemal się rozplakała.

Tylko nie płacz, powiedziała sobie, hamując łzy. Musiała być silna. Dla Forresta. I dla Tima, o którym nic nie wiedziała. Nie miała pojęcia, gdzie się ukrywa.

Nawet nie próbując kryć oburzenia, prezenter Fox News dodał, że przez ostatnie dni w nowojorskich galeriach ceny obrazów Forresta Magnusa szybowały w górę. „Ci, którzy ciężko pracują, z pewnością wiedzą, co powinni uczynić” — doradził ze zjadliwym uśmiechem.

Potem mówił o manifestacjach, które zakończyły się zamieszkami w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin.

Setki tysięcy ludzi wychodziły na ulice miast w całym kraju, aby bronić swobód religijnych, którym miała zagrażać komisja Marvinia Marcha. Bo jeśli Kościół Szatana, Antona LaVeya, stanął po stronie „brata w walce” Gardnera, a inne ruchy poszły w jego ślady z najrozmaitszych względów, to jedni robili to, ponieważ Gardner był najprawdziwszym satanistą, inni zaś

dlatego, że stworzył mniejszościową, alternatywną wiarę, jeszcze inni wreszcie, dlatego że był więźniem...

Na przykład w Kalifornii trzech adeptci Wicca* podpaliли się na oczach bezradnych policjantów.

* Wicca – kult bogini Magii i boga Śmierci i Odrodzenia.

W ten sposób wszystkie amerykańskie sekty wyległy na ulice, gotowe rwać bruk i ciskać nim jak granatami w tępych sługusów systemu w mundurach antyterrorystów.

I oto w kampusach San Francisco i Los Angeles skrajnie lewicowe organizacje, wykrzykując slogany o spisku przeciw mniejszościom, prezentowały swoją siłę.

A w Montanie, Michigan i Arizonie skrajnie prawicowe bojówki maszerowały zgodnym krokiem i przestrzegały rząd, że użyją wszelkich metod, by przeciwstawić się ingerencji w indywidualne sprawy wyznaniowe. „Judeo-papistówski i kryptofederalny spisek” stał się lejtmotywem ich walki.

I wreszcie w Luizjanie i Teksasie Ku-Klux-Klan wy dobył z kufrów białe szaty i podpalił krzyże.

Tymczasem prezydent przypominał, że został wybrany przez...

Sarah wyłączyła telewizor.

Niczego nieświadomi, ona i jej przyjaciele, pozwolili wykorzystać się jako detonator wybuchu przemocy. Teraz zdała sobie sprawę, że operacja Demony miała posłużyć nie tylko ukryciu rytualnego charakteru mordu na Dolores i Eliocie, będącego przepustką Marvina Marcha do kręgu Wilków. Ta operacja miała nie tylko uwolnić Wilki od uciążliwej przeszkody w swobodnym zabijaniu, jaką byli Sarah i Tim, teraz oskarżani o rzeź w fundacji. Wszystko wskazywało, że została przygotowana z myślą o trzecim celu. Sarah już wiedziała, że i ten cel wkrótce zostanie zapewne osiągnięty.

Operacja Demony wywołała polityczne trzęsienie ziemi. Sarah nie wiedziała jeszcze, jakie następstwa i jaki zasięg może mieć to trzęsienie, ale domyślała się już jego celu.

Przy współpracy senatora Marcha i guru satanistów, Gardnera, generał Fenryder mógł swobodnie, pozostając w cieniu, podsycać płomienie, by w końcu pożar ogarnął cały kraj.

Sarah podeszła do okna i popatrzyła w dal, ku granicy z Kanadą, biegnącej za ciemnym lasem porastającym dolinę. Teraz już wiedziała, że Fenryder i Wilki odnieśli zwycięstwo. Doprowadzili do tego, nad czym pracowali cierpliwie od przeszło stu czterdziestu lat. Senator i guru — ludzie skrajnie różni i dlatego niezbędni — stali się symbolami walki, której tragicznym efektem miał być chaos, a jedynym zwycięzcą — Fenryder.

EPILOG

Laureen Baldwin natychmiast zrozumiała, co sprowadza mężczyznę, który przed chwilą zadzwonił do drzwi, choć ten nie zdążył jeszcze pokazać odznaki.

— Pani Baldwin? Agent William Madison, FBI. Czy mógłbym zadać pani kilka pytań?

Skinęła głową, ale nie zaprosiła go do domu. Scotty, jej sześćioletni synek, bał się obcych, wyjaśniła mężczyźnie.

— Tak, rozumiem panią. Proszę mi wierzyć, współczuję pani z powodu tego, co wydarzyło się w Luizjanie. Nie zajmę pani dużo czasu. — Wyjął z kieszeni marynarki zdjęcie i podał je kobiecie. — Czy widziała pani ostatnio tę osobę, pani Baldwin?

Laureen wzięła zdjęcie do ręki.

— To chyba Sarah Widar?

— Tak, to ona — potwierdził, kiwając głową. — Wiemy, że kilka dni przed atakiem na Fundację Waltera Skolla telefoniowała do kliniki, w której przebywał pani synek.

— I myśli pan, że przyjechała tu, żeby ukryć się w moim domu przed pościgiem?

— Tak. Właściwie nie. Po prostu zastanawialiśmy się, czy nie próbowała się kontaktować z panią lub pani synkiem.

Zwróciła spojrzenie na agenta, a po chwili oddała mu zdjęcie i powiedziała, splatając ręce na piersi:

— Mój syn i ja przeżyliśmy straszne rzeczy, dlatego przyjechalśmy do Kalifornii i zamieszkaliśmy w domu należącym do dawnego pracownika mojego męża. Scotty cierpi na pourazową afazję, bardzo głęboką. Lekarze, u których zasięgałam porady, nie dają nam większych nadziei na wyleczenie i sądzą, że nie doczekam się chwili, w której moje dziecko znowu zacznie mówić. Naprawdę uważa pan, że w tej sytuacji zgodziłabym się, żeby ukrywająca się przestępczyni zamieszkała pod jednym dachem ze Scottym?

— Nie, proszę pani. Rozumiem panią i przepraszam.

— Jeżeli jest jakieś miejsce na ziemi, którego Sarah Widar powinna unikać, to właśnie San Diego. Zapewniam pana, że tu jej nie ma.

— Tak, oczywiście. Przykro mi, że zakłóciłem pani spokój.

Obserwowała agenta idącego do samochodu, którego zde-rzaki błyszczały w słońcu, a potem zamknęła drzwi na zasuwkę i wróciła do salonu.

— To był policjant — powiedziała, wchodząc do pełnego słońca pokoju o dużych oknach balkonowych.

Sarah siedziała na białej skórzanej kanapie, trzymając na kolanach Scotty'ego. Chłopczyk bawił się małym boeingiem, reklamówką American Airlines.

— Lepiej będzie, jeżeli stąd wyjadę — powiedziała Sarah, patrząc jej w oczy.

Laureen przykucnęła obok nich i uśmiechnęła się do Sarah.

— I gdzie się pani podzieje? — Położyła dłoń na jej ręce. — Proszę mi zaufać, tu jest pani bezpieczna.

Sarah przyjechała przed dwoma tygodniami. Wyczerpana, zaszczuta, wygłodzona. Laureen zobaczyła ją przed swym

domem. W grudniu podała jej nowy adres, nie przypuszczała jednak, że spotkają się w tak dramatycznych okolicznościach. Natychmiast zabrała ją do siebie, wiedząc już wtedy, że jeśli policja zapuka do drzwi, by zapytać o Sarah, skłamię bez zmruczenia oka. I tak uczyniła tego popołudnia, a teraz była z siebie dumna i zadowolona. Świat wydał jej się nagle mniej odrażający, ale też twardszy, niż sądziła.

Laureen nieraz już widziała, jak oczy Sarah wzbierają łzami. Jednak Sarah zawsze potrafiła zapanować nad rozpaczą i nigdy się nie rozpląkała.

Uśmiech Laureen był czuły i ciepły. Masz prawo płakać, Sarah, pomyślała.

Laureen nie przypominała sobie, by od dnia przyjazdu Sarah zdarzyło się rozpląkać. Może robiła to nocą, w swoim pokoju, kiedy Laureen i Scotty nie widzieli jej ani nie słyszeli. A może po prostu nie płąkała. Lecz nie zawsze tak będzie. Któregoś dnia lzy popłyną z jej oczu. Laureen dobrze o tym wiedziała.

Popatrzyła na synka i palcem pogładziła jego policzek. Nadal bawił się boeingiem, który w jego rączce zataczał majestatyczne kręgi po pogodnym niebie świata dziecięcej wyobraźni.

Scotty opuścił klinikę po kilkumiesięcznym pobycie, który nie przyniósł najmniejszej poprawy stanu jego zdrowia. W końcu Laureen przeciwstawiła się lekarzom i zażądała, by wypisano go do domu. Już od dwóch miesięcy mieszkał z nią w pięknej willi z widokiem na Ocean Spokojny. Choć nadal nie mówił, wydawał się o wiele pogodniejszy niż w szpitalu.

— Ma pani ochotę na dobrą kawę? A tobie zrobimy pyszną czekoladę, skarbie.

Zachwycony Scotty żywo pokiwał główką.

Laureen wstała, gestem powstrzymując Sarah, która chciała

jej pomóc, i zniknęła w przedpokoju. Scotty znów zajął się swoim samolocikiem.

— Jesteś wspaniałym małym chłopcem — szepnęła mu do ucha Sarah i pocałowała go w policzek.

A potem wsparła brodę na jego ramieniu.

I przypomniała sobie, jak późnym grudniowym popołudniem Tim spotkał się z nią w Caffè Reggio. Na zewnątrz panował przejmujący chłód, kawiarnia była zatłoczona. Przypomniała sobie młodą matkę, która karmiła niemowlę butelką, znów poczuła tę słodycz i szczyptę niepokoju, jaką wywołała w niej obserwowana scena. Teraz miała ją przed oczyma i nagle uświadomiła sobie, że nigdy nie urodzi dziecka mężczyzny, którego kocha i zawsze kochała. A byłby wspaniałym ojcem. Forrest był dobry i lojalny. A ona w niego zwątpiła. Uratował ich, a ona zwątpiła w takiego człowieka. Jak mogła? Jak?

I znowu łzy wezbrały pod jej powiekami, ale tym razem nie mogła już ich powstrzymać. Cichutko płynęły po policzkach. Sięgnęła do kieszeni džinsów i wyjęła chusteczkę. Scotty prze-rwał zabawę i patrzył na nią. Uśmiechnęła się przez łzy.

— To nic — powiedziała. — Po prostu coś wpadło mi do oka.

Ale to raczej w jej sercu tkwiła bolesna zadra.

Scotty objął ją rączkami i przytulił śliczną buzię do jej policzka. Wzruszona czułością dziecka, Sarah rozszlochała się na dobre.

— To tylko paproch w oku — próbowała oszukać malca.

Oboje z Timem uważali się za silnych i odważnych, zdolnych unicestwić absolutne Zło, które uosabiał Fenryder. Ale Wilki ich zniszczyły, rozbiły w proch na nędzne kruszyny. Dopiero teraz zrozumiała, jak jest wrażliwa i jak bardzo zostali skrzywdzeni przez te potwory, igrające z ich miłością i strachem.

Siejąc zwątpienie i chaos w ich umysłach. A także obarczając Tima winą za potworną śmierć Jodie i wuja Todda. A przecież Tim i tak czuł się już odpowiedzialny za śmierć Kevina. Choć Wilkom nie udało się ich zabić, zrujnowały im życie, a to było jeszcze gorsze.

Po chwili szloch, który wstrząsał ciałem Sarah, nieco się uspokoił i Scotty trochę się od niej odsunął. Zauważyła, że on także płakał.

— Ależ ze mnie idiotka — powiedziała, ocierając oczy palcami. — Zasmuciłam cię, kotku.

Malec patrzył na nią przez łzy, które spływały mu po policzkach. Jego spojrzenie było przenikliwe, mądre, pełne współczucia, które zdumiewało u dziecka w tym wieku.

— Sa... Sa... Sarah — zdołał powiedzieć.

Przytuliła go mocno i dała ujście rozpaczy.

Spis treści

Przedmowa	7
Prolog	9
CZĘŚĆ PIERWSZA PRZYGOTOWANIA	25
Dzień pierwszy	27
Dzień drugi	45
Dzień trzeci	74
Dzień czwarty	106
Dzień piąty	133
CZĘŚĆ DRUGA WERNISAŻ	167
Dzień szósty	169
Dzień siódmy	236
Dzień ósmy	296
Epilog	423